

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 17159



BC KSK / 17159

PIRMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

Stefan Żeromski - Nowszerski



894/09) 92

17159

STEFAN ŻEROMSKI
DOM, DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

- ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie III. 1923.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożynna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie V. 1923.
DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
ELEGIE, Warszawa 1928.
INTER ARMA. Warszawa 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
MOGIŁA. Warszawa. 1923.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
ORGANIZACYA INTELIGENCYI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
POMYŁKI. Warszawa. 1923.
POŃAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIBRZU. Wydanie III. 1923.
PROJEKT AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
PUSZCZA JODŁOWA. Warszawa 1926.
ROZDZIOBIA NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie IV. 1923.
SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie II. 1920.
SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie VI. 1924.
TURON. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA... Komedia. Warszawa 1925.
URODA ŻYCIA. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktór Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku). 1925.
WIATR OD MORZA. Wydanie III. Warszawa. 1922.
WIERNA RZEKA. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Wydanie II. Warszawa 1923.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.



Stefan Żeromski w literaturze polskiej i w życiu narodu był postacią niepospolitą. Odegrał rolę wybitną i imię swoje związał z pojęciem wielkości. Sprzeczne wielekroć sądy o wartości jego dzieł są jedynie wielkości tej potwierdzeniem. Rozbieżność zdań, pomimo skali dość rozległej, nie podaje nigdy w wątpliwość wysokiej miary jego talentu, mistrzostwa słowa, znajomości dusz ludzkich i niespotykanego dotąd ujęcia wszelkich zagadnień wczorajszego tragizmu i jutrzejszych trosk polskich.

Był on jednym z nielicznych, którzy po Mickiewiczu mieli pełne prawo powiedzieć, że za miliony czuli i cierpieli. I takim w literaturze i historii przez długie wieki pozostanie.

Znajomość tych warunków, które na ukształtowanie tej wybitnej indywidualności się złożyły, długie lata będzie przedmiotem dociekań nauki, a przede wszystkim krytyki literackiej. Jeśli nie dziś, to jutro lub pojutrze, każdy szczegół, zdolny uzupełnić i dodać pełni barw w mozaice jego życia i przeżyć, zbierany będzie skrupulatnie i pieczołowicie. Miano ten pietyzm dla Mickiewicza, Słowackiego i innych z wielkiej epoki romantyzmu, zwróci się on z czasem z konieczności i w stronę Sienkiewicza, Reymonta i Żeromskiego. Życie twórcy zbyt ściśle zespolone jest z jego dziełem, by właściwą ocenę

jego roli i zrozumienie podjętych zadań można w zupełnym oderwaniu od tego życia przeprowadzić.

Kierowany odczuciem tej konieczności pragnę skreśleniem swej pracy dorzucić jedną z cegiełek do materiału, który z biegiem czasu w nauce polskiej siłą rzeczy będzie się gromadzić, by kiedyś wzniesiono zeń gmach gruntownej a sumiennej analizy znaczenia wszystkich wartości, które nazwisko Stefana Żeromskiego dla ducha polskiego i dla sztuki w sobie zamyka i streszcza.

Za skromne swoje zadanie obrałem sobie naszkicowanie w rysach może nieco pobieżnych życiorysu wielkiego pisarza, tembardziej, że biografia Stefana Żeromskiego nie tylko dla ogółu, ale i w świecie literackim jest prawie nieznaną. Wielki samotnik ukazał się na arenie twórczości polskiej, jako talent niemal zupełnie dojrzały, do cyganerii literackiej nie należał, w dziennikarstwie, jak się to często dzieje, kroków pierwszych nie stawiał, przeszłość więc jego do chwili, gdy się poczęto nim na serjo interesować, jest niejako księgą zamkniętą. Imię swoje ustalił i miejsce należne w literaturze zdobył przebojem dopiero wydaniem «Ludzi bezdomnych». Odtąd Żeromski jest już do pewnego stopnia własnością narodową, wzrok ogółu lub conajmniej uwaga twórczości polskiej śledzi jego wędrówki i życia koleje, odtąd jest mniej więcej znany. Znany zresztą dość powierzchownie, t. j. tak, jak tylko mógł znany być człowiek wieczyście samotny, zamknięty w sobie, człowiek, który w gruncie rzeczy nie miał i nie szukał przyjaciół ani powierników.

Życiorys Stefana Żeromskiego, jaki czytelnik w książce tej znajdzie, obejmuje ów pierwszy okres

życia, który go do wrót sławy, a więc do wydania «Ludzi bezdomnych» doprowadził. Epokę wielkiej twórczości pisarza, górne i chmurne przeżycia i tragedje jego lat dojrzałych aż do dnia zgonu — zostawiam na uboczu. Jest to epoka zbyt świeża, by w nią wnikać i nadto jego towarzyszom po piórze znana, by się należało obawiać, że z czasem zapadnie w niepamięć. Inaczej jest z Żeromskiego młodością. Coraz szczuplejsze jest grono jego bliskich i rówieśników, z dnia na dzień odchodzą w zaświaty ci, którzy mu byli przyjaciółmi i braćmi, coraz mętniejszą i bardziej niezupełną stawać się będzie relacja o domu, dzieciństwie i młodości twórcy «Popiołów». Dlatego też zebranie sprawdzonych i rzeczywistych danych z tych lat minionych i odległych uważam za rzecz pożyteczną i pilną, grozi im bowiem los zapomnienia.

Impulsem do podjęcia tej pracy były mi nadto często słyszane utyskiwania nad brakiem danych biograficznych o Żeromskim i liczne kierowane do mnie listy wydawców i krytyków z mnóstwem zapytań, niekiedy aż nazbyt szczegółowych. By na nie odpowiedzieć zbiorowo streszczam tę relację, zbieraną dość pilnie, a opartą na dokładnej znajomości życia pisarza, tudzież na bliskich związkach z jego rówieśnymi i starszą generacją rodzinną. Wiadomości te zawdzięczam w znacznej mierze rzadkiej umiejętności przechowywania wspomnień, darowi narracyjnemu i prawości słowa mej s. p. Matki, siostry ciotecznej, rówieśniczki i powiernicy lat młodych Żeromskiego. Była mi ona najlepszą i najwierniejszą współpracowniczką, której dziękować mogę tylko dalekiem pozdrowieniem.

Jest rzeczą oczywistą, bo nieuniknioną, że w relacji mej będą liczne braki. Duchowych przeżyć, młodzińskich porywów, skrytej myśli przyszłego twórcy «Dumy o hetmanie» nie uplastyczni ona z pożądaną dokładnością. Dziedzinę życia duchowego odzwierciedlićby mogły jedynie pamiętniki, kreślone przez samego autora, piórem bezwzględnej szczerości, pisane tylko dla siebie. Pamiętniki takie, posiadające wartość zwierzeń zadziwiająco szczerych, pisał i Stefan Żeromski. Kiedyś po wielu latach uzupełnią one zapewne i rozszerzą zakres badań nad jego młodością. Dzisiaj są z natury rzeczy niedostępne i takimi być winny co najmniej przez pół wieku. Pamiętniki swe autor «Popiołów» pisał krótko i tylko w latach młodzińskich. Jest ich zeszytów kilkanaście, kreślonych z młodzieńczym entuzjazmem i z ogromną, zwykłą Żeromskiemu starannością zewnętrzną. Są tam i próby literackie i uczniowskie pełne idealizmu erotyki i powklejane listy od pierwszej ukochanej. Miałem je w rękach przed laty czternastu, odnalezione trafem w Kielcach, gdzie je Żeromski zapomniał w rękach zupełnie obcych, które je nieszczęśliwie umiały szanować. Witał je wielki pisarz z rozrzewnieniem, jak wiernych powracających przyjaciół.

Później Żeromski osobistych swych wrażeń już nie spisywał. Gdy go pytałem 12 listopada 1925 roku (na 8 dni przed śmiercią), dlaczego nie pisze pamiętników, odpowiedział półżartem, że to samo pytanie zadał kiedyś Stanisławowi Witkiewiczowi, którego bujne i barwne przeżycia stworzyłyby mogły przepiękną księgę. Witkiewicz odparł, że pamiętniki pisują albo ludzie

bardzo młodzi, albo zupełnie starzy, a on za starca jeszcze się nie uważa.

W pracy tej sporo uwagi poświęciłem wspomnieniom o charakterze, rzecz można, heraldycznym. Uważałem je za potrzebne, by wykazać te wpływy tradycji domowej, w których znakomity pisarz się wychowywał, i dać pewne pojęcie o atmosferze środowiska, którą oddychał. Cały ten ciężar czy kapitał przeszłości wycisnął wszak na jego psychice bardzo wyraźne piętno. Obok starszylacheckich atawizmów, wyraźnie zaznaczonych w geście twórczym pisarza, wspomnienia te oddychają silną miłością ojczyzny, są dokumentem stale ponoszonej ofiary krwi i mienia i dają miarę ówczesnego pojmowania obowiązków obywatelskich. Tłómaczą one w znacznej mierze tę atmosferę egzaltacji patriotycznej, która otaczała kołyskę twórcy i była podłożem ukształtowania się jego niezwykle wrażliwej i wszystko cierpieniem własnym ogarniającej duszy.

Przeszłość rodzinna u natur twórczych odgrywać zwykła rolę bardzo silną i nigdy w dostatecznej mierze docenić jej nie można. Błogosławiona, czy przeklęta, idzie wciąż za człowiekiem, ścieżki mu wikła lub prostuje, szepce do ucha podniety lub przestrogi, nie odstępuje energią wrodzonych sił i intensywnością dzieckiem zapamiętanych wrażeń aż do grobu. Dlatego słusznym jest ubolewanie historii literatury, że tak mało wiemy o Antonim Malczeskim i tak niewiele o przeszłości Mickiewiczów i zrozumiały skrupulatność Korzona, który genealogji małożnanego przed Tadeuszem rodu Kościuszków poświęcił tyle miejsca, że materiału starczyłoby na dostatni tom.



JÓZEF(AT) ŻEROMSKI (DZIAD PISARZA)
(MINJATURA A. WILCZYŃSKIEGO)



KLARA Z KŁODNICKICH JÓZEFATOWA ŻEROMSKA
(MINJATURA A. WILCZYŃSKIEGO)

DOM ŻEROMSKICH

Dom Żeromskich należy do najstarszych rodów w Polsce. Samo brzmienie nazwiska, którego etymologia sięga dawnych zapomnianych już źródeł polszczyzny, wskazuje na długi szereg wieków rycerskiej przeszłości. Heraldyka polska, nauka niedoceniana i dotychczas słabo rozwinięta, wspomina o Żeromskich już w r. 1361.

Gniazdem rodzinnem jeszcze w wiekach średnich musiała im być wioska Żeromin¹⁾ w dzisiejszym powiecie pułtuskim. Jak dawno zamieszkiwali Żeromscy to pierwotne swoje osiedle, dociec trudno. Musiał to być ród dawny, jeszcze w XIII stuleciu rozrodzony, skoro na schyłku wieków średnich napotykamy na tak daleko posunięte różniczkowanie poszczególnych z wspólnego prapnia wyrosłych odgałęzień, że mamy już do czynienia z całym szeregiem odrębnych niejako rodzin, które się nawet różnemi herbami, jak Pobóg, Nowina, Gryf lub Jelita, pieczętują. Jaką drogą ów proces różniczkowania się odbywał, jaką w nim rolę odgrywały nowe czyjeś zasługi lub odznaczenia, jednostek rywalizacje, czy animozje, ubożenie jednych lub wzrost zamożności innych krewniaków, zakładanie nowych ognisk rodzinnych na odległych «nowinach», pospolite nieuctwo i za-

¹⁾ Żeromin, dawniej Żeremin. Źródłostowem tej miejscowości był niechybnie wyraz żeremie, którym w staropolszczyźnie nazywano osiedla bobrów.

pomnienie o własnym klejnocie, lub posługiwanie się macierzystą pieczęcią, — dziś tego nie docieczemy. Faktem jest, że z początkiem XV wieku spotykamy już cztery rodziny Żeromskich, przyczem używający herbu Nowina wymieniani są najdawniej.

Istnienie całego szeregu rodzin o wspólnem nazwisku a bez żadnego węzła pokrewieństwa jest zjawiskiem bardzo pospolitem. Rodziny Dąbrowskich, Kozłowskich, Borkowskich, czy Majewskich wymieniane są wszak w herbarzach dziesiątkami. W tych atoli wypadkach supozycja o wspólnem imienników pochodzeniu byłaby bezzasadna. Są to nazwiska rozpowszechnione, a powstawały niezależnie od siebie, dzięki mnogości wiosek, których nazwy podobne urabiały cały szereg jednobrzmiących imion rodowych. Gdy wszakże chodzi o rodzinę Żeromskich, przypuszczenie o wspólnem jej odrębnych odłamów pochodzeniu jest o tyle prawdopodobne, że mamy tu do czynienia z nazwiskiem dawnem i niepospolitem, którego staropolskie brzmienie jest już od kilku wieków dla nas niezrozumiałe i łatwo przez szlachtę nową przybierane być nie mogło.

Z czterech rodzin Żeromskich, jak to już zaznaczyłem, najdawniej wspominanym jest dom herbu Nowina. Z gniazda tego trzej bracia Jan, Henryk i Marcin w r. 1361-ym w aktach płońskich sporządzali t. zw. donacje. W wieku XVI z Żeromskich Nowinów znany był Stanisław, dworzanin Bony i tegoż synowie: Marcin i Augustyn, poseł do Moskwy. Dom ten uważać należy za oddawna wygasły.

Rodem najbardziej, zdaje się, możnym i zasobnym, zwłaszcza w XVI i XVII stuleciu byli Żeromscy h. P o-

b ó g, których gniazdem rodzinnem w owych czasach było województwo inowrocławskie. Odgrywali oni w życiu kraju rolę dość czynną i dochodzili do zaszczytnych godności, wyróżniając się inteligencją, wykształceniem i ofiarnością. O najwcześniej wymienionym w historii przedstawicielu tego domu, Wawrzyńcu Żeromskim, mówią zapiski heraldyczne, że był to mąż pobożny i miłośnierny, bo «gdy w roku 1532 gwałtowne dżdże tak pola zalały, że z niedostatku żywności głód się ciężki otworzył, Wawrzeniec gumna swoje i śpichrze na zgłodniałych ludzi szczerze wyszafował, wprawdzie z wielkim uszczerbkiem fortuny, ale z pełną od Boga zapłatą nadzieją, którem swoim miłosierdziem wielu od oczywistej śmierci salwował».

Syn Wawrzyńca, Marcin, rozpoczął swoją karierę w służbie państwowej od obowiązków pisarza grodzkiego kaliskiego, którym był w roku 1593. W r. 1610 zostaje pisarzem ziemskim. Na tem stanowisku «wzniesił o sobie wielką estymacją» u marszałka wielkiego koronnego, Jędrzeja Opalińskiego, który «zażywał go w trudnych sekretnych interesach». Musiał to być mąż wypróbowanej prawości i szerszych horyzontów umysłowych, skoro tenże marszałek Opaliński, umierając, wyznacza go na opiekuna swych dzieci, a szlachta województwa kaliskiego po dwakroć zgodnem głosowaniem ofiarowywa mu sęstwo ziemskie. Godności tej wszakże Marcin Żeromski nie przyjmuje. Bardziej po sercu była mu natomiast funkcja poselska, którą w sejmie sprawując «wielu braci afekta swoim przymileniem» tudzież «wytwornym rozsądkiem» sobie zaskarbił. Odziedziczone po światłym i zasłużonym ojcu zdolności roz-

winał i udoskonalił syn Marcina, Piotr. Piastując zrazu tytuł kuchmistrza koronnego i obowiązki starosty bydgoskiego (1633), rychło daje się poznać z uzdolnień w kierunku dyplomatycznym. Pomaga mu w tem staranne wychowanie, wyniesione z domu, jakoteż poważniejsze studia, przeprowadzone w kraju i we Włoszech, gdzie w Rzymie «dowcip swój w naukach polerował».

Dzięki tym kwalifikacjom i powołaniom wrodzonym, używany był przez Zygmunta III w różnych poselstwach do dworów obcych, przyczem z zadań swych wywiązywał się zawsze «z niemałą swojej dzielności pochwałą», a więc z korzyścią dla ojczyzny. Z licznych jego misyj poselskich zachowała się pamięć o podróży do Porty w charakterze sekretarza Mikołaja Daniłowicza, posłującego od króla do sułtana; w poselstwie do cesarza Rudolfa, z którym rokowano w sprawach włoskich, był oratorem, wreszcie w samodzielnem poselstwie do Belgji do Albrechta, księcia austriackiego, wyprawiony, «dobro ojczyzny u niego utrzymywał».

Z tegoż domu znany był Władysław Żeromski, syn komornika sieradzkiego, pisarz panegiryczny. Zgodnie z świadectwem historyka E. Landa, był on synem poprzednio wymienionego Piotra. Z prac jego pozostały: «Votum pietatis» na śmierć arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana Wężyka Widawskiego (1636), «Columna aucta» na zgon Jana Franciszka Walewskiego, posła i stolnika sieradzkiego (1638) i «Teressa gratitudinis», panegiryk na cześć Szymona Kołodzkiego, kanonika i prezydenta trybunału koronnego.

Z Żeromskich h. Pobóg wspomina heraldyka nadto o Franciszku z woj. łeczyckiego z r. 1674, o Adamie,

zakonniku, zmarłym w r. 1680 i o Wojciechu, rektorze kamienieckim w r. 1671.

Jest to rodzina podobno niewygasła. Potomkowie zamożnego i znacznego niegdyś domu Żeromskich, pieczętujących się tym klejnotem, są ponoć dzisiaj szlachtą zagonową w księstwie łowickiem.

O Żeromskich herbu Gryf, trzecim odłamie rodu tego nazwiska, wiemy niewiele. Siedzibą ich dawniejszą musiało być Pomorze. Niesiecki wspomina tylko o jednym przedstawicielu tego domu, mianowicie o Stanisławie, scholastyku chełmińskim i kanoniku gnieźnieńskim z r. 1689. Później nie spotykamy o Gryfitach żadnej już wzmianki. Dopiero w aktach Heroldji Królestwa Polskiego odnajdujemy imiona sześciu po powstaniu listopadowem legitymujących się Żeromskich, którzy się powołali na herb rodzinny Gryf. Charakterystyczne, że miejscem ich zamieszkania było terytorjum dawnego województwa sieradzkiego, gdzie w XVII w. rodziną zasiedziłą byli Żeromscy h. Pobóg. Czy nie zakradła się tu przypadkiem jakaś mimowolna pomyłka?

ŻEROMSCY HERBU JELITA

O Żeromskich, pieczętujących się herbem Jelita, a więc o czwartym i ostatnim odłamie tego rodu, wspominał naostatku i obszerniej, gdyż są oni ową ściślejszą rodziną pisarza. Ojciec Stefana Wincenty, dziad Józef v. Józefat i pradziad Jan tego właśnie herbu używali i z domu Jelitów Żeromskich ród swój wywodzą.

Żeromscy-Jelitowie, według heraldyków, siedzieli dawniej w województwie podlaskiem. Możliwe, że sie-

dliskiem ich był kiedyś Żeromin, w powiecie pułtuskim położony. Na Podlasiu jednak oddawna ich nie spotykamy. Wymieniony przez Niesieckiego pod rokiem 1674 Wojciech z miejsca pochodzenia nie jest nam znany, Kazimierz zaś, który w roku 1733 był skarbnikiem mielnickim i sędzią kapturowym chełmskim mógł być równie dobrze jedną z ostatnich latorośli rozproszonych podlasian, jak i przedstawicielem gałęzi litewskiej, o której pomówimy za chwilę.

Exodus z Podlasia był nietylko dawny, ale i radykalnie daleki, przyczem skierował się ku dwu odmiennym krańcom Rzeczypospolitej, dając początek dwu odrębnym gałęziom, od lat conajmniej trzystu nie utrzymującym żadnego wzajemnego kontaktu. Jedna z tych gałęzi, którą nazwiemy śląską, wywodzi się dziś z Dębowołęki, dóbr rodzinnych, położonych na Śląsku Dolnym pomiędzy Wschową a Głogowem. Dębowołęka należała do Stanisława Żeromskiego h. Jelita żonatego z Koszutską jeszcze pod koniec XVIII w., poczem na Koszutkich przeszła. Syn Stanisława Józef, ożeniony z Pohlębowską, służył w armji pruskiej, dwaj inni synowie: Gabrjel i Antoni w armji Księstwa a potem Królestwa Kongresowego. Po powstaniu listopadowem ze względów czysto formalnych (przekroczenie terminu) nie uwzględniono w Heroldji ich starań legitymacyjnych. Potomkowie starszego, Józefa, mieszkają do dziś w Ks. Poznańskim, a od lat paru dziesiątków i w Królestwie Niektórzy z biegiem czasu przekształcili nazwisko swe na Żuromskich.

Gałąź śląska jest zatem gałęzią żyjącą. Przydomek Sarjusz nie był w niej znany.

ŻEROMSCY HERBU JELITA. GAŁĄŻ LITEWSKA Z PRZYDOMKIEM SARJUSZ

Druga gałąź Jelitów-Żeromskich, prawdopodobnie wcześniej jeszcze, niż śląska, rozrodziła się na Litwie, przeważnie w dawnym województwie trockiem. Jak dawno Żeromscy tam osiedli, określić niepodobna. Sądząc wszakże z faktu, że spotykamy ich tam już w końcu XVI wieku, jako ziemian zasiedziałyh i zamożnych, przyczem jedna z ich posiadłości nosi nawet nazwę Obelia Żeromskich, nie pomylimy się zbyt, przenosząc datę osiedlenia się domu tego na Litwie na czasy pierwszych Jagiellonów.

Pierwszym przedstawicielem gałęzi litewskiej, o którym historia wspomina, była dość głośna i dzielna postać Kazimierza Chwaliboga, dwu imion, stolnika wileńskiego, tudzież starosty opęskiego i ciecierskiego. Porucznikował on usarską chorągwią Wincentego Gosińskiego, podskarbiego wielkiego i hetmana polnego litewskiego. Podczas oblężenia Wilna przez wojska cara Aleksego Michałowicza pod wodzą kniazia Chowańskiego w roku 1654, Kazimierz Chwalibóg był regimentarzem w wojsku litewskim, a w zamku wileńskim zamknięty marszałkował tam «wojsku związanemu». W tejże wojnie zbił fortunnie Moskwę pod Kuliszkami. «Atoli, — mówią zapiski heraldyczne, — od tychże samych związkowych w r. 1662 zabity w Dubnie nad Niemnem, leży w Wilnie w kościele OO. Karmelitów Bosych».

Jakie było tło tego morderstwa, wyjaśnić brak.

Kazimierz Chwalibóg zostawił dwu synów: Aleksandra i Władysława, skarbnika mozyrskiego, ożenionego z Puzynianką. Data ich urodzenia przypada mniej więcej na okres około r. 1630-go. Pierwszą z kolei postacią, jaką bezpośrednio potem z domu tego spotykamy jest urodzony około r. 1655-go Franciszek Żeromski, piwniczny trocki, właściciel dóbr Obelia Żeromskich i Miłostany nad jeziorem Obelia w pow. sejneńskim, zadowolony gospodarz, kontentujący się godnością tytułarną piwniczego trockiego. Data urodzenia Franciszka nasuwa przypuszczenie, że mógł on być rodzonym wnukiem Kazimierza Chwaliboga a synem Władysława lub Aleksandra. W aktach Heroldji Królestwa Polskiego zachowany jest jego ciekawy testament, który tu, jako przykład tradycyjnego stylu, jakim szlachta polska posługiwała się przy ferowaniu swej ostatniej woli, częściowo przytaczamy.

«W Imię Oycy i Syna i Ducha Świętego, Boga w Trójcy Jedyne go niech się staje wola Jego święta na wieki. Amen.

Ponieważ wszystkie rzeczy, od Naywyższego Pana stworzone, na tym świecie prędkiey odmianie podlegaią i żadnego w sobie statku mieć nie mogą, co właśnie z mizernem stworzeniem człowieka każdego dziać się musi, długoli krótko na tym padole ziemnym żyjąc, iak iakowy cień albo kwiat polny usycha, nie maiąc w sobie zamierzonego kresu. Ale zawždy za powołaniem Stworzyciela swego przed Maiestat Jego Nayświętszy stać się trzeba, a wolą z bryły ziemi uformowane tam nazad do ziemi ciało — aż do powstania



HELENA Z ŻEROMSKICH MATEUSZOWA
MECHERZYŃSKA
(PORTRET BRODOWSKIEGO)



HELENA Z ŻEROMSKICH MATEUSZOWA
MECHERZYŃSKA (W WIEKU STARSZYM)
(PORTRET SZWEYKERTA)

i zawołania onego trombą niebieską — oddać i powrócić powinien. Na co i ia wszystkogrzeczny, Franciszek Żeromski, Piwniczny Wtwa Trockiego, zapatruiąc się, takową niestateczność widząc świata tego i będąc oney podległy, a do tego na ciele chorobą obłożną od Pana Boga, Stwórcy Nieba i ziemi, nawiedzony, iednak przy dobrym i doskonałym zmyśle i rozumie, a co dnia w terminowym momencie czekaiąc kresu i — nim przydzie z tym światem rozstać się — tym ostatniej woli moiey testamentem tak rozporządzam»:

Tu następuje gorąca modlitwa do Stwórcy o przebaczenie win ziemskich i przyjęcie duszy pana piwniczego do Chwały Pańskiej. Prosi piwniczny trocki o wstawiennictwo zarówno Matkę Bożą, jak i wszystkich świętych Patronów i Patronki swoje, «z krwawemi łzami upadaiąc i supplikuiąc». Zkolei małżonkę swoją «naymilszą», Franciszkę ze Skorobohatych i miłe dzieci uprasza, aby go porządkiem chrześcijańskim pochowano, jałmużnę w czasie pogrzebu rozdając. Za miejsce spoczynku obrał sobie podziemia kościoła Metelskiego, dysponując Msze św. w Sereyach, Simnie, Metelach, Słobodzie alias Mirosławiu i t. d. Poczem zastrzega:

«I proszę tym ostatniej woli testamentem moim, iż gdy mię Bóg zechce powołać do chwały swey Przenayświętszej, aby po śmierci moiey żadnych roztyrków między naymilszą żoną moią i dziećmi moiemi nie było».

Wyliczywszy następnie swe rozporządzenia majątkowe, w których wszystko, co posiada, przekazuje najmłodszemu synowi Jerzemu i żonie po połowie (z tem,



że połowa żony ma po jej śmierci przejść również na Jerzego), zastrzega przeciw urządzenie domowe do wyłącznej dyspozycji pani piwniczyny, nie przepominając ani o kotarze francuskiej «z koźmi i zrzebiętami», ani o kobiercach. Małżonce swej dziękuje za miłość do życia kresu doznawaną i żegna a błogosławi dzieci swoje miłe «Abrahamowem, Izaakowem i Jakóbowem błogosławieństwem». Żegna też sąsiadów i przyjaciół, prosząc, by za nim grzesznym do Majestatu Boskiego zanosili modlitwy.

Testament swój piwniczny trocki sporządził w r. 1723, będąc już w wieku podeszłym, wkrótce też potem przeniósł się zapewne do lepszych światów, małżonka jego bowiem, pani Katarzyna ze Skorobohatych, spisując testament własny o dziesięć lat później, była już od dawna wdową.

W rozporządzeniach pośmiertnych Franciszka Żeromskiego, który pozostawił córkę Marję za Władysławem Gosiewskim, krajczym upickim oraz trzech synów: Józefa, Macieja i Jerzego, uderza charakterystyczny fakt, że cały swój majątek, t. j. Obelię i Miłostany zapisuje on w połowie najmłodszemu synowi Jerzemu, w połowie zaś swej małżonce z równą jednak dożywociu klauzulą przekazania połowy tej także Jerzemu. Starsi synowie oraz córka otrzymali później w sukcesji drobne jedynie kwoty od matki. Pozory te, nasuwające myśl o pewnej formie wydziedziczenia, rozprasza przeciw treści obu testamentów, dowodząca, że stosunki pomiędzy rodzicami a trojgiem dzieci starszych nie były złe, a wyróżnienie Jerzego mogło być jedynie następstwem wcześniejszego ich wyposażenia.

Wyraźnej woli męża pani piwniczyna była po wlną. Testament jej, sporządzony w r. 1733, dochowuje w całej rozciągłości wiary rozporządzeniom męża, przelewając prawa własności pozostałej połowy dóbr Obelia i Miłostany na najmłodszego benjaminka Jerzego.

Musiała jednak staruszka mieć pewne co do sprawiedliwości podziału tego dziedzictwa wątpliwości, bo się z naciskiem wolą męża zastawia i sumituje, a dzieci o niewszczywanie «niesnasek i roztyrków» zaklina. Testament jej, wzorowany co do formy na ostatniej woli męża, zawiera liczniejsze jeszcze legaty na nabożeństwa za spokój jej duszy i dyspozycję pobożnej chrześcijanki, by ją pogrzebano w kościele mirosławsko-słoboskim... pod progiem.

Trzej bracia Żeromscy: Józef, Maciej i Jerzy musieli przyjść na świat na schyłku XVII wieku, prawdopodobnie między rokiem 1695 a 1700-ym.

O Macieju, jak również o Gosiewskiej, bliższych danych nie posiadamy. Maciej w r. 1733 już nie żył. Natomiast po Józefie i Jerzym została dziatwa, a z nią i kilka młodszych pokoleń. Zależnie od starszeństwa obu braci, pokolenie po Józefie nazwiemy linią starszą, po Jerzym zaś — linią młodszą Sarjusz-Żeromskich. Dla łatwej orjentacji rozpatrzmy je oddzielnie, poczynając od rodziny Jerzego.

RODZINA JERZEGO SARJUSZ-ŻEROMSKIEGO. (GAŁĘZI LITEWSKIEJ LINJA MŁODSZA).

O linii młodszej litewskiego odłamu rodziny Sarjusz-Żeromskich wiadomości nasze są wprawdzie dość

dokładne, ale lakoniczne i suche, bo wyłącznie na dokumentach oparte. Linja młodsza, która wolą piwniczego trockiego przy rodzinnych dobrach się utrzymała, dłużej też rodzimej Litwie dochowywała wierności i z linią starszą, która z czasem coraz bardziej ku południowi Rzeczypospolitej przesuwała swoje siedziby, zatraciła z latami żywszą komunikację. Stąd też wspomnieniom o dzieciach i wnukach Jerzego brak owego rumieńca opowiadanej przez pokolenia, żywą krwią pulsującej tradycji.

Jerzy Sarjusz-Żeromski, najmłodszy syn Franciszka i Katarzyny ze Skorobohatych, urodzony około roku 1700-go, pozostawił dwu synów: Karola i Leona. Z nich Leon żonaty z Teklą Dobrzyńską syna nie pozostawił. Z działań spadkowych wynika, że sukcesorami jego były trzy córki, siostry: Marja Zofja Otylja, Marja Józefa Ewa i Marja Wiktorja Bogumiła Żeromskie. Drugi syn Jerzego, Karol, urodzony prawdopodobnie koło roku 1735-go miał synów: Ignacego i Józefa. Karol zmarł w sile wieku w roku 1779-ym. O potomstwie po synu jego, Ignacym, akta nie wspominają. Drugi syn, Józef, ur. około 1770 r. ożenił się z Różą z Miłaszewiczów i miał z nią jednego tylko syna Michała Leona, urodzonego 25 marca 1799 r. Zarówno Józef, jak i syn jego Michał, łącznie ze szlachtą Królestwa Kongresowego musieli się poddać represyjnym formalnościom przy wpisywaniu do Heroldji Królestwa. Starania te, zgodnie z przepisami, wdrożył początkowo w latach 40-tych Józef, zrażony jednak koniecznością składania przysięgi na wierność cesarzowi i przyciśnięty podeszłym już wiekiem, złożył je później w ręce syna

Michała-Leona, ożenionego z Ludwiką Berens. Później Michał Leon Żeromski po roku 1860-ym legitymował jeszcze dodatkowo synów swoich: Michała ur. 21 lipca 1844, Jana ur. 18 października 1845 i Zygmunta ur. 8 września 1847 r.

Dalszych wiadomości o losie tych trzech podówczas młodzieńców brak.

RODZINA JÓZEFA SARJUSZ-ŻEROMSKIEGO. (GAŁĘZI LITEWSKIEJ LINJA STARSZA).

Józef Sarjusz-Żeromski, najstarszy syn Franciszka i Katarzyny ze Skorobohatych, którego synkowi bogata babka zapisywała w testamencie aż 10 złotych, miał czworo dzieci: Ludwika, Marję, Kacpra i Jana. Rodzeństwu temu ciasno musiało już być na ojcowiznie, w trockiem województwie, skoro dwaj młodszy bracia jeszcze przed rokiem 1775-ym, wzięwszy zapewne spłaty od najstarszego Ludwika, z resztą fortuny przenieśli się do Korony. Skorzystali zapewne z jakichś bliżej nieokreślonych dawnych koneksji przyjaznych z rodziną Szaniawskich i około roku 1775-go objęli stanowiska w administracji rozległych dóbr F. Szaniawskiego, starosty bolesławsko-kałolewnickiego w Kuźnicach Drzewickich w dzisiejszym powiecie opoczyńskim. Emigrując z Litwy, Kacper Żeromski był kawalerem, Jan zaś (rodzony pradziad pisarza) ożenił się jeszcze na Litwie z panną Różą Sawicką h. Ślepowron, pochodzącą z rodziny oddawna w Wileńszczyźnie osiadłej. O najstarszym, Ludwiku, który na Litwie pozostał, bliższych danych nie posiadamy. Niewątpliwie postać

ta jest identyczną ze znanym na Litwie z pieniactwa Ludwikiem Żeromskim, łowczym trockim, który swój długoletni proces nawet opisał i drukiem około roku 1790 w książce p. t. «Sprawa z Adamem Klottem i Szpinkami» ogłosił.

RODZINA KACPRA SARJUSZ-ŻEROMSKIEGO. (DOM GALICYJSKI).

Średni syn Józefa a wnuk Franciszka, piwniczego trockiego, Kacper Żeromski, ur. w r. 1844, który przed rokiem 1775 wraz z bratem Janem osiadł w Opoczyńskim, zajmował w dobrach Szaniawskich stanowisko dość skromne. Drzewickie akta parafjalne wymieniają go przy okazji podawania do chrztu dzieci, jako koniuzszego starosty Szaniawskiego. Pobyt jego w Kuźnicach Drzewickich był zresztą dość krótkotrwały. Zaślubiwszy około roku 1780-go pannę Teklę Zabierzowską, podobno krewną Szaniawskich, przeniósł się w Rzeszowskie i tu w obwodzie jasielskim niedaleko Jodłowej nabył na własność folwark (który?). Z początkiem XIX wieku, odchowawszy już dzieci, majątność swą wydzierżawił, nie chcąc pomijać korzystnej okazji wzięcia w dzierżawę dóbr Munina pod Jarosławiem.

Dzieci Kacprostwo Żeromscy mieli troje, dwie córki: Salomeę za Leonem Kłodnickim, właścicielem dóbr Zarzeczce nad Sanem i Honoratę za Michałem Nowakowskim z Suszkiewiczek w powiecie przemyślańskim. (Zaznaczyć tu wypada, że siostra Leona Kłodnickiego z Zarzeczca, Klara, wyszła później za Józefa Żeromskiego, dziada pisarza). Najmłodszym dzieckiem

Kacpra i Tekli Żeromskich był syn Wincenty, urodzony w r. 1791-ym.

Matka tych trojga, Tekla z Zabierzowskich Żeromska, urodzona około r. 1761. owdowiawszy przed r. 1814-ym, dzierżawiła jeszcze przez pewien czas Muninę. Zabiegliva niewiasta umiała jednak tak korzystnie pokierować swe sprawy, że po odstąpieniu Muniny nabyła piękne dobra Przewrotne pod Rzeszowem i tu się osiedliła. W podeszłym już wieku wstąpiwszy w ponowne związki małżeńskie z p. Jakóbem Politalskim, miała do tyła odmłodzone serce, że majątek swój, umierając (8 marca 1836 r.), jako 74-letnia staruszka, testamentem młodemu przekazała mężowi. Dzieci, materialnie bardzo dostatnio sytuowane, wolę matki uszanowały, a Przewrotne utrzymało się przy Politalskich.

Jedyny syn Kacprostwa, Wincenty, ożeniony z panną Salomeą Pągowską, zamiłowań do pracy na roli nigdy nie zdradzał. Otrzymałszy wyższe wykształcenie, jako rówieśnik, współpracownik i bliski przyjaciel Kazimierza Brodzińskiego, miał wybitne uzdolnienia i upodobania do badań literacko-historycznych. Majątkowo niezależny, czerpał dochody z folwarku w Jasielskiem, mieszkając stale w własnej kamienicy w Rzeszowie, gdzie rozkoszował się swą bogatą biblioteką i postępem swych prac. Rękopisy tego świętego człowieka tułają się jeszcze zapewne wśród jego spadkobierców, o ile nie zaginęły przy likwidacji domu w Rzeszowie. Miarą szacunku i miłości, jakiej zażywał wśród swych bliskich jest fakt, że stryjeczny brat jego Józefat synowi swemu a ojcu pisarza na cześć brata nadał imię Wincenty.

Wincenty Sarjusz-Żeromski zmarł w sile wieku w Rzeszowie dnia 17 czerwca 1848. Syna nie pozostawił. Z dwu jego córek starsza Helena, ur. w roku 1824-ym wyszła za mąż już po śmierci ojca w Rzeszowie w r. 1849-ym za Teofila Kaczkowskiego, syna Jana i Tekli z Potockich. Mieli oni majątek Sygniówkę pod Lwowem i Komorów koło Kolbuszowej. Jedyńm ich dzieckiem była córka Marja za Czesławem Kozłowiekim, właścicielem dóbr Huta Komorowska.

Młodsza córka Wincentostwa Żeromskich, Tekla, ur. w r. 1825-ym, zaślubiła w r. 1845 p. Antoniego Łastowieckiego, właściciela dóbr Lipnik w Przeworskiem, pozostających do dzisiaj w rękach jej wnuków.

Na córkach Wincentego dom rzeszowski w linii męskiej wygasł.

RODZINA JANA SARJUSZ-ŻEROMSKIEGO.

(DOM KRAKOWSKO-KIELECKI).

Jan Sarjusz-Żeromski, ur. w r. 1745 brat Ludwika i Kacpra, a pradziad pisarza, przybył z Litwy wraz z żoną Różą z Sawickich i najstarszą córeczką Teklą Heleną około r. 1775 do Drzewicy, by objąć tu stanowisko gubernatora, a właściwie administratora dóbr starosty bolesławsko-kąkolewnickiego, F. Szaniawskiego. Było to stanowisko w ówczesnych stosunkach bardzo intratne a tem sympatyczniejsze, że stosunek z Szaniawskimi był przyjazny i bliski. Żeromscy mieszkali w pałacu drzewickim, prowadzili życie dość wystawne, mieli zaszczytne stosunki i związki przyjazne wśród



KAROL MECHERZYŃSKI, HISTORYK LITERATURY, PROF. UNIW. JAGIELL.
(WUJ PISARZA)

(PORTRET PILLATIEGO)

ziemian okolicznych. Jak świadczą akty parafjalne Drzewicy, bywali w ich domu i «kumali się» z nimi: Aleksander Antoni Soldenhoff, baron, gen. w. p. i szambelan JKMości z żoną Katarzyną, Dominik Bąkowski, stolnik bielski i Michał Bąkowski, stolnik radomski z żoną Apolonją, Józef Szaniawski, opat wąchocki, kanonik krakowski, Honorata Rostkowska, łowczyzna smoleńska, Katarzyna Trzińska, stolnikówna sochaczewska, Gordonowie, Sielscy, Kowalewscy, Ujejscy, chorąży Kajetan Pruszek, Łąccy, Zagórscy i inni.

Dziatełwo Janostwo Żeromscy mieli ilość dostatnią, ale nieszczęśni rodzice tracili swe maleństwa raz po raz, ledwo odchowane. Z 9-ciorga dzieci, o których wiadomo (a bodaj, że nie jest to rejestr całkowity) wychowało się tylko troje. Z synów przyszli na świat: Józef, zwany też Józefatem (1783), Wincenty Józef Teofil (1789), Antoni Daniel (1790), Fabjan (1782) i Kajetan (1793), z córek wiadomo o Tekli-Helenie (1774), Tekli-Katarzynie (1777), Tekli-Ludwice (1784) i Tekli-Wiktorji-Zofji (1786). Szczególne, doprawdy, było w rodzinie Żeromskich to nabożeństwo do św. Tekli, która była uważana za najłaskawszą patronkę płci słabszej. Córeczkom, rzecz oczywista, mówiono z drugiego imienia; w ten sposób jedyna dziewczynka, która swe siostry przeżyła, znana była nie, jako Tekla-Helena, lecz tylko, jako Helena Żeromska i tak ją później akta drzewickie pod rokiem 1791 podają, gdy trzyma do chrztu dzieci włościan z Żardek i Trzeszkowic. U rodziny Łastowieckich w Lipniku świadectwem tego nabożeństwa jest przechowany do dzisiaj obraz, przedstawiający św. Teklę, jako «patronkę bydła» w różnych przy-

padkach jej żywota, malowany naiwnie po klasztor-nemu. Może go jeszcze z Litwy przywieziono?

Synowie wychowali się Janostwu Żeromskim tylko dwaj: najstarszy Józefat i najmłodszy Kajetan. Kajetan przyszedł na świat już w Przysusze, dokąd Jan Żeromski przeniósł się w r. 1793-im, objąwszy nadto stanowisko pełnomocnika p. Dembińskiej, starościny wólbromskiej w jej dobrach Przysucha, w niedalekiem sąsiedztwie Drzewicy położonych. Tu zastała go insurrekcja kościuszkowska. Jaki był udział Jana Żeromskiego w powstaniu 1794 r. ustalić dziś trudno. Nie ulega wszakże wątpliwości, że był w nie poważnie zaangażowany, skoro porzucić musiał cały swój dorobek i w Jasielskiem u brata za austriackim kordonem szukać schronienia. W życiorysie syna jego, Kajetana, zamieszczonym w krakowskim «Czasie» z r. 1869-go powiedziano, że w kołysce będąc, w czasie powstania 1794 r. był świadkiem jak ojca jego przykuwano do działa, a matka odchodziła od zmysłów z rozpacz.

Jak się wyratowano z tej opresji, dziś się już nie dowiemy. Wiadomo tylko, że udało im się z trudem nie małym, porzuciwszy dostatki i dom, unieść cało swe głowy z pod kańczuga zemsty moskiewskiej. Trudy te i nieszczęścia tak podkopały wątłe już siły prababki pisarza, że życia swego niebawem pod gościnnym dachem Kacprostwa Żeromskich dokonała i na cmentarzu w Jodłowej spoczywa.

O dalszych losach owdowiatego Jana Żeromskiego wiadomości są dość skąpe. Być może, iż jemu to właśnie oddał w dzierżawę majątek swój brat Kacper. Jest to tylko sfera przypuszczeń. Pewnem jest jedynie, że,

zajęty wychowaniem dzieci, rychło się przeniósł do Krakowa, tu nabył dom przy ul. Wiślniej, córkę Helenę wydał w r. 1798-ym za Mateusza Mecherzyńskiego, profesora liceum krakowskiego i, sędziwego wieku dożywszy, w Krakowie dnia 26 października 1817 r. życie zakończył. Zwłoki jego złożone są w dobrze zachowanym grobowcu wraz z synem Kajetanem i jego małżonką, Franciszką z Ostaszewskich.

Najstarsza i jedyna córka Janostwa Żeromskich, Helena za Mateuszem Mecherzyńskim¹⁾ żyje w pamięci rodziny, jako osoba niepospolitej urody i szerszych umysłowych horyzontów. Ogromnie czynna w sferach inteligencji krakowskiej, wyróżniała się wyniosłą postawą, elegancją i nieprzeciętną energią życiową. Owdowiawszy dość wcześnie (Mecherzyński zmarł 19 listopada 1815 r.), umiała pokierować wychowaniem swych dzieci tak fortunnie, że były one przykładem dla otoczenia, a syn Karol (ur. 4 stycznia 1800 r.) zajął z czasem czołowe miejsce w nauce polskiej, jako wybitny historyk literatury i długoletni profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Starszy syn, Hieronim, prof. języków słowiańskich, był uczestnikiem powstania 31 r. Helena Mecherzyńska mieszkała do śmierci w domu własnym przy ul. św. Anny. Miała też folwark pod Krakowem. Daty jej śmierci nie znamy. Z zachowanych do dzisiaj listów jej do córki Seweryny, pisanych bezpośrednio po zgonie brata Józefata, wiemy tylko, że w r. 1834-ym uskarżała się już na upadek sił, pi-

¹⁾ Mateusz Mecherzyński, h. Nowina, urodzony w Płocku w r. 1756, był synem Józefa, właściciela dóbr Worów pod Czerskiem i Franciszki z Godlewskich.

sząc między innymi: «Śmierć brata uczyniła mi znaczną różnicę w zdrowiu...»

Wspomniana wyżej córka jej Seweryna za Ernestem Schmidtem, inżynierem górniczym, była matką Antoniego, wybitnego organizatora powstania styczniowego, skazanego na śmierć za zamach na hr. Berga, a później na skutek starań pani Landowskiej wraz z jej synem zesłanego na Sybir.

Historja Antoniego Schmidta, który był bratem ciotecznym Stefana Żeromskiego, była jednym z silniejszych ech powstania 63 r., towarzyszących dzieciństwu pisarza.

O starszym synu Jana Żeromskiego Józefacie pomówimy oddzielnie. Narazie zająć się nam wypadnie historją młodszego, Kajetana.

Po wcieleniu ziemi kieleckiej do monarchji Habsburgów i osiedleniu się w Świętokrzyskiem Józefata, Kajetan jeszcze dzieckiem przeszedł pod braterską opiekę. Umieszczony w cieszących się w owe czasy renomowaną opinią szkołach pińczowskich, zawiadujący chłopiec z uszyna wciąż pełnemi rozgrywającej się właśnie na obszarach Europy epepei napoleońskiej, marzył jedynie o przygodach wojennych i krwawym polskim odwiecie. Sprzyjał temu niezwykle wyrostka rozwój fizyczny, gdyż mając lat 15 przerastał o głowę nietylko rówieśników, ale i pedagogów pińczowskiego kolegium. Nic tedy dziwnego, że nie doczekawszy nawet ukończenia 16-go roku życia, nudne gramatyki w ostatecznej pogrzał pogardzie i nie do Niemna wprawdzie, ale w Pilicę dawszy nurka, przedostał się na wolną ziemię Księstwa Warszawskiego. Było to w roku 1809.

By dać najlepszy obraz barwnych i twardych losów tego dzieciaka, którego dzieje na żywot Beniowski potrosze zakrawają, ustąpimy tu głosu «Czasowi», który mu taki w roku 1869-ym drukuje nekrolog:

Dnia 16-go października r. b. zakończył życie w Krakowie w 76 roku wieku swojego ś. p. Kajetan Żeromski, obywatel miasta Krakowa, były oficer wojsk polskich. Z żalem odprowadziliśmy do grobu zwłoki jednego z najstarszych wystużeńców i męczenników narodowej sprawy. Przeżył on długie i rozliczne koleje nieszczęść krajowych, których pasmo pierwotne upowiło jego kolebkę.

Urodzony w r. 1794-ym w Przysusze, ziemi sandomierskiej, z ojca Jana i matki Róży z Sawickich małżonków Sarjusz-Żeromskich, świadek ostatniego Polski rozbioru i Kościuszkowego powstania, widział w dzieciństwie dom rodziców rabowany przez Moskali, ojca przykutego do działa i matkę, umierającą z rozpacz. Zaledwo poczuł w sobie męskie siły, w roku 1809-ym na odgłos narodowego powstania ze szkół pińczowskich przepawił się kryjomo za Pilicę i złączył z szeregami wojsk polskich.

Rówiennicy tej epoki podziwiali w nim odwagę i usposobienie prawdziwie rycerskie, którym sprzyjała zewnętrzna postawa, wzrost wyniosły, siła nadzwyczajna, żywość i dziarskość młodzieńcza, zagrzewana uczuciem szlachetnem patriotyzmu.

Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego (!?istniało już przecie od trzech lat. Przyp. aut.) słu-

żył w 3-im pułku ułanów generała Dziewanowskiego, a w pamiętnym roku 1812-ym odbywał nieszczęśliwą wyprawę napoleońską do Rosji. W bitwie pod Mirem, stoczonej przez Rożnieckiego, wskutek ran odniesionych dostawszy się do niewoli, zmuszony został, jako jeniec iść pieszo i w najobelżywszej nędzy dwa tysiące wiorst drogi na Kaukaz poza Tyflis, brzegami morza Kaspijskiego aż do Baku. Trzy lata smutnego tułactwa przeznaczone były na spełnienie miary najsroższych cierpień, zgotowanych mu przez zawistne losy. Wnet bowiem tęsknota do kraju i niedola wygnania natchnęły nieszczęsnemu myśl rozpaczliwą wydobycia się z niewoli, a uknowany w tym celu związek ściągnął nań kaźń męczeńską, która wyrównywała skazaniu na stracenie. Siłom tylko nadzwyczajnym, a raczej cudowi Opatrzności przypisać należy, że z barbarzyńskich rąk okrutników wyniósł resztę życia, acz z skołatanem zdrowiem, którego już nigdy odzyskać nie mógł.

Taż sama Opatrzność Boska ocaliła go powtórnie w czasie najokropniejszej zarazy, gdy z zatrzymania kwarantanny rzucony był, jak ofiara, strącona w ogrodzenie dżumowe, skąd potem nieszczęśliwy wracał do życia przez sroższe nad śmierć samą próby i oczyszczenia.

Po ogłoszeniu Królestwa Kongresowego na Kongresie Wiedeńskim w r. 1815-ym i po powrocie do kraju wraz z innymi towarzyszami broni wcielony został do utworzonego podówczas wojska polskiego i służył w gwardji strzelców

konnych aż do roku 1830-go, w którym rewolucja listopadowa przeniosła go w nowe szeregi i przyobiekła w mundur tak zwanych Mazurów.

Z zapałem i szlachetnem poświęceniem walczył wtedy za sprawę ojczystą i wyniesiony na stopień oficera nie opuścił sztandaru narodowego aż do końca wyprawy. Po rozpuszczeniu dopiero korpusu Rybińskiego przybył kryjomo do Krakowa i tu, na łonie swej rodziny stale osiadłszy, połączył się związkiem małżeńskim z Franciszką z Ostaszewskich Chociszewską, z którą w zgodzie i szczęśliwem pożyciu słodził sobie i nagradzał wycierpiane trudy i przygody. W kole rodzinnem i posiedzeniach przyjaciół często o tych przygodach i z rozrzewnieniem wspominał, — a ci, którzy słuchali jego zajmujących opowiadań, żałują, że nie spisał pamiętników swego życia i ciekawych nader szczegółów o zwyczajach i obyczajach górali kaukaskich, Kałmuków, Gruzjan, Persów, które on w swych poniewierkach i dalekich włościach zwał z wielką bacnością i uwagą. Spokojność domowa stała się dla niego szczęściem najwyższem — sędziwe jednak lata przypomniały mu doznane trudy i ciemństwa.

Mąż pełen zasług, prawy obywatel kraju, pobożny chrześcijanin, w długiem i chwalebnem spędzonym życiu zyskał to, co może być najzaszczytniejszego — miłość i szacunek powszechny — z nich uwił sobie wieniec niezwiędły, który dziś z pożegnaniem na grobie jego składamy.

Cześć jego popiołom!

Ślub Kajetanowstwa Żeromskich odbył się 1 maja 1832 r., a więc niemal bezpośrednio po upadku powstania i osiedleniu się w Krakowie młodego stosunkowo weterana tyłu wojen i walk. Pani Kajetanowa Żeromska, wychodząc powtórnie za mąż, była od swego oblubieńca cokolwiek starsza, miała lat 39. Pierwszy małżonek jej, Kajetan Chociszewski, administrator dóbr Wielopolskich w Chrobrzu, starszy był od niej o lat z górą trzydzieści. Wychodząc za Żeromskiego, pani Franciszka była osobą jeszcze bardzo piękną o kruczonych włosach i wyrazistym, płomiennym spojrzeniu czarnych, jak węgle, oczu, odziedziczonych po matce Włoszce z domu Pinozzich. Stanowcza, wykształcona, gospodarna, oszczędna, acz dobroczynna, kierowała interesami zabiegliwie i zręcznie, przysparzając w nowym stadle wspólnego majątku. Drobną sukcesję po ojcu, jaka czekała na Kajetana w Krakowie i kapitałik własny radą swą i przezornością ruchliwa ta osóбка zamieniła niebawem na dwie okazałe kamienice na placu Szczepańskim, gdzie też przez długie lata Kajetanostwo Żeromscy prowadzili dom nie rozrzutny, ale zasobny i gościnnie.

Salon ich w ciągu paru dziesiątków lat gromadził koła uczonych, bywali tam przedewszystkiem profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, w pierwszej linii Kremer i siostrzeniec pana domu Karol Mecherzyński, tudzież liczni z Królestwa exule, czy to weterani powstaniowi, czy też nowsi «banici» za działalność narodową.

Dzieci Kajetanowstwo Żeromscy własnych nie mieli. Wychowali jednak i za córkę przybraną uważali

siostrzenicę Żeromskich niepowodzeń i wiarę w ludzi, która w ich domu wzrosnąć często zadawała kłam, odziedziczyła wielką miłość i przywzbitnym syn Wincenty (ojciec pinięzwykłemi zaletami serca.

Żeromską, gdy dorosła, zasady, życie Józefata Żeromskiego, właściciela dóbr Sietesz w Przewłbszej kulturze umysłowej Antoniego, żonatego z Teklą Żeromską i brawury. Łącentego z Rzeszowa.

ęścia (strata żony Ponadto dom Kajetanostwa Żeromskiego), ale uśmiech sto ostoją i podporą sierot po zmarłym zbyrci.

Józefacie, tam wychowywała się jego najmłodszy opis Matylda i stąd do szkół krakowskich uczęszczał ołbrompisarza, Wincenty.

Pani Kajetanowa przeżyła swego męża o całe dziesięć lat i zmarła w r. 1879-ym, jako staruszka 86-letnia, ale bynajmniej nie zgrzybiała i zawsze ruchliwa a czynna.

JÓZEFAT, DZIAD PISARZA I JEGO RODZINA.

Intensywność i dokładność wspomnień o kimś, dawno już zmarłym, występuje zazwyczaj wtedy, gdy ci, którym był uczuciowo najbliższy, a więc własne dzieci, utrwaliłi go sobie w pamięci, jako już ludzie dojrzałi. Pamięć dziecięca przechowywać zwykła wydarzenia, młodą fantazję frapujące, lecz często pozbawione rzeczowego znaczenia, podczas gdy umysł dojrzały, wnikając w głębsze podłoże zjawisk, rozważa je i ocenia. Dzieci, które straciły rodziców młodo, jako naturalni inicjatorowie tej tradycji, która z czasem na dalsze ma przejść pokolenia, zachowują w umyśle jeno strzępy

...a wyjętych, zdają
...jako ramowych cech
... w relacji umieją stres-
..., często, choć bez ich wie-
...ających.

... historii domu Józefata Żerom-
... właśnie natrafiamy komplikację. Dziad
... ny w r. 1783, zmarł dnia 12 lutego
... ęc stosunkowo młodo, gdyż miał dopiero
... pozostałych dzieci w chwili zgonu ojca do-
... był tylko syn Teofil i córka Ludwika, którzy
... i później młodo pomarli. Reszta pociech: Józefata,
Wincenty i Matylda była w wieku 16, 14 i 10 lat.
Umysły to do wspomnień żywych, pełnych i krytycz-
nych — zbyt młode. Józefat Żeromski pozostał tedy
w pamięci tej gromadki i nielicznych już rodzin zie-
miańskich, które w owych czasach w Świętokrzyskiem
mieszkały, jako człowiek herkulesowej statury, wybit-
nego humoru i gołębiego serca. Niepospolite zalety
towarzyskie jednały mu przyjaźń szeroko, gościnniej dom
słyszał z pogody i wesołości, wszystkim służył radą
i rzadką uczynnością, kochał kompanję młodzieży
i w całym niemal Kieleckiem zwano go nie inaczej,
jak «wujaszkiem». Przepadał za polowaniem, świetnie
tańczył, urządzał zabawy i kuligi a sprzyjał temu w znacz-
nej mierze i pański gest jego małżonki, osoby, która
z progów rodzinnych wyniosła «górne» maniery i upo-
dobanie do zbytku. Życie za temi upodobaniami nie-
zbyt chciało podążać, ale dewizą dnia było tymczasem
łacińskie *carpe diem*, czy też polskie «jakoś to będzie».
To rozwarcie ramion do świata i życia, witanie uśmie-

chem materialnych niepowodzeń i wiarę w ludzi, któ-
rej rzeczywistość często zadawała kłam, odziedziczyl
po ojcu w stopniu wybitnym syn Wincenty (ojciec pi-
sarza) i córka Józefata.

Mimo tragedji lat młodych, życie Józefata Żerom-
skiego, człowieka zresztą o głębszej kulturze umysło-
wej, było jednym karnawałem wesołości i brawury. Ła-
mały go pod koniec życia nieszczęścia (strata żony
i zniszczenie majątkowe z okresu powstania), ale uśmiech
i pogoda dochowały mu wiary aż do śmierci.

Jest w «Popiołach» jeden charakterystyczny opis
szalonego kuligu, najeżdżającego dom cześnika Olbrom-
skiego w Tarninach, który tutaj streścić a częściowo
przytoczyć wypadnie. Pędzi oto w noc mroźną koro-
wód sani, grzmią dwie kapele, radością i winem za-
grzewane głosy śpiewają pieśni wesołe, — pędzi kulig
staropolski przez «jedyne na świecie» sandomierskie
płaskowzgórze. Młódź, starcy i matrony, maskary
i kontusze, kierezje i peruki. Polskie szalone zapusty,
jak z «Marji» Malczewskiego, przez Prusa jeszcze w «Pla-
cówce» przypomniane. Dwór w Tarninach stary jest
i pakowny, ale dla nich za ciasny: brak mu wielkich
salonów, pałacowych wnętrz i przestrzeni. Stary cze-
śnik atoli nie da domu swego ominąć. Przy przeno-
szeniu sań wbród na ramionach przez rzeczkę, znaleźli
się wszak na jego gruntach:

— Kto, mośdobrodzieju, na mój grunt nogą stąpi,
tego mośdobrodzieju już nie wypuszczam za granice wło-
ści: takie u mnie z dawien dawna jus terrestre...

Kuligowi goście nie drożą się zbytnio. Taki to już
kuligów obyczaj tatatarski, że najazdy czynią nieczekane

i nieproszone, ład domowy wywracają na nice, wrzawy naczyń co niemiara, spustoszeń po spiżarniach bez litości i pędzą znów dalej a dalej... Za chwilę tedy barwisty łańcuch sań pędzi już ku widniejącemu w dali dworzyszczu. Stary cześnik, uprzedza gości i czeka ich już na ganku, gniew się w ukłonach, w piękny kontusz i drogi żupan przybrany i z odpowiednim dla każdego z gości komplementem na ustach.

«Gdy wstąpiła na ganek jedna z najpoważniejszych matron, stary podał jej ramię i z krygami, muskaniem wąsa oraz odrzucaniem wylotów, wiódł ją uroczyście przez tłum, zgromadzony już nie tylko w bawialni, w alkierzach, w ciasnych i niskich izdebkach dworu, ale nawet w sieni, na ganku, w bokówkach starych ciotek, sióstr, panien odwiecznych i rezydentek.

We dworze zapanowała ciasnota, pary próbują w tłoku tu i ówdzie tanecznych wyrwasów, ale szlachetnie świetlice na ten tłum są istotnie za małe. Cześnik widzi to doskonale, pod wąsem się chytrze uśmiecha, ale zaprasza i zachęca, boć hańbawy to była, tak znakomitych nie podjąć gości. Tłoczono się więc po izbach, lecz choć było wesoło, czuli to wszyscy, że o tańcach w tym domu nie może być mowy. Szeptano więc po cichu, by chwilę jeszcze z grzeczności pobawić i ruszać dalej dla odszukania dworu większego. A tymczasem:

«W bokówce, gdzie wisiał wielki obraz Matki Boskiej Sulisławskiej ze zczerniałymi od starości ramami... starosta i starościna kuligu prawili długą orację do gospodyni domu, cześnikowej Olbrom-

skiej, częstując ją deską, wyrobioną na wzór pszenicznego sandomierskiego placka.»

«Zbliżała się już chwila stanowcza i oglądano się już tylko na arlekinę, ażeby wydał hasło do odjazdu. Rzeczywiście przedarł się przez tłum w swej masce, krzycząc i trzępiąc różgą naokół po sprzętach, ścianach i plecach. Stał na środku obszerniejszego pokoju, zatrzymał tańczących i jeszcze raz wykrzyknął, kręcąc się na pięcie:

— Hej! Kulig, kulig!

Wtedy stary Olbromski znowu z gracją podał ramię starej matronie. Muzyka urwała i zagnała, niespodzianie ucieła wspaniałego poloneza. Wszyscy z podziwieniem oczekiwali, co będzie dalej. Cześnik występował z niewymowną precejzą i nadzwyczajnymi ceregielami. Minął jedną izbę, drugą, jakieś alkierze, bokóweczki, sienie, aż wreszcie zatrzymał się przed szczelnie zamkniętymi drzwiami. Tu zarzucił wyloty, musnął wąsa i zagnała klasnął w ręce. W mgnieniu oka drzwi się naościęż rozwarły. Oczom idących ukazała się duża, pusta, wysoka i doskonale oświetlona sala. Arlekin wyrwał się naprzód i w podskokach ją przebiegł, wołając:

— Kulig, kulig!

Pary wkroczyły do wielkiej izby. Muzyka, umieszczona w przeciwległych drzwiach, zagrała krakowiaka i cały tłum z okrzykiem wesela puścił się w tany. Nierychło spostrzeżono, że jest to prosta stara kuchnia z piekarnią dla czeladzi, przybudowana w tyle dworu. Cześnik w przewi-

dywanu kuligowego najazdu, kazał ją z sadzy oczyścić, wprawić nową i wywoskować do tańca podłogę. Ściany zawieszono festonami z jedliny olbrzymi komin i piec chlebowy zastawiono świerkowymi drzewkami, tworząc z nich pewien rodzaj leśnej altany. Woskowe świece w drewnianych lichtarzach, które przybito do ścian, rzucały rzęsiście światło.

— Ot to mi figiel gracki! — wołano ze wszech stron.

— To po naszymu!

— To lubimy!

— W górę gospodarza! Ot, to prawdziwa niespodzianka!

— W to nam graj!

Teraz dopiero wyzwoliła się zabawa co się nazywa. Wszystko, co młodsze, znalazło się w sali i hulać zaczęło. Były tam i modne fraczki i...»
«Chwilami ta rozbawiona młodź sprawiała wrażenie zdrowej, dzielnej, urodziwej stadniny, pędzącej z krańca w kraniec po błonię. Nowa podłoga dudniła, jak skóra na bębnie, światło jarzących świec chyliło się to w tę, to w inną stronę, zawieszono festony chwiały się do taktu, a cała izba, zdało się, trzeszczała w swych węglach. Wrzawa uciechy huczała w niej, jak spieniona woda. Zdrowie, młodość i kipiące życie przemieniły ten taniec w wylew radości. Bawiono się z pełnego serca, hulano z potrzeby dusznej, tańczono w całym znaczeniu tego wyrazu do upadłego. Słychać było tylko śmiech i krzesanie hołubców.»

«Wszystkie alkierzyki i przybudówki z niskimi powałami, o wybielonych wapnem belkach, pełne były gwaru i śmiechu. Każda z tych skrytek miała już swój choćby najmniejszy stół i grono biesiadników. Niektóre łączyły się między sobą nakryciami, tworząc jadalnię dziwnie pokrzywioną, która szła wskrósł starego dworzyszczca. Jedzono na porcelanie, na cynie, na holenderskiej farfurze, na wszelkiem naczyniu, jakie w domu było. Przepłynęła już była kolejka gdańskich wódek, obnoszono potrawy i strugą łać się zaczął wygrzyn.

Szlachta piła...»

Scenę tę prawie w tej samej formie z drobnymi jeno warjantami co do czasu, osób i miejsca słyszałem opowiadaną w dzieciństwie liczne razy, zanim jeszcze myśl o «Popiołach» poczęła niepokoić twórczą fantazję ich autora. Była to jedna z owych klechd rodzinnych, które każdy dom polski przechowuje, by je od czasu do czasu w świątecznych siestach krewniaków ze wspomnień szkatułki czeczotkowej wydobyć, otrzeć z kurzu i starych pajęczyn i po raz, nie wiem który, z łezką sentymentu opowiedzieć.

Tak oto bawiono się za czasów Józefata Żeromskiego. Bawiono się w ten sposób długo zresztą przedtem i długo później, zwłaszcza w Kieleckiem. Córka Józefata, toż samo imię, co i ojciec, nosząca, była wszak długie lata kuligów takich starościana i namietną inicjatorką.

Podobnie barwnych korowodów, które wędrówkę swą rzemiennym dyszlem od dworu do dworu odbywały całymi tygodniami, przesuwało się w ciągu każdego

karnawału przez dom Józefatostwa Żeromskich po kilka. Cześnik Olbromski z «Popiołów», stary kutwa, pozwolił sobie na jeden taki szlachecki, kosztowny bardzo wybrzyk — u Żeromskich w Krasocinie i Lasochowie, w Micigodzie i Brynicy było to chlebem powszednim.

Kulig, który znalazł swe echo w «Popiołach», odbywał się zapewne w r. 1833, relacja rodzinna bowiem mówi, że Józefat był podówczas już wdowcem i dwór wielkiej sali tanecznej nie posiadał. Musiał to zatem być dwór w Mokrzku Dolnym, które dziad pisarza na parę lat przed śmiercią, po sprzedaży dóbr własnych, wydzierżawił i gdzie żonę w r. 1831 pochował. Karnawałowi goście zajechali do osamotnionego «wujaszka», jak w dym, wiedząc, że znajdą i serce i gościnę. «Wujaszek» wszakoż, w zabawach rozkochany, uczynił gościom niespodziankę i świetną salę balową z izby czeladniej w tajemnicy im worychtował, ku zdumieniu zdziwionej i uradowanej szlachty.

Z pośród garści przeróżnych gawęd, które domu Józefata Żeromskiego dotyczą, wspomnę tu jeszcze jedną o podłożu romantyczno-humorystycznym, która nas wszystkich dziećmi do łez rozmieszała, a którą Stefan Żeromski nieraz sobie obiecywał w wesołym epizodzie, jako starą dykteryjkę, wyzyskać.

Za świetnych przedlistopadowych jeszcze czasów, gdy dziadowie pisarza mieli dobra Micigód i Brynicę w Świętokrzyskiem, bywali u Żeromskich młodzi inżynierowie z Suchedniowa, a w ich liczbie wyjątkowo piękny mężczyzna, inż. Ernest Schmidt, oliwkowej cery brunet z bujną w pierścieniu wijącą się czupryną. Pana Ernesta poznała bawiąca w Micigodzie na wakacjach

równie urodziwa panna Seweryna Mecherzyńska, siostrzenica gospodarza, córka Heleny z Żeromskich. Młodzian sentymentalnej panience wpadł w oko, a sam zakochał się bez pamięci. A że miał serce z płomienia i uczuć skrywać nie umiał, padł zaraz na kolana, o rękę bogdanki deklarując. «Wujaszek», że to miał fantazję romantyczną, widokiem tak silnych uczuć się rozczulił i sprawę poparł. Ani się nikt nie spostrzegł, ani też dobrze zastanowił, jak się to stało, dość, że panna Seweryna z główką od marzeń rozpłomienioną powracała do domu prawie już zaręczona bez wiedzy matki i braci. Wujaszek czuł, że coś jest tu nie w porządku, skóra mu nieco cierpła przed gniewem surowej pani siostry, ale głowy w piasek nie schował i osobiście siostrzenicę odwiózłszy, tak swą wymową serca wszystkich poruszył, że projekt marjażowy uzyskał placet rodziny. Pana Ernesta, który do zagranicznej Galicji z wizytą pospieszyć nie omieszkał, przyjęto wprawdzie z rezerwą, ale uprzejmie i gościnnie.

I już zdawało się, że romantyczny marjaż skojarzy się ku zobopólnemu zakochanych szczęściu a kobierzec kościelny wśród pień radosnych rychło zdeptanym będzie, gdy niespodzianie wystąpiło na widownię zazdrosne fatum w postaci braci pięknej Seweryny. Bracia Mecherzyńscy (Hieronim i Karol), młodzieńcy zarozumiali, krzywem okiem patrzyli na szczęśliwego Ernesta. Parantela, ich zdaniem, była nieświeżna. Co zacy pan Ernest Schmidt, herbu tylko «własnego» i w dodatku... inżynier?! W owych czasach (rok 1826), gdy o kolejach nikomu się jeszcze nie śniło a rozmach wynalazków technicznych nie był nawet muzyką przy-

szłości, inżynier w nieszczerólniej bywał estymie. Prus ani Orzeszkowa nie uczynili zeń jeszcze bohatera romansu, więc szanowano go mało co więcej, niż, dajmy na to, medyka jeszcze o sto lat wcześniej. Nadomiar złego w domu Mecherzyńskich począł właśnie się kręcić jakiś świetny épouseur ziemiański w całkiem wyraźnych względem nadobnej Seweryny zamiarach. Na tajnym przeto jakimś konwentyklu rodowym, w którym wzięła udział i matka, postanowiono nieprzewidującego tej groźnej chmury pana Ernesta poprostu zlikwidować.

Zaczął się miły okres «wpływania» na pannę. Jak się to robi, wiadomo. Recept jest na to po kantorkach rodzinnych wiele, a wszystkie wypróbowane i najczęściej skuteczne. A to za mało ponoć kocha, a to coś tam o nim mówiono, zbyt rzadko bywa, niezłe się tam bawi, sfera nie nasza i tam dalej. Efekt był taki, że, po kilku tygodniach płaczu i desperacji, Sewerynka z zapuchniętymi oczyma podyktowany jej list przepisała i Ernestowi wraz z pierścionkiem posłała do dalekiego Suchedniowa.

Rozpacz zakochanego chłopaka nie miała granic. Serce jego płomienne, zapalne, porywcze — otrzymało cios śmiertelny. Ile łez wylał, wiedział tylko serdeczny powiernik, «wujaszek» Żeromski i jego fontaż, w który częściowo wsiąkły. Zwrócili na to wreszcie uwagę koledzy i przyjaciele i postanowili go ratować. Historia miłosna Ernesta była im znana, bo «wujaszek» się naturalnie wygadał, więc, rada w radę, trzeba będzie «klin klinem»! Ostrożnie do pogrążonego w czarnej melancholji chłopaka podchodząc, chcieli go najpierw wesołą ożywić kompanją, a tymczasem po bliższej i dalszej

okolicy szły wytrawne rekonesanse, zali się jaka odpowiednia kandydatka nie znajdzie. Usłużny traf chciał że w skromnym dworku szlacheckim, o parę mil jeno odległym, znalazła się dziewczoja, fenomenalnie ponoć niewierną Sewerynę obliczem naśladowająca. Mniej wprowadzie wytworkna, z gorzej umeblowaną główką, ale podobna naprawdę. Dla odmiany zwano ją Florentyną.

Znajomość z tatą dobrodziejem podsunięto smutnemu Etnestowi tak jakoś sprytnie, że to w nim żadnych nie wzbudziło podejrzeń. Pozycja hreczkosieja była na tyle skromna, że pozyskanie na zięcia jednego z najdzielniejszych inżynierów suchedniowskich było gratką ponętną. Wtajemniczony szlachcic, urządził tedy niebawem polowanie, na które koledzy siłą niemal Ernesta zaciągnęli. Po polowaniu był, rzecz oczywista, bigosik i... Florentyna... wystąpiła na arenę wydarzeń. Podobno wrażenie było tak silne, że Ernestowi mowę poprostu odjęło. Cały też wieczór ust nie otworzył, ale oczu z panny nie spuszczał. Za powrotem, ze strony podchmielonych kolegów poczęły się dość natarczywe nagabywania. Parujące sownicie czupryny podsunęły mu bez ogródki projekt doraźnych swatów. Tłumaczono mu, by nie dbał o niewdzięczną, która go nie umiała ocenić, sławiąc przytem Florentynę aż pod niebiosy. Ernest milczał, ale wrażenie niesłychanego podobieństwa trzymało go wciąż pod swym urokiem. Zupełnie tamta!

Jak spędził tę noc, niewiadomo, dość, że następnego dnia w samo południe zjawił się u rodziców pannenki i z miną wielce uroczystą a zdeterminowaną o rozmowę na osobności ją poprosił. Nie obwijając

w bawelnę, skreślił jej dzieje swojej nieszczęśliwej miłości, wyznał, że jest do jego dawnej wybranej ogromnie podobna i z punktu prosił o rękę. Panienska była niegłupia, młodzian podobał jej się niestykanie, więc, mimo okoliczności tak niezwykłych i oświadczyń niesamowitych cokolwiek, ofertę zapaleńca przyjął. Przystała też na szczególną klauzulę, którą płomienny Ernest wyłuszczył w takich mniej więcej słowach:

— Ale uprzedzam panią, że stawiam jeden zasadniczy narzeczeństwa naszego warunek. Jeżeli, proszę pani, będziemy stać nawet już u ołtarza, a moja Seweryna przyjdzie i powie: «Erneście, chodź!», to ja panią przy tym ołtarzu samą zostawię, a pójdę za Seweryną!

Panienska majaczenia i rzeczywistość segregując we dwie teczki oddzielne, wybuchnęła srebrzystym śmiechem i powiedziała: — «Dobrze!»

Gdy w Suchedniowie wypadki tę przybierają odmianę, w zagranicznej Galicji Seweryna... schnie. Po prostu schnie. Po kilku balach i względem ożywieniu, zrodzonym przez gorączkę trudnej sytuacji, zamyka się w swym pokoju, na wielbicieli nie patrzy, nie je, nie pije, milczy i ginie w oczach. Zrazu myślano, że to dziewczęce kaprysy, które rychło przeminą. Gdy jednak Seweryna pomizerniała w sposób nazbyt niepokojący, w domu zapanowała konsternacja. Co jej jest? Co jej dolega? Skąd ta odmiana usposobienia? Może ona naprawdę tego Ernesta kocha? Bracia, którzy sami tego piwa nawarzyli, w gruncie rzeczy kochali siostrę bardzo silnie i szczęście jej stawiali ponad wszystko. Rada w radę, nowy konwentyl rodzinny zdecydował rozmówić się z delikwentką stanowczo. Na śledztwie pod-

sądna wyznała w skrusze i łzach, że Ernesta kocha nad życie i bez niego zwiędnie i zamrze z wszelką pewnością. Zaczęło się więc pisanie drugiego listu, tym razem już bez dyktanda. List, złożony drżącymi rękoma i pieczęcią lakową zaklejony potrzykroć, ruszył w drogę.

U Florentyny wyprawa szyje się gorączkowo, ślub ma być bardzo prędko, bo pan młody nalega i niecierpliwi się bez miary. Pewnego dnia, a był to dzień słotny, marcowy, wróciwszy od narzeczonej, niecierpliwy Ernest zastaje na biurku swem list. Upiór, siarką płonący, mniejszeby chyba zrobił wrażenie. Pismo Seweryny! Ernest porywa je, ciśnie do młotem walącego serca, okrywa pocałunkami, ale nie ma odwagi otworzyć. Jest jednak rada na wszystko. Od czegoż «wujaszek»! W moment koń osiodłany i pędzi Ernest do Micigozda. Dwie mile jednym tchem przebywszy, wpada na ganek, odnajduje «wujaszka » w kancelarji, porywa w ramiona i woła:

— Wujaszku! Seweryna do mnie pisze!

— Seweryna?! Ho, ho! — dziwi się wujaszek, przeczuwając nielada historję. — Ale cóż pisze? Powiadaj!

— Nie wiem, wujaszku. Nie mam odwagi otworzyć, — upewnia z tragicznym gestem Ernest.

— A toś głupi! Dawaj-że ten list!

— Właśnie dlatego tylko przyjechałem, by wujaszka o odczytanie poprosić, bo brak mi na to sił!

Wujaszek z ostentacją i zamaszystemi gestami zakłada na nos okulary, łamie pieczęć, rozwija papier i mdlejącemu z niepewności kochankowi czytać poczyna:

— Drogi! Erneście!

— Wujaszku, — przerywa z wyrzutem w głosie młodzian, — jak można się tak naigrawać z nieszczęśliwego! To żart nie na miejscu, przecież mnie serce pęka.

— No, więc zobacz-że sam.

Ernest spogląda z lękiem i widzi najdokładniej wypisane słowa «Drogi Erneście!», pada więc bezwładnie w fotel i cichym szeptem prosi:

— Niech wujaszek dalej odczyta, bo ja nie mogę...

— Drogi Erneście, — poczyna stentorowym głosem po raz drugi wujaszek, — dziś dopiero poznałam, że Cię nad życie kocham. Przebacz mi krzywdę, którą Ci uczyniłam i przybywaj coprędzej. Twoja na zawsze Seweryna.

List był zapewne dłuższy i Ernest niewątpliwie przerywał «wujaszкови» jeszcze po kilka razy, ale sens sceny i tenor listu był mniej więcej ten sam.

Ernest chciał bez najmniejszej zwłoki jechać pod Kraków, a wujaszek przyznawał mu najzupełniejszą rację, widząc jednak, że chłopak jest bez głowy, płacze wyrazy i dogadać się z nim nie można, krytą bryczkę w daleką podróż kazał przygotować, tuzin kurcząt upiec smakowicie, odpowiedni likworek sianem dobrze osłonić i w straszną niepogodę, ale z balsamem w sercu w 25 milową podróż osobiście z Ernestem się puścił. Lubił bo takie eskapady pan Józefat niepomiernie.

No — i na tem kończy się cała historia szczęśliwie, zamyka ją tylko bardzo humorystyczna pointa. Gdy już trzeciego dnia po licznych peregrynacjach obaj panowie zajechali przed dwór Mecherzyńskich, pomieszanie Ernesta i niepokój rozmiłowanego serca doszły do zenitu. Nie można powiedzieć, by i dom

Mecherzyńskich nie odczuwał kłopotliwości sytuacji. Gdy więc Seweryna przez dłuższy czas opanowując dreszcz radości, nie ukazywała się w salonie, Ernest siedzący, jak na rozżarzonych węglach, nie wiedział, co mówi. Rozmowę rozpoczęto banalną, czego zwyczaj, o drodze i o pogodzie. Sedna rzeczy poruszać przecież niepodobna, o niemiłej przeszłości wspomnienia są wykreślone. Gdy więc pani Helena Mecherzyńska ubolewa, że teraz bardzo zła droga, Ernest z werwą jej przytakuje i upewnia, że istotnie w tej porze roku jest bardzo zła droga. Towarzystwo spogląda na siebie porozumiewawczo, ale puszcza ten lapsus mimo uszu. Matka podtrzymuje nadal konwersację i wyraża obawę, że z racji padającego od paru dni deszczu ze śniegiem panowie musieli bardzo przemoknąć.

— Nie, proszę pani dobrodziejki, jechaliśmy brytą kryczką, — rozprasza te obawy z punktu młodzieniec.

W salonie zapanowuje konsternacja. Pojawiają się półuśmiechy. Pani domu spogląda z niecierpliwością na drzwi pokoju Seweryny. W takich wypadkach najlepiej jest zasiąść do stołu.

— Zaraz panów poproszę na małą przekąskę. Wyobrażam sobie, jacy jesteście głodni.

— O nie, proszę pani dobrodziejki, pani Żeromska była tak łaskawa... Przez całą drogę mieliśmy kurczone pieczątki.

Tego już było za wiele. Matka, tłumiąc śmiech, otwiera drzwi do pokoju córki naościęz i woła:

— Seweryno, a pokaż się nareszcie, bo ten człowiek jest nieprzytomny!

. ,

Tak skojarzyło się to niezwykle dobrane i szczęśliwe małżeństwo Seweryny i Ernesta. Pan Ernest był później dyrektorem warzelni soli w Ciechocinku. Z dzieci ich, Antoni, odegrał wybitną rolę w powstaniu, Juljusz poległ, a Ignacy, ziemianin z Kieleckiego ożenił się z Franciszką Katerlanką, siostrą matki pisarza.

.....

Józefat Żeromski osiedlił się w Kieleckiem, mając lat dwadzieścia kilka. Pierwszem polem jego pracy na roli była dzierżawa Krasocin w powiecie włoszczowskim. Tutaj pożegnał swój stan kawalerski. Żonę swą, Klarę z Kłodnickich, poznał w Jarosławskim, bywając u stryja swego Kacpra i u zamężnej jego córki, Salomei z Żeromskich Leonowej Kłodnickiej w Zarzeczcu. Tam rozkochał się w siostrze swego szwagra, pannie Klarze. Była to osoba, według tradycji, podawanej przez jej córki, bardzo piękna, zachowana przeciw podobizna jej (miniatura pędzla Wilczyńskiego) relacji tej nie potwierdza. Z wąskich, zaciętych ust przegląda raczej duma i stanowczość, spojrzenie jest ostre, nos niepiękny. Mógł się zresztą mylić i miniaturzysta.

Panna Kłodnicka była podobno naprawdę kobietą bardzo dumną i wyniosłą, odebrała wykształcenie staranne, władała kilku językami i miała poważny posag i w gotówce i w dobrach brata. Duma jej wyrosła zapewne w atmosferze domowej, Kłodniccy bowiem (h. Sas), pochodzący z Kłodnicy pow. Stryjskim mieli wysokie o domu swym rozumienie i w Austrii, legitymując się z pokrewieństwa z Poniatowskimi i Popielami, uzyskali



KAJETANOSTWO ŻEROMSCY
(W STARSZYM WIEKU)

w r. 1789 t. zw. świadectwo magnatów z zaliczeniem do austriackich Ksiąg Majestatycznych.

Ślub Józefata Żeromskiego odbył się w Jarosławskiem około roku 1810. Wiek panny młodej różnie w późniejszych dokumentach jest podawany. Biorąc pod uwagę akt zejścia, jako najbardziej prawdopodobny, przypuszczać należy, że urodziła się około r. 1780, a więc była od męża o jakieś 3 lata starsza.

W Krasocinie Józefatostwo Żeromscy mieszkali do r. 1818. Tu przyszedł na świat ich syn najstarszy Teofil (1811) i córki Ludwika (1815) oraz Józefata (1817). W roku 1818 biorą w dzierżawę dobra Lasochów, też w Świętokrzyskiem w okolicach Małogoszczy i tu dnia 29 marca 1819 r. urodził się drugi ich syn, Wincenty (ojciec pisarza), a w r. 1824 najmłodsza córka Matylda-Kornelja. W tym samym czasie pani Klara odbiera z Galicji poważną część swej sukcesji i wraz z mężem nabywa dobra Micigózd i Brynicę (między Piekoszowem a Chełmnem). Żeromscy mieszkają tu kolejno w obu majątkach, aczkolwiek główną siedzibą ich był Micigózd. Tu zastaje ich wybuch rewolucji listopadowej, który ich egzystencję materialną mocno nadweręża. Syn Teofil, kształcony w jednej z austriackich szkół kadeckich, bierze udział w powstaniu, co ściąga na rodziców przykre represje. Przypada na ten okres i przewlekła wewnętrzna choroba pani Klary, znaczne za sobą pociągająca expensa. Ostatecznie dobra Micigózd-Brynicę latem w czasie wojny 1831 r. za bezcen sprzedano, osiedlając się na dobrej dzierżawie w dobrach Mokrsko Dolne koło Sobkowa. Tej częściowej ruinie sprzyjał też w znacznej mierze i rozrzutny tryb życia, na który złożyły się nie-

tylko szerokie gesty pana domu, ale i wymagania pani Klary, spędzającej często zimy w Krakowie dla zabaw i błyszczenia w świecie. Rezerwą, na którą stale liczono, był zawsze jej galicyjski «stan posiadania», którego reszta nigdy ani do rąk pani Klary ani też do rąk jej dzieci nie dotarła, zresztą nie z winy jej brata Leona, zmarłego w r. 1833.

Zamieszkawszy w Mokrzkach w czasach powszechnej zawieruchy i smutku, nie dźwignęła się już babka pisarza z łoża choroby. Zmarła, licząc lat pięćdziesiąt dnia 15 października 1831 r. Spoczywa na miejscowym cmentarzu parafjalnym. Akt zejścia kierując się opinią miejscowych eskulapów, upewnia, że przyczyną jej śmierci była «febra żółciowa».

Józefat Żeromski przeżył żonę o niecałe dwa i pół roku. Zmarł 12 lutego 1834 r. na raka, albo raczej na zamulenie żołądka, jak zapewnia diagnosta parafjalny.

Po śmierci rodziców stan majątkowy dzieci był wątpliwy. Zewnętrzne pozory dostatku pozostały, ale interesy były mocno zachwiane. Najstarszy syn Teofil, liczący wówczas 22 lata, objął gospodarstwo w Mokrzkach. Córka Ludwika była już zaręczona, Józefata kształciła się na pensji w Krakowie, mieszkając u ciotki Mecherzyńskiej. Wincenty uczęszczał do szkoły wojewódzkiej (gimnazjum) w Kielcach, a Matylda była jeszcze dzieckiem. Dla zabezpieczenia małoletnich utworzono przedewszystkiem radę familijną, do której weszli: brat Teofil, jako już pełnoletni i główny opiekun, Kajetan Słomski, sąsiad z Kotlic i Karol Mecherzyński, brat cioteczny sierot. Nadto, aczkolwiek nieoficjalnie, nale-

żeli do niej stryj Kajetan Żeromski i Hieronim Mecherzyński, którym wstęp do Królestwa był wzbroniony¹⁾.

Helena Mecherzyńska w jednym z listów do córki pisze: «Karol pojechał do Mokrzka najwięcej dla rady familijnej. Nie wiem, czy Ci Emilka donosiła o Ludwisi, że ma pójść za mąż bardzo pomyślnie za Saskiego, bardzo godnego chłopca. Bóg dobry na sieroty...» Widać stąd, że małżeństwo najstarszej córki Żeromskich kojarzyło się ku ogólnemu zadowoleniu krewnych, były to bowiem rodziny zaprzyjaźnione. Wiktoryn Saski, narzeczony, a później mąż Ludwisi, ur. w r. 1805, po ukończeniu studjów przyrodniczych na uniwersytecie Jagiellońskim walczył przy boku swych braci w powstaniu listopadowem i na polu Grochowa odznaczony był orderem *Virtuti Militari*²⁾. Po upadku powstania, przeczekawszy pewien czas u rodziców w Jeżowicach pod Kurzelowem, założył aptekę w Szczekocinach, skąd później przeniósł się do Kielc. Ślub Ludwiki Żeromskiej z Wiktorynem Saskim odbył się jeszcze przed upłynięciem żałoby po ojcu w Mokrzkach 23. XI. 1834 r. Ze strony panny młodej zezwolenia na małżeństwo udzielili przy akcie ciotka Helena Mecherzyńska i brat-opiekun, Teofil Żeromski.

Szczęście Ludwiki z Żeromskich Saskiej było krótkotrwałe. Po niespełna trzynastu latach harmonijnego

¹⁾ Zadaniem tej opieki miało być między innymi przeprowadzenie wszczętego przez Józefata Żer. procesu o spadek po Leonie Kłodnickim.

²⁾ Dziennik Krajowy.

pożycia z mężem zmarła w Szczekocinach w r. 1847-ym, pozostawiając czworo maleńkich dzieci, w tem kilkudniowego chłopczyka. Przed śmiercią podsunęła mężowi myśl, by zaślubił najmłodszą jej siostrę Matyldę, która byłaby dobrą matką dla ich dzieci. Wiktoryn życzenia zmarłej żony dopełnił.

Losy Teofila Żeromskiego nie są nam bliżej znane. Wiadomo tylko, że gospodarując w Mokrzku, stosował ten sam rozrzutny system życia, czemu sprzyjało zarówno niedoświadczenie, jak i bujny temperament młodości. Ta nieopatrność czyniła uszczerbek wielki w majątku, który był dobrem wspólnem całego rodzeństwa. Nierozważny gospodarz zmarł w roku 1837-ym w okolicznościach, niedoś dokładnie znanych. Po jego śmierci pozostałemu rodzeństwu bardzo się już niewiele z likwidacji spraw w Mokrzku pozostało.

Średnia córka Józefatostwa Żeromskich, Józefata, równie, jak i syn Wincenty, odziedziczyła po ojcu wszystkie niemal cechy jego szlacheckiego rozmachu. Niewiasta owa wesołości niezrównanej i żadnymi przeciwnościami losu niezwalczonej, odegrała w życiu pisarza dużą rolę, z jej bowiem barwnych, humorem świetnym zaprawnych opowieści, zaczerpnął on lwią część epizodów dawnego życia, a przede wszystkim wątek «Wiernej rzeki». Chętna, ta i pogodna narratorka pamiętała niezmiernie dużo nietylko z własnych przeżyć, ale i z tradycji kilku pokoleń.

Józefata Żeromska, ukończywszy pensję w Krakowie, bywała w Mokrzku rzadko. Dom brata przybrał charakter dla młodej panienki zanadto kawalerski. Przesiadывała tedy albo u ciotki Mecherzyńskiej

i u stryjostwa Żeromskich w Krakowie, albo w Modnicy u bliskich swych krewnych, Tadeuszostwa Kopnków. O zamążpójściu nie myślała wówczas. Flirt z bratem ciotecznym Karolem Mecherzyńskim, który się o jej rękę kilkakrotnie oświadczał, uważała za wesołą rozrywkę i zabawę, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo rani serce dojrzałego już człowieka. Do dziś jeszcze zachowało się wspomnienie smutnego wiersza, jaki brat Lolo, do głębi rozgoryczony jej trzpiotowatym traktowaniem poważnych uczuć, wyrzył na korze mdrzewia w starym parku wiejskim:

Dziewczę, — ja Ciebie kochałem
Ale to tylko w sk. ytości,
Tego wyjawić nie śmiałem, —
Dziewczę, dawno Cię kochałem...

Dziewczę, Ty nie żartuj ze mnie
I oddaj mi serce me!...

Ale młodziutka Józia zbyt młode i swawolne miała serduszko, by i tego wylewu wyznań nie przyjąć tak, jak zawsze — wybuchem śmiechu i trzpiotowatej wesołości bez granic.

Dopiero w r. 1837, odwiedzwszy siostrę Ludwikę w Szczekocinach, poznała w domu jej młodszego brata swego szwagra, Jana Saskiego z Bizorędy i rozkochała się w nim naprawdę. Ślub młodej pary odbył się w Szczekocinach w r. 1838-ym. Janostwo Sascy mieszkali początkowo w Bizorędzie, a następnie w Zagórzcu pod Kielcami. W roku 1847-ym, dzięki poważnej sukcesji, otrzymanej po bracie matki, Józefie Ga-

brjelu Wysockim, infułacie i administratorze diecezji kieleckiej, Jan Saski nabył Mieronice we Włoszczowskim, a w 1857 wziął w dzierżawę rozległe dobra Ruda Zajązkowska z 9 folwarkami pod Małogoszczą. Tu, znękany przejściami powstania styczniowego i przebytem więzieniem, zmarł 9. 7. 1868 r. Józefata z Żeromskich dokonała życia u syna Konstantego Saskiego w Kielcach 22. 4. 1889 r. Obszerniejsze o domu jej wspomnienie zamieszczamy pod koniec tej pracy przy scharakteryzowaniu genezy «Wiernej rzeki».

Matylda Żeromska, najmłodsza córka Józefata i Klary z Kłodnickich, istota, której wspomnienie związane jest w pamięci żyjących z uosobieniem ideału kobiecej dobroci i słodyczy, 10-letniem dzieckiem wzięta przez stryja do Krakowa, wychowała się pod surowem a dbałem okiem pani Kajetanowej. Ukończywszy nauki, jako młoda panienska zamieszkała u siostry Ludwiki, gdzie niebawem spadły na nią odpowiedzialne ale z otwartem sercem i tkliwością przyjęte obowiązki wychowania gromadki drobnych sierot po przedwześnie zmarłej siostrze. Wstąpiwszy w kilka lat później (około 1851) w związek małżeński ze szwagrem swym Wiktorynem Saskim ozłociła mu swą miłością ostatnie lata życia, które zakończył w Kielcach 22. 9. 1857 r. Pani Matylda, nie czyniąc żadnej różnicy między dziećmi siostry a własnymi, wychowała je z wielkiem poświęceniem i matczyną dbałością. Spotkamy się z nią jeszcze przy rozważaniu młodych lat Stefana Żeromskiego. Otoczona miłością powszechną, zarówno bliskich, jak obcych, którzy wiele doznawali od niej dobrego, zmarła w Kielcach 15. 7. 1879 r.

WINCENTY I JÓZEFA Z KATERLÓW SARJUSZ-ŻEROMSCY (RODZICE STEFANA).

Ojciec pisarza, jak wszyscy Żeromscy, był mężczyzną okazałego wzrostu, pięknej powierzchowności i pogodnego na świat spojrzenia. Po ojcu odziedziczył szlachecki optymizm, nieliczenie się z groszem, wiarę w najlepsze jutro, żyłkę myśliwską i rozmiłowanie w uciechach towarzyskich. Żywy, jak iskra, nie znoził samotności, kochał gwar, śmiech, gawędę przyjacielską i wesołe dokoła siebie oblicza. Kłopoty przybijały go na krótko; pokonywał je szczęśliwą filozofją, że mogło być gorzej. Podobnie też, jak ojciec, cieszył się powszechną sympatją, jako człowiek wypróbowanej prawości, dobry towarzysz i pożądaný gość.

W głębi duszy był to niepoprawny romantyk ocytany niezwykle w literaturze romantycznej polskiej i obcej, patryjota uczuć gorących, którym niejednokrotnie dał wyraz i które wpoił wraz z żoną w serce jedynaka.

Wincenty, jak to już zaznaczyliśmy, był młodszym synem Józefatostwa Żeromskich. Metryka jego chrztu, którą tu przytaczamy, opiewa.

Roku 1819-go dnia 2 miesiąca kwietnia o godzinie trzeciej po południu. Przed nami, plebanem kozłowskim, urzędnikiem stanu cywilnego gminy Kozłów powiatu kieleckiego w województwie krakowskim stawił się Józef(at) Żeromski, possesor wsi Lasochowa, lat 32 liczący i okazał nam dziecię płci męskiej, które urodziło się w do-

mu jego dnia 29 marca 1819 r. o godzinie 5-ej wieczorem, oświadczając, iż jest spółdzone z niego i Klary z Kłodnickich, lat 33 mającej¹⁾ jego małżonki i że życzeniem jego jest nadać mu imiona Wincenty Jan, w przytomności Jana Sadowskiego, possesora, w wsi Żarczycach zamieszkałego, lat 46 liczącego i Pawła Urbańskiego, possesora, w wsi Dębinie zamieszkałego, lat 40 liczącego. Poczem uiniejszy akt urodzenia, po przeczytaniu onego stawającym, podpisaliśmy stawającymi świadkami.

Podpisano: Ks. Malachjasz Jastrzębski, pleban kozłowski, urzędnik stanu cywilnego i świadkowie: Jan Sadowski i Paweł Urbański.

Mały Wicunio pierwsze swe kroki na ścieżkach wiedzy stawiał w Mokrzku pod okiem wykształconej matki i guwernantek. Chciwy na wszelką lekturę, miał jej podostatkiem w bibliotece domowej, coprawda niedobrej, gdyż w ogólnej masie mnóstwa francuskich romansów zrzadka jedynie można było spotkać dzieła poważniejsze, dla młodego umysłu zresztą nieprzystępne. Wybuch rewolucji listopadowej zastał malca w gimnazjum kieleckim, które podówczas nosiło jeszcze nazwę szkoły wojewódzkiej kieleckiej. Był to gmach stary, w którym już wiele kształciło się pokoleń. Na ławach jego zasiadł później i syn jego Stefan. Przechadzawszy zawieruchę powstaniową w Micigozdzie, wrócił do szkół dopiero w rok później po śmierci matki. Zgon ojca zaskoczył chłopca, jako niespełna 15-letniego

¹⁾ W rzeczywistości Józefat Żeromski miał wtedy lat skończonych 35, a jego żona 38.

wyrostka, zmieniając radykalnie jego życie. Zabraną przez ciotkę Helenę Mecherzyńską do Krakowa, znalazł się w zupełnie odmiennym środowisku szkoły austriackiej. Wpływ jednak przemożny na kształtowanie się młodej duszy wywierała w danym wypadku nie szkoła, lecz nastrojone na górny kamerton egzaltacji patriotycznej otoczenie, w którym w domu ciotki i stryja Kajetana przebywał. Poważne siesty emigrantów z Królestwa, rozpamiętywanie niedawnych zwycięstw i klęsk, splamione krwią ofiarną mundury — miały swe niewidzialne ręce, które z powolnej gliny młodego charakteru lepiły kształt nieodwołalny.

Ukończywszy szkoły krakowskie i praktyczną szkołę rolniczą w Czechach, młody Żeromski znalazł się w sytuacji dość kłopotliwej. Był, co się nazywa, bez majątku. Pracować u cudzego warsztatu pracy nie miał ochoty, a na własny środków nie było. Z sytuacji tej, po wielu «praktykach» wybawił go dopiero szwagier, Jan Sasaki, dając mu w dzierżawę jeden z licznych folwarków, należących do Rudy Zajączkowskiej. Był to Zajączków, mająteczek nieduży, ale z ładnym dworkiem i otoczeniem. Tu rozpoczął Wincenty Żeromski pracę nad «dorabianiem się» swego. Po paru latach wziął już na własną rękę większą dzierżawę Drzymałków. Mieszkał tym razem w Rudzie, bo samotności nie znosił, a dom siostry pełen był zawsze gości i rozgwaru. W tym też czasie pomyślał wreszcie o położeniu kresu swej kawalerskiej wolności, która w 39-ym roku życia groziła przejściem w stan chroniczny, o co mu siostry nieustannie suszyły głowę. Od postanowienia do realizacji byłaby może droga nie-

łatwa, gdyby nie pobliski Tyniec i gościnny dom państwa Katerłów, których córka Józefa wznieciła głębsze uczucia w sercu niepoprawnego kawalera.

Tyniec, majątek dziś rozparcelowany, leżący w parafii Węgleszyn w powiecie jędrzejowskim, był podówczas własnością wdowy po Józefie Katerli pani Agnieszki z Jackowskich i jej czterech córek. Rodzina Katerłów, z pochodzenia włoska, mieszka już w Polsce od kilku wieków i zaliczana jest do tak zwanej «pół-arystokracji», dzięki swym spokrewnieniom a zapewne i znacznej zaradczomości rodowej. Katerłowie z Tyńca byli ludźmi zamożnymi, prowadzili dom pański, a córkom dali wykształcenie staranne i wykwintne. Najstarsza z nich Marja była już zamężna za p. Józefem Kolasantym Kozłowskim, druga Tekla za p. Adolfem Necanda-Trepką, dwie młodsze zaś, Franciszka-Józefa i Franciszka były jeszcze pannami.

Znajomość z domem Katerłów miał Wincenty Żeromski ułatwioną przez zażyłość ich z domem Saskich, z którymi byli do pewnego stopnia spowinowaceni (przez rodzinę Bronickich). Panna Franciszka-Józefa, zwana tylko Józefą, wysoka, śniada brunetka, była osobą bardzo poważną o twarzy sympatycznej, spokojnej i skupionej. Z usposobienia była kompletną antytezą żywoci narzeczonego¹⁾, Zdrowie jej, zawsze słabe, nie zdradzało jeszcze ciężkiej choroby piersiowej, jaka się miała ujawnić niebawem. Miała wówczas lat 25. Metryka jej chrztu z roku 1833 brzmi:

Działo się we wsi Konieczno dnia 3-go mie-

¹⁾ Podobizna matki pisarza nie zachowała się zupełnie.

siąca lutego 1833-go roku o godzinie drugiej po południu. Stawił się Wielmożny Józef Katerla, lat 34 liczący, dzierżawca wsi Boczkowic, w obecności Wielmożnych: Franciszka Makólskiego, lat 42 liczącego, dziedzica wsi Dzierżogów i Walentego Jackowskiego, lat 50 mającego, dzierżawcy wsi Bebelno z przyległościami — i okazał nam dziecię płci żeńskiej, urodzone we wsi Boczkowicach dnia 29 stycznia bieżącego roku o godzinie 8-iej wieczór z jego małżonki, Agnieszki z Jackowskich, lat 29 mającej. Dziecięciu temu na Chrście Świętym, w dniu dzisiejszym odbytym, nadane zostało imię Franciszka-Józefa, a rodzicami jej chrzestnymi byli wyżej wspomniani Wielmożny Franciszek Makólski z Wielmożną Barbarą Katerliną i Walenty Jackowski z Marjaną Katerlanką, panną z Boczkowic. Akt ten stawajacemu i świadkom przeczytany i podpisany został przez nas i wyrażone w akcie osoby. Ks. Karol Kuleszyński, prob., Józef Katerla, ojciec dziecięcia, Franciszek Makólski, świadek i ojciec chrzestny, Walenty Jackowski, świadek.

Oświadczyły Wincentego Żeromskiego przyjęte były przez starą panią Katerlinę zyczliwie. Wprawdzie konkurent był niekoniecznie possessionatus, ale za to bene natus, do czego w domu tym dużą przywiązywano wagę. Wpłynęła na to również i widoczna obustronna miłość młodej pary. Przyszłość wróżyła się też pomyślna, Katerlanki bowiem posiadały dość znaczne posagi, nie licząc słynnych w okolicy klejnotów, któ-

rych pani matka posiadała ilość pokaźną, dostatnio niemi córki przed ślubem obdzielając.

Pomyślne te horoskopy pokrzyżowane zostały przecież nietylko przez wypadki polityczne, ale też i przez ciężki stan zdrowia matki pisarza. Pierwszym sygnałem nieszczęść był krwotok, który nawiedził ją jeszcze za czasów narzeczeńskich podczas zabawy u sąsiadów Wilkoszewskich. Wywiązały się po nim dłuższe cierpienia i znaczny upadek sił. Kierowana poczuciem obowiązku szlachetna panna, acz ze zranionem sercem, zwróciła wówczas pierścionek narzeczonemu, oświadczając, że nie powinien wiązać swego życia z kobietą nieuleczalnie chorą. Wincenty Żeromski jednak tysiącem zakłęk na kolanach uprosił, by swą bolesną decyzję cofnęła.

Ślub odbył się wkrótce. Dokument ten, jako dotyczący skojarzenia związku, którego owocem miał być syn Stefan, w przyszłości jeden z największych w Polsce artystów, również przytaczamy w całości:

Działo się we wsi Węgleszynie dnia 21 lipca 1858 r. o godzinie dwunastej w południe. Wiadomo czynimy, iż w obecności świadków: Wielmożnego Józefa Kalasantego Kozłowskiego, współwłaściciela wsi Tyńca, lat 42 mającego, tamże zamieszkałego, tudzież Wielmożnego Adolfa Trepki, dzierżawcy wsi Tarnawej Góry, w parafji Goleńniowa zamieszkałego, lat 38 mającego, w dniu dzisiejszym zawarte zostało małżeństwo religijne między Wielmożnym Wincentym Żeromskim, kawalerem, katolikiem, synem Wielmożnych Józefa

fata i Klary z Kłodnickich Żeromskich, rodziców już zmarłych, urodzonym we wsi Lasochowie parafji Kozłów, a zamieszkałym we wsi Rudzie przy swej familji w parafji Małogoszcz, utrzymującym się z dzierżawy wsi Drzymałków, lat 39 mającym, jak metryka urodzenia przekonywa, — a Wielmożną Franciszką-Józefą dwóch imion Katerlanką, katoliczką, panną, córką Wielmożnych Józefa i Agnieszki z Jackowskich Katerlów, dziedziców wsi Tyńca, ojca już zmarłego w parafji Węgleszyn, urodzoną we wsi Boczkowicach, parafji Konieczno, we wsi Tyńcu przy matce zamieszkałą, lat dwadzieścia pięć i pół kończącą, jak załączająca się tu metryka urodzenia udowadnia. Małżeństwo to poprzedziły trzy zapowiedzi w dni niedzielne, t. j. 20 i 27 czerwca i 4 lipca roku bieżącego, w parafji Węgleszyn odbyte. Tamowanie małżeństwa nie zaszło. Zezwolenie ze strony nowożeńców, jak również matki panny młodej ustne nastąpiło. Małżonkowie nowi oświadczają, iż żadnej umowy przedślubnej ze sobą nie zawarli. Akt ten stawającym i świadkom został przeczytany, a przez nas, świadków, nowozaślubionych i matkę panny młodej podpisany. (—) Ks. Żółciński, pleban węgleszyński.

Dzięki usilnej opiece lekarskiej i troskliwości męża, który ją najtkliwszemi otoczył staraniami, zdrowie pani Józefy uległo względnej poprawie i pod wrażeniem złudnej otuchy upłynęło kilka lat szczęśliwych. W Drzymałkowie jeszcze, skąd Żeromscy przenieśli się później do Strawczyna, przyszła na świat ich pierwsza

córka Aleksandra. Było to w roku 1859-ym. Tegoż lata Wincenty Żeromski odstępuje korzystnie Drzymałków i przenosi się z rodziną do Strawczyna, majątku, należącego do. p. Kołłątajowej.

Tu w r. 1860-ym (14. 3.) przychodzi na świat druga córka Żeromskich, Wincentyna, a w r. 1863-cim (8. 10.) córka Wacława, która zmarła niemowlęciem.

Pierwsze lata pożycia młodej pary płynęły pogodnie i spokojnie. Bliskie sąsiedztwo zaprzyjaźnionych domów i częste odwiedziny najbliższych z Rudy i Tyńca oraz wyjazdy do pobliskich Kielc, gdzie mieszkała siostra Wincentego, Matylda — urozmaicały żywot. Tymczasem niepostrzeżenie na horyzoncie kraju poczęły się gromadzić groźne chmury.

Zbliżał się rok 1863-ci.

Już pierwsze «ciche rodaków rozmowy», które z czasem miały się przerodzić w podziemny ruch organizacyjny powstania, wgarnęły w orbitę konspiracyjną Jana Saskiego, a z nim i Żeromskich, którzy ruchowi patriotycznemu oddali się całą duszą, nie szczędząc ofiar materialnych.

Powstanie okrywa dom ich smutkiem i żałobą. Szczególnie boleśnie odbija się to na domu siostry Wincentego, Józefaty, której trzech synów wstępuje w szeregi powstańcze, jeden ginie pod Seceminem, majątek ulega zupełnej niemal ruinie, a mąż wtrącony zostaje do więzienia w Kielcach.

Stefan Żeromski w jednej z najświetniejszych swych powieści, «Wiernej rzece», malując nam martyrologję powstania styczniowego i kreśląc historję prawdziwych wydarzeń, jakie się rozgrywały w domu ciotki

Józefaty w Rudzie, daje niezmiernie przykry obraz stosunku chłopców do ruchu wyzwolenczego. Jakie się na to złożyły czynniki, jest rzeczą powszechnie wiadomą. Powstanie nie umiało rzucić w masy ludowe żadnych atrakcyjnych haseł, a rząd rosyjski, spekulując na ciemnocie chłopca, usposobił go do rewolucji wrogo lub niechętnie. Nadto komendy lokalne oddziałów rosyjskich straszyły lud represjami, jeśli o ruchach powstańczych nie będą informowane. Dla ścisłości i prawdy historycznej powiedzieć należy, że wypadki wrogich wystąpień chłopstwa były, jeżeli chodzi o Kielce, bardzo rzadkie. Szczególniej w Rudzie, o której tak ponure świadectwo daje pisarz w «Wiernej rzece», stosunek chłopów do ruchu powstańczego można raczej określić mianem «życzliwej neutralności». Chłopi tamtejsi, owszem, uprzedzali dwójkę i obozujących w nim powstańców o nadciągających Moskalach, nie denuncjowali, a nawet niejednego z parobczaków poszedł z młodymi Saskimi do oddziału. Relacja powieściowa Stefana Żeromskiego jest odbiciem innych, bolesnych przykładów, których w kraju nie brakło, a przede wszystkim odbiciem stosunków, jakie panowały właśnie w Strawczynie, gdzie mieszkali jego rodzice.

Chłopi Kołłątajowej ze strachu czy gorliwości, którą wynagradzano przeciw specjalnymi premjami, chcieli brać á la lettre nakazy Czengierego, który zalecił powstańców chwytąć, wiązać i odstawiać do Kielc lub Małogoszczy. Zachowanie się pana ze dworu było dla nich zbyt wyraźne, by go do sympatyków a nawet uczestników powstania nie mieli zaliczyć. Jeszcze przed styczniem zwracały uwagę ich częste masowe

odwiedziny dworu przez «panów z lasu», którzy nie wyglądali na włóczędzów, a przychodzili piechotą, niewiedząc skąd. Nieraz z niewiadomej przyczyny dwór stawiał na nogi całą służbę, mobilizując ją do wypieku niewiarogodnej ilości bochnów chleba, wyrobu wędlin i serów i innego prowiantu, który następnie znikał w sposób zgoła czarodziejski w ciągu jednej nocy. Nadto przez jesień i zimę 1862/3 r. pan Żeromski, namiętny zresztą myśliwy, wpadł w istny szal organizowania polowań z nagankami z oczywistym celem najobfitszego łupu. Przyczem, rzecz dotychczas niesłychana, polowania te miały charakter bardzo utylitarny, zwierzyny gościom nie rozdarowywano, soląc i wędząc niesłychane ilości mięsiwa. Intrygująca całą wieś zagadka rozwiązała się dopiero z chwilą wybuchu ruchawki. Stało się jasnym, że zapasy te przeznaczone były dla powstańców. Od stycznia owo tajemne transportowanie żywności nocami do lasów stało się jeszcze intensywniejsze. We dworze wrzała wciąż gorączkowa jakaś praca. Bystre a podejrzliwe spojrzenia pańszczyźnianych wykrywały wciąż, mimo zapobiegliwości dyskretnej służby domowej, pełne dzieże ciasta i niepotrzebne jatki, które za zbliżaniem się oddziałów rosyjskich zapadały gdzieś, jak pod ziemię. Uderzała też w oczy różnica w traktowaniu uzbrojonych gości obu walczących stron. Dla Moskali, wiadomo, niczego braknąć nie mogło, bo puszczali z dymem. Żołnierzom jednak i koniom dawano raczej chude i niezbędne. Inaczej wyglądały żłoby i stoły podczas postoju powstańców. Z pod ziemi i z pod serca dobywano wówczas wszystko, na co ostatni choćby grosz pozwolił. Zauważono też,

że pan Żeromski zniknął niekiedy z oddziałem na kilka dni, że wozy skrzypią nocami koło dworu — słowem nie było wątpliwości co do roli, jaką w powstaniu odgrywa. Straszona batem i rublami kuszona wieś, zdobyła się wreszcie na samodzielny czyn. Sołtys na czele chłopów schwytał Żeromskiego, kazał związać i odstawić wozem do Kielc. Do eskorty na ochotnika zgłosiło się czterech najgorliwszych poskromicieli. Otrzymali oni od sołtysa kulfonami wypisany raport służbowy, że odsyła niebezpiecznego powstańca. Po drodze na rachunek przyszłej nagrody chłopci uczestowali się setnie w karczmie piekoszowskiej i śpiewający ruszyli w dalszą drogę. Przez ten czas Wincenty Żeromski, człowiek ogromnej siły fizycznej, zdołał uwolnić się z więzów, pijaną eskortę sprzął, poczem dwu własnorecznie związawszy, jednego z pozostałych porzucił w rowie, a z drugim siadł na kozioł i z związanymi ruszył w dalszą drogę do Kielc. Zajechawszy przed gmach dowództwa wojskowego, raport sołtysa zbaraniałemu z wódki furmanowi wcisnął w garść, a sam najętą furmanką pojechał do Rudy. Czengiery uśmieł się ponoć setnie z tego zawadjackiego postępku, chłopów kazał na tydzień wsadzić do kozy, sprawa zaś Żeromskiego za kilkutyśieczną łapówką szczęśliwie «przyschła». Zresztą na krótko. W początkach 1864 aresztowano go i trzymano w więzieniu przez 4 miesiące aż do złożenia nowego haraczu. Tak samo, pod koniec powstania zwolniony został z więzienia kieleckiego i Jan Sasaki za umówioną kwotę 10 tysięcy rubli.

DZIECIŃSTWO PISARZA

...

...

...

...

Opłakany wynik powstania wpłynął na dom rodziców pisarza bardzo deprymująco. Posag pani Józefy stopniał w nadmiernych ekspensach wojennych o połowę, inwentarz był wyniszczony, cała okolica w żałobie. Najwięcej zaś bolał upadek nadziei i niewola, która czarną beznadziejną skorupą zasklepiła się na długie lata nad krajem.

Już na schyłku styczniowej rewolucji w najsmutniejszej epoce rozczarowań, w dobie szubienic i egzekucyj, dokonywanych nad kwiatem serc polskich, przyszedł na świat w Strawczynie dnia 1-go listopada 1864 r. jedyny syn Żeromskich, Stefan.

W aktach miejscowej parafji z tegoż roku pod Nr. 60-ym znajduje się jego metryka tej treści:

«Działo się w Strawczynie dnia 1-go listopada 1864-go roku o godzinie 1-iej popołudniu. Stawił się Wincenty Żeromski, dzierżawca Strawczyna, lat 46 mający i w przytomności Walentego Panczyka, lat 42 i Jana Zajęckiego, lat 65 mających, rolników z Strawczyna, okazał nam dziecię płci męskiej, oświadczając, iż takowe urodziło się dzisiaj o godzinie 5-ej rano w Strawczynie z jego

małżonki, Józefy z Katerlów, lat 29 mającej¹⁾. Dziecięciu temu na Chrzcie Świątym, dziś przez ks. Michała Tomaszewskiego odbytym, nadano imię Stefan, a rodzicami jego chrzestnymi byli: Ignacy Schmidt i Tekla Nencanda-Trepczyna. Akt ten stawającym (ojcu i świadkom, przyp. aut.) przeczytany, którzy pisać nie umieją, prócz ojca, z którym akt podpisaliśmy.

(—) *X. Michał Tomaszewski*, pleban strawczyński, utrzymujący akta stanu cywilnego.»

(Zaznaczyć tu wypada, że wymieniany w życiorysach Stefana Żeromskiego dzień 14 października, jako data urodzenia, jest nieścisły. O żadnej pomyłce, wynikłej na tle pomieszania stylu Gregorjańskiego z Juljańskim, mowy tu być nie może, rząd rosyjski bowiem wprowadził język swój do aktów stanu cywilnego dopiero w r. 1868-ym. Metryki pisarza więc przymus ten nie mógł dotyczyć i, rzeczywiście, sporządzona jest w języku polskim. Juljańska rachuba czasu, czyli tak zwany styl stary, pojawiła się w księgach parafjalnych Królestwa Kongresowego dopiero wraz z wprowadzeniem języka rosyjskiego, ale nawet i wówczas była tylko kalendarzem równorzędnym a nie wyłącznym, t. zn. podawane były zawsze daty w obu stylach jednocześnie. Daty według rachuby wyłącznie Juljańskiej wpisywano do dokumentów tylko na terytorjach wschodnich dawnej Polski, które w skład Królestwa nie weszły i narówni z Rosją były traktowane.

¹⁾ Wiek ojca pisarza podany jest naogół ściśle, matka jednak miała wtedy prawie trzy lata więcej, niż wymieniono w akcie.

Gdybyśmy zresztą datę 1-go listopada, jaka figuruje w metryce, chcieli przyjąć za oznaczoną według starożytnego stylu (co jest zupełnie nieprawdopodobne), to i wówczas dzień 14-ty października w gręby nie wchodził, gdyż 1-szy listopada u Rosjan przypadał przed 1900-ym rokiem na dzień 13-ty listopada rachuby Gregorjańskiej).

Dzieciństwu poety²⁾ przyświecały gorycz i zwątpienie, płynące z rozwianych nadziei narodowych, a przykry nastrój domowy potęgowała nadto rozwijająca się z roku na rok choroba matki.

Gdy mały Stefanek miał zaledwo kilka miesięcy, rodzice jego odstąpili pełen bolesnych wspomnień Strawczyn, przenosząc się na krótko do Masłowa, a potem do Kopcowej Woli pod Kielcami. W Ciekotach osiedli około r. 1868-go. Był to majątek donacyjny, położony w samym centrum głównego pasma gór Świętokrzyskich u stóp najwyższej góry św. Katarzyny i w bezpośrednim sąsiedztwie klasztoru pod wezwaniem tej świętej. Do wzięcia w dzierżawę Ciekot nakłonił Wincentego Żeromskiego siostrzeniec i zarazem szwagier, Ignacy Schmidt (syn Seweryny z Mecherzyńskich, ożeniony z najmłodszą z Katerlanek, panną Franciszką). Za wydzierżawieniem Ciekot przemawiało nie tylko bliskie sąsiedztwo Schmidtów, dzierżawiących Górno, ale w pierwszym rzędzie warunki klimatyczne, na które, ze względu na piersiową chorobę pani Józefy, zważano bardzo troskliwie.

W roku 1869-ym przychodzi na świat najmłodsze dziecko Żeromskich, córka Bolesława.

Odtąd rozpoczyna się okres, gdy zdrowie matki

pisarza poczyna przybierać obrót zdecydowanie niepomysłny. Wszelkie zabiegi lekarskie, wszystko, co medycyna w ówczesnym swoim zakresie dać mogła, idzie na marne. Groźba nieuniknionej katastrofy zawisa nad domem, gasząc każdy promyk radości i przesycając atmosferę rodzinną nastrojem przygnębienia. A był to właśnie czas, gdy kształtowała się młoda dusza chłopca. Nadomiar złego w r. 1871-ym umiera na krup (krztusiec) w Kielcach w domu ciotki Matyldy średnia siostrzyczka Stefanka, 12-letnia Wicunia, najbardziej zbliżona doń wiekiem i sferą wspólnych zainteresowań dziecinnych. Śmierć jej odczuwa Stefan w sposób dojmujący. Traci w niej chłopiec towarzyszkę swych zabaw i staje się odtąd zupełnie samotny. Nie był to wprawdzie cios, któryby w tak młodej psychice mógł pozostawić ślad niezatarty, ale czynnik nieprzyjazny, który ogólnemu przygnębieniu dawał łatwiejszy dostęp i gasił młodzięcą beztroskę.

Fizycznie chłopiec rozwijał się normalnie. Wyrosł, jak świerki ciekockie, po ojcu odziedziczył bary szerokie i siłę niepoślednią. Nie znać w nim było jeszcze zadatków tej ciężkiej choroby, która go później przez całe życie trawić miała.

Na rozwój duchowy w normalnych warunkach większy wpływ wyrzećby mogła w tym wypadku pogodna natura ojca, z którym nieustannie obcował, wtajemniczając się z zachłanną ciekawością chłopca w arkana myśliwskie, towarzysząc w wycieczkach, leśnych wędrowkach i pracy gospodarskiej. Nić wspólnoty ojca i syna zaznaczała się zresztą silnie i przetrwała, jako ślad niezatarty, w rzadkich, lecz niezrównanych

przebłyskach humoru, jakie Stefan Żeromski rozsiał na kartach swoich ksiąg.

Rodzice kochali jedynaka nad życie. Ojciec wyróżniał go z pośród dzieci w sposób manifestacyjny, matka zaś pieściła i kochała do szaleństwa, jak tylko umieją kochać osoby chore, które, zdając sobie sprawę, że z nich życie uchodzi, umiłowaniem dziecięciem nigdy się dość nacieszyć nie mogą.

Miłość ta z czasem, z całym bezwzględny egoizmem uczucia zagarnęła w swój świat życie chłopca.

Matka to zazdrośnie kierowała jego wychowaniem, strzegąc, by na rozwój umysłu nie wpływał nikt obcy i niepowołany. Stało się więc, że pomiędzy cierpiącą matką a chłopcem zadzierzgnął się ścisły węzeł nieustannego myślowego kontaktu, nieosłabianego przez zabawy z rówieśnikami, których malcowi brakło.

To ścisłe współżycie z matką, która całą gasnącą już energję wkładała w rozwój umysłu i ukształcenie charakteru przyszłego twórcy «Popiołów», wycisnęło na duszy pisarza piętno przemożne, młode lata zatruło goryczą cierpienia i było najsilniejszym czynnikiem jego pesymistycznego światopoglądu. Nie chcemy tu twierdzić, że był to czynnik jedyny, później bowiem występowały i inne, o których jeszcze pomówimy, ta jednak atmosfera cierpienia, którą w dzieciństwie wrażliwym sercem wchłonał, była niejako zwrotnicą, wytykającą kierunek psychicznego rozwoju.

Matka więc była tą jedyną przewodniczką, która małemu chłopcu wpajała w duszę podstawowe zasady życia i dała książkę do ręki, by mu w niej polskie

pokazać litery i wraz z sztuką czytania historję polskiej niewoli wyręć w pamięci.

Pani Józefa, jak już wspomnieliśmy, otrzymała wykształcenie staranne i poziom jej umysłu, jak na kobietę owych czasów, był nieprzeciętny. Wychowanie klasztorne i rodzinna pobożność Katerłów wytworzyły w jej duszy, obok żarliwego patriotyzmu, religijność szczerą i głęboką. Dzięki temu, odczuwając boleśnie cierpienia gnębionej ojczyzny, kojarzyła je wśród pobożnych rozmyślań z cierpieniami Chrystusa, co złożyło się z czasem na światopogląd, do egzaltacji mesjanistycznej zbliżony. Potęgowały ten stan i niedomagania fizyczne, jako grunt niezmiernie dla wszelkich nerwowych przeczuć przyjazny.

Chłopcu nie dała do rąk stereotypowego elementarza. Romantyczka w całej duchowej swej treści, za lat młodszych udatne pisująca poezję, uczyła syna też na poematach. Bibljoteczka ciekocka była nieduża, ale podobno bardzo wartościowa i często nawiedzana. To też chłopiec odgadywał niejako litery i sylaby harmonijnego wiersza, który częstokroć zdawna już z głośnej lektury znał na pamięć.

Jedną z tych książek, które autorowi «Popiołów» zastępowały dziecinny elementarz, był podobno polski przekład poezyj de Vigny'ego.

Na jeden jeszcze rys znamieny zwrócić tu należy uwagę. Matka pisarza dawała mu pierwszy żywy, bo w imię miłosierdzia przez prawdziwą chrześcijankę praktykowany przykład współczucia dla nędzy maluczkich i poniżonych. Słaba i chora, póki jej sił starczyło, odbywała wielekroć po wsiach okolicznych sa-

marytańskie wędrowniki do chorych i biedaków, niosąc im słowo pocieszenia, wsparcie lub ulgę w cierpieniu.

Dużo mu dobra i szlachetności dała z siebie ta nieszczęsna, na śmierć przedwczesną skazana istota, chociaż tak mało słońca...

To też Żeromski, który o matce swej zachował wspomnienie tak silne i tak miłości synowskiej pełne, umiał, jak nikt, odmalować potęgę zdolności do poświęceń i samozaparcie tej jedynej na świecie, niczem nieopłaconej a tak niepowrotnej zarazem miłości macierzyńskiej. Od pani Borowiczowej z «Syzyfowych prac» aż do Barykowej z «Przedwiośnia» przez liczne jego dzieła przesuwają się ta cicha a tak mimo to posągowa i wymowna postać matki.

Kiedy mały Stefanek ukończył już lat dziewięć, troska obojga rodziców schyliła zgodnie czoła nad zagadnieniem jego przyszłości. Trzeba się było nagiąć i przełamać, bo w niedalekiej perspektywie, niczem złowrogie widmo, stała wszak szkoła rosyjska. Stan majątkowy Żeromskich, z dnia na dzień opłakańszy, nie pozwalał na kształcenie syna zagranicą. Zresztą, nie miałoby to w ich warunkach najmniejszego sensu. Nie zamierzali syna wychowywać na emigranta, lecz na dzielnego człowieka, pracującego w kraju, na miejscu wśród tego społeczeństwa, z którego wyrósł i któremu coś z siebie w przyszłości dać był powinien. Szkoła rosyjska jednak, z jej systemem znieprawiania dusz, z jej szpiegostwem i wyszydzaniem wszystkiego, co rodzina polska uważała za święte, była tem czemś, przed czem wzdrygały się ich serca i umysły.

Konieczności jednak mają tę złą stronę, że ich

odwrócić niepodobna. Od lat młodości Wincentego Żeromskiego, który, jak wiemy, kształcił się w Krakowie, upłynęło lat czterdzieści. W tym okresie czasu zmieniło się tak wiele, postęp rusyfikacji kraju był tak szalony, że o powtórzeniu tego eksperymentu w roku 1874-ym nikt nie marzył. Mógł ojciec Stefana nie umieć ani słowa po rosyjsku, ale już jego syn nie postawiłby z tym «defektem» na arenie życia Kongresówki ani kroku. Trzeba więc było chłopca przygotować do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Rolę tę mógł z powodzeniem spełnić zarówno ojciec, jak i matka, gdyby nie to, że żadne z nich nie znało języka urzędowego. Po długich naradach odrzucono najłatwiejsze rozwiązanie sytuacji, rezygnując z wzięcia na kondycje korepetytora, co połączone było nietylko z kłopotami domowymi, ale i z poważnym wydatkiem, interesy bowiem państwa Żeromskich były już tak złe, że i to odgrywało poważną rolę. Ostatecznie zdecydowano oddać Stefanka dla zdobycia wysłownienia rosyjskiego na parę miesięcy do pobliskich Psar, gdzie dość inteligentny nauczyciel wiejski, p. Strachowski przygotowywał już oddawna malców do szkół, dorabiając sobie tem przy skromnym uposażeniu belferskim.

Moment wyjazdu z domu i rzewne rozstanie z matką odmalował Żeromski wiernie w «Syzyfowych pracach». Psary, gdzie się ćwiczył w poznawaniu mowy Puszkina, nazwał w powieści Owczarami, p. Pawła Strachowskiego — panem Wiechowskim, pani Honoracie włożył na nos te same wielkie niebieskie okulary, które naprawdę nosiła i dał tę samą potężną staturę tudzież

korpułencję zamaszystą. Stosunki jeno w powieści są odmienne, gdyż, jak mię upewniano, żywy prototyp Wiechowskiego był zbyt poczciwym Polakiem, by miał odgrywać rolę rusyfikatora wsi z własnej inicjatywy. Pani Honorata Strachowska z racji zapewne tuszy swej, tubalnego głosu a może i owych tajemniczych okularów, była podobno postrachem wszystkich dzieci w okolicy.

O «Syzyfowych pracach», pierwszej większej powieści Żeromskiego, wydanej w r. 1898-ym pod pseudonimem Maurycego Zycha we Lwowie, należy tu powiedzieć słów kilka.

Powszechnie utarło się mniemanie, że historja Marcinka Borowicza jest pewnym rodzajem autobiografji pisarza. Wrażenie to u osób, które wspólnie z Żeromskim dzieciństwo swe przeżywały, potęguje nadto mnóstwo rzeczywistych wydarzeń, szczegółów i sytuacji, które autor do utworu swego włączył i z swą koncepcją twórczą organicznie zespolił. Dzięki temu, podobieństwo jest wielkie. Opierając się wszakże na podanych tam faktach i okolicznościach, trzeba je analizować i od wątku fabularnego oddzielać z wielką ostrożnością, nie zapominając ani na chwilę, że jest to przedewszystkiem powieść, a nie pamiętnik. Mogą mieć «Syzyfowe prace» całe strony i sceny żywcem zacytowane z pamięci własnych Żeromskiego przeżyć, lecz mimo to charaktery ludzkie i kolizje życiowe bohaterów powieści są powolne fantazji twórczej i przystosowane do zamierzeń artystycznych autora. Żeromski dużo w powieści mówi o sobie, ale wciela się tam nietylko w Marcinka Borowicza, nietylko w korepety-

tora Paluszkiewicza. Umie się wypowiadać ustami wielu swoich postaci.

Jeśli tedy «Syzyfowe prace» mówią, że przed odaniem Marcinka do Owczar były w domu «dudy», to możemy im wierzyć, bo tak samo musiało być i było naprawdę z małym pieszczonej w domu Stefankiem. Możemy też wierzyć powieści na słowo, że szkoła w Psarach-Owczarach miała ten a nie inny wygląd i charakter, bo inną być nie mogła. Gdy jednak w przeżyciach Marcinka Borowicza na terenie klerykowskiego gimnazjum dotrzemy do stron, ilustrujących jego młodoczniewski światopogląd polityczny z okresu zażyłości z inspektorem Zabielskim, możemy z całą śmiałością twierdzić, że charakterystyka ta z Stefankiem Żeromskim nie może mieć nic wspólnego i traktować ją należy, jako rys u któregośkolwiek z malców-kolegów zaobserwowany i postaci Marcinka intencyjnie przyswojony.

Żeromski mówi w powieści, że mały Borowicz niechętnie słuchał opowiadań powstańczych, gdyż jego «przekonania polityczne» były mdłym odgłosem radycy Somonowicza i echem gorczy ojca, który w powstaniu stracił fortunę pradiadowską, nasiedział się w więzieniach i doznał krzywd od wodzów rewolucji. Odgłosy pracy patriotycznej z przeszłości wywoływały zatem w malcu wrażenia niesympatyczne, umożliwiając tem samem przejście się duchem literatury rosyjskiej i czołobitność serdeczną dla nauczycieli-rusyfikatorów.

Te rysy charakterystyczne mówią nam już zbyt wyraźnie, że Marcinek-Stefanek z pierwszych kart powieści jest tu już tylko Marcinkiem, postacią ściśle

powieściową lub też skopjowaną z życia, które podobnych wzorów dostatnią ilość nasuwało przed oczy. Ojciec Stefanka niewątpliwie wiele stracił w powstaniu, tak samo niejedną zniósł dokuczliwość od wojska rewolucyjnego, które dla wszystkich, nie wyłączając patriotów, bardzo musiało być uciążliwe, gorzyc jego jednak nie godziła swem ostrzem w organizatorów powstania, boć sam do nich należał. Co się zaś tyczy młodocianych chłopca przekonań, były one zapewne bardzo prymitywne i ciasne, ale za to zupełnie wyraźne, gdyż, wychowany w żywych tradycjach gorącego patriotyzmu, był najzupełniej przez rodziców uświadomiony i nastawiony odpowiednio na wszelkie panów Zabielskich umizgi i pokusy.

Oto jeden z jaskrawych przykładów, jak dalece ostrożnie powinny być traktowane «Syzyfowe prace», jeśli je mamy uważać za materiał biograficzny ich autora.

.....

Pobyt małego Stefanka u państwa Strachowskich trwał około roku. Nie było to rozstanie dalekie, bo niedziele spędzał chłopiec w domu, a wszelkie większe święta obchodził dawnym zwyczajem przewlekle i grubo po datkach prawosławnych wracał do źródeł wiedzy urzędowej.

Po rocznej edukacji w Psarach, kiedy już zaczerpnięta od matki wiedza Stefanka w dostatecznym stopniu przetłumaczona była na język rosyjski, odwieziono jedynaka do Kielc, by złożył egzamin do klasy wstępnej miejscowego gimnazjum filologicznego.

W «Syzyfowych pracach» znajdujemy ciekawy

opis manipulacji, którą pani Borowiczowa w celu umieszczenia synka w gimnazjum, zmuszona była przeprowadzić. Ponieważ miejsc w klasie wstępnej było tylko trzydzieści kilka, a kandydatów przeszło stu, zdecydowała się za podszeptem faktora-naganiacza oddać syna na parodniowe przeszkolenie do kierownika preparandy. Lekcje te były tylko formą pobrania odpowiedniej łapówki za przyjęcie do gimnazjum, «pedagog» bowiem, który ów «kurs» urządził, był zarazem egzaminatorem i wykładowcą w klasie wstępnej.

Czy epizod ten Żeromski zaczerpnął z przeżyć osobistych, czy też dotyczyło to jego kolegów, dziś orzec trudno. W każdym razie jest to zdarzenie bardzo prawdopodobne. Piszący te słowa wie z własnego doświadczenia, że zwyczaj taki istniał w Kielcach jeszcze w r. 1900-ym. Okres egzaminów wstępnych był dla niektórych nauczycieli-Rosjan istnem źniwem łatwych zysków. Pod pozorem udzielania fachowych korepetycyj, które w istocie rzeczy były tylko komedią, ściągali oni z nieszczęsnych rodziców wysoki nieraz haracz. Poddawano się temu z konieczności, ilość ubiegających się o wstęp do gimnazjum była bowiem zazwyczaj kilkakrotnie większa od ilości wolnych miejsc. Przeworniej było zatem wydać pewną sumę na opłacenie się zapijaczonemu przewodnikowi młodszych pokoleń, niż odejść z kwitkiem i znów cały rok wyciekiwać ze drzeniem na zawodny rezultat nowej próby.

Pytania egzaminacyjne układane były według pewnej recepty, dzięki której mogli na nie odpowiedzieć zadowolająco albo tylko wtajemniczeni, albo chłopcy wyjątkowo sprytni i posiadający dobre «piecy».



WINCENTY ŻEROMSKI
(OJCIEC PISARZA)

Data wstąpienia Stefana Żeromskiego w progi kieleckiego gimnazjum przypada na rok 1876-ty. Miał wtedy lat niespełna dwanaście.

Przyszły pisarz znalazł się w tych samych starych murach, na które kiedyś za swych uczniowskich lat, przed rokiem 1834-ym, spoglądał z ławy szkolnej i jego ojciec. Niestety, inna w nich wówczas otaczała młodych chłopców atmosfera. Od wojewódzkiej polskiej uczelni do rusyfikatorskiej katowni dusz polskich przeskok był kolosalny.

Nad tem, czem była szkoła rosyjska w zamierzeniach jej twórców i przewodników i jaki był jej plon rzeczywisty, rozwodzić się tu nie będziemy. Pamiętają ją jeszcze i odczuwają dojmująco jej wspomnienie miliony rodaków starszego pokolenia, a sam Żeromski scharakteryzował ją wiernie i dosadnie w swych «Szyfowych pracach». Ciekawych, jak system rusyfikatorski rozwijał się konsekwentnie i jakim w ciągu kilku dziesięcioleci ulegał przekształceniom i załamaniom, odsyłamy do wyczerpującego referatu p. Antoniego Rybarskiego, zamieszczonego w «Księdze Kielczan».

Młody chłopiec dostał się w Kielcach w zupełnie odmienne, niż dotychczas, środowisko. Kielce, gród stary i cichy, liczący podówczas zaledwo kilkanaście tysięcy mieszkańców, sprawił na nim wrażenie wielkomiejskie, gwarne gimnazjum ogłuszyło i onieśmieliło, a panujący w niem język wykładowy wprawił w prawdziwą rozpacz. Wyuczone do egzaminu formułki odpowiedzi okazały się tak nie wystarczające, że chłopiec przez pierwsze tygodnie siedział na ławie szkolnej, jak zaczadzony i wykładów poprostu nie rozumiał.

Najgorzej było z matematyką, do której nie miał wrodzonych zdolności i zawsze w niej w starszych nawet klasach szwankował. Szczególniej pierwsze tygodnie były nielada kłopotliwe, gdyż trudny przedmiot komplikowała niezrozumiała rosyjska terminologia, absorbując wysiłek umysłowy chłopca w dwu naraz kierunkach.

Naturalne uczucie osamotnienia i smutku, odczuwane zwykle przez młodzież po pierwszym wyruszeniu w świat z pod rodzinnego dachu, łągodziły w młodem serduszku częste odwiedziny rodziców (Ciekoty odległe są od Kielc tylko o trzy mile), kontakt ze starszą siostrą Olesią, kończącą wówczas pensję pani Florkiewiczowej, tudzież serdeczne otoczenie domowe, w jakim się znalazł.

Pani Borowiczowa z «Syzyfowych prac» umieściła swego Marcinka na tak zwanej «stancji» u «starej Przepiórzycy». Stefanka Żeromskiego przykreść ta nie spotkała. Zamieszkał u swej kochanej, wszystkim bliskim oddanej bezgranicznie ciotki Matyldy Saskiej, rodzonej siostry ojca. Nawiasem wspomnieć należy, że stancja «starej Przepiórzycy» nie była płodem fantazji autora «Syzyfowych prac». Istniała w rzeczywistości, a młodzież zwała ją stancją «starej Czaplicy». Żeromski zapoznał się z pensjonatem tym jednak dopiero znacznie później, gdy po śmierci rodziców i ciotki, pozostawiony wyłącznie własnym siłom, piastował tam «godność» korepetytora małych wychowanców.

Dom Matyldy z Żeromskich Wiktorynowej Saskiej był w Kielcach już od lat dwudziestu pewnego rodzaju przystanią rodzinną, gdzie wszyscy «wiejscy» krew-

niacy znajdowali zawsze gościnne i serdeczne przyjęcie. Zwłaszcza młodsze pokolenie lgnęło do przedobrej ciotki, która dla każdego miała promyk tkliwej miłości i opieki. Rówieśników i tu mały Stefanek nie znalazł. Pani Matylda miała dwie dorosłe już córki, a wychowanka jej, Ludwinia (wnuczka starszej siostry, Ludwiki z Żeromskich Saskiej), kształciła się w jednym z lepszych w kraju pensjonatów pani Pecqowej w Suchedniowie i odwiedzała dom babki tylko podczas feryj świątecznych, gdy Stefan wracał do Ciekot. I tutaj więc złożyło się, że malec nie miał gwarne otoczenia, któreby mogło wyplenić w nim zaczątki samotniczych skłonności. Zapewne, nastrój w domu ciotki Matyldy był o wiele od atmosfery Ciekot pogodniejszy i zdrowszy, lecz w sferę swoich dojrzałych już zainteresowań młodej duszy chłopca nie mógł żadną miarą zagarnąć. Sam on też nie wniósł w progi domu ciotki właściwej wiekowi swemu swawoli i śmiechem nie nappełnił ścian; zanadto był już wówczas skupiony i poważny.

Pracy szkolnej miał bardzo wiele. Dużo czasu zabierał mu trud opanowywania obcego języka wykładowego i nadzwyczaj w pierwszych latach pobytu w gimnazjum sumienne przygotowanie zadanych lekcyj. W wolnych chwilach pochłaniał książki. Czytał wszystko, co mu wpadło pod rękę, poezje najchętniej. Przyjaźni koleżeńskich nie zawierał jeszcze żadnych. Nie był «łatwy» pod tym względem. Psoty uczniowskie poważnie nastrojonemu malcowi wydawały się zbyt pospolite, więc w nich udziału nie brał, a dziecinna powaga, połączona z ogromną nieśmiałością, któ-

rej Żeromski nie pozbył się aż do śmierci, nie zachęcała kolegów do zbliżenia.

Jedyną oazą dobrego humoru i niefrasobliwego pojmowania życia, do której chłopiec, ulegając prawom wieku, chętnie zaglądał, był dom starszej siostry ojca Józefaty Janowej Saskiej.

Pani Józefata po śmierci męża mieszkała w dalszym ciągu w Rudzie Zajączkowskiej, powierzwszy kierunek gospodarstwa rolnego najstarszemu z synów, Teofilowi. Od lat jednak kilkunastu, ze względu na liczną swą dziatwę, prawie bez przerwy utrzymywała zimowe mieszkanie w Kielcach i tu spędzała rok szkolny, zawsze bowiem kilku naraz chłopców jej uczęszczało do gimnazjum lub do szkoły prywatnej Hillera. W czasie, gdy brat jej Wincenty przywiózł do szkół swego jedynaka, młodzi Sascy byli już ludźmi dojrzałymi lub dorastającymi młodzieńcami i tylko najmłodsza pupilka matki, starsza od Stefana o dwa lata córeczka uczęszczała na pensję. W domu była nadto jeszcze dorosła córka, nie licząc odwiedzających dom matki siedmiu synów, którzy wciąż zawadzali o Kielce, wnosząc z sobą wiele życia i rozgwaru. W tem otoczeniu Stefanek czuł się naprawdę dzieckiem, tu bawił się ze starszymi braćmi, często wraz z nimi wypadając do Rudy, tu młodziutkiej kuzynce Kazi opowiadał swe troski i drobne radości z nią dzielił. A nade wszystko lubił słuchać opowiadań ciotki, które porrywały jego uwagę aż do utraty poczucia rzeczywistości i rozpląmieniały fantazję. Pogodna a nawet jowialna staruszka była żywą skarbnicą przeszłości. Własnymi oczyma patrzyła na dwa ostatnie powstania,

przeżyła i straciła bardzo wiele i zachowała w żywej pamięci cały szmat historii. Umiała też w opowieściach swych odtwarzać przeszłość, w jej wesołych i bolesnych etapach, w sposób niezmiernie plastyczny, barwny i ciekawy. Relacje te, bezgranicznie nieraz smutne, nie miały w sobie jednak nigdy zaprawy gorzkiego pesymizmu. Pani Józefata patrzyła na świat pogodnie i choć życie nie oszczędziło jej żadnych udręczeń, zachowała równowagę umysłu, dzięki czemu w najtragiczniejsze obrazy umiała wplatać promyki światła i w najsmutniejsze symfonje polskiej beznadziejności akord otuchy i pokrzepienia. Za tę pogodę, niepamiętliwość poniesionych strat i staropolską iście serdeczność kochano ją powszechnie i w towarzystwie tej nieocenionej pani domu każdy musiał się czuć dobrze. Sama wszak dawała najlepszy przykład umiejętności rozpraszania trosk.

Opowieści jej były bezsprzecznie pierwszym ziarnem, które młodą fantazję przyszłego twórcy «Popiołów» zapłodniło. Z kapitału tego Żeromski czerpał później przez całe życie i niejednokrotnie dawał temu świadectwo.

U siostry swej czuł się młodszym i po dawnemu wesołym i pan Wincenty.

Częste wycieczki do odległej o cztery mile Rudy podejmowane były przy lada okazji. Zwłaszcza wiosną pierwsze z brzegu święto wyzyskiwano na te improwizowane majówki, przyczem Sascy małego poważnego sensata sadzali bez pardonu do bryki czy powozu i przez uroczę okolice kieleckie wieźli do swej starej napót już opustoszałej siedziby. Z ciotką i braćmi zwiędzał tam mały Stefanek stare pobojuwiska, słuchał tych

nigdy nie starzejących się i zawsze niewyczerpanych gawęd powstańczych, w młodej imaginacji uplastyczniał sobie przebieg staré i potyczek, w których krewni brali udział tak żywy i zapisywał w pamięci epizody styczniowej tragedji na całe życie. Do późna w noc ciągnęły się te gawędy, a gdy uż cały dom do snu się ułożył, ponad gorącym czołem malca zdawały się stawać duchy i widma bolesnej przeszłości i stary dwór szeptał mu dalej do ucha swoje nieopowiedziane jeszcze tajniki i wspomnienia.

Najchętniej jednak na skrzydłach miłości i tęsknoty wyrwał się do Ciekot. Do ukochanych Ciekot! Zdawać się mogło, że kiedyś, po wielu latach, gdy już w tej stronie same tylko groby mu zostały, wspomnienie ojczystych okolic, gdzie tyle cierpiał, nie przywiązaniem bezgranicznem, ale goryczą odzywać się będzie w jego sercu. A jednak... Mimo to, że przez lat tyle dziecięciami oczyma spoglądał tam na cierpienia matki, choć swe Ciekoty żegnał przy dźwiękach dzwonów pogrzebowych, kochał je nadal całą świeżością młodego zawsze serca. Do dni ostatnich od najważniejszych zagadnień ważniejszym jeszcze było dlań zagadnienie, co się dzieje w Ciekotach. Kwestją zasadniczą był przecież tak niedawno z całą powagą toczony spór, czy przed dworem ciekockim stało cztery lipy, jak zapamiętał, czy też było ich pięć, jak twierdziła jego siostra. Gdy wiosną 1925 r. dowiedział się, że młyn staruszek wspomniany przezeń często, zawalił się, odczuł to, jak najboleśniejszą stratę i dosłownie odchorował. Zamknął zaś oczy nazawsze, kiedy z starego dworu w Ciekotach ostatnie rozrywano już węgi.

Dwór ten i jego otoczenie z młynem, stawem, groblą, figurą św. Jana — opisuje Żeromski wciąż. Gawronki z «Syzyfowych prac», Niemrawe z «Promienia», Głogi z «Ludzi bezdomnych», Wygnanka z «Popiołów» — to wciąż jedne i te same Ciekoty.

Kiedy Joasia z «Ludzi Bezdomnych» w swym niezrównanym dzienniku, w którym całe strony żywcem wzięte są z dziennika osobistego pisarza, opisuje swą wycieczkę do Kielc, tudzież do Mękarzyc, gdzie mieszkali jej wujostwo, a stąd do opuszczonego gniazda rodzinnego w Głogach — nie z wrażeniami Joasi mamy już do czynienia, ale tylko i wyłącznie z pełnemi smętku przeżyciami Żeromskiego, który po latach wielu odwiedzał stare kąty i zapadłe groby. Dwór w Mękarzycach był dworem w Górnie, gdzie mieszkali wciąż jeszcze jego wujostwo Ig. Schmidtowie (pani Franciszka Szmidtowa była rodzoną siostrą matki pisarza). Stamtąd wyrwał się Żeromski kryjomo do Ciekot, objął miłośnem okiem wszystkie pamiątki i niejedna gorzka łza spłynęła mu wówczas do serca. Wszędzie znalazł opuszczenie, ruinę, nieledwie profanację wszystkiego, co ukochane. Jak bardzo ukochane, świadczą najlepiej jego własne słowa. Joasia, a raczej sam Stefan Żeromski tak pisze o swych Głogach-Ciekotach:

«Dokądże tedy idę jutro? Płacz ze szczęścia serce moje... Do Głogów».

Tłómaczyli mu bliscy w Górnie, że nie warto, że mieszka tam przecie tylko żyd, Lejbuś Korybut. Nie rozumieli, nie byli w stanie odczuć, że nawiedzenie Ciekot było dlań potrzebą duszy, zaspokojeniem gorącego pragnienia, piastowanego w sercu przez wiele

lat bolesnej tęsknoty tułacza. Nie pojmował i on, że znajdzie tam jedynie zgliszcza przeszłości i miast pokrzepienia jeden więcej kielich goryczy będzie musiał tam spełnić. Pojechał więc...

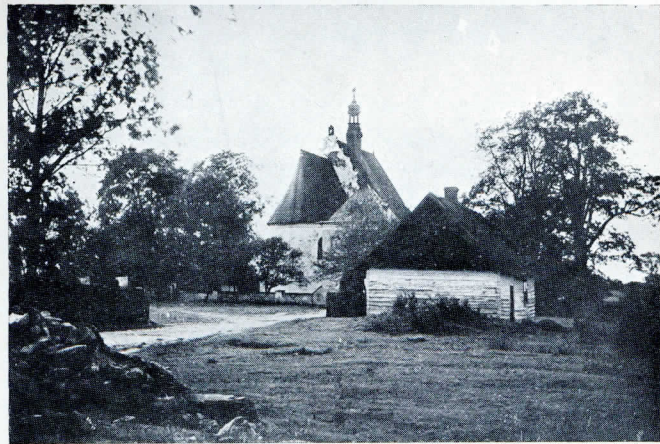
«Dzień był ciepły, umyślnie zesłany. tylko przymglony jasnymi i cienkimi włóknami nocnych tumanów, które jeszcze wysypiały się w nizinach podleśnych — niby sieci pajęczne. Serce moje było czujne, jak nigdy, ale rozpostarła się nad jego uniesieniem nasza górską i leśną cisza. Wóz mój wolno dosięgnął przełęczy i znalazł się w kolejach starej, trawą zarosłej drogi, zwanej «na górę». Leszczyny i brzozy rozrosły się tam w las prawie. Chłopina podciął konie, minęliśmy wawóz gliniasty pod szczytem — i oto, daleko, w dole ukazały się przed memi oczyma — Głogi. Z łąk, z rzeki, ze stawu dźwigały się mgły, znikające w wyżynie. Dom nasz białymi ścianami jaśniał w zieleni ogrodu i przeglądał się w głębi wody...

Młode szkapki, nieprzyzwyczajone do dróg tamtejszych, nie mogły utrzymać wasąga. Orczyki biły je po nogach, to też pędziliśmy ze stromego zbocza góry co tchu, wskrós jałowców. Dopadliśmy strumienia. Tam dopiero konięta wydobyły swe małe łby z chomąt, które im wyprężone naszelniki wcisnęły aż za uszy. Woźnica stanął, a ja wysiadłam. Wskazałam mu drogę, którą ma przejechać na drugą stronę Głogów, aż do szynku przy trakcie kieleckim.

— Przyjdę tam w południe — mówiłam.



OSTATNIA LIPA W CIEKOTACH I MIEJSCE, GDZIE STAŁ DWÓR



KOŚCIÓŁEK PARAFJALNY W STRAWCZYNI, W KTÓRYM OCHRZCZONO PISARZA

(ZDJĘCIA KIELECKIEGO OD. TOW. KRAJOZN.)

Chłop patrzył z podejrzliwością, ale walizka moja, zostająca na wozie, dodała mu otuchy. Gdy wreszcie odjechał, poszłam ścieżką. Trawy nie były jeszcze skoszone. Otoczyły mnie kwiaty moje, zarosła. Szłam w szczęściu, niby w jakim obłoku. Oto kwiaty, które poznaję nozdrzami, zanim ujrzę oczyma, wychylają się z łąki. «Jaskółki» blado-fioletowe, siostrzyczki moje rodzone, najdroższe moje. Nie zrywałam żadnej, tylko stawałam nad nimi, całując je spojrzeniem. One pytały mnie także, czemu odeszłam z tej krainy, dlaczego nie mieszkam we wsi rodzinnej...»

«Przyszłam łąkami do źródła. Stara grusza pod urwiskiem i stok w głębi zupełnie te same zostały. Nawet głązy, po których się dochodzi... Tak samo ze źródła wyskakują kłęby i banie wodne, zakwitając na wierzchu, niby róże wieczne, latem i zimą żywe. Siadłam przy źródle i straciłam świat z oczu.

Ptaki śpiewały w gęstwinach, wśród których lśniły się strugi, płynące kilkoma łożyskami ze stoku. W pobliżu przecina je droga piaszczysta.

Nad źródłem czerwieniła się obfitość centurji, którą zrywałam w tym miejscu z mamą nieboszczką. Odwar tego zieleń pomagał jej na bóle głowy. Ściągnęłam rękę i machinalnie zerwałam kilka tylko kwiatów opornych, ale natychmiast, jakby kara za śmierć ich, przeszła mnie straszna świadomość. Uczułam w ustach smak goryczy centurji i krople jej płynące do serca. Odeszłam stamtąd. Przede mną była grobla, pro-

wadząca do dworu. Wszystko inne, inne... Nowe gaje drzew wyrosły. Tylko iskry palące się na falach stawu i na śliskich łądych sitowia, tylko zapach tataraku i wilgotna woń rokit — ta sama. Biało-żółte lilje wodne ze swych szerokich liści uśmiechały się do mnie i sączyły w serce wino radości.

Spostrzegłam, że wielkie olchy nad wodą zostały ścięte i że św. Jana już niema. Upust, wiadać, powódź zniosła, bo zastąpiono go szluzą, z której płynie nadmiar wody. Teraz nie sączy się wcale, to też uderzył mnie brak melodyjnego szumu, który trwał tak długo, jak moje szczęście w dzieciństwie...

I już tego wszystkiego niema, jak wody, która wtedy płynęła, już tego nie znaleźć, jak kropel, co uciekły i w morzu utonęły.

Stary czarny młyn za groblą tak samo tonął w zieleni. Modrzew nad drogą rozrósł się jeszcze bardziej. Dwie śliwy obok czworaków spróchniały już zupełnie i tylko para łądyg zielonych wyrasta z pniów umierających.

Stanęłam wobec domu naszego. Jakież zniszczenie! Płoty, klomby, dróżki — wszystko skasowane bez śladu. Nawet dzikie wino przy ganku wydarte, ganek sam rozwalony, ściany odrapane, okna zabite.

Weszłam do sieni, uchyliłam drzwi dużego pokoju, w którym umarli moi obydwój rodzice. Było tam pełno gratów żydowskich. W tym kącie stoi łożo z mnóstwem pierzyn. Uciekłam co prędzej».

«Dusza moja była owiana mrokiem, serce zastygło i nie mogło wydać ze siebie ani jednego uczucia. Tylko myśl sroga, bolesna i mściwa, jak błyskawica oświetlała to miejsce. Miejsce zostało to samo. Wszystko przeminęło w czasie, odpłynęło z wodą. Grunt obojętny został sam jeden i jak przed wiekami zielenił się do słońca. Nic tu nie ocalało po moim ojcu, po mojej matce, po mnie i braciach. Obszar, przesiąknięty pracą, myślami i uczuciami nas wszystkich wziął inny człowiek».

«W tem miejscu, gdzie ostatni jęk wydali oni, które jest dla mnie świętem świętych — szwargocą cudzy ludzie. Drzewa, co żyły w ciągu lat tęsknoty w duszy mojej, jak święte tajemnicze symbole spraw, zakrytych przed śmiertelnymi oczyma, koleje dróg, wyżłobione w żółtym piasku, co, jak złote liny, ciągnęły mnie do tego kraju pośród łez i mroku nocy zimowych, łąki moje i błysk wody w zakrętach rzecznych między olszyną — wszystko dziedziczny przychodzień! Dla niego te wszystkie skarby duszy mojej są tylko przedmiotami lichego zarobku».

«Obok wąwozu w cichym kąciku między polami nagle stanęłam. Zwróciła mnie moc, której w sobie nie znam. Byłam tak blisko moich rodziców, że prawie słyszałam ich osoby, mogłabym dotknąć ich rękoma. Zdało mi się, że są za mną, że jeśli odwrócę się i wejdę w bramę folwarku, to ich zobaczę pod lipami. Łaski takiej bliskości nie miałam nawet w Krawczykach (Leszczynach,

gdzie na cmentarzu spoczywają rodzice Stefana Żeromskiego).

Było cicho. Żłuda trwała przez małą chwilę.

Po niej dopiero objęłam piersiami straszną egzekucję, którą śmierć spełnia. Gdzież oni są? W co się obrócili? Dokąd odeszli z tego miejsca? Całe moje ciało trzęsło się aż do głębi serca. Rozsypywałam się w proch przed śmiercią z błaganiem, ażebym była godna posiąść tajemnicę.

Gdzie jest mój ojciec, gdzie matka?..»

«Bez sił, w głuchej rozpaczy dowlokłam się w zarośla na wzgórzu. Weszłam między brzozy i nie widząc ani słysząc, błąkałam się. Nie przypomnę sobie, kiedy — i nie wiem, w którym miejscu upadłam na ziemię. Zeszła na mnie żądza śmierci. Tylko ją jedną czułam i ona była ostatniem tętnem mojego serca.

Tak trwało długo.

Ale wtedy z cmentarza w Krawczyskach moja matka przyszła do mnie w głębi ziemi. Wskróś ilitu, piasku, opoki przedarła się ziemia. Nie leżałam już na martwym ugorze. Uczułam się na łonie matki mojej, w którym jej serce uderzało. Szły we mnie głębokie, ziemne, ciche wzruszenia. Słowa moje próżno chciałyby wyrazić to, co się odbyło. Śmierć zlekła się i odeszła, ustał płacz i żal.

O, jasne kwiaty mojej doliny...»

Racją przytoczenia tych przepięknych urywków jest zadokumentowanie, jak głęboko i bezpamiętnie kochał Żeromski dom rodzinny i Ciekoty, ów obszar

«przesiąkły pracą, myślami i uczuciami», jak umiłował ten biały dwór, w którym było miejsce «święte świętych», miejsce skonania rodziców. Wyznania te są zarazem świadectwem rzadko spotykanej skali uczuć syna. Miłość i szacunek dla rodziców z biegiem lat wytworzyły w duszy Żeromskiego egzaltację, graniczącą z ubóstwieniem nieledwie.

Krajobraz i otoczenie dworu Ciekockiego podane są w dzienniku Joasi jak najwierniej. Dwór stał w Ciekotach na niewielkim wzgórzu. U podjazdu był gazon, na którym matka pisarza hodowała przepiękne kwiaty. Zdobiło go nadto pięć lip sędziwych, pod które latem w ostatnich latach życia pani Józefy wynoszono ją z łóżkiem, stęsknioną do woni pól, do słońca i do pulsującego wkrąg tętna bujnego życia, które w niej gasło. Stara grusza, wspomiana przez pisarza niejednokrotnie, stała od frontu pod oknem. Tuż obok rozciągał się widok na duży staw, napół zarośnięty trzcina i tatarakiem, utworzony z rozlewiska zastawionego strumienia. Przy stawie nad potężną groblą stał młynstaruszek. Okrywały go swemi konarami cztery olbrzymie olchy, otaczające przegładającą się w stawie w kamieniu wykutą figurę św. Jana. Na grobli rosły brzozy płaczące i rosochate wierzby i wiodła przez nią dróżka aż do krzyża, stojącego na wzgórzu od strony pól. Na stawie była wysepka, zwana kępą, miejsce wypoczynku pływającego drobiu domowego, a czasem i dzikiego ptactwa. Od strony ogrodu dwór miał obszerny ganek, winem obrosły, skąd rozciągał się widok na cały ogród, łagodną pochyłością spadający wdół, gdzie stał olbrzymi modrzew, przyjaciel i świadek pierwszych

dumań młodego chłopca, który siadał tu zwykle na darniowej ławce i czytał albo marzył.

Ten sam, a przynajmniej bardzo podobny krajobraz znajdujemy i w Wygnance z «Popiołów». Kiedy Rafał Olbromski spogląda na rodzący się w mgłach różanych świt ranny, kiedy na drobnej fali stawu załamują się pierwsze promienie wstającej zorzy, pod pióro Żeromskiego ciśnie się mimowoli opis ukochanego stawu w Ciekotach. Wygnanka odtwarza nawet i nastrój domu rodzinnego pisarza. Przesycający samą jej atmosferę nastrój cierpienia i choroby, która trawi starszego brata Rafała, dziwnie się zgadza z tą atmosferą smutku i boleści, jaką wytwarzała świadomość nieuniknionej śmierci dogorywającej pani Józefy.

Przywiązanie do kątów rodzinnych, tęsknota za latami dzieciństwa — przebija żywo także i w «Promieniu». Raduski, wybierając się na dalszą przejażdżkę zamiejską ze zbolałą po stracie męża doktorową, kieruje pojazd odruchowo w stronę Niemrawego.

«Do rodzinnego folwarku nie dojechał umyślnie, gdyż chciał ten dzień poświęcić nie sobie, lecz chorej duszy pani Marty. Chciał ją uzdrowić balsamem, w który wierzył najbardziej, otaczał ją tem, co miał najdroższego, najbardziej ukochanego w swej duszy: swoim powietrzem i słońcem, ziemią i wodą. Zgarniał oczyma widoki, o których śnił lat tyle i przynosił je do stóp osieroconej z ciągłym błaganiem: nie płacz... Ale przyszła chwila, że nie mógł dać sobie rady. Pod pretekstem, że chce zostawić towarzyszkom możliwość swobodniejszego wypoczynku, odszedł sam

na wzgórze, skąd widać było folwark niemrawski, zamieszkały przez pana Sapsię Jajko, byłego pachciarza. Usiadł tam na pniaku między sosnami. Czarny dach dworu lśnił się w słońcu, ściany jasno białeły między wysokimi lipami. Oto stary modrzew, oto droga wjazdowa, oto młyn i wielkie olchy, zwieszono nad stawem...»

Bliskie sercu szczegóły z otoczenia swego dzieciństwa przypomina sobie pisarz i w «Syzyfowych pracach» i w wielu innych swych dziełach.

W Ciekotach młody chłopiec spędzał czas nieco inaczej, niż w gwarnej Rudzie. Dom rodziców był cichy. Z racji choroby pani domu goście zaglądali tu rzadko i tylko w samarytańskie raczej odwiedziny. Młody Stefanek, jak dawniej, nie miał tu towarzyszy zabaw. Pozostawiony sam sobie, obcował tylko z otaczającą go przyrodą. Stara puszcza jodłowa, olbrzymie tajemnicze lasy świętokrzyskie, zalegające dokoła, pociągały go swoją głębią i ciszą. W lasach i ponad rzeką spędzał więc całe dnie, błądził po tej jedynej w swoim rodzaju pierwotnej jeszcze puszczy, żył się z nią i sercem zespolił, nauczył się, jak nikt ze współczesnych, odczuwania tajemnych natury sił i uroków. Przemierzył wszystkie ścieżki i ostępy wyniosłej ciemnogatowej, z chmurą deszczową zbratanej Łysicy, wędrował z niej po szczytach i wskrósł wąwozów na Łysiec z sędziwym dziewięćsetletnim klasztorem św. Krzyża na barkach, tysiącrotnie się wdzierał na umiłowaną Radostową, pił z świętych źródeł, w małych opuszczonych oddawna pustelniach kleił swe pierwsze dziecinne poematy i szeptał słowa pobożnej szczerzej modlitwy.

To obcowanie z przyrodą, zwłaszcza z przyrodą tych najstarszych w Polsce gór i pagórków, pozostało w duszy poety ślad niezatarty. Strzeliste kolumnady mrocznej puszczy przejmowały skupieniem i powagą, a samotność uczyła rozmowy z własną duszą. A kto umie sam sobie być towarzyszem, ludziom wydaje się milczący i tajemniczy.

Jak silnem i wyrazistem było w duszy pisarza wspomnienie ukochanych gór tamtejszych, do jakiego stopnia obraz ich nosił wryty w sercu nazawsze, świadczy najlepiej jego ostatnie, przedśmiertne już dzieło, «Puszcza jodłowa». Puszczy tej nie oglądał już od roku mniej więcej 1897-go, a więc od lat 28, a jednak odmalować ją umiał w takiej krasie i świeżości, że widzimy ją poprzez karty tego drobnego dziełka szumiącą, barwną i wonną, jaką była, jest i powinna pozostać przez długie jeszcze wieki.

Słuszność miał po wielokroć, mówiąc o puszczy tej, w serdecznej trosce, by w imię jakiegoś nowego prawa nie ruszyły w nią kiedyś zastępy drwali z siekierami, że jest ona niczyja, «nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!» A więc i nietykalna. Ale z niemniejszą też słusnością nadano jej dziś imię puszczy Stefana Żeromskiego. Bo on był tym, który najgłębiej, najserdeczniej w swej istności kochał ją i rozumiał, piękno jej rozstawiając i wielbiąc najczarowniejszem swem słowem.

Gdy wzrokiem duszy przebiegał u schyłku życia lata swych zmagania z losem, chwile współobcowania z puszcza wydały mu się tak czarowne i błogie, że w zestawieniu z nimi cały żywot był, jak sam na-



JÓZEFATA Z ŻEROMSKICH
JANOWA SASKA



MATYLDA Z ŻEROMSKICH
WIKTORYNOWA SASKA

(CIOTKI PISARZA, U KTÓRYCH SIĘ CZĘŚCIOWO WYCHOWYWAŁ)

zywa, nędzny. Za nic mu były przeżyte triumfy, sława, wielkość, pracą niesłychaną zdobyta — wobec tamtych uniesień, wobec minionej niepowrotnie młodości.

«W uszach moich trwa szum twój, — mówi w «Puszczy jodłowej», — lesie dzieciństwa i młodości,—choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wysokie góry— Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę, — góry moje domowe — Radostową i Kamień, — oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowymi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro, — zimne, nieskalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem,—lecz ktoś inny, kogo już dawno niema, młodzieniec, który niegdyś w mem jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to poprostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom zapomocą pisaniny było moją manją od dzieciństwa, — że to Rafał, albo inny jaki, bujał niegdy tamoj po górach. Tamten ja, miniony i nieistniejący, z bronią na ramieniu, nachyla się nad burzliwą, kipiącą wieczystie wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czystej, jak łąza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nieistniejącą, a najbardziej bliźnią, quidam tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu, albo godny eposu w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad

brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga wdół i snuje się po kamieniach. Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tem przez całe moje nędzne życie podaje wieść».

«Zdobywanie przestrzeni (w wędrówkach po puszczy), — — mówi na innem miejscu, — za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na uprzytomnianiu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty — to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty — to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile — to linja prosta z Kielc do świętej Katarzyny. Każda trudna i duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, literacka, biblioteczna, czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczynach, w Mąchocicach, w Bęczkowie, — jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim, — jestem niedaleko wierzchołka, — jestem na szczycie! Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem wdół. Otom już u granicy naszych pól. Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...»

Oprócz tajemnic natury stara puszcza inne jesz-

cze zwierzenia szeptała małemu swemu przyjacielowi. Lasy tamtejsze, ostępy, kryjówki, ruiny i pógorzeliska były wciąż żyjącą i wymowną kroniką powstaniową. Tradycja powstania emanowała tu jeszcze intensywnie swój czar romantyczny i bohaterski. Mówił o niem każdy kamień przydrożny czy wykrot leśny, stare karczmy rozstajnych dróg, dwory szlacheckie i wieśniacze chaty. Wszelkie gawędy bezwolnie zbączały na ten nieodwołalny manowiec, każdy wieczór rodzinny w ścisłem kole z pochylonemi głowami wieńczono zawsze tą niewygasłą, wieczyste w sercach nurtującą Sprawą. O dziejach tych szeptał dwór, szeptały kuchnie, szeptały wszystkie chaty po wsiach. Wchłaniał je więc głodnem uchem i mały Stefanek. Roziskrzyła mu się oczęta, jak w Rudzie u ciotki, dręczył rodziców nigdy nienasyconą prośbą i słuchał a słuchał...

A później w lasach śnił swe sny o szpadzie, układał świątoburcze plany polskich wyzwoleń i z czołem od dum tych rozgorzałem błądził po owych szlakach, «gdzie był jeszcze nie wytchnął ślad stopy skrważonej pokonanych bojowników,—gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerji czarne były od kul i podziurawione, jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je (jak sam się zwierza) w moje uszy, jak do składu, a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe».

Ten podział czasu na epokę przed i popowstaniową przetrwał w kieleckiem bardzo długo. Dzieje powstania niejako rozpołowiły tam egzystencję całego pokolenia i nawyk ten przechodził siłą inercji na po-

kolenia następne. Gdyby nie wojna światowa, która ustawiła nowy słup graniczny czasom przeszłym i dzisiejszym, rachuba ta trwałaby tam nieomylnie i do dziś. Wychowany w podobnych, co i Żeromski, warunkach w stronach kieleckich, od lat najmłodszych, choć to było o całe trzydzieści lat później, na każdej relacji przeszłości, przekazywanej młodszym, oglądałem tę nieodzowną etykietę czasu. «To było przed powstaniem, a to już po powstaniu» — mówiono zawsze i przy każdej okazji, chociażby poruszane sprawy zupełnie z wypadkami temi się nie wiązały i dotyczyły wydarzeń ściśle rodzinnych, zwykłych, narodowo-obojętnych.

Dowodzi to, jak silnie wypadki same, a później tradycja ich — weszły w treść duszy wszystkich niemal warstw tamtejszego społeczeństwa i pozwala nam we właściwy sposób orjentować się, jakim powietrzem przyszły twórca «Popiołów» oddychał, co przesycalo jego młody umysł, jakim lemieszem przeorywano mu od dziecka duszę i jakie ziarno, świadomie lub nieświadomie, rzucano zewsząd na tę spulchnioną glebę.

W wędrownkach swych po okolicy, w bliskim obcowaniu z ludem — poznał też dobrze duszę chłopca i nauczył się swem na wszystko wrażliwem sercem odczuwać dolę i niedolę. Zwłaszcza niedolę. Chłop świętokrzyski nie opływał w dostatki. Kamienista rola rodziła skąpo, więc bieda i ciemnota, a z niemi wraz i choroby zaglądały często do chat. Młody Stefanek odwiedzał chaty te dawniej jeszcze, towarzysząc matce w jej samarytańskich wędrownkach; później stykał się z ludem ustawicznie, obserwując i zachowując w pamięci ten fatalny stan zaniedbania najliczniejszej klasy

społecznej w Polsce. Na refleksje i wnioski, ze spostrzeżeń tych wysnuwane, było jeszcze zawcześnie. Miejsce ich jest dopiero w erze młodości, a mały Stefanek był wtedy dzieckiem jeszcze. Wrażenia jednak, odbierane w latach dziecięcych, nie zacierały się i nawarstwiając się w młodym umyśle, dały podłoże przyszłej ideologii.

W Kielcach po krótkotrwałem oszołomieniu, zupełnie zrozumiałem w okresie przystosowywania się do nowych form życia, chłopiec zaklimatyzował się szybko. Ciepło rodzinne, jakim otoczony był w domu ciotki Metysi (tak ją nazywano) — łagodziło przykrość rozdziału z Ciekotami, a tęsknota za wsią nie mogła się dawać we znaki w mieście, z którego, w jakąkolwiek zwróciwszy się stronę, w ciągu kwadransa pieszo mógł znaleźć się w takiej samej prawie, jak ciekocka, puszczy. Dziś miasto to rozrosło się, lasy cofnęły się czarną ścianą wstecz, ale ogólny obraz pozostał niezmieniony. Po dawnemu jedyny w swej piękności widok roztacza się z placu Panny Marji przy wzgórzu katedralnem, po dawnemu wieniec sinych, odwiecznym borem porośniętych gór otacza gród kielecki, niczem precudna wysniona jakaś panorama. Miał więc dość pola mały chłopiec i do koleżeńskiej po zamiejskich spacerach włóczęgi i do swych dumań samotniczych, a w braku puszczy rodzinnej — szumiały mu nad czołem bory Kaweczyczyny, Dąbrowy, mgłami spowitego Telegrafu, pełnej tajemnic Karczówki z rozpadającym się już w gruzy klasztorem Bernardynów, bliskiej Kadzielni, na której dłonie przedwiekowych olbrzymów spiętrzyły złomy skalne, dalszego nieco Słowika z lasami dębów

i buków i wartkim nurtem Trupieńca, który niegdyś szwedzkie zastępy przez Czarnieckiego zegnane z gór miał pochłonąć — całego tego szeregu wzgórz, przedziwnie malowniczych, nazwanych czy bezimiennych.

To też przywiązanie Żeromskiego do Kielc było szczere i gorące. Wiele w nich przeżył, ale nie ludzie i nie wspomnienia sukcesów osobistych związały go sercem z tem miastem. Kochał je bez widomej przychyny. Uczuciem serdecznem przejmował go każdy kamień, każdy zaułek, dźwięk wieżowego zegara, stare drzewa w parku, sine lasy na widnokręgu. Z uczuć tych spowiada się nam słowami Joasi:

«Jestem znowu tutaj w mojem poczciwem mieścisku... Wczoraj zerwałam wszystkie lekcje, odrzuciłam dwa zaproszenia na wakacje... — spakowane graty powierzyłam Giepcie, która przez lato zostaje w Warszawie, a sama obarczona trzydziestką rubli i małym sakiem, ruszyłam na łeb na szyję...»

«Moja aleja przy Karczówce, mój wyśniony latami w Warszawie daleki widok górski!

Bije godzina szósta na dzwonnicy katedralnej. Miły, śpizowy dźwięku zegara, bądź pozdrowiony! Jakże ci się obawiałam niegdyś, z jak głęboką trwogą słuchałam cię pierwszy raz po przyjeździe z Głogów do szkoły! A oto... Ale precz ze wszelkimi wspomnieniami! Nie wolno myśleć o rzeczach dawnych, bo znowu zaczną się brewerje płaczowe».

Są to myśli, rzecz prosta, nie Joasi, lecz samego autora «Ludzi bezdomnych», myśli szczere, być może

dosłownie z własnego pamiętnika do utworu literackiego wcielone. Jest w nich uczuć pisarza odbicie najwierniejsze, nie wyłączając nawet owych «brewerji płaczowych», bo Żeromski, ów człowiek tak napozór surowy i posępny, nie tylko czuć, ale i płakać umiał.

Opisowi starego parku kieleckiego poświęcił pisarz kilka najpiękniejszych kart w «Syzyfowych pracach», szczególniemi jednak względami jego serca, jak zresztą wszystkich Kielczan, cieszyła się Karczówka, najpopularniejszy wprawdzie, ale bodaj i najpiękniejszy spacer tamtejszy. Gdy rozpytywał później o dawno nieoglądane kąty kieleckie, a czynił to zawsze, gdy tylko ktoś ze stron rodzinnych się z nim stykał, jednym z pierwszych pytań był zawsze wywiad o pupilkę-Karczówkę. Co się dzieje ze starym klasztorem, czy żyje jeszcze ostatni staruszek Bernardyn, ojciec Kolumbin, hodowca rasowych indorów, czy nie wycięto lasu, czy otchłanie odwiecznych sztolni ołowianych wciąż jeszcze budzą lęk i ciekawość?

W «Urodzie życia», gdy Tatjana opowiada Rozłuckiemu scenę zamordowania szpiega, Żeromski tak opisuje Karczówkę:

«Kazałam, żeby przyszedł na jedną z okolicznych gór. Na szczyt tej góry... Była na tym szczycie, jak na wszystkich tutejszych górach, przed niezliczonymi laty, w średniowieczu, kiedyś tam, za legendarnych polskich królów, kopalnia ołowiu, miedzi, czy żelaza. Teraz te miejsca obrasta las głuchy, a na szczytach zostały tylko niezgłębione doły, tajne przepaście, zdradzieckie bezdna, obrośnięte starym i ze wszech stron zachodzą-

cym borem. W dawnych sztolniach pną się krzaki jałowcu, jeżyny i głogi. Rudy albo siny żwir sy-
pie się w czarną czelusć...»

Nawet Ewę w «Dziejach grzechu» zawozi pisarz na pewien czas do swego miasta. A choć je wówczas nazywa «niejakimi» Kielcami, chociaż w «Syzyfowych pracach» i «Promieniu» nie szczędzi im gorzkich słów za zaśniedziałość klerykowską czy łżawiecką, są to przecież tylko wyrzuty «rodzinne», które na uczucia wpływu nie miały.

Gdyby nie przygnębienie, jakim chłopca przejmowała choroba ukochanej matki, lata te, spędzone na obcowaniu z naturą i w otoczeniu serdecznie go kochającej rodziny, lata dziecinne poety, możnaby nazwać sielskimi i anielskimi. Prócz tej jednej głębokiej boleści, nie miał żadnych trosk, prócz tego cier-
nia, żaden inny nie ranił mu młodego serduszka.

Zbliżał się jednak czas, kiedy nietylko z praw wieku, ale i z obrotu wydarzeń dzieciństwo małego Stefanka miało już zamknąć ostatnią kartę swej księgi. Śmierć matki, zgon czulej opiekunki ciotki Matyldy, cicha tragedia w łonie najbliższej rodziny, jaką przeżył, wyraźny zwrot ku studjom literackim, pierwsze poe-
zje uczniowskie, pierwsze karty pamiętnika, pierwsza miłość wreszcie — były owemi słupami granicznymi, dzielącymi dzieciństwo od młodości.

W roku 1879-ym umiera matka pisarza. Niespełna piętnastoletni chłopiec spogląda po raz pierwszy w oczy powadze i tragedji bytu. Przystaje być dzieckiem.

MŁODOŚĆ PISARZA

Z początkiem roku 1879 młody Stefanek zamieszkał w Kielcach u starszej siostry ojca, Józefaty, która po dawnemu mieszkała zimą w mieście, wówczas już tylko z najmłodszą córką swą, Kazimierą. Na zmianę tę wpłynął zły stan zdrowia ciotki Metysi, którą zwolna a nieubłaganie rozwijająca się choroba złożyła niebawem na łożu śmierci. Czuwały przy niej zamężne już wtedy córki Walentyna Koczanowiczowa i Marja Albrechtowa i pasierb Bronisław Saski oraz ukochana wnuczka siostry najstarszej, Ludwika, ale ani najczulsze zabiegi bliskich ani opieka lekarska nie zapobiegły katastrofie. Anioł dobroci i poświęceń zgasł cicho dnia 15 lipca. Złożono ją w grobie rodzinnym na cmentarzu kieleckim.

Stratę tę odczuła boleśnie cała rodzina. Odczuł ją i młody Stefanek, odczuł tem boleśniej, że tenże sam anioł śmierci stał już nad łożem jego konającej matki. Wiedział, że się to kiedyś stać musi. Gdy jednak miała już wybić owa fatalna godzina, serce darło się w nim na sztuki i bunt przed nieodwołalnym targał piersią.

Lampa życia pani Józefy dopalała się już. Jeszcze gasnącem okiem odczytywała we łzach rozczulenia promocję syna do klasy trzeciej, jeszcze spędzała z nim

ostatnie najdroższe godziny na cichej gawędzie o przyszłości, jeszcze wzrokiem matki zamieniała z nim ostatnie myśli bez słów, jeszcze... chciała żyć. W cichy pogodny dzień letni dnia 16 sierpnia 1879 roku, ostatnie spojrzenie posyłając synowi, matka pisarza zamknęła oczy nazawsze.

W cennej swej broszurce o Stefanie Żeromskim p. Stanisław Posner popełnia mimowolną omyłkę.

Charakteryzując na kilku zdaniach młodość autora «Popiołów», zaznacza, że był to chłopiec słabowity, a zaraz potem mówi: «Prawie nie znał matki i stracił ją w najmłodszym wieku». Uwagi te, jak widzimy, dalekie są od rzeczywistości. Stefan Żeromski nie był «słabowity» — miał staturę herkulesową i siły żelazne i tylko dzięki temu organizm ten umiał przez tyle lat opierać się niszczycielskiej pracy trawiącej go gruźlicy. Nie słabowitość więc, ale te siły i ta do ostatecznych granic oddana i poświęcająca się opieka małżonki zachowały go przy życiu. Nieścislą jest też informacja, że prawie nie znał matki i stracił ją w najmłodszym wieku. Józefa z Katerłów Żeromska zmarła w chwili, gdy przyszły pisarz był już 15-letnim, rozwiniętym nad wiek młodzieńcem, którego współżycie z matką oraz wpływ jej na kształtowanie się jego umysłu i serca, były wyjątkowo silne i wyraźne.

Za trumną matki postępował chłopiec, który rozumiał w pełni doniosłość poniesionej straty i wiedział, że zbrakło mu, oto, nietylko kochającej matki, ale i najbliższego, jedyne go może na świecie przyjaciela, na którym się nigdy nie zawiódł.

Na wymoszczonym dywanami, snopami kwiatów

przybranym wozie pogrzebnym powieszono ją na cichy wiejski cmentarz w parafjalnych Leszczynach. Mogiłę zrosił łzami serdecznego bólu i miłości prawdziwej pan Wincenty, opłakały ją dzieci: 20-letnia dorosła już Oleśia, mała 10-letnia Bolcia i syn-jedynak.

Życie wróciło do swych zwykłych kolein, jeno koło Stefana uczyniła się jeszcze większa pustka i samotność, bardziej niż kiedykolwiek, wpływała na duszę.

Wspomnieniom o matce, o jej cierpieniach i zgonie poświęcił pisarz wiele bolesnych, ale i niesłychanie pięknych kart w swym pamiętniku. Wielbi ją i modli się do niej, jak do świętej. Zwierza jej się z trosk swych i marzeń, czcząc pamięć swej pierwszej ukochanej przewodniczki, jak najdroższą relikwję.

Ukojenie żalu odnajduje wreszcie w modlitwie. Głęboka pobożność Żeromskiego — to jedna z mniej znanych kart jego życia. Nie manifestował jej nawewnątrz, ale czuł głęboko. Mamy po temu najwierniejsze świadectwo w jego własnych zwierzeniach. Pamiętnik pisarza stwierdza, że codziennie aż do opuszczenia gimnazjum kieleckiego (a miał wówczas już 22 lata) pierwsze swe kroki kierował rankiem do kościoła i tu odmawiał swe ulubione modlitwy, zanosząc u stóp ołtarza najtajniejsze prośby. Kościołem, do którego Żeromski co rano wstępował, był mały kościółek św. Trójcy, zbudowany przed rokiem 1640. Niegdyś kościół szpitalny, od lat kilkudziesięciu był świątynią seminarjum duchownego. Korzystało zeń też i gimnazjum męskie, kościółek bowiem, wciśnięty między gmach seminaryjny i gimnazjalny, najbardziej się na to dla obu zakładów

szkolnych nadawał. Z biegiem czasu owa mimowolna na rzecz gimnazjum adopcja poczyniła takie postępy, że obszerna kruchta wypełniła się niepodzielnie tablicami pamiątkowymi zasłużonych profesorów-Polaków, wmurowanymi tam przez liczne pokolenia wychowawców. W kościółku tym upodobał sobie młodzieniec malenką i zaciszną kapliczkę, po lewej stronie głównego ołtarza od oczu tłumu zakrytą, z jednym tylko ołtarzem, z nad którego spoglądało nań łagodne oblicze Matki Bożej Łaskawej. Obraz ten, przeniesiony do kapliczki niedawno z kościoła w Koszycach (powiatu pińczowskiego), dziwnie rozbrajał mu serce i tkliwość matki przypominał.

Religijność ta przetrwała w Żeromskim bardzo długo. I jeśli później zmienne losy koleje osłabiły w nim różne gorliwości praktyczne, głęboko wierzącej duszy nie wyziębły do śmierci. Szczególnie silną była w nim wiara w życie pozagrobowe. Jeszcze na rok przed zgonem zapewniał, że gdyby mu było danem zwątpić o wszystkim, jedno zostanie w nim niewzruszone, jak dogmat nieodparty: przeświadczenie, że dwa promienne duchy — duch ojca i matki — stoją zawsze przy nim. A podczas śmiertelnej choroby z lata 1925 r., gdy już przytomność odmawiała mu posłuszeństwa, rozmawiał wciąż z duchem matki i przed domem swym w Konstancinie widział w malwach kwitnących mogiłę jej, mogiłę, której, niestety, nie mógł na cmentarzu leszczyńskim odnaleźć.

Z biegiem czasu w braku powiernika rozmiłował się młody chłopiec w zwierzeniach, przelewanych na papier. Pamiętnik, który był zrazu relacją o dzieciństwie

i przeszłości, staje się z czasem dziennikiem i przyjacielem. Rozmawia z nim przyszły pisarz często, spowiada mu się z swych rojeń o potęgze i sławie, powierza mu swe myśli najtajniejsze. Nie zdając sobie jeszcze sprawy z oddawanej samemu sobie wielkiej przysługi, kształci w ten sposób swój przyszły styl, doskonalą się w słowie polskim, zdobywa się na pierwsze udatne obrazy i właściwe ujęcie opisywanych zagadnień i tematów. Obszernie wyluszcza w nim swe plany literackie. Już jako 16-letni chłopiec, wie dobrze, że chce być poetą. Wielkim poetą. Nie zwierza się z tem jeszcze nikomu, ale przed sobą przyznaje się do tego z odwagą. Czuje w sobie wielką moc twórczą, która mu piersi rozpięra i myśli wprawia w zawrotną zawieruchę. Nie lęka się czekających go zadań, lecz rwie się do nich z zapalem niepohamowanym i Opiekunkę swą z kościółka św. Trójcy otwarcie i ambitnie właśnie o sławę i wielkość prosi.

Musiała to być modlitwa szczerą i wierzącą, bo była wysłuchana.

W tym to dzienniku ze zdumieniem odczytać można, ile trudu, zapалу i wybuchowej siły twórczej włożył w swe pierwsze próby literackie tak młody jeszcze chłopiec. Znajdujemy w nim cały rejestr tytułów już wykończonych dramatów, całych epopoi wierszowanych i powieści bohaterских. Zacytowane urywki wierszowane świadczą o zupełnie wykształconej już formie, aczkolwiek, rzecz prosta, o oryginalności mowy tu jeszcze być nie może.

Samotność chłopca w ten sposób poczęła wydawać i swe dodatnie owoce. Z wnikania w siebie, z powagi

myśli, fantazja młodego poety poczyna wydobywać wyraz właściwy. Na swe samotne wycieczki do leśnych ostępów i między stare mury zaułków kieleckich, bierze już młody chłopiec do kieszeni papier i ołówek.

«Pisałem swe marne wiersze, — mówi w «Puszczu jodłowej», — w lasach i wertepach, — w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu, — pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze, — oraz w leśnych kapliczkach obok klasztoru świętej Katarzyny.

Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników...»

«Układałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją partją dowodził i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi — Janicu, — co za wydanie spisku Ściegiennego, — chwały naszych czarnych lasów, — order, pięć kolonij w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie.

Widzę cię we wspomnieniu, świątynko mała, dawnego eremity domku, kołysko moich, żal się Boże! — poezyj...»

Są to zwierzenia smętne człowieka, stojącego już nad grobem, zwierzenia, wplecione w jego przecudny łąbędzi śpiew ostatniego dzieła, gdy myślą stęsknioną zawisał u lat bujnej, zdrowej jeszcze i na zdobycie

świata wyruszającej młodości. O wiele większą jednak wartość w znaczeniu bezpośredniości mają myśli, utrwalone w dzienniku. Marzenia młodzieńcze, wahania i błędzenia w wyborze dróg i kierunków twórczych, wpływy najulubieńszych poetów — są to szczegóły wysoce ciekawe i charakterystyczne.

Dziennik swój, jak wspomniano na wstępie, Stefan Żeromski w latach późniejszych zgubił, a raczej zapomniał na jednym ze swych pied-à-terre w Kielcach. Przez lat dziesiątki oparł się on zniszczeniu, aż wreszcie wydobyto go z zapomnienia w sposób niebaczny i lekkomyślny. Ku najwyższemu zdumieniu dowiedziałem się, że na pewnej pensji żeńskiej dziewczęta zapałem, godnym lepszej sprawy, rozczytują się w jakimś pamiętniku Stefana Żeromskiego. Po dotarciu do źródła wersji przekonałem się, że, istotnie, najtajniejsze, sobie tylko zwierzone myśli autora «Popiołów» poniewierają się w sposób najbardziej nieodpowiedni, narazone na żarty płochych dziewcząt, dla których, nawiasem mówiąc, były lekturą fatalną. Wyegzekwowanie rękopisów nie obyło się bez trudności. Radość pisarza z odnalezienia dziennika, była ogromna. Prostu nie chciał narazie wierzyć, że ukochane zeszyty jeszcze istnieją i że je niebawem otrzyma.

Pisał do mnie wówczas w tej sprawie z Zakopanego w dniu 30 grudnia 1912 r. temi słowy:

«Najserdeczniej dziękuję Ci, Drogi Przyjacielu, za łaskawe ostrzeżenie co do owego dziennika z lat dawnych i nigdy nie zapomnę tej przyjacielskiej usługi, jaką mi wyświadczysz, odbierając owo pismo z rąk iście kieleckich. Jednocześnie,

w myśl Twych wskazówek, napisałem list do Marji Albrechtowej z prośbą o pofatygowanie się do owej pani... (nazwisko pomijam p. a.) wraz z Tobą. Do tamtego listu dołączyłem upoważnienie do odbioru dziennika. Będę Cię gorąco prosił o nastawanie w czasie ewentualnej wizyty u tej pani o to, ażeby zechciała oddać i inne rękopisy, czy listy, jakieby posiadać mogła.

W głowę zachodziłem, skąd ten dziennik mógł się znaleźć w rękach zupełnie mi nieznanemu osobie. Nazwisko jednak wskazuje na to, że moja macocha w czasie pobytu w Kielcach znała niejakiego pana, urzędnika z gubernji czy pałaty. Myślę, że to od niego pochodzić musi to wątpliwej wartości dziedziczenie i niemniej małej wartości spadek. Być może, że tam być mogą, jakie listy, pisane do mnie, albo jakieś młodociane grzechy literackie; Radbym to wycofać i zniszczyć, albo przynajmniej odebrać z rąk tak mało dyskretnych.

Dziękuję bardzo serdecznie za wiadomości i t. d.»

Dobrze pamiętał Żeromski, że były tam nietyle grzechy, ile młodociane ciekawe próby literackie; były też i listy, powklejane pieczętówiciele, o czym później. Pamiętnika, po odebraniu z Kielc, nie zniszczył. Postąpił słusznie, są w nim bowiem bardzo cenne przyczynki do jego życia i twórczości. O ile wiadomo jednak, wyrwał zeń niektóre karty, których nie chciał nikomu przekazywać. A kart takich było tam, zdaje się, wiele.

Rozwojowi wykształcenia literackiego sprzyjała wybitnie lektura. Młodzieniec czytał bardzo wiele. Książ-

kom poświęcał każdą wolną godzinę, kradły mu one chwile wypoczynku i kolidowały coraz poważniej z nauką szkolną. To niestrudzone pochłanianie utworów literatury polskiej i obcej, po których z czasem przyszła kolej i na dzieła naukowe, możnaby nazwać bezprzekładną pracowitością, gdyby nie było pasją, umiłowaniem, nasycaniem nigdy niezaspokojonego głodu umysłu i duszy.

Ta pasja samouka, ujęta później w ramy celowości i metody, nie opuściła pisarza już nigdy. We wdzięcznej pod tym względem pracy bibliotekarskiej w Raperswilu, czy u Zamoyskich w Warszawie — kształcił się wciąż, dając upust zawsze żywotnemu popędowi zdobywania wiedzy. To też w sztuce polskiej niewielu mieliśmy dotąd twórców tak wszechstronnie wykształconych, tak w każdej dziedzinie życia i wiedzy wszystkiego świadomych, jak właśnie Stefan Żeromski.

Za lat pierwszej młodości przewertował i pochłoniął w Kielcach niemal wszystko, co mógł znaleźć wartościowego w tamtejszych bibliotekach prywatnych, publicznych bowiem wypożyczalni jeszcze tam wówczas nie znano. W związku z tą pasją czytelniczą poczęły się w młodym chłopcu rozwijać i upodobania bibliofilskie. Za swe ubogie złotówki, otrzymane od ojca, lub pracą korepetytorską zdobyte, skupował w żydowskich antykwarniach rzadkie stare druki, nierozcinane przez dawnych posiadaczy dzieła filozoficzne, do których przystępował nierzadko bez należytego przygotowania, a przede wszystkim polował na poezję, na dzieła umiłowanego Słowackiego, z którymi się nie rozstawał i całe ich rozdziały recytował na pamięć.

Z czasem, mimo swej woli, wyrobił sobie w gronie kolegów pewnego rodzaju sławę zdolnego poety i świetnego deklamatora. Zdolności w kierunku interpretatorskim miał tak wybitne, silnym głębokim swym głosem tak umiał grać na strunach uczuć słuchaczy, że poruszał ich do łez.

Coraz wybitniej zaznaczające się zdolności chłopca zwróciły wreszcie nań uwagę profesora języka polskiego i historii, Antoniego Gustawa Bema. Był to niezmiernie szczęśliwy zbieg okoliczności, że profesorem tak ważnych dla kształcącego się przyszłego pisarza przedmiotów był człowiek wiedzy prawdziwej, wybitny krytyk literacki i historyk literatury, który w dziejach piśmiennictwa polskiego ma swą oddzielną chlubną kartę.

Z czasem pomiędzy uczniem a nauczycielem zadzierzgnął się węzeł serdecznej zażyłości i przyjaźni. Profesorowi Bemowi Żeromski ma wiele do zawdzięczenia. On to omackiem błakające się samodzielne studia młodego chłopca skierował na właściwe tory, dawał wskazówki, dobierał dzieła, z którymi Stefanek powinien był się przedewszystkiem zapoznać i poza szkołą kierował jego wykształceniem literackiem. Ze swemi «grzechami literackimi» krył się Żeromski przed profesorem Bemem przez czas dłuższy. Dopiero jeden z kolegów zdradził go przed nim, okazując w tajemnicy przepisany z zeszytu młodego poety utwór wierszowany p. t. «Do braci rolników». Bem pochwalił gładką formę wiersza i polot myśli młodzieńca i udzielił zachęty do dalszej pracy nad sobą.

«Księga pamiątkowa Kielczan», wymieniając zachowane w pamięci dawnych kolegów gimnazjalnych

Żeromskiego tytuły jego utworów z tych czasów, wspomina nadto o poemaciku «Spowiedź zbrodniarza», tudzież o kilku młodzieńczych powieściach, jak «Zbrodnia na Radostowie» i o dramatach wierszowanych «Savonarola» i «Cola di Rienzo».

Prostując skrzydła do lotu, Stefanek w największym sekrecie zamarzył o druku. Zakołatał tedy listownie do redakcji «Przyjaciela dzieci», przesyłając kilka prób poetyckich. Redaktor «Przyjaciela», p. J. K. Gregorowicz, zarazem kierownik «Tygodnika Mód i Powieści», ku nieopisanemu szczęściu poety, zakwalifikował dwa jego wiersze do swych wydawnictw. W ten sposób znalazł miejsce na szpaltach «Tygodnika Mód i Powieści» w roku 1882 przekład «Pragnienia» Lermontowa, a w «Przyjaciela dzieci» wiersz oryginalny «Pieśń rolnika». Są to pierwsze drukowane utwory Żeromskiego i redakcje tych perjuryków słusznie z tej palmy pierwszeństwa, jako odkrywczynie wielkiego talentu, mogą być dumne.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach, gdy wyobraźnia chłopca bujała nad obłokami, a sfera zainteresowań zamknęła się w ściśle określonej dziedzinie, tryb pracy szkolnej poważnego musiał doznać uszczerbku. Z niegodziwej a zaniedbywanej matematyki niepodobna się było sianem wykręcić i czwartą klasę, chcąc nie chcąc, trzeba było «repetować». «Zimowanie» to powtórzyło się nadto i w klasie szóstej.

Tymczasem w Ciekotach w domu rodzinnym Żeromskiego najniespodzianie zaszły radykalne zmiany.

Po śmierci pani Józefy dwór ciekocki opustoszał.

Smutek i pustka wiały zewsząd, tembardziej, że małą Bolcię wprost z pogrzebu matki zabrała z sobą do Kuzelowa z zamiarem zajęcia się jej wychowaniem pani Marja z Katerłów Kozłowska, siostra nieboszczki, osoba bezdzietna. W domu pozostał tylko owdowiały i osamotniony pan Wincenty z pierworodną ukochaną swą córką Olesią. Starsza siostra pisarza, była, jak wspomnieliśmy, panią już dorosłą. Urodę miała niepoślednią. Brunetka o cerze jasnej i żywym rumieńcu przy smukłym wroście i wybitnej inteligencji — zwracała powszechną uwagę. Usposobienie ambitne, aspiracje duże, stanowczość i energia — zdawały się jej wróżyć przyszłość najlepszą. Ojciec kochał ją bardzo; uroda córki i zalety jej umysłu pochlebiały dumie ojca. Przyszłość córki rysowała mu się w umyśle w barwach pogodnych. W czasach, kiedy samodzielność kobiety była jeszcze w sferze rozważań akademickich, przed młodą dziewczyną otwierały się tylko perspektywy małżeństwa, skojarzonego możliwie najfortunniej i pod dobrą wróżbą. Przed piękną, wykształconą i najstaranniej wychowaną panią możliwości te stały otworem. Kto, jak kto, ale Olesia Żeromska miała widoki zrobienia jak najlepszej «partji». To też ojciec nie żywił w tym względzie żadnego niepokoju; przekonany był święcie, że los, jaki tej pięknej pannie na życiowej loterii przypadnie w udziale, będzie losem wygranym. Cały przeto ojcowski swój wysiłek i obowiązek pojął w ten sposób, by stworzyć warunki, któreby możliwie najbardziej realizacji tych planów sprzyjać mogły.

Nie było to przecież zadanie łatwe. Na wprowadzenie panny w świat, na otwarcie domu — potrzebne

były środki. Tymczasem stan interesów ojca pisarza był poprostu fatalny. Poważne ekspensa, jakie pociągała za sobą kuracja żony, wyniszczyły wszelkie zasoby. Sprzedano nawet posażne Katerlanki klejnoty, a srebra były już dawno u żydów w zastawie. Biedny pan Wincenty, jeśli co miał naprawdę, to chyba tylko długi. W tem niewesołym położeniu los łaskawy przyszedł mu wreszcie z pomocą. Przyszedł rok urodzaju, wpłynęła też niespodzianie niewielka z Galicji sukcesja, legat po zmarłej właśnie stryjence Kajetanowej.

Pogodnemu z natury panu Wincentemu rozjaśnił się horyzont życiowy. Nastąpił w Ciekotach krótkotrwały zresztą renesans dobrobytu, minęły miesiące żałoby, złożono wizyty w sąsiedztwach, dawno niewidziana postać starzejącego się już wodzireja lat dawnych ukazała się na posadźce salonów, na balach ziemiańskich i zabawach karnawałowych. Córka robiła «furorę», a starszy pan promieniał z dumy i zadowolenia.

I wszystko potoczyłoby się niewątpliwie przewidzianym, od wieków ustalonym trybem, gdyby nie nieopatrzna rada przyjaciół i zła losu fatalność. Łatwowiernemu ojcu, który u boku pięknej Olesi drugą swą młodość, zda się, przeżywał, podszeptano myśl niefortunną ponownego rozniecienia ogniska domowego w Ciekotach, otwarcia salonu, nadania mu powagi przez osobę nowej pani domu, która otoczy miłością jego dziatwę, młodszą dziewczuszkę wychowa, a starszą wyda zamaż rozumnie i według wszelkiej tradycyjnej etykiety.

Niepowołane swaty prowadzono energicznie i... ze skutkiem.

Wiosną roku 1881 gruchnęła wieść niespodziana

o powtórnym małżeństwie pana Wincentego. Rodzina dowiedziała się o tem, gdy fakt był dokonany. Nawet rodzoną siostrę, Józefatę, zawiadomił stary pan Żeromski o powtórny marjażu już po ślubie.

Drugą żoną Wincentego Żeromskiego została panna Antonina Zeithelmówna, osoba poważna, licząca już lat 50, wykształcona, (nauczycielka) i bezprzeczenie rozumna. Niestety, nie była to kobieta, posiadająca dar przystosowywania się do ciężkich obowiązków matki cudzych dzieci. Nie umiała sobie jednać serc, nie rozumiała młodych. Nie miała też ochoty nikomu się poświęcać. To też zrozumiałej w podobnych wypadkach nieufności dzieci swego męża nie usiłowała rozpraszać i pozostała dla nich zimną i obcą. Młodszej pasierbicy nie zaprosiła do domu męża z Kurzelowa i wychowywać jej nie pragnęła.

Rachuby zatem, jakie z ponownym małżeństwem pana Wincentego w samym założeniu tego planu były związane, okazały się najzupełniej zawodne. Co więcej, dały w efekcie wynik najmniej spodziewany — zgaszanie radości życia w piersi wstępującej w nie pod różowemi dotąd auspicjami Olesi. Panienska, tem więcej stanowcza, że naprawdę inteligentna, nie pogodziła się w duszy z nowym porządkiem rzeczy, jaki zapanował w Ciekotach. Sposępniała, usunęła się z widowni życia towarzyskiego, tłómacząc się przesytem i kroiliła na mizantropkę. W rzeczywistości w piersi jej dojrzewał bunt i ziarno przyszłego konfliktu padło w dusze obu obcych sobie kobiet.

.....

Podobno stosunkowo najmniejsze wrażenie wywarło powtórne małżeństwo ojca na Stefana. Podobno. Może, jako mężczyzna, więcej był skłonny do bagatelizowania tej odmiany, może sprzyjała temu okoliczność, że właściwie w Ciekotach bywał już tylko gościem, a może nawet do pewnego stopnia podzielał plany ojca. Tak czy inaczej, u uczuciowego młodzieńca nie mógł nie odezwać się przykrem echem fakt, że miejsce uwielbianej a tak niedawno zgastej matki zajęła w domu rodzinnym osoba obca.

Pani Antonina Żeromska, jeśli usiłowała kiedykolwiek zabiegać o zjednanie sobie przychylności dzieci męża, to chyba tylko w stosunku do pasierba. Zabiegi te były zapewne niezawsze fortunne i niekoniecznie właściwe, ale to do rzeczy nie należy. Bądź co bądź, stosunek wzajemny między pasierbem a macochą utrzymywał się w granicach szacunku i poprawności. W latach późniejszych gdy Stefan Żeromski był już sławny, macocha niejednokrotnie akcentowała pragnienie podtrzymania z nim związku pokrewieństwa. Punktów stycznych atoli zbrakło. Miarą poczucia kruchego obowiązku, jaki z małżeństwa ojca mógł wynikać, był jednak fakt, że znakomity pisarz przez szereg lat ostatnich wspierał osobę tę materjalnie aż do jej zgonu (1920).

Jedną z przyczyn, dla których młody chłopiec bardzo taktownie i lojalnie nie zdradził się ze swą dezaprobatą małżeństwa pana Wincentego, była niewątpliwie silna miłość synowska.

Zresztą, zbyt był wówczas zaabsorbowany swą pracą literacką i przyjaciółmi-księgami.

.....

Na rok 1882, gdy chłopiec miał już rok ośmna-
sty, przypada niezmiernie ważna epoka jego młodości.
Zbudziło się w nim serce. Przemówiło pierwsze uczu-
cie z całą siłą entuzjazmu i wybuchowości.

Wspominaliśmy już, że w domu ciotki Matyldy
wychowywała się wnuczka jej siostry. Była to panna
Ludwika Dunin-Borkowska, rówieśnica pisarza i bliska
kuzynka (matką jej była Józefata, córka Ludwika z Że-
romskich Wiktorynowej Saskiej), dziewczę wyjątkowej
słodczy charakteru. Za życia pani Matyldy, gdy Stefan
mieszkał u ciotki, widywali się dość rzadko, panienka
bowiem przyjeżdżała z pensjonatu pani Pecqowej w Su-
chedniowie tylko na święta. Zнали się jednak, jako
dzieci, doskonale. Przyjaźń to była dziecinna, ale ser-
deczna. Różnice upodobań były ogromne. Stefanek —
poważny sensat, a Ludwinia — istny wicher psoty,
humoru i wesołości.

Po śmierci matki i powtórnem małżeństwie ojca
nadszedł okres czasu, gdy Stefan nie wyrwał się już
do Ciekot z takim zapalem i tęsknotą, jak dawniej.
Niejednokrotnie zostawał na święta w Kielcach, gdzie
zatrzymywały go zaległości szkolne i korepetycje. Wów-
czas to zetknął się ponownie z Ludwinią, kończącą
już wtedy nauki. Ludwinia podczas feryj szkolnych
przebywała najczęściej u ciotki swej, adwokatowej Wa-
lentyny Koczanowiczowej, gdzie częstym gościem by-
wał i Stefan. W tym czasie po raz pierwszy spojrzął na
prześliczną dziewczynę innemi, niż dotychczas, oczyma.
Bo Ludwinia była wyjątkowo piękna. Miała olbrzymie
ciemnoniebieskie źrenice, bujne czarne warkocz, profil
czysty i nieskalany, a nadewszystko wdzięk dziewczęcy,

wdzięk niezrównany, którym, nie wiedząc jeszcze o tem,
rozbrajała i u'arzmiała najbardziej opancerzone serca
młodzieży. Kochało się w niej i słało grad westchnień
pod stopy całe pokolenie uczniowskie.

I Stefan rozkochał się w «siostrzenicy» swej bez
pamięci. Pisywał skrycie na jej cześć sonety, modlił się
przed swym ołtarzykiem w kościele św. Trójcy o jej
szczęście i zachowanie tej wyjątkowej czystości serca,
jaka w niej była. Píše o tem w swym pamiętniku.
Kreśli dzieje swego serca rzewnie i boleśnie, widzi
bowiem aż nadto, że, niestety, szans żadnych na zdo-
bycie serduszka jej nie posiada. Serduszko to uderzało
dlań zresztą bardzo tkliwie, ale tylko uczuciem siostry.
Przemięły trzpiot nie pojmował, że Stefanek, towarzysz
zabaw dziecinnych, Stefanek-mruk i samotnik, Stefanek,
jeden z najbliższych krewnych, chłopiec swój, brat
niemal — może się w niej kochać. Na samą myśl
o tem śmiech ją pusty ogarniał i z komicznem nama-
szczeniem przywoływała go do porządku, zalecając
w pensjonarskich liścikach, by się zajął książką i pracą.
Stefanek zaś listy te z nabożeństwem wklejał do swego
dzienniczka i coraz głębszy smutek spływał mu do bied-
nego odtraconego serca.

I powtórzyła się tu raz jeszcze historia miłości
niezrozumianej i niepodzielonej, powtórzyły się dzieje
uczuc Karola Mecherzyńskiego do kuzynki Józji Że-
romskiej.

Młodzieniec rozpaczał cicho, ale czuł, że inaczej
być nie może. Ludwinia, choć o parę miesięcy młodsza,
była już dorastającą panną, a on, biedaczysko, zaledwo
dobrnął do piątej klasy i Bóg wie, ile lat jeszcze dzieli

go od chwili, kiedy zdobędzie chleb i jakie takie podstawy bytu. A choćby nawet było inaczej, cóż poradzi, skoro Ludwinia ma dla niego uczucia tylko siostrzane?

Zamknął więc w głębi serca swój bolesny zawód i zwierzał się tylko pamiętnikowi. Ileż tam jest zachwyków i uniesień! Jakie słodkie i poetyczne imiona nosi wyśniony ideał! Ludwinia, Ludwisia, Luiza, Ludka, Luda i t. d. w rozlicznych odmianach.

Ludwinia tymczasem wiosną roku 1883 ukończyła pensję i... zaręczyła się. Wiadomość tę poeta odczuł boleśnie i pocichutku opłakał. Bolesć swą, śladem mistrzów swych romantyków, ujął w rymy i wręczył ukochanej spokojny, opanowany, ale smutkiem bezbrzeżnym przesiąknięty wiersz pożegnalny, który poniżej przytaczamy:

Wszyscy Ci hołdy niosą w ofierze,
Wszyscy przed Tobą schylają czoła —
Cóż Ci pod stopy złoży w tej mierze
Śpiewak nieznan z cichego sioła?

Łos Ci się śmieje, serce kołacze,
Złote marzenia wiją się tęczą,
Więc zapominasz, że tam ktoś płacze,
Że ludzie ciężko w niedoli jęczą...

Że nieraz z bólu wśród zapomnienia
Leci ku Niebu skarga jęcząca
Na los, co w piekło ziemię zamienia,
Co zawsze szczęście bólem zamąca...

Smutno Ci nucę!... lecz los mój taki,
Nigdy szczęsnego nie wydać tonu,
Zawsze do nuty wracać jednakiej:
Do łez i cierpień, boleści zgonu!...

Przebacz więc, przebacz!.. Ty jedna może
Umiesz przebaczać winy śpiewaka...
Może ostatni raz już!.. O, Boże!
Czy zawsze doła moja już taka?..

Ja Cię poznałem, pojąłem Ciebie,
Pojąłem każde serduszka drzenie,
Rozumiem myśl Twą, co buja w Niebie,
Rozumiem każde Twoje marzenie!..

.....
Ty w świat, do ludzi, a ja — do liry!
Do domku mego pokorny wróć
Rzucać w twarz ludziom ostre satyry,
Bo wesołego ja nic nie nucę...

Ty mię zapomnisz — a ja o Tobie,
Jak o Aniele zawsze śnić będę,
Śnić będę zawsze, aż gdzieś przy grobie
Nić Ci z snów moich złotą uprzedę...

Bywaj mi zdrowa! — może na wieki...
Żegnaj mi, żegnaj, Aniele święty!..
My, jak w dwie strony bieżące rzeki,
Zawsze w dwie strony tór toczym kręty!

.....
Idź drogą cnoty po drodze życia,
Idź drogą prawdy — tak wiara każe.
Chyl życia puchar — wszak on do picia,
Chyl go więc do dna Bogu w ofiarze!

Polko! na biednej ziemi zrodzona,
Pomnij, że ona matką Twą była!
Że krwią Twych ojców, braci zroszona
Każda tej ziemi rodzajnej bryła!

Smutno mi, smutno! sam nie wiem czemu,
Że nas na wieki tak los rozdziela...
Więc nigdy szczęścia sercu mojemu,
Więc nigdy duszy mojej wesela?!

Tych, com ukochał, — los mi wydziera...
Inni w ich sercach królestwa mają —
Moje uczucia losu siekiera
Nieubłaganą swą rąbą stala!..

— — — — —
Szczęść Ci, szczęść Boże na życia fali!..
Bądź serca mego zdrów Cherubinie!..
Gdy już na wieki zginiem w oddali,
Wspomnij niekiedy smętne me imię!

Stefan

Na czwartej stronie arkusika widnieje przezorne zastrzeżenie: «Po przeczytaniu proszę niezwłocznie zniszczyć tę kartkę! Stefan».

Młody był bardzo jeszcze Stefanek i niedoświadczony, jeśli w skuteczność prośby tej wierzył. Czyż po wsze czasy — i wczoraj i dziś i jutro — znajdziemy niewiastę, zwłaszcza dziewczynę młodą i romantyczną, któraby popełniła takie świętokradztwo? Można nie kochać — to prawda, ale poezji na swą cześć, słów uwielbienia, wyrwanych z głębi czyjegoś miłującego serca, nie niszczy się nigdy.

O wiele płomienniejszy, bardziej szczerzy i bezpośredni, odważniej rozpacz serdeczną malujący wiersz «Do Luizy» skreślił Żeromski w swym dzienniczku. Deklamował go później sam dla siebie przy księżycu, według wszelkich zasad bajronizmu.

Ślub Ludwini z inżynierem komunikacji, panem Z., człowiekiem wyjątkowej szlachetności, prawym patriotą,

jednostką pod każdym względem dzielną i pożyteczną, odbył się we wrześniu tegoż roku. Zawiedziony poeta pozostawał z młodą parą w stosunkach bardzo przyjaznych i serdecznych. Rozdzieleni po kilku latach przez wyjazd państwa Z. do Rosji, nie widzieli się już więcej, zażyły kontakt jednak życzliwych dusz nie zerwał się nigdy, podtrzymywany przez rzadką ale ciepłą wymianę listów.

Bolesny cios, jaki spadł na młode serce Żeromskiego, miał duży wpływ na ukształtowanie się jego pesymistycznego światopoglądu. Stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie, nieufny i pełen ukrytej gorczy. Gorczy ta mogła jeszcze z czasem ustąpić. Uczucia takie, acz silne i głębokie, przeżyte jednak we wczesnej bardzo młodości, mają to do siebie, że nie pozostawiają niezabliźnionych ran. Jeden radośniejszy uśmiech losu, zmiana wrażeń, wszystko kojąca praca literacka — mogły zatrzeć uczucie zbyt dojmującego cierpienia.

Niestety, życie nadto skąpe było w uśmiechy dla młodego pisarza. Nie szczędziło mu za to doświadczeń i rozczarowań.

Jednym z doświadczeń tych, które spadło nań prawie jednocześnie z zawodem pierwszej miłości, była tragedia rodzinna, jaka się rozegrała w Ciekotach.

Olesia Żeromska, jak wspominaliśmy, była dziewczyną bardzo inteligentną. W domu rodzinnym uchodziła za znacznie zdolniejszą od brata. Ta świadomość wyższości umysłowej przy wrodzonej dumie wyrobiła w niej wybujały indywidualizm i stanowczość. Płynęła

stąd niechęć do uznawania czyjegokolwiek autorytetu, któryby ze strony niepowołanej chciał jej swe zdanie narzucać. A taki autorytet najniespodziewaniej wyrósł w jej własnym domu w osobie macochy, osoby niemłodej, również inteligentnej i uzbrojonej w cały kodeks ustalonych pojęć, zasad i konwencjonalnych przepisów. Młoda dziewczyna bardzo kochała i szanowała ojca. O ile jednak liczyła się z jego zdaniem, które, nawiasem mówiąc, było dotychczas echem życzeń i kaprysów córki, o tyle nie chciała uznać stanowiska pani Antoniny. Macocha była dla niej wciąż jeszcze tylko gościem i intruzem.

Pola do różnicy zdań przy takim nastawieniu umysłów nigdy nie zbraknie. Niejednokrotnie wytworzyły się sytuacje, grożące wyraźnym konfliktem. Nie były to kłótnie albo sprzeczki — obie strony za wiele miały na to kultury, by się do tego poziomu zniżyć — lecz silne zaznaczenie odmiennych światopoglądów przez dwie indywidualności odrębne i wysoce sobie niechętne. Pan Wincenty znalazł się w położeniu niezmiernie kłopotliwym. Widział wyraźnie, że cały jego życiowy eksperyment okazał się pomysłem chybionym i walczył w głębi duszy pomiędzy poczuciem obowiązku i kurtuazji względem żony a sentymentem ojcowskim. Oscylowanie pomiędzy tymi biegunami wymagało zdolności dyplomaty, których starszy pan nie posiadał. Całe swe życie unikał połowiczności i nie stać go było na dwulicową politykę. Przytem należy wziąć pod uwagę, że stanowisko, jakie w wypadkach spornych zajmowała pani Antonina, wyrastało na gruncie zasad tej epoki, która i jego wychowała. Pozytywnie zatem nie mógł odmówić zdaniu

Wszystko Ci hotdy mroze, w ofierze,
Wszystko przed Tobą schyla się, cnota
Cóż Ci pod stopy stoisz w tej mrozie
Spsiwak mierzony z każdego siota?

Pos Ci się imwie, serce hotacze,
Tobie mierzona wija się tycza,
Wzroć wspominaś, że tam ktoś jatacze,
Ze ludkie ciętko w miodki jęroz...

Ze miorar i bōlni srod wspomnienia
Leci ku Krebu skarga jęraca
Na los, co w prehto wozny ramienia,
Co rawsre sergicie bolem ramaca...

Smutno Ci miog!... lecz los mój taki
Nigdy sergonego me wydać tonu,
Lawere dla nuty wracai jednaterij:
Do ter i sergpreri, bōksici rganu!

Porbaor więc prebaor!... Ty jedna moim
Uwiesz prebaorai wozny spsiewaka...
Moie astadni rai jui!... O Boie!
Czy rawsre dola moja jui taka?..

jej słuszności, było to bowiem zdanie zawsze rozważne i uzasadnione. Że nie wypływało z serca, że dyktował je tylko zimny rozum kobiety, która nigdy dzieci nie miała, że, mając do wyboru kilkorakie postawienie kwestji, dawała pierwszeństwo redakcji najsurowszej — w tych subtelnościach nie orjentował się pan Wincenty. Kiedy więc nadszedł moment nieuniknionego, bo dawno spodziewanego starcia w sprawie wagi niemależ, całą powagą swą poparł, bo musiał poprzeć, stanowisko małżonki.

Dla panienki było to niespodzianką, którą odczuła bardzo boleśnie. Ów nieoczekiwany przeskok od uległości, z jaką dotychczas ze strony ojca miała do czynienia, zaskoczył ją, jak niezasłużony policzek. Nie zareagowała ani jednym słowem. Zamknęła obrazę w duszy i w swym dziewczęcym pokoiku przeżyła zapewne jedną z najboleśniejszych w życiu ludzkim nocy, przeżyła godziny ciężkich zmagañ, z jakich wynikają niekiedy decyzje, które na całej przyszłości zaważyć mają. Decyzje szalone. Taką szaloną decyzję podyktowała nieszczęśliwej Olesi jej duma i upór bez granic. Postanowiła opuścić dom ojca, iść w świat daleko, pracować na chleb, być samodzielną, zależeć tylko od siebie.

Rankiem dnia następnego na głowę starego ojca spadła wieść groźna i niespodziana. Doniesiono mu, że «panienka» znikła bez śladu. Nie wzięła z sobą nic, nawet na owinięcie palca, poszła przed siebie piechotą, zmyliła przezornie wszelkie drogi, uciekła w posępny świt jesienny.

Rozpacz ojca nie znała granic. Dni i noce spędzał na poszukiwaniach, nie sypiał, nie jadł — szukał

wciąż Olesi. Dopiero po kilku tygodniach beznadziejnych wędrówek natrafił na mało prawdopodobną wersję i wyruszył aż w Sandomierskie. Plotka głosiła, że w jednym z gospodarstw rolnych tamtych okolic pracuje na dniówkę przy kopaniu buraków młoda dziewczyna z inteligencji. Była to prawda. Porywcza panienska przy wykształconym umyśle miała doświadczenie dziecka. Wybrała sposób zarobkowania najbardziej niefortunny, siłom jej i kwalifikacjom zupełnie nieodpowiedni i poszła «na bandosy», jakby na samej sobie mszcząc się i znęcając. Pozornie najłatwiejsze dla zachowania incognito przebranie chłopskie okazało się rychło zawodnem. Zdradziły ją wypieszczone dłonie i białe stopy. Towarzystki pracy poznały się odrazu na «szlachciance» i o utrzymaniu sekretu w tych warunkach Olesia marzyć nawet nie mogła.

Ojciec odnalazł ją. Dobre serce nie dyktowało mu wyrzutów, przebaczył córce wyrządzoną mu boleść i prosił, by powróciła do domu. Olesię rozbroiła miłość ojca, ale zacięła się w uporze i stawiała warunki. Niektóre z nich były zbyt fantastyczne, by je pan Wincenty mógł aprobować. Zaklinał więc, błagał, całował dziewczynę po umorusanych rękach tak długo, aż wreszcie zgodziła się włożyć przywiezione przez ojca sukienki i siadła do powozu.

Niestety, pożycie domowe po powrocie nie weszło pod znak pacyfikacji. Macocha z zasad swych nie czyniła najdrobniejszych nawet ustępstw, a nadto nie chciała przebaczyć Olesi «kompromitacji». W atmosferze tej dziewczyna dusiła się. Milczała całymi dniami, chodząc z kąta w kąt bez celu, lub zamykając się na

tygodnie w swym pokoju. Pan Wincenty był bezsilny. Nie umiał stosunków naprawić i nie wiedział, co począć.

Wiosną 1882 roku Olesia opuściła dom ojca po raz drugi. Przywieziono ją siłą niemal, ale nie na długo. Gdy znikła ponownie, zaniechano już poszukiwań.

Strata córki odbiła się poważnie na zdrowiu ojca pisarza. Rozwinęła się w nim groźna choroba serca, podsycana ustawiczną troską i niepokojem. Wszystkie uczucia popychały go ku odszukaniu ukochanego dziecka, a choroba i lojalność względem małżonki paraliżowały te porywy.

Gdzie ukrywała się Olesia, nikt nie wiedział. Doświadczenia prób poprzednich wyćwiczyły ją w pewnej przezorności, umiała się więc zakonspirować tak dobrze, że wieść o jej egzystencji nie dotarła do uszu rodziny. Po wielu, wielu latach dopiero, zbiegiem okoliczności, wypłynęła na światło dzienne relacja o jej walkach, staczanych z życiem. Trzeci exodus z domu zaprowadził ją do małego miasteczka w Kieleckiem. Zamieszkała ubogo w Jędrzejowie, odnajmując przy skromnej rodzinie mieszczańskiej małą izdebkę i zarabiając na życie lekcjami, udzielanymi w domach tamtejszej inteligencji pod nazwiskiem przybranem. Wieczorami szyła bieliznę. Zarobki jej były tak skromne, że głód bardzo często pukał do okna dziewczyny.

Niejeden bolesny moment przeżyła, niejedną tragedję. Była bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

Wreszcie...

Wiosną roku 1883 Stefan Żeromski wrócił z gimnazjum do domu ciotki swej Józefaty dziwnie zmieniony. Błady był, jak chusta, usta zacisnął kurczowo,

usiadł przy swym stoliku uczniowskim i twarz ukrył w dłoniach. Na zapytanie siostry ciotecznej, Kazimiery, co mu dolega, powiedział głucho:

— Piorun uderzył we mnie!

Tym gromem była wieść o siostrze. Wieść zgoła niewiarogodna, brutalna. Podały mu ją czyjeś usta niegodziwe, usta usługane a okrutne. Olesia wyszła zamąż za Rosjanina i wyjechała z Polski nazawsze.

Czem był taki postępek w czasach owych, wie każdy z nas. Istota, która się na krok taki ważyła, umierała dla najbliższych.

Umarła tak i Olesia. Aby zaś wpoić w wszystkich przekonanie, że umarła naprawdę, stojący nad grobem ojciec ostatkiem sił zawiadomił całą rodzinę, że otrzymał sprawdzoną, autentyczną wiadomość o śmierci córki swej, Aleksandry.

Było to okrucieństwo. Okrucieństwo, uważane w nienormalnych warunkach życia polskiego za cnotę.

Wspomnienie nieszczęśliwej dziewczyny było dzieciną, której nie poruszało się nigdy. Stefan Żeromski do śmierci nie pozwalał wspominać jej imienia, nie przebaczył, nie wyrozumiał, nie zapomniał. Zapiekł się w nim ból, mściwą niepamięć vendetty rodzinnej rzucił na tę mogiłę, usypaną za życia.

Biedna Olesia!...

Ta rodzinna tragedia, której niepodobna nie porużyć, jeśli się chce naprawdę wejść na ścieżyny poznania duszy Żeromskiego, była dla młodego charakteru istnym kataklizmem. Od chwili, gdy weń ów «piorun uderzył» pesymizm rozsiadł się w jego piersi

nieodwołalnie i na długo, nadając całej prawie przyszłej twórczości zabarwienie zdecydowane i nastrój posępny.

Wspomnienie siostry było wciąż cierniem krającym serce, było raną, która nie zagoiła się nigdy. Staowało mu u węzłowia, jak widmo pokutującej grzesznicy, przesłaniało swym cieniem fantazję twórczą. Chciał cierń ten wyrwać z serca, zapragnął widmo zakląć w jedno z swych dzieł, po literacku ucieleśnić i dla siebie niejako unieszkodliwić. Wiedział z doświadczenia pisarza, że wszelka wizja twórcza przestaje niepokoić i sen odpędzać z powiek po ostatecznym przelaniu na papier. Stworzył więc «Dzieje grzechu», dzieło dużej miary i dużych eo ipso wad.

Historja Ewy Pobratyńskiej nie ma, rzecz oczywista, nic wspólnego z dziejami Olesi. Dziedziczy po niej jednak zasadniczą cechę charakteru bohaterki — jej bunt wobec środowiska rodzinnego, jej los i walkę z życiowym fatum. Tragiczna z polskiego punktu widzenia postać Olesi była tu nieodpartym impulsem twórczym, któremu dzieło to literatura polska zawdzięcza.

Ojciec pisarza nie przeżył ciosu, który go dotknął tak nieoczekiwanie. Wrażliwe i chore serce nie wytrzymało próby. Dnia 23 września 1883 roku życie zakończył. Zmarł na udar sercowy, podobnie, jak w 42 lata później zgasł i jego jedynak.

Pozostawił po sobie żal powszechny i wspomnienie człowieka niezmiernie dobrego.

Pochowano go na cmentarzu leszczyńskim u boku pani Józefy.

Grube, nieme łzy potoczyły się po twarzy Stefana na ojcowską mogiłę. Zrozumiał swą ostateczną już samotność. Pojął, że traci w starcu tym ostatnią więź z przeszłością i pogodą życia, że grzebie ostatni promień wiary w świat ciepły i serdeczny, ostatnie złudzenie atawistycznej beztroski.

.

Dramat rodzinny, śmierć ojca i zamążpójście ukochanej — zbiegły się razem. Młody chłopiec cały ten spłot nieszczęść zamknął w duszy. Nie miał z kim bólu swego podzielić, był w Kielcach absolutnie sam. Dużo dobrego mogłaby tu zdziałać perswazja pani Józefaty, która na synowca miała znaczny wpływ. Wspólne straty łączą w takich wypadkach jeszcze bardziej, a wymiana bolesnych myśli koi cierpienie. Ciotka Józefata posiadała przy tem dar łagodzenia zbyt dojmującego żalu i rozpraszania trujących myśli. Niestety, dobrej staruszki nie było już w Kielcach. Przekazawszy gospodarstwo w Rudzie całkowicie najstarszemu synowi, Teofilowi, zwinęła swój dom w Kielcach i osiadła u syna Józefata, administratora dóbr Popielów w Kurówkach. Stefan jesienią 1883, idąc przez życie wyjątkowo o własnych już siłach, zamieszkał na stacji u p. Czaplickiej, jako korepetytor całej gromadki uczniów. Tu bezpośrednio po śmierci ojca zmogły go straszne przeżycia i przykuły do łóżka. Kilka tygodni przeleżał w gorączce, która się później na jego zdrowiu odbiła fatalnie. Nadszarpięty chorobą i niedoleczony organizm nie mógł się już podźwignąć. Żyjąc w warunkach trudnych, bez dbałej opieki, niedostatecznie odżywiany, ubrany źle — stale się odtąd zaziębiał

i pokaszliwał. Nie był to jeszcze kaszel suchotnika, ale niedomaganie bardzo niebezpieczne, zważywszy dziedziczną czy też przez obcowanie z chorą matką nabytą do gruźlicy predyspozycję.

Gdyby miał jeszcze dbałą rodziców opiekę i pomoc materjalną, mógłby się łatwo z niedomagania tego przy tak silnym organizmie wydobyć. Tych przyjaznych czynników brakło mu jednak najzupełniej. Po śmierci ojca stosunki ułożyły się w ten sposób, że dzierżawę Ciekot potraktowano, jako zabezpieczenie starości pani Antoniny, dzieci zaś, t. j. Stefanek i Bolcia, nie odziedziczyły po rodzicach nic zgoła.

Jak Żeromski był wówczas biedny, jak brakowało mu nawet najelementarniejszych do życia niezbędnych rzeczy, niech świadczy przytoczony poniżej jego list, pisany wiosną 1884 r. do siostry Bolesławy, przebywającej wówczas w Rudzie u Teofila Saskiego, ożenionego niedawno z siostrą cioteczną pisarza, Bolesławą z Necanda-Trepków. Jest to jeden z nielicznych listów Żeromskiego, jakie z tych czasów się dochowały. Zmuszony do zarabiania na chleb powszedni, troskał się przed nadchodzącymi wakacjami o letnie kondycje, a nie miał nawet bielizny.

Kochana Bolciu! Prawdopodobnie pojedę na Ukrainę. W tym tygodniu przyjeżdża pani Z. i jeśli bym jechał — to najdalej w niedzielę. Proszę Cię więc na wszystko, przyślij mi choć trochę bielizny, bo tu nie mam nic czystego, a o jednej brudnej koszuli wyjeżdżać niepodobna. Moja Najdroższa, przepraszam Cię, że robię Wam moją osobą tyle ambarasu, ale cóż począć. Jeżeli bym

nie jechał na Ukrainę — to pojedę na wakacje do jednego ucznia na korepetycje pod Warszawę, ale przy końcu wakacyj na jakie dwa tygodnie bezwarunkowo do Was zajadę. Zlitujcie się i przyslijcie tę bieliznę, bo nie wiem, cobym nawet robił. Najlepiej odnieść by ją mógł, kto ją tam przyniesie, do Kł., bo tam teraz moje locum tymczasowe. Całuję Was po tysiąc razy.

Czwartek (maj 1884).

Stefan.

Uparty bronchitowy kaszel, który mu wiernie towarzyszył przez kilka lat aż do opuszczenia gimnazjum, był powodem szkolnego pisarza przezwiska. Częste krztuszenie się przy atakach dokuczliwego kaszlu pobudziło dowcipnych urwisów do obdarzenia go przydomkiem Kawki. Młodemu pocie nie sprawiało to snąć przykrości, skoro w dziełach swych po kilkakroć przezwisko to wspomina. Kawką przezywano wszak korepetytora Paluszkiewicza, zmarłego na suchoty w «Syzyfowych pracach», Kawka, «kudłaty Kawica», występuje też w noweli «Doktor Piotr». O Kawce mówią również wspomnienia kolegów pisarza, drukowane w «Księdze Kielczan».

Pewną osłodą samotności stało się dlań w tych latach życie koleżeńskie. Wspominaliśmy już poprzednio, że Stefanek nie łatwo zżywał się z towarzyszącymi z ławy szkolnej. Przed klasą szóstą przyjaźnił się jedynie z kolegą Wacławem Halikiem, o którym w dzienniku swym wspomina z ogromną serdecznością. Później nieco zbliżył się i zaprzyjaźnił z Wacławem Machajskim, chłopcem z ludu, który po ukończeniu progim-

nazjum w Pińczowie wstąpił do klasy 5-ej w Kielcach, tudzież z Janem Stróżeckim. Obaj ci chłopcy byli w latach dojrzałych zesłańcami i działaczami politycznymi. Ścisłe patriotyczne ideały ich z czasów zażyłości z Żeromskim uległy później wielu metamorfozom, które u Machajskiego wzięły obrót całkiem nieoczekiwany.

Jako młody chłopiec, a później student uniwersytetu, Wacław Machajski, najserdeczniejszy z młodzieńczych przyjaciół Stefana, był gorącym patriotą, a nawet, rzecz szczególna, miał wszelkie cechy psychiczne umysłów konserwatywnych. Lewicowe polityki niektórych towarzyszy traktował z niechęcią i uprzedzeniem. Do Żeromskiego był przywiązany niesłychanie. Widząc jego ogromną niepraktyczność i nieporadność życiową, opiekował się nim, jak dzieckiem. Dzisiejszy dygnitarz Rosji sowieckiej i, jak go sam Żeromski w «Księdze Kielczan» nazywa, «herezjarcha społeczny», był chłopcem bardzo dobrym i uczynnym. Dobrze postawiony w matematyce, pomagał Stefankowi w opracowywaniu zadanych lekcji, zwłaszcza w okresie złowróżbnych egzaminów przejściowych.

Świadectwem tych serdecznych stosunków, jakie obu chłopców łączyły, jest piękna postać Andrzeja Radka, jednego z głównych bohaterów «Syzyfowych prac», skopjowana jak najdokładniej z Wacława Machajskiego z całą jego chłopską tężyzną i prostotą. Na ławie gimnazjalnej marzeniem Machajskiego było zostać aktorem. Nosił w imię tych artystycznych zamiarów długie włosy, ścigane przez zwierzchność szkolną i deklamował z pamięci najbardziej fascynujące role z dramatów Słowackiego, którego obaj narówni uwielbiali.

— Raz zagrać wielką rolę i skonać! — było najpiękniejszym niedoścignionym marzeniem.

W mieszkaniu uczniowskim Machajskiego, opisanem wiernie w »Syzyfowych pracach« chłopcy uczyli się wspólnie, czytali i w ścisłym kółku koleżeńskim prowadzili namiętne dysputy.

«Czytaliśmy, co tylko gdzie było na placu, w jakiegokolwiek szafie, — zwierza się Żeromski w swem wspomnieniu szkolnem p. t. «Wybieg instynktu», — Wiktora Hugo i Karola Libelta, Słowackiego i Turgenjewa, Henryka Tomasza Buckle'a i Brandesa, Mickiewicza i Drapera, Quineta i Sienkiewicza.

Czasami w księżycowe noce wykradaliśmy się przez okno i jedną z owych starych bram chyłkiem za miasto, na przedmieście, zwane «Pocieszką» aż na odludną szosę warszawską. Tam w pustce zupełnej, podczas cichej nocy Jan Waław wygłaszał monolog Nika z «Marji Stuart», wiersz do matki, lub «Grób Agamemnona» Słowackiego. Nik — była to główna i najbardziej imponująca rola w repertuarze Jana Waława. Nie była jednak jedyną. Pasowała najbardziej do jego temperamentu, upodobań, brzmienia głosu, — «grała się sama». Jan Waław, prymus wieczny i kandydat do złotego medalu, wyobrażał sobie podówczas, że jest najznakomitszym na kuli ziemskiej aktorem, wielkim tragikiem i płomiennym artystą. Nosił długie włosy, tak zakazane i karygodnie długie, iż niemało wycierpiał prześladowań od dyrektora gimnazjum Siewierjana Januarjewicza Wo-

ronkowa, srogiego (z wierzchu) tyrana, a niedołęznego w gruncie rzeczy safandufy. Żadne wszakże kary, groźby i wrzaski, tupanie nogami i nerownskie nastawianie okularów na długowłosego winowajcę nie mogły skłonić Jana Waława do ostrzyżenia absalonowych pukłów.

Długie włosy bardziej, niż temu prymusowi, byłyby «śpiłowały» mnie samemu, gimnazjalnemu, kielecko-miejskiemu, jednemu na powiat, a kto wie, czy nie na gubernję, pocie, autorowi sławnych na całą naszą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów... bruljonów, grubych jak słownik Knapskiego, pełnych poematów w «dwunastu pieśniach», liryk, «przenikliwych» studjów, krytyk, inwektyw, polemik, filipik. Jan Waław mógł sobie pozwolić na długie włosy. «Ja strzygłem swe kędziory, byleby choć w ten sposób zażegnować licha. Jan Waław marzył o zagranium wielkiej roli». «Zatopiony wówczas po same uszy w Słowackim Jan Waław nie przeczuwał, iż wypadnie mu zagrać «wielką rolę» na scenie sto tysięcy razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosji, Francji, że to on, Nik zapamiętały z naszej wspólnej ławki, stanie się społecznym herezjarchą, wodzem tłumów, krwawym mistrzem w dziele tworzenia rewolucji proletarjackiej i że wielkie rzesze nędzarzy, brodiagów, baciarów bez domu i mienia iść będą za nim w ogień i wodę, ślepo wierząc w jego dziką «machajewszczyznę». Ośmnastoletnie serce ani wiedziało wówczas, ile

ta rola kosztować będzie, gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie je skaże «vincula, vulnera, exilium», jak je z granic ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej, niż sama krótka śmierć».

W starszych klasach gimnazjalnych Stefanek, mimo swej «mrukliwości», był nie tylko przez swych przyjaciół, ale i przez ogół kolegów lubiany i ceniony. Doceniano jego zdolności, o których fama, wbrew woli chłopca, rozniosła się szeroko i przeczuwano niejako tę niepospolitą umysłu i charakteru, która w przyszłości miała go wynieść na czoło społeczeństwa. Żeromski znany był przytem ze swojej rzadkiej szlachetności i gorącego patriotyzmu. Wpływ jego w zakresie budzenia ducha narodowego był ogromny. Historję Polski znał wyjątkowo dokładnie, przestudjował wszystkie, tak niedostępne w owych czasach źródła dziejów porobiorowych, zaznajomił się nawet ze strategiczną oceną walk niepodległościowych i siłą swego uczucia promieniował na otoczenie.

Młodzieniec, zdając sobie sprawę ze zgubnego systemu rusyfikacyjnego, stosowanego w szkole i obserwując z goryczą szczyry i skazy, jakie w duszach zahukanej młodzieży gimnazjalnej system ów złościł, świadomie nie pomijał żadnej okazji, która w tarczę sumień i zaniedbanego uświadomienia narodowego pozwalała uderzyć. Zebrania koleżeńskie, wobec konieczności konspirowania ich, bywały z natury rzeczy bardzo nieliczne. O zorganizowaniu jakichkolwiek kół samokształceniowych, o wygłaszaniu przed szerszym audytorjum koleżeńskim referatów i odczytów — mowy

być nie mogło. Zbiorowe wydalenia, wilcze bilety i pozbawienie wolności — stały wszak na straży i uniemożliwiały wszelkie podobne «wybryki». Jedyłą trybuną, dzięki której rzadka w obstonkach i z wielką ostrożnością coś nie coś z dziedziny słowa i myśli polskiej można było przemycić, były tak zwane koncerty dobroczynne na wpisy szkolne, jakie młodzież kiedy niekiedy urządzała. Koncerty te, organizowane przez młodzież zarówno «miejscową», jak rosyjską, nie uchodziły za imprezę ściśle polską i dlatego przez zwierzchność szkolną były do czasu tolerowane. Później — i ten szcążkowy objaw tolerancji zdławiono. Powodem tej represji było zbyt zżywanie się młodzieży w czasie przygotowań i prób, szkodliwa z państwowego punktu widzenia swoboda wymiany myśli, a nade wszystko nieunikniona w programie koncertowym część wokalna, a więc polski śpiew i polska deklamacja. Cynizm nie był jeszcze posunięty tak daleko, by słowo polskie umieścić na indeksie. Język polski był przecież jednym z przedmiotów, które w szkole narówni z językami obcymi były wykładane, deklamacje więc uchodziły niejako za rodzaj popisu. Materjał, rzecz jasna, cenzurowano dokładnie, ale sam fakt głośnego recytowania arcydzieł poetów polskich zanadto ranił uszy. Położono więc tej «kramole» rychły kres. Miejsce koncertów uczniowskich w latach późniejszych wypełniły inne z nakazu kuratorjum warszawskiego dla młodzieży polskiej wymyślone rozrywki. Dzieckiem będąc, widziałem w murach tego samego gimnazjum kieleckiego owe bezprzykładne w historii cywilizacji spektakle, których oglądanie przez dzieci

polskie było obowiązkowe, patrzyłem na owe «tumannya kartinki», okazujące młodzieży pokonanego narodu niezdarne rysunki lampą projekcyjną rzucane na ekran. Cynizm, z którym się za czasów młodości Żeromskiego ukrywano, przekroczył już wszelkie granice. Oczy i serca nasze częstowano kolorowemi bredniami na temat: «Suworow zabija polskiego ułana», «Suworow wkracza do zdobytej Warszawy», lub fałszowanemi facsimilami rzekomych autografów carowej i kata Pragi, każąc podziwiać świetną lapidarność sztafetowego stylu: «Ura! Warszawa nasza! Suworow» i odpowiedzi, która była zarazem nominacją: «Ura! Fieldmarszał Suworow! Jekatierina». Epilogiem tego skandalu było zdemolowanie przez uczniów urzędzeń na szerokim korytarzu szkolnym, który w danym wypadku służył za salę dla widzów i wybicie wszystkich szyb w oknach. Śledztwo, prowadzone iście po żandarmsku przez dzielnych pedagogów, dało minimalne wyniki, «tumannya kartinki» zeszyły jednak z repertuaru i spektaklów zaprzestano. A było to już w roku 1904-ym, kiedy wielkie imperjum rosyjskie otrzymało na obszarach Mandżurji pierwszy cios i pierwsze ostrzeżenie.

Jeden z owych ostatnich koncertów dobroczynnych, przed skazaniem na banicję polszczyzny w ustach ucznia-Polaka, odbył się w Kielcach dnia 28 października 1883 roku.

Data owa zapisała się w kronikach gimnazjum kieleckiego dokładnie głównie z racji incydentu «politycznego» z Żeromskim. Stefanek, szóstoklasista już, a przytem renomowany deklamator, miał być, oczywiście, jednym z wykonawców starannie przez ogół

kolegów opracowanego programu. Jako numer popisowy nie bez ukrytej intencji wybrał «Maraton» Ujejskiego. Wiersz ów, przepojony uczuciem gorącego patriotyzmu, posiadający bardzo wyraźne z walkami o niepodległość Polski analogje, formalnie nie mógł uchodzić za nieprawomyślny. Odległa epoka wojny grecko-perskiej ocalała pozory. «Maraton» więc wyszedł z próby cenzuralnej ręką obronną ku ucieście całej gromady uczniowskiej, która sobie nielada wrażenie pod wpływem recytacji Żeromskiego obiecywała. «Księga pamiątkowa Kielczan» podaje kilka opisów tego pamiętnego koncertu. Urywki jednego z nich, pióra p. T. R. (zapewne p. Tomasza Ruśkiewicza), naoczego świadka i uczestnika pracy organizacyjnej koncertu, podajemy niżej:

«Wszystkie przygotowania do koncertu-monstre, jakiego świat uczniowski w Kielcach jeszcze nie widział — ukończono. Soliści popisowe numery opracowali i wystudjowali do najdrobniejszych szczegółów. Więc skrzypek Michajłow legendę i mazurki Wieniawskiego, w zanadrzu chowając na «bis» «Grossmütterchen» — «Babuszkę», do której skomponowania wbrew pewnemu przykazaniu Boskiemu przyznawał się z całą bezczelnością, plemienu jego właściwą; — dalej panna K., nad wyraz okazała dziewczoja... która w «Przebudzenie Iwa» Kąskiego włożyła cały swój temperament, a przedewszystkiem pasowany przez kolegów, ku zazdrości rywala, kolegi Ł., na wieszczą gimnazjum niezrównany deklamator, poeta, Stefan Żeromski, ze swoim «Maratonem» —

gwoździem całego spectaculum. O, bo Żeromski — młodzieniec wówczas 17-letni (w rzeczywistości miał już prawie 19 lat), był nielada odtwórcą słowa wiążanego i wstydu nie przynosił swemu mentorowi, profesorowi Bemowi, który był przecie nie tylko znakomitym historykiem literatury polskiej, ale i mistrzem w deklamacji i od pupila swego wymagał niesłychanych rzeczy. Ileż to razy — dźwięczny, barytonowy głos Żeromskiego, rozbrzmiewał w małym kółeczku koleżeńskim, natchnionem słowami wieszczka «na Termopilach ja się nie odważę osadzić konia w wązowym szlaku», a zasłuchani koledzy tworzyli obraz godny pędzla największego malarza.

No, ale tym razem w przededniu koncertu Antoni Gustaw Bem nie miał nic do powiedzenia. Nad wszystkimi i wszystkim czuwało czujne oko głównego reżysera, profesora Wabnera, znawcy i wielbiciela świata klasycznego, protektora sportów, gimnastyki i wszelkich kunsztów, uprawianych przez Spartanów, a powtarzającego uczniom ustawicznie znaną sentencję: «mens sana in corpore sano». Nic więc dziwnego, że do owego przedsięwzięcia artystycznego Bem odnosił się z dziwną nieufnością, może z urazy, że mu z pod jego wpływu wyrwano na ten raz pupila Żeromskiego, może przez niechęć do «obskurantyzmu» inicjatorów, których jego pozytywistyczna i krytyczna dusza strawić nie mogła; Bóg to raczej wiedzieć, słowem zgóry można było twierdzić, że koncert ów spotka się z jego strony z surową

krytyką. Wobec ukończenia, jak się rzekło, wszystkich przygotowań, wyznaczono dzień generalnej próby. Pedagodzy, mamy, ciocie, młodzież obojga płci, starsi i młodzi, całe to bractwo ściągnęło tłumnie i zapewniło szczerze widownię teatru.

Przedstawienie rozpoczęła kantata na cztery głosy w tempie poloneza, ułożona ad hoc przez profesora muzyki i kompozytora Jarońskiego, pod którą słowa podłożył sam prof. Wabner. Chór na przedzie z solistą tenorem kolegą Skowrońskim pośrodku, basiści z boku z kolegą Dowiakowskim na czele, a orkiestra uczniowska z tyłu, przyczem sensację wzbudza uczeń klasy 8-ej, Oleś K., słynny specjalista od psich figlów, zjawiający się na estradzie w podskokach z kontrabasem, zamiast skrzypiec, bębniąc zamasyżycie smykami o potężne struny».

Skreśliwszy przebieg poszczególnych części programu, w którym po kantacie, popisywał się wymieniony już skrzypek Michajłow, tudzież pianistka, panna K., autor wspomnienia przystępuje do opisu deklamacji Żeromskiego:

«Z zapartym oddechem oczekiwano teraz deklamacji Żeromskiego — clou całej imprezy.

I oto za chwilę wybiega z za kulis krokiem niezwykle energicznym wysmukły młodzian, zatrzymuje się przed samą rampą, potrząsa groźnie w stronę widzów ramieniem i krzyczy! Nie, nie krzyczy, lecz grzmi! Grzmi, jak trąba archanioła:

— Ha! Sardes gore!

Gmach zatrzęsł się w swych posadach, szyby

zadźwięczały, a na słuchaczy padł lęk okrutny — obstupuerunt!

Na sali jednocześnie dały się słyszeć dwa stłumione głosy: jeden słynnego ze swych przekleństw i wyzwick nauczyciela rosyjskiego języka i drugi jednego z koleżków, przyjaciela deklamatora. Pierwszy zaklął:

— Wot, zagawarił, stierwa! Czort-by jewo podrał!

Drugi zaś dusił się ze śmiechu:

— Jezus, Marja! Stefanek zwarjował! Co też Bemcio na to powie?!

Ale nie zwarjował ci on wcale, tylko wzięty w obroty uprzednio przez mentora klasyka, który miał zwyczaj zachęcać swych uczni przy deklamowaniu wierszy z Homera lub Wirgiljusza «clariore voce», «firmiore voce», tak się tem przejął, że mówił nie po swojemu, a całkiem po wabnerowsku, czy tam po helleńsku. Swoją drogą, deklamacja, wygłoszona płynnie bez zająknięcia, pięknie modulowana i z przejściem, choć krzykliwa, zjednała wykonawcy huragan oklasków.

Gdy zszedł z estrady, koledzy otoczyli go kołem i wieszowali sukcesu, tylko inspektor gimnazjalny, Fawst Nikołajewicz Kosteckij — drwiąc swoim zwyczajem — zagadnął go: «Wszio charaszó, gaspadin paet, no zaczem wy tak orali?»

Nie wieszował mu też i ów wspomniany koleżka-przyjaciel, bo mu klinem w głowie tkwiło: —

— Co też Bemcio powie? Co też Bemcio powie?

No i powiedział! Jakkolwiek Żeromskiemu za-

broniono powtórzenia deklamacji «Maratonu» na samym koncercie, jako wiersza przesiąkniętego zbytnim patriotyzmem, gdyż, jak twierdził nie bez słuszności dyrektor Woronkow — Ateńczycy to — Polacy, a Persowie — to Rosjanie, — Bem nie zwracał uwagi na to, tylko zrobił mu scenę, po której stosunki dyplomatyczne między znakomitym polonistą i jego ulubionym pupilem zostały na pewien czas zerwane.»

«Pogniewane strony pogodziły się jednak wkrótce po koncercie, a pierwszy krok do zgody zrobił Bem, całkiem idyllicznie ofiarowując poszkodowanemu poecie, spotkanemu na spacerze, pudełko cukierków. Taki epilog miała deklamacja «Maratonu» Stefana Żeromskiego w Kielcach w roku Pańskim 1883.»

Epilog mógł być jednak o wiele gorszy. Jeśli nie wytoczono chłopcu dochodzenia politycznego o nieprawomyślność za tak «podstępny» wybór wiersza Słowackiego i uczuciową jego interpretację, dzięki której analogja stała się nazbyt przejrzystą, — stało się tak jedynie dzięki licznym zabiegom przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Konsekwencje odwagi swej poniósł chłopiec długo. Zaniedbany w niektórych działach wiedzy szkolnej, nie mógł liczyć na żadną urzędowych swych przewodników pobłażliwość, na żadną ulgę. Surowe w stosunku do Stefanka instrukcje odbiły się nań rychło w postaci odmówienia promocji do klasy siódmej. Dla dorastającego już chłopca, ciężko borykającego się z losem, była to prawdziwa klęska. Moment uzyskania samodzielności i zabezpieczonego bytu,

lepsze jutro — uciekało przed nim w dal... niewiadomą. W głębi serca pocieszał się jednak spełnieniem drobnych wprawdzie, lecz w mrocznych warunkach ówczesnego, niepozbawionego dużej doniosłości czynu patryjotycznego. Burza w szklance wody, wywołana deklamacją «Maratonu», wciągnęła w orbitę długotrwałych dyskusyj i rozważań cały światek uczniowski i rozbudziła wybitnie świadomość narodową młodzieży.

.....

Walka z niedostatkiem, niewspółmierna z zasobem sił i wąskimi ramami życiowego doświadczenia, wypełniła ostatnie lata studjów gimnazjalnych Stefanka. Wysilek ustawicznego wiązania końca z końcem, ciągłe sztukowanie anemicznego budżetu źle płatnymi lekcjami, spychanie szarych dni, nierozjaśnionych żadnym promykiem lepszej doli — cała ta nienormalna egzystencja wstępującego w życie młodzieńca odbiła się wysoce ujemnie na jego psychice, gasiła wiarę w ludzi i świat, a przede wszystkim uniemożliwiała studia szkolne. Przemęczony korepetycjami, dręczony brakiem rzeczy elementarnych, niezawsze syty — nie miał po prostu dość czasu i energii, by się uporać na schyłku gimnazjum z grupą przedmiotów matematycznych. Spędzał nad nimi całe noce, wykuwał pamięciowo, starał się opanować niewdzięczną dla siebie dziedzinę nauki całym wysiłkiem woli — ale bez widomego rezultatu. Już przy promocji z klasy siódmej do ósmej profesor S. zwrócił mu uwagę, że, przy tak skromnym zainteresowaniu dla matematyki, matury prawdopodobnie nie dostanie. Ostrzeżenie to dodało Stefankowi bodźca do tem usilniejszej pracy w inkryminowanym

kierunku. Nie było to, rzecz jasna, zainteresowanie wewnętrzne, ani tem mniej szczery zapał, ale solidna i sumienna praca, prowadzona z możliwą w jego warunkach systematycznością. Koledzy nie odmawiali mu swej pomocy. Zdolniejsi przerabiali z nim cały maturalny materiał. Praca ta dała podobno wyniki zupełnie pomyślne i wśród ogółu kolegów zapanował co do perspektyw egzaminacyjnych Stefanka optymizm.

Niestety, zwierzchność szkolna zajęła stanowisko bardzo surowe. Szkoła rosyjska nie brała w rachubę wybitnych a znanych jej przecie dobrze uzdolnień młodzieńca w kierunku literackim i nie bez ukrytej satysfakcji zapewne zamknęła przed nim wrota przyszłości, odmawiając wydania świadectwa maturalnego.

Wiosną roku 1887-go Stefan Żeromski, mając lat 22, opuścił mury gimnazjum kieleckiego po 11 latach pracy bez patentu dojrzałości. Dla biednego chłopca była to katastrofa. Marzenia o przyszłości, wypiastowane w sercach rodziców Żeromskiego, którzy roili sobie niegdyś, że ich jedynak będzie lekarzem, marzenia, które podzielał i Stefan, rozwiały się i prysły.

.....

Uczuciu bankructwa dotychczasowego wysiłku w kierunku zdobycia stanowiska w życiu nie poddał się jednak niefortunny maturzysta na długo. Mimo silnej depresji, jaką wywołało w nim niezbyt sprawiedliwe potraktowanie przy egzaminach dojrzałości, nie stracił wiary w siebie. Wiedział i czuł, że posiada jeszcze jeden skarb, którego mu nikt nie odbierze — talent twórczy. W talent ów wierzył silnie i budował na nim duże nadzieje. Płynęły one niewątpliwie

z samopoczucia własnych uzdolnień, choć niemałą rolę odgrywać w nich musiała i owa swoista u młodych pisarzy wiara w powodzenie doraźne, naiwność złudzeń, które później tylu ofiarami i całym bezmiarem nędzy okupić musiał.

Marzeniem Żeromskiego, młodego poety, duszającego się w atmosferze klerykowskiej małomiasteczkości, był szerszy teren, na którym mógłby spróbować swych pierwszych wzlotów. Terenem tym, jako środowisko intelektualne, była Warszawa. Z nią wiązały go już nici koleżeńskie, ku niej przez szereg lat biegła myśl, gdy jeszcze plany studjów lekarskich nie zostały zwarzone niepowodzeniem maturalnem. O środkach materialnych nie myślał. Wiedział, że nic nie posiada i Warszawa od Kielc wiele się pod tym względem różnić nie będzie. Liczył jednak w skrytości ducha na swe pióro tudzież na zwykły studencki grosz korepetytorski. Nad tem, jak trudną będzie walka o byt na gruncie warszawskim, jak dalece zawodne będą nadzieje zarobków literackich — nie mógł się zastanawiać. W Kielcach nie miał już nic do czynienia. Mógł wprawdzie wziąć się odrazu do pracy guwernera, która go później tylekroć wybawiała od głodowej niemal śmierci, ale sny o potędze miały zbyt fascynującą siłę, by mogły nie porwać młodego chłopca do spróbowania się z życiem.

W tę skrytą strunę duszy uderzały też i zachęty przyjaciół. Jan Waclaw Machajski, od roku już medyk warszawski, przywoływał Stefana i nakłaniał na wszelkie sposoby do zainstalowania się w stolicy. Drugi przyjaciel, Stróżecki, jechał również zapisać się na wy-

dział prawny w Warszawie. Obaj chłopcy roztaczali przed Żeromskim ponętne perspektywy tymczasowego zapisania się na słuchacza Wyższej Szkoły Weterynaryjnej (od roku 1889 Instytut Weterynaryjny) i złożenia po roku w przyjaźniejszych, niż kieleckie, warunkach, egzaminów maturalnych w jednym z gimnazjów warszawskich. Wówczas mógłby się przenieść na wydział lekarski i kształcić w dawno upragnionym kierunku.

Plan ten uśmiechał się rozczarowanemu młodzieńcowi, a najbardziej pociągała go sama Warszawa. To też jesienią 1887 roku świeżo otwartą w tym roku koleją Dęblińsko - Dąbrowską, za darmowym biletem «starszego roboczego», otrzymanym od znajomych, z kilkunastoma rublami w kieszeni wyruszył do Syreniego grodu.

Pierwsze miesiące życia studenckiego nie były dla Żeromskiego zbyt ciężkie. Życie poczęło go smagać nie odrazu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał dość dobrą korepetycję ze stołem i mieszkaniem u pp. Józefowiczów przy ul. Szpitalnej, byt więc miał zapewniony. Do nauki wziął się sumiennie i na wykłady do Szkoły Weterynaryjnej uczęszczał w ciągu dwu pierwszych semestrów z całą systematycznością nowicjusza, aczkolwiek gałąź wiedzy, z którą miał do czynienia, w gruncie rzeczy bardzo mało go obchodziła. Za to całą duszą oddał się pracy narodowej w światku młodzieży.

Jeden z kolegów pisarza ze Szkoły Weterynaryjnej, p. W. Bieńkowicz, notując swe wspomnienia z ławy szkolnej, takie o Żeromskim z tych czasów kreśli uwagi:

«...pamiętam, że późniejszy nasz wielki pisarz

zwracał na siebie uwagę, jako student dość wysokiego wzrostu z czarną brodą i bujną czupryną. Zawsze zamyślony, zapatrzony wdał, robił wrażenie, że jest, jak mówiono na Litwie: obecny, ale nieprzytomny. Z nikim z kolegów nie utrzymywał bliższych stosunków, był milczący, zamknięty w sobie.

Stefan Żeromski brał udział w życiu społecznym, które gromadziło większość ówczesnej młodzieży akademickiej w Warszawie, gdzie wśród studentów uniwersytetu działały terytorjalne (przynależne do danego gimnazjum) konspiracyjne kółka samokształcenia, które łączyły się w jedno wielkie Koło, a do niego należało i kółko studentów weterynarji, w którym brał udział i przyszły sławny literat. Zebranie organizacyjne tego kółka odbyło się w końcu 1887 roku w moim mieszkaniu i pamiętam, że Żeromski, wbrew swemu zwyczajowi, kilka razy krótko odzywał się, podkreślając konieczność łączności wśród młodzieży dla wspólnej pracy».

Ówczesne tajne organizacje studenckie nie miały jeszcze zabarwienia partyjnego. Bódcem ich powstania była zasadniczo idea samokształcenia, z której następnie zrodził się ruch szerzenia oświaty. Samokształcenie to szło w kierunku zapoznawania się z temi dziedzinami wiedzy, których nie dawała młodzieży polskiej szkoła. Była to w pierwszym rzędzie historia Polski w postaci niespaczonej tendencjami rusyfikacji i literatura ojczysta, w drugim — nauki społeczne, równie nieprawomyślny świat poznania. Ta sfera zainte-

resowań młodzieży wskazuje wyraźnie, że posiłkowano się tu literaturą przeważnie nielegalną. Dlatego też do organizacyj studenckich dopuszczani bywali tylko «młodzieńcy absolutnie «pewni», narodowo uświadomieni i nieprzeciętnie inteligentni. W grupach tych było silne poczucie spójni, koleżeństwa i solidarności w obliczu wspólnego wroga, z którego czujnością i przebiegłością młodzież uniwersytecka miała wciąż do czynienia.

Na zebraniach wrzała zazwyczaj niezwykle ożywiona dyskusja. Temperaturę jej podniecała ta okoliczność, że uczestnicy, złączeni wspólnym węzłem umiłowania spraw polskich, różnili się nieraz wielce temperamentem, pojmowaniem obowiązku narodowego i poglądami w zakresie społecznym. Ścierały się więc ustawicznie poglądy w wymianie zdań ożywionej i namiętnej, ale zawsze kulturalnej i etycznej. Ze starć tych w niedalekiej przyszłości miały się zrodzić wyraźne już kierunki, na których oparto w następstwie programy późniejszych stronnictw politycznych a w pierwszym rzędzie stronnictwa wszechpolskiego czyli demokratyczno-narodowego tudzież Polskiej Partji Socjalistycznej. Grupy te, na gruncie niewątpliwego patriotyzmu oparte, w programach swych wytknęły sobie odmienne do jednego celu wiodące drogi. Różnice te przez długi szereg lat dzieliły oba obozy jedynie w dyskusjach akademickich, nie przeszkadzając ich szlachetnej emulacji w pracy oświatowej wśród mas, pracy, która, nawiasem mówiąc, wzajemnie się uzupełniała, dopóki rok 1905-ty, nie zerwał wszelkiej wspólnoty i nie rzucił obu głównych odłamów społeczeństwa w odmet wieloletniej walki partyjnej.

W roku 1887-ym ów pobieżnie skreślony proces różniczkowania się przekonań był dopiero w ząbku. Nawet fermenty nie zaznaczały się jeszcze wyraźnie. Im mniej atoli skryzalizowane były przyszłych programów społeczne fizjognomje, tem gorętszą bywała wymiana zdań, objaw zwykły w okresie wzajemnych przekonywań i sporów o światopogląd. Podkreślić tu należy rzadko spotykany, zwłaszcza dzisiaj, poziom intelektualny tej młodzieży. Rzeczy wzbronione i zagadnienia niezalecane były dla niej chlebem dla głodnych. Uczono się chciwie i zachłannie, czytano dni i noce. Czego ci młodzi chłopcy z dziedziny historii, socjologii i filozofji nie pochłonęli, czego nie starali się z mniejszem lub większem powodzeniem w swych referatach i dyskusjach przetrwać? Może to był objaw szczególny, może wykwit niewoli. Ale, tak czy inaczej, w atmosferze tej wyrosły indywidualności nieprzeciętne. W światku tym, jak w retorcie chemicznej, krystalizowały się najszlachetniejsze pierwiastki przyszłej pracy polskiej. Dziś jest inaczej. Zapewne, — w epoce tamtej, gdy zagadnienie własnego państwa było jedynie słabą nadzieją i muzyką niewiadomej przyszłości, młodzież siłą rzeczy musiała brać na swe barki zadania, wiekowi swemu niewłaściwe, była niemal jedyną siłą, chcącą sprostać obowiązkowi, przejętym dziś przez własne państwo, zorganizowane stronnictwa i społeczeństwo dojrzałe. Dzisiejsze pokolenie młode z zadaniami temi zmagać się nie ma potrzeby. Jest może bardziej od poprzedników swych z przed lat czterdziestu młodzieńcze, beztroskie i normalne — a jednak... zestawienie dawnej ideowości i zapału dla Sprawy z dzisiejszym jałowym nieraz ugięciem budzi czasem reflek-

sje przygnębiające... Może tak być powinno, może to zdrowiej, może...

Koła samokształceniowe, w których środowisku znalazł się Żeromski, rychło poczęły emanować i myśli twórczą. Wybitniejsze jednostki, dojrzewające energię — tęskniły do czynu. Upustem, u którego pragnienia te znajdowały najwłaściwsze ujście, była tajemna praca oświatowa, szerzona wśród rzesz robotniczych w kierunku uświadczenia narodowego. Na ten okres czasu przypadła też szlachetna inicjatywa Teodora Tomasza Jeża, wzywającego z zagranicy cały naród polski do zgromadzenia poważnego funduszu pieniężnego, któryby w razie rozstrzygającej potrzeby mógł odegrać rolę skarbu narodowego. Młodzież uniwersytecka w Warszawie wzięła to hasło mocno do serca. Odezwy Jeża przepisywano, wydawano własne wezwania, propagowano piękną ideę z niezrównanym zapałem. Młody Żeromski, Machajski i ich trzeci nowy przyjaciel, Roman Dmowski, należeli do najczynniejszych pionierów tego ruchu. Wiosną 1888 r. praca narodowa pochłania Żeromskiego już tak dalece, że dla swobody ruchów opuszcza dom pp. Józefowiczów i przenosi się do pokoiku studenckiego Wacka Machajskiego przy ul. Zgoda 11 (dom w r. 1914-ym rozebrany). Tu izdebka młodzieńców staje się wkrótce niejako kuźnią działań konspiracyjnych. Wre w niej praca, rodzą się płomienne myśli. Genjusz natchnień wyzwoleniczych nie opuszcza ubożego progu. Wiele czasu pochłania im przygotowywanie wykładów robotniczych, które wygłaszali wieczorami w fabrykach. Robotnicy uczęszczają na nie bardzo pilnie. Młodzieńcy otoczeni są w oczach ich pew-

nym nimbem tajemniczości i poświęcenia, zdawano sobie bowiem w pełni sprawę z niebezpieczeństw, na jakie się narażali. Nadto wykłady te były dla strudzonego i nieoświeconego pracownika fabrycznego zupełną nowością, sensacją niemal. Nie pamiętano, by się ktoś nimi interesował i chciał tylko z ideowych pobudek nieść im w ofierze swój czas, wiedzę i gorąco miłujące serce. To też nieprędko zapewne jakkolwiek wykładowca będzie miał słuchaczy tak chętnych, uważnych, oddanych i wyjątkowo korzystających, jak słuchacze trójki przyjaciół: Dmowskiego, Machajskiego i Żeromskiego. Podział pracy był następujący: Machajski, jako przyszły lekarz, zapoznawał audytorjum w sposób popularny z podstawami nauk przyrodniczych, dawał ogólne pojęcie o prawach fizycznych, uczył geografji powszechnej i geografji ziem Polski przedrozbiorowej. Dmowski i Żeromski dzielili między siebie historję i literaturę. Młody poeta traktował swe nowe powołanie z wielkiem przejęciem. Do wykładów przygotowywał się tak sumiennie, jakby tu chodziło conajmniej o pracę doktorską. Szczególną uwagę intencyjnie poświęcał wykładom o dziejach porozbiorowych, uwzględniając zwłaszcza czynnik stosunku sił w walkach, jakie toczyły się na ziemiach polskich od wojny Kościuszkowskiej poprzez epokę Napoleońską i kampanję 1830/31 r. aż po rok 1863-ci. Celem jego było unaocznienie słuchaczom, że naród nasz, mimo wysoce nieprzyjaznych warunków, w jakich się znalazł, rozporządza olbrzymim zasobem utajonych sił i stać go na dobyte z siebie potęgi. W studjach do wykładów pogłębił jeszcze znacznie zakres swych wia-

domości z dziedziny strategicznej wojen porozbiorowych. Śmiało rzec można, że w owych czasach Stefan Żeromski był jednym z bardzo nielicznych znawców tej dziedziny historii polskiej. Wgłębił się w swe sny o szpadzie tak gruntownie, że do wykładów kreślił odręcznie mapy, ilustrujące ugrupowanie i przesunięcia sił w ważniejszych bitwach powstaniowych.

Już w pierwszym roku studjów warszawskich pomiędzy Stefanem Żeromskim a przyjacielem z ławy szkolnej Janem Stróżeckim uwidoczniał się pewien rozdział. Stróżecki coraz wyraźniej zaznaczał swe radykalne zabarwienie ideowe i zbliżył się ku sferom, które w kilka lat później stworzyły stronnictwo socjalistyczne. To też w pracach, które młodego pisarza absorbowały ideowo, Stróżecki udziału nie brał. Przyjaźni wzajemnej nie osłabiło to i nie zachwiało w Żeromskim szacunku dla wysokiej wartości charakteru Janka, zbrakło go jednak przy współpracy. Miejsce po nim w koleżeńskim triumwiracie zajął Roman Dmowski, stały odtąd gość mieszkanka studenckiego na Zgodzie.

Jeśli chodzi o charakterystykę tak zwanego światopoglądu politycznego młodocianej trójcy przyjaciół, których nazwiska miały w przyszłości z różnorakich coprawda względów zasłynąć, to był to światopogląd wyznawców idei niepodległościowej. Idei, która nie przyobiekła się jeszcze w kształt skryształowanego programu i z sfery gorących uczuć dobywała jedynie najbardziej proste odruchy i reakcje. Skostnienie ideowe społeczeństwa, zamkniętego w dusznej i ciasnej sferze zabiegów o dobro materialne dnia powszed-

niego, bezwład polityczny starszego pokolenia, które nie zapomniało jeszcze o bankructwie powstaniowem, systematyczne wymazywanie z umysłów młodzieży wszelkiego «romantyzmu» — cały ten jałowy, ubogi duchem świat, okrywający się łachmanami źle pojętego pozytywizmu, domagał się przede wszystkim ożywczego tchnienia młodości i wiary. Te wartości więc nieśli młodzi pracownicy w pierwszym rządzie w zgnębione i małoduszne środowiska polskie różnych warstw społecznych. Tchnienie nowego ducha, uświadamianie — był to cały ówczesny program. O realizacji haseł niepodległościowych, o wprowadzaniu w grę siły aktywnej — nie było jeszcze mowy. Społeczeństwu brakło jeszcze organizacji, brakło energii, któraby mogła poruszyć z miejsca okryte rdzą dźwignie i sprężyny.

Ruchliwym kołom i kółeczkom młodzieży, które w miarę sił i środków na terenie całego Królestwa spełniały chlubnie swe mrówcze zadanie, przyszli w tym czasie w sukurs dawni luminarze powstaniowi, powracający z Sybiru. Nie wszyscy byli duchowo złamani, nie wszyscy dobijali do portu ojczystego resztką sterranych sił. W strawionych przeżyciach szeregach zachowały się tu i owdzie jednostki wytrzymałe o sercu jeszcze młodem i niewygasłym entuzjazmie. Młodzież uniwersytecka, wyczekująca z utęsknieniem jakiegokolwiek oparcia w dojrzałym społeczeństwie, rychło zdołała nawiązać żywy kontakt z wysłużencami i męczennikami sprawy narodowej. Praca potoczyła się raźniej, świat podziemny patriotycznej Warszawy począł nabierać rumieńców życia. Nadszedł czas, gdy organizującemu się społeczeństwu trzeba już było stworzyć i dać



KAJETAN ŻEROMSKI, ŻOŁNIERZ NAPOLEOŃSKI, KAPITAN GWARDJI
KRÓLESTWA POLSKIEGO

(PORTRET DOMNIEM. MAZURA)

gotowe programy. Gdy więc na jednym biegunie nowego życia poczyna się wyłaniać w zasadniczych zarysach organizacja przyszłego ruchu socjalistycznego, Dmowski, Żeromski i Machajski w swoim studenckim azylum kreślą pierwszy ramowy program wszechpolski, który z czasem stał się podstawą programu stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Z pośród trzech przyjaciół Roman Dmowski posiadał umysł najbardziej trzeźwy, i największą ruchliwość inicjatywy, zdradzał przytem największe zainteresowanie dla zagadnień społecznych i w opinii bliższych towarzyszy uchodził za radykała. Żeromski, indywidualność nawskróś artystyczna, górował nad wszystkimi siłą uczucia i zapałem. Bolączki zadrażnień społecznych przejmowały go do głębi, zasadniczo jednak lękał się wplatania problemu socjalnego w program organizacji pracy narodowej, by jej zagadnieniami temi nie zachwiać i naczelnego hasła niepodległości przez to nie przesłonić. «Przedewszystkiem — Polska, a w wolnej Polsce wszystkim będzie dobrze» — to było jego młodociane choć staszicowskie jeszcze credo. Przytem młody poeta miał jakąś wrodzoną nieufność do radykalizmu, a typu postępowca nie znosił. Jeszcze w roku 1892-im w listach ze Szwajcarii podkreśla tę swoją charakterystyczną awersję. Machajski w owym czasie był wciąż jeszcze Andrzejem Radkiem z «Szyfowych prac». Umysł zdolny, pracowitość ogromna, chłopska dzielność ale i chłopska nieufność. Raz pokochawszy Stefana, oddany mu był bez granic. Opiekował się nieradnym przyjacielem, jak najtroskliwsza niańka i gotów był na wszelkie dlań poświęcenia. Tak samo, raz idei niepo-

długości Polski oddawszy młode surowe swoje serce, nie chciał słyszeć o żadnych innych zagadnieniach, sprawie tej obcych. Urodzony konserwatysta, jak każde dziecko ludu, unikał zetknięć z radykalniejszymi kółkami młodzieży i na zebrania koleżeńskie, gdzie w dyskusji padały hasła zbyt gorące i wsteczne, nie chciał uczęszczać. Trzeba było nielada trudu ze strony Dmowskiego i Żeromskiego, by go do ustępstw w tym względzie nakłonić. Była to może instynktowna obrona przed czekającym go przeznaczeniem, które w tak odmienny i niespodziany sposób miało niebawem losami jego pokierować. Jak widzimy, indywidualność Wacława Machajskiego była w gronie przyjaciół najsłabsza i mało krytyczna. W naturze tej tkwiła nieświadoma jakaś krańcowość. Przekonywał się do nowych dla siebie idei z trudem, ale za to, zjednany wreszcie, pracował dla swego wyznania wiary bez zastrzeżeń. Pozatem był to chłopiec niestychanie dobry, istna Opatrzność Żeromskiego w pierwszych latach jego pobytu w Warszawie, a w pracy konspiracyjnej pilny i niestrudzony wykonawca projektów obu przyjaciół. Do przywar Machajskiego, które mu nieraz w życiu drogi krzyżowały, zaliczyć należy niesystematyczność i ciągle roztargnienie. Roztargnienie to omal nie «wyspało» przyjaciół jeszcze w mieszkanku ich na Zgodzie. Pewnego dnia, wczesną wiosną 1888 r. chłopcy przygotowali cały «nakład» pracowicie przepisanych w wielu egzemplarzach odezw patriotycznych do robotników. Starannie związany pakiecik powierzono Machajskiemu, który miał je dostarczyć pod właściwym adresem na Wolę. Machajski umieścił je w wewnętrznej kieszeni munduru.

Po pewnym czasie przed wyruszeniem na miasto wyszedł na balkon, zdjął mundur, starannie oczyścił szczotką i dla ostatecznego wyrugowania kurzu zamasyścił wytrzępął. Przy tej energicznej czynności nielegalny pakiecik wyfrunął z kieszeni i spoczął najspokojniej o piętro niżej na balkonie u stóp zażywającego właśnie poobiedniej drzemki oficera żandarmerji. Chłopcy struchleli. Rewizja, aresztowanie, cytadela, zesłanie — wszystkie te nieomyślne perspektywy zamajaczyły im przed oczyma. I tylko nadzwyczajnej przytomności umysłu, a raczej desperackiej jakiejś odwadze zawdzięczać należy, że cały incydent skończył się na niczem. Jak wichur, zbiegli po schodach, zaalarmowali służącą i żonę dostojnika naprędce skleconą legendą o ważnych skryptach wykładowych, szastali nogami, przeproszali tysiącrotnie za nieuwagę i «skrypta» wyegzekwowali. Pan żandarm jeszcze się snadź z leniwego snu nie rozczychał, z zawodowej ciekawości użytku nie zrobił i przeoczył rzadką okazję zdobycia «pasobia» i orderu.

W pierwszym roku pobytu w Warszawie Żeromski żył biednie, ale bez szczególniejszego niedostatku. Obaj z Machajskim mieli kilka skromnie płatnych lekcyj na mieście, które pozwalały im z trudem się przeżywić i kupować od czasu do czasu książki. Bieda dość często zaglądała do ich izdebki, ale nie były to jeszcze czasy najgorsze Coprawda mieli, obaj tylko jedną poduszkę i przykrywali się wspólnie starą roletą zamiast kołdry, nie mówiąc o skandalicznych lukach w garderobie, nie cierpieli jednak przynajmniej głodu, który gasi wszelki zapal do życia. Żeromski, mało wymaga-

jący, nawet do pewnego stopnia abnegat, na braki te niewiele zwracał uwagi. Wynagradzała mu je radość pracy oświatowej i na nowo rozbudzona wiara w gwiazdę przyszłości. Górne marzenia o sławie literackiej nie opuszczały go ani na chwilę, ani na chwilę też nie przestawał w tym kierunku pracować. Pracy tej nadał jednak kierunek zasadniczo odmienny. Bohaterskie poematy, rozlewne liryki, epeje poetyckie — spoczęły w lamusie przeszłości. Krystalizujący się powoli talent młodzieńca zwrócił się już wyraźnie ku prozie. Z pod pióra przyszłego mistrza słowa polskiego posypały się słabe jeszcze szkice i obrazki, poczęte narazie z fantazji, a później już na obserwacji żywych zjawisk oparte. Zakres obserwacyjny Żeromskiego był jeszcze bardzo podówczas szczupły. Znał wybitnie naturę, ale dość powierzchownie ludzi. Nieśmiały i nietowarzyski — mało bywał, niewiele rozmawiał, przeżywał sam jedynie życiowe tragedje, najistotniejszym przeżyciom bliźnich nie przyglądał się zbliska, nie podróżował jeszcze. To też tematy jego pierwszych utworów nowelistycznych, przeważnie zaginionych, były najczęściej echem wydarzeń posłyszanych lub wrażeń książkowych, a więc emanacją nawskróś mózgową, pozbawioną prawdy ekspresyjnej, jaką dać może przeżycie własne, choćby tylko w roli bezpośredniego świadka. Styl, bezsprzecznie niepospolity od samego zarania twórczości Żeromskiego, miał jeszcze swoje dłużyzny i zawiłości, z których pisarz dopiero później całemi latami żmudnej pracy się wydobywa. Za to życiu natury daje od początku i wszędzie wyraz silny i właściwy. Tę dziedzinę Żeromski, samotnik i myśliciel, od dziecka posiadał i opanował —

inne czekały dopiero sumiennego i pracowitego swego badacza.

W kwietniu 1888 Stefan Żeromski doznał pierwszego prześladowania od władz rosyjskich. Zupełnie niespodzianie aresztowano go i przewieziono do cytadeli. Bezpośrednim powodem pozbawienia wolności młodego pisarza było przychycenie w jednej z uczelni wyższych nielegalnej książki (patriotycznego utworu poetyckiego jednego z romantyków polskich), w której czyjaś niebaczna ręka pozostawiła notatkę z nazwiskiem Żeromskiego. Młody chłopiec przesiedział w cytadeli kilka tygodni i zwolniony został jedynie dzięki temu, że brakło dowodów obciążających. W pierwszym rzędzie niepodobna było stwierdzić tożsamości Stefana, notatka bowiem nie wymieniała imienia, samo nazwisko zaś podane było w pisowni niewłaściwej (Żyromski). Szczegóły te ocaliły delikwenta. Tem niemniej, przeżył w więzieniu chwile niezmiernie przykre i upokarzające. Więziony w latach późniejszych, gdy był już sławnym powieściopisarzem, traktowany był z dużą względnością i z wszelkimi możliwymi ulgami; jako nieznany student jednak, za którym nie stała jeszcze przemożna protekcja opinii publicznej, traktowany był narówni ze wszystkimi przestępcami politycznymi, — wiadomo zaś, że z tą kategorią aresztowanych najmniej sobie robiono ceremonji.

Pobył w więzieniu wywarł na młodego chłopca wrażenie niesłychanie przynębiające. Pierwszy raz zetknął się z brutalnością przemocy w najgorszych jej przejawach. Wspomnienie cytadeli zapisało się w jego

umyśle tak ponuremi zgłoskami, że o tym epizodzie życia nigdy później nie mówił. Bezpośrednio po uwolnieniu jedynie zwierzał się najbliższemu, a przede wszystkim bratu ciotecznemu, Józefatowi Saskiemu, z którym łączyła go dozgonna przyjaźń i zażyłość, że dręczono go z wyrafinowanym okrucieństwem, w dzień i w nocy wzywając na śledztwo, podczas którego oprawcy nie cofali się nawet przed biciem.

Po szeregu najokrutniejszych udręczeń wypuszczono go wreszcie pod koniec czerwca «z braku dowodów», pozostawiając jednakże pod dozorem policyjnym. Ponieważ wykłady w szkołach były już skończone, Żeromski pojechał do Kielc. Był w opłakanym stanie. Z nędznego ubrania, w którym go zaaresztowano, pozostał w stanie możliwym jedynie szynel studencki, bieliznę dano mu więzienną, gdyż literalnie nie miał co włożyć na siebie, Machajski bowiem mieszkanko na Zgodzie zlikwidował i wyjechał.

W Kielcach nie miał już nikogo bliskiego. Jedną noc spędził u znajomych. Drugiego dnia spotkał na ulicy Józefata Saskiego, swego kuzyna (syna ciotki Józefaty), człowieka rzadkiej dobroci charakteru, gościnnego i uczynnego bez granic, który bawił w tym czasie w Kielcach w sprawach, związanych z administracją dóbr Kurozwęckich. Jaki był wówczas fizyczny i duchowy stan Stefana Żeromskiego najlepiej zaświadczy poniżej przytoczona relacja Józefata Saskiego, 80-letniego niemal dziś staruszka:

«W Kielcach Stefan nie miał już wtedy dachu nad głową, zgłosił się więc do pewnego inżyniera, wielkiego przyjaciela Wuja Żeromskiego i tam

przenocował. Na drugi dzień szczęśliwym zbiegiem okoliczności ja przyjechałem do Kielc i spotkałem Stefana, idącego koło ogrodu. Rozmówiliśmy się bardzo krótko, bo miałem termin przed dwunastą, wyznaczyłem mu tylko czas mego odjazdu o g. 3-ej z rogatki i tak dostał się na mój wózek. Był w szynelu studenckim, ale pod spodem były same strzępy, pościubane i szpilkami spięte. Przybyliśmy do Kurozwęk na 12-tą w nocy, gdzie jeszcze nasza matka czekała na mnie z kolacją. Przywitanie było bardzo rzewne bez komentarzy i opowiadań o więzieniu, gdyż bałem się o matkę.

Stefan apetyt miał straszny, a jednak jeść nie mógł, bo żołądek był skurczony w straszliwy sposób i, nim przywykł, zeszło prawie miesiąc. Najpierwszą sprawą było przebranie go z więziennej koszuli z numerem 2444 i z czarną łatą na plecach. Cała garderoba poszła od razu w piec. Trzeszczało tak, jak gdy się jałowiec podpala, — tyle było mrowia. Głowę do skóry ostrzygłem, kąpiel sprawiłem i we wszystko nowe przyoblekłem. Kiedy puchlizna zeń zesza została tylko skóra i kości. Poprawiał się bardzo szybko. Kąpiel w rzece była pod ręką, więc na niej używał i apetyt przyszedł wilczy. Przebył u mnie do zimy. W tym czasie saneczkami wyrwaliśmy się do Józefa Treпки. Między Trepkami przebył czas pewien, a że Bolcia, jego siostra, przyjechała do nas, zjechali więc i Józefowie Trepkowie ze Stefanem do nas. Nie pamiętam, jak długo pobyli, dość, że Stefan, pod

pozorem szukania sobie czegoś, wyrwał się do Kielc. Na drogę wziął coś grosza i przepadł...»

Z pobytu młodego pisarza w Kurozwękach w roku 1888-ym zachowało się wspomnienie o jego niezwyklej depresji duchowej. Był niesłuchanie przygnębiony, posępny i milczący. Na całe dni znikał w polach i lasach, w domu był roztargniony i pogrążony w niewesołych zadumach. Ożywiały go jedynie opowieści ciotki Józefaty, o które się ustawicznie dopraszał i wiejskie rozrywki: polowanie i rybołówstwo, dawne umiłowania z lat ciekockich. Do końca życia wspominał również połów raków w nocy z łuczycem. Towarzystwa unikał. Najazd gości stale wystraszał go z domu. W większym kółku obecnych stawał się jeszcze bardziej milczący, niż kiedykolwiek. Ten rys charakterystyczny przetrwał w nim już przez całe życie. Jedynym domem, jaki odwiedzał w sąsiedztwie, był dom dalszych krewnych matki, pp. Ogińskich-Kontrymowiczów w Katuszowie. Tam poznał Żeromski niezmiernie ciekawą postać starcapoety Jana Ogińskiego-Kontrymowicza, który wywarł nań bardzo trwałe i silne wrażenie. Jeździł też odwiedzić starszą siostrę matki, panią Teklę Necanda-Trepzynę, właścicielkę Chobrzezan w Sandomierskiem.

Roczny prawie wypoczynek na wsi, wśród osób bliskich i życzliwych, przywrócił Żeromskiemu nadwątloną przeżytemi przejściami równowagę duchową. Nie wygasła wiara w ostateczny sukces talentu pisarskiego pchała go znów na szerszą arenę kulturalną. Zatrzymywany przez ciotkę i brata, wybiegiem wreszcie wydobywa się z ramion rodzinnej serdeczności i wyjeżdża rzekomo do Kielc, a naprawdę znów do Warszawy.

Nie pociągają go tam, rzecz jasna, zapomniane już studia weterynaryjne, z którymi bierze rozbrat zupełny, ale pragnienie przeforsowania na łamy dzienników pierwszych prób prozy, które sam uznał za godne okazania światu. Ma już w swej tece kilka nowel, opracowanych w Kurozwękach, roi mu się w fantazji szereg nowych pomysłów, a odrodzona energja dopomina się żywego działania.

Niestety, przybywszy do Warszawy z początkiem 1889 r., dostaje się znów w fatalne warunki materialne. Mieszkają obaj z Machajskim na Kruczej i walczą wspólnie o byt, lecz z coraz słabszym powodzeniem. W pogoni za lekcjami, coraz rzadszemi i coraz gorzej płatnemi, płyną dni szare i głodne. Wędrowki po redakcjach z rękopisami nowel kończą się ostatecznie niepowodzeniem. Wszędzie brak było na nie miejsca i wszędzie dość było «swoich». A nierzadko odpowiedź brzmiała zgoła brutalnie — odmawiano mu wszelkiego talentu. Ile się w tych istic krzyżowych wędrowkach musiała nałamać ambitna dusza młodzieńca, który przez całe życie nikomu nic nie chciał zawdzięczać, ile zniósł upokorzeń, ile dla swej kochanki-sztuki doznał przykrości i poniżeń — trudno jest dziś opisać.

A tymczasem życie miało swe prawa i upominało się o nie natarczywie. Pod zdarte podeszwy kurozwęckich bucików śnieg nabijał się w takich ilościach, że wreszcie zniecierpliwiona matka jednego z pupilów zwróciła Żeromskiemu uwagę na kolosalną kałużę, jaka z topniejącego w ciągu lekcji śniegu dzień w dzień dekorowała posadzkę. W tych warunkach czynnik pesymizmu musiał się w duszy młodego pisarza rozrastać i rzucać

cień na cały jego światopogląd. Wierzy jeszcze w swą sztukę, lecz coraz trudniej mu już uwierzyć w radość życia.

Brak czasu i niedostatek nie przeszkadzają przecież przyjaciołom w pracy narodowo-społecznej. Prowadzą w dalszym ciągu wykłady robotnicze, kolportują drukowane w Krakowie odezwy w sprawie zbiórki na skarb narodowy, wygłaszają referaty w kołach studenckich. Poza tą sferą obcowania z ludźmi, Żeromski w owym czasie nigdzie nie bywa. Życie towarzyskie nie istnieje dlań zupełnie, jeśli nie z racji niechęci do stykania się z kimkolwiek, to choćby wskutek braku możliwego ubrania.

Kilkomiesięczny ten pobyt w Warszawie aż do wakacyj letnich skończył się niewesoło. Stefan Żeromski, przyszła chluba piśmiennictwa polskiego, niebezpiecznie zachorował i znalazł się w szpitalu. Orzeczenie lekarskie brzmiało lakonicznie coprawda, ale wymownie: tyfus głodowy.

Lata niedostatku i ciężka choroba gorączkowa nadwątlily poważnie organizm młodzieńca. Dziedziczna po matce skłonność do gruźlicy poczęła zaznaczać groźne etapy podboju. Niedoleczane zaziębnienia z pory zimowej mściły się. Zasób sił żywotnych w nieprzyjaznych warunkach topniał, często wracały stany podgorączkowe, fatalny kaszel, który jeszcze na ławie gimnazjalnej dręczył pisarza, przeszedł w stadium prawie chroniczne. Nadmiar złego dokuczała mu niegojąca się od paru lat ranka na lewej dłoni, powstała jeszcze w Kielcach od uderzenia przy gymnastyce. Był to symptom wcale złowróźbny, spotykany przeważnie u gruźlików. Na

radykalne leczenie początkujący nowelista, który jeszcze ani grosza piórem nie zarobił, nie miał środków, a stan próchniejącej kości domagał się tego nagłaco.

Po szczęśliwie przebytym tyfusie wiosną 1889 r. Stefan Żeromski znajduje ponownie przytułek w gościnnym domu Józefata Saskiego. W Kurozwękach zastaje radykalne zmiany. Troskliwej i kochającej go ciotki Józefaty, ostatniej już z siostr ojca, zbrakło. W 72-im roku życia zgasła w Kielcach 22 kwietnia tego roku. Miejsce jej u ogniska domowego zajęła młoda małżonka Saskiego, p. Bolesława z Radwańskich z Kowalowa, która otoczyła wycieńczonego studenta iście siostrzaną opieką i serdecznością. Z gościny tej Żeromski nie chciał jednak korzystać zbyt długo. Opłakany stan kieszeni domagał się gwałtownie jakiegokolwiek zarobku. Wróciwszy tedy do sił, począł się starać o kondycję, któreby mu umożliwiły poczynienie w ciągu lata pewnych oszczędności. Okazja nadarzyła się dość łatwo. W niedalekiem sąsiedztwie w historycznej Oleśnicy mieszkali państwo Zaborowscy, którzy poszukiwali gubernera. Polecony przez Józefata Saskiego, Żeromski objął korepetycję i przeniósł się do Oleśnicy. Spędził tam całe lato, zachowując jak najlepsze wspomnienia z sympatycznego domu swych chwilowych chlebobawców. Bliskie sąsiedztwo Kurozwęk pozwalało mu nadto na częste odwiedzanie Saskich, gdzie czuł się, jak w domu rodzinnym.

Tego lata Stefan Żeromski wzbogaca swą tekę nową serją nowel i opowiadań i przystępuje do nieśmiałej jeszcze realizacji zamysłu stworzenia większej powieści. W Kurozwękach i Oleśnicy powstają pierwsze szkice

do «Syzyfowych prac». W projektach młodego autora zarysowywał się śmiały plan napisania w przyszłości całej trylogji, której drugim ogniwem miała być powieść, obejmująca studenckie przeżycia maturzystów klerykowskiego gimnazjum. Drugą tę powieść Żeromski w kilka lat później opracowywał z dużym zapałem i satysfakcją osobistą, jako temat bardzo sercu jego bliski, lecz, niestety, pochłonięty przez inne prace, nigdy jej nie wykończył. Nosiła ona tytuł: «Upusty».

Podczas wakacyj w kieszeni Żeromskiego znalazł się nielada kapitał: całe 35 rubli. Z kwotą tą, zwiększoną przez zasiłek od osób bliskich (zasiłków takich młody pisarz systematycznie zresztą unikał), postanawia przeprowadzić kurację niezagojonej ranki i próchniejącej kości w dłoni. Udaje się przeto z końcem czerwca do Krakowa i leczy przez pewien czas w szpitalu św. Łazarza. Przebieg operacji i warunki życia w szpitalu opisał wówczas w liście do najstarszego syna państwa Zaborowskich. List ten przytaczamy poniżej w całości:

Kraków, 30. VI. 1889 r.

Szanowny Panie Janie! Dziś dopiero mogę donieść Szanownemu Panu coś o sobie, gdyż dotąd byłem już to pod wrażeniem mającej nastąpić operacji, już pod wpływem chloroformu. Otóż — nie mam już ręki... chorej na próchnienie kości. We czwartek profes. uniw. dr. Obaliński «wyskrobał» mi nieszczęsne kości. Wybrałem dra Obalińskiego za wskazówką dra Szewczyka, który okazał się dla mnie dobroczyńcą prawdziwym, — to też niekłamana wdzięczność winien jestem panu Zabo-

rowskiemu za łaskawy list Jego. Bez niego nie byłbym sobie dał rady — raz, że nie znam Krakowa i jego stosunków, a wreszcie i dlatego, że byłbym zmuszony leczyć rękę w klinice, jako dysekcyjny preparat dla studentów. Doktor Szewczyk towarzyszył mi osobiście do dra Obalińskiego, zalecił mi, jako osobę, nieocenione usługi z rozmaitych względów oddającą ludzkości — wskutek czego we wtorek znalazłem się w oddziale chirurgicznym szpitala Ś-tego Łazarza... Nazwa tak jest niefortunną, że, gdy ją wypisuję, czuję, że rumienię się dziewiczo. Cóż robić? Zresztą — święty Łazarz krakowski nie ma w znaczeniu potocznym charakteru drastycznego, jaki wyrobił sobie Łazarz warszawski. Leczą tu wszystko, począwszy od nosów, a kończąc na paznokciach. Dyrektorem chorób z zakresu chirurgji jest doktor Obaliński. We wtorek tedy byłem już jednym z jedzących kurczę, prażone na parze... Mamy osobny pokój we dwu z braciszkiem zakonu Cystersów z Mogiły, któremu ucinąć będą nogę. Gdy patrzę na tę nogę, radość mię ogarnia, że ja mam obiedwie zdrowe zupełnie. We czwartek zanieiono mię na salę operacyjną, położono na stole sekcyjnym, przykryto siatką usta i nos i zaczęto chloroformować, podczas gdy ja liczyć miałem do stu. Dwadzieścia siedm, dwadzieścia ośm... dziewięć...

— Panie Stefanie! — woła ktoś na mnie. Zaczynam liczyć w dalszym ciągu: trzydzieści, trzydzieści jeden...

— Czuł pan co? — pyta mię asystent. Otwie-

ram oczy: ręka już obwiązana, — jest po operacji. Nic nie czułem. Zaniesiono mię do mej celi, — tam usnąłem na 24 godziny. Senność i zdrętwienie nie opuszczały mię aż do soboty. Dziś dopiero robiono pierwszy opatrunek, czyli dano mi przedsmak piekła. Cała ręka wzdłuż małego palca jest rozcięta — rana jest tak głęboka, że mogę obserwować całą moją przeklętą kość «łódkową»; w ranę tę kładą gazę jodoformową pod skórę całej prawie dłoni. Wpychanie tej gazy należy właśnie do mąk piekielnych. Jak długo potrwa leczenie, nieuniknienie wymagające ręki chirurga, dziś jeszcze powiedzieć mi nie umieją, choć męczę o to wszystkich. Wychodzić nie mogę i nudzę się straszliwie. Jakkolwiek bądź, mam zamiar dziewiątego lipca stąd się wydostać. Oleśnica wydaje mi się rajem rozkoszy wobec danteizmu widoków obciętych nosów, rąk, nóg, krwi i ran bez końca, na co muszę patrzeć, ilekroć wychodzę do ogrodu. Ogród jest prześliczny, a ma tę jedną wadę, że łączy się z ogrodem... obłąkanych. Chcąc odetchnąć świeższym powietrzem, trzeba wstuchiwać się w wycia, jęki, śmiechy, płacze, wrzaski warjatorów. Wszystko to tak na mnie oddziaływa, że mam chęć wyskoczyć oknem.

Przypuszczam, że Szanowny Ojciec Pana wyjechał do Warszawy — dlatego też wybrałem Szanownego Pana za powiernika mych wynurzeń. Jeżeli jest przeciwnie, raczy Szanowny Pan złożyć Mu najserdeczniejsze ode mnie podziękowanie za list, nim to będę mógł uczynić osobiście.

Mam nadzieję, że raczy Pan odpisać mi słów parę, za co byłbym Mu wdzięczny bardzo. Chciałbym, aby Szanowny Pan raczył namówić Michała Górę do przyjechania po mnie do Tarnowa w dniu, który w takim razie oznaczyłbym listownie.

Płacę tutaj dwa reńskie dziennie — fundusze więc moje mogą się do dnia wyjazdu tak wyczerpać, że nie byłoby o czem wracać z Tarnowa; — konie Michała, czekające w Tarnowie, ułatwiłyby mi pod tym względem odwrót.

Krakowa mało co dotąd widziałem i prawie go nie poznaję.

Oczekując na łaskawą odpowiedź, śmiem prześłać Szanownemu Panu i wszystkim, kogo list mój w Oleśnicy zastanie — serdeczne pozdrowienia.

Śługa — S. Żeromski.

Dr. Szewczyk obiecał mi napisać do Pana Zaborowskiego o umieszczeniu się mojem w ...«Łabaju». Co słyhać z Pukiem? Czy pocieszył się po mnie?»

.....

Pobyt w szpitalu krakowskim nie pozostał bez wpływu na twórczość Żeromskiego. Towarzysz niedoli i cierpienia, ów braciszek z zakonu Cystersów, któremu nogę odjęto, w zmienionej nieco postaci występuje w noweli.

.....

Po wakacjach, spędzonych w Oleśnicy, marzy jeszcze Żeromski o zalecanym przez lekarzy wyjeździe na kurację kumysową do Sławuty, projekty te jednak pozostają w sferze mrzonek, «kapitały» bowiem są już

na wyczerpaniu, a powołanie literackie pcha znów do katowni warszawskiej. Czeką go tam Machajski, który zdobył już nowe mieszkanie przy ul. Chmielnej, a przede wszystkim nęcą nadzieję, że wreszcie zdobędzie przebojem miejsce na łamach prasy.

Tej jesieni losy okazały się dla Żeromskiego łaskawsze. W podjętym przez Wiktora Gomulickiego wydawnictwie «Tygodnika Powszechnego» zakwalifikowano i gratisowo umieszczono dwie jego «młode» nowelki. Pierwsza p. t. «Ach, gdybym kiedyś dożył tej pociechy...» ukazała się w Nr. 2 «Tygodnika» na str. 27 i 28, druga zaś w trzy tygodnie później w Nr. 5 na str. 71 i 72. Nosila tytuł «Elegja». Wspominamy tu o tem tak szczegółowo dlatego, że był to w życiu pisarza ewenement wyjątkowo radosny, tudzież z tej racji, że obrazki te nie zostały przezeń wcielone do żadnego z wydań książkowych. Uważał je za zbyt słabe. Czy miał słuszność — nie naszą jest rzeczą nad tem się zastanawiać, wiadomo jednak, że był bardzo w stosunku do swej twórczości wybredny i wymagający.

Ośmielony pierwszym tym krokiem na drodze powodzenia, Stefan Żeromski ze zdwojoną energją począł kołatać znów do podwoi redakcyjnych. Przepisywał swe opowiadania po wielekroć i składał do oceny, gdzie mógł. Wiele liczył na swą «Siłaczkę», jedną z pereł całej jego twórczości pisarskiej. Niestety, «Siłaczka» nie miała szczęścia. «Kurjer Codzienny», wydawany przez L. Grendyszyńskiego i Al. Świętochowskiego po przeczytaniu zwrócił ją, jako utwór nieudolny i zupełnie nie nadający się do druku. W «Wędrowcu» Artura Gruszeckiego ten sam los spotyka «Zapomnienie» i inne

nowele. Biedny student w wyszarzanym mundurze i połatanych kamaszach odbiera swe odrzucone rękopisy w milczeniu i łyży ma w oczach. Z rysów twarzy mimowoli spogląda cierpienie i rozpacz. Nie wie o tem, że w pokoju redakcyjnym jest ktoś o bardzo dobrem i współczującym sercu, który jego tragedję rozumie i odczuwa. Zza biurka podnosi się młoda osóbką, zbliża do zgnębnionego młodzieńca i w sposób niezmiernie delikatny radzi, by rękopisy swe zaniósł do redakcji «Głosu». Żeromski wyjaśnia w zakłopotaniu, że... już tam był. Życzliwa osóbką tłumaczy mu, by się tem nie zrażał. Ma w «Głosie» znajomych i poprosi, by na nowele początkującego pisarza zwrócono uwagę i przeczytano je naprawdę.

Dzień ten, który przyniósł Żeromskiemu jedno z gorzkich rozczarowań, był zarazem punktem zwrotnym w jego karierze literackiej. Protekcja życzliwej, nieznajomej okazała się skuteczna. Utwory biednego studenta przeczytano z uwagą i jeszcze przed upływem roku 1889-go ukazała się na łamach «Głosu» nowela p. t. «Z dziennika. Psie prawo». Odtąd łamy wpłyowego i poważnego dziennika stały już dla Żeromskiego otworem. W «Głosie» zdobywa sobie imię i rangę talentu wyższej miary. «Głos» był «firmą» poważną. Był wyrazicielem ideowym i artystycznym elity umysłowej kierunku narodowego. Drukować w «Głosie» znaczyło wiele. Przekonywa się o tem Żeromski nawet w czasie swojej wycieczki do Szwajcjarji w styczniu 1892 roku. Koła kolonji studenckiej w Zürichu witają go tam, jako osobistość, w świecie literackim już znaną, jako «Głosowicza».

Młodziutką współpracowniczką redakcji «Wędrowca», która początkującemu autorowi okazała tyle życzliwości, była pani Oktawja z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowa, osoba wyjątkowo inteligentna, szlachetna i obdarzona niepospolitym wdziękiem kobiecości. Najlepszym sprawdzianem wartości, jakie młoda ta osóbką wносиła w szeroką sferę swego otoczenia, jest fakt, że dwaj wielcy pisarze: Prus i Żeromski pod jej natchnieniem stworzyli najpiękniejsze swe postacie kobiece. Madzia z «Emancypantek» i Joasia z «Ludzi bezdomnych» — dwie syntetyzacje szlachetności kobiety-Polki, dwie istoty jasne, proste, umiejące się poświęcać bez granic, — oto najlepszy i najbardziej wymowny hołd, złożony przez ludzi genialnych jednej i tej samej kobiecie.

Pani Oktawja była córką dra Ignacego Radziwiłłowicza, znanego w polskiej kolonji petersburskiej działacza narodowego i pani Oktawji z Medunieckich, kobiety niezwykle światłej i w pracy polskiej zasłużonej. W ruchu powstaniowym, za przykładem krewnej swej, Emilji Platerówny, pani Radziwiłłowiczowa brała udział bardzo żywy, czynnie dopomagając walczącym w charakterze kurjerki. Po roku 1863-im dom państwa Radziwiłłowiczów był na terenie petersburskim ogniskiem akcji pomocy uwięzionym i deportowanym w głąb Rosji powstańcom. Po śmierci męża p. Radziwiłłowiczowa zaślubiła powtórnie powracającego z Syberji (z Tomsku) powstańca dra Konrada Chmielewskiego, wybitnego członka organizacji narodowej na Litwie i syna powstańczego wojewody kowieńskiego, Aleksandra. Państwo Chmielewscy po powrocie do kraju mieszkali

w Warszawie a następnie osiedlili się w Nałęczowie, gdzie dr. Chmielewski w ciągu wielu lat był dyrektorem Zakładu Wodoleczniczego. Osiedliwszy się w Polsce, pani Oktawja Chmielewska krzewiła nadal swą działalność opieki nad więźniami politycznymi i była jedną z założycielek oddanego tej idei towarzystwa.

W tej atmosferze, gdzie służba sprawie niepodległości była chlebem powszednim, wśród żywych tradycji powstaniowych — wyrosła i dojrzała duchowo panna Oktawja Radziwiłłowiczówna, późniejsza pani Rodkiewiczowa. Była to atmosfera, którą przez całe swe życie oddychał i Stefan Żeromski. Duchowe to pokrewieństwo sprzyjało zadzierżgnięciu serdeczniejszych węzłów.

W roku 1889-ym pani Oktawja była młodą dwudziestokilkoletnią wdową. Biorąc czynny udział w pracy odrodzenia duchowego młodego pokolenia, mieszkała stale w Warszawie przy ul. Hożej 14. wraz z kształcącymi się w szkołach przyrodni braćmi pp. Chmielewskimi. Dla uzyskania bezpośredniego ideowego wpływu na dorastające pokolenie kobiece, niezależnie od zajęć redakcyjnych, objęła stanowisko wychowawczyni na pensji żeńskiej p. Henryki Czarnockiej (Bracka 18) u swej dawnej przełożonej. (Pani Latterowa i Madzia w «Emancypantkach» Prusa). Salon mieszkania pani Oktawji na Hożej gromadził w tych czasach lwią część myślącego społeczeństwa. Spotykali się tu zarówno weterani ostatniej walki o niepodległość, dawni towarzysze broni matki i ojczyzny, z Aleksandrem Głowackim (Prusem), Janem Karłowiczem i Stanisławem Witkiewiczem na czele, jak i młodzież, szukająca dróg, wiodą-

cych w przyszłość. W salonie tym z początkiem roku 1890-go począł bywać i Stefan Żeromski.

Pierwsze prace młodego literata zwróciły już nań pewną uwagę, a gorąca wróżbitka przyszłej sławy Żeromskiego, pani Oktawja, starała się zbliżyć go przede wszystkim z Prusem, który był wówczas w pełni sławy i w rozkwicie swego niepospolitego talentu. Odtąd datuje się nawiązanie serdecznego stosunku pomiędzy obu pisarzami, który wstępującemu w szranki literackie Stefanowi Żeromskiemu pozwolił na uniknięcie wielu omyłek i rozwój dalszej twórczości posunął wydatnie naprzód. Od Prusa otrzymał on niejedną cenną radę, wytknięcie błędu, zachętę i wskazówkę. Prus był dlań tym starszym życzliwym przyjacielem, który swego doświadczenia, wiedzy i artystycznego sprawdzianu nie chował zazdrośnie pod korcem, lecz, owszem, służył pomocą. A czynił to tem chętniej, że protektorką młodego nowelisty była pani Oktawja, z którą autora «Emancypantek» łączyła dawna przyjaźń. Dokumentem tej zażyłości jest niezmiernie ciekawa korespondencja, z której przy pisaniu tej pracy korzystałem. Bolesław Prus był nadto jednym z opiekunów małej córeczki pani Oktawji, kilkoletniej Heni Rodkiewiczówny (dziś p. Janowej Witkiewiczowej). Serdeczny ten stosunek sprzyjał niewątpliwie pomyślnym losom pierwszych nowel Żeromskiego w redakcji «Głosu», gdzie Prus miał przyjaciół.

Autor «Faraona» już w pierwszych próbach prozy Żeromskiego dostrzegł znamiona wielkiego talentu. Dlatego też każde z nowych opowiadań młodego pisarza, jakie dostawało mu się do rąk, traktował ze szczególną

uwagą, przykładał do nich miarą dużych wymagań, ganił usterki, nalegał o kształcenie stylu, najsilniejszy nacisk kładąc na wzbogacanie tematów elementem przeżyć własnych. Z pierwszych utworów Żeromskiego cenił też najbardziej nowelę «W sidłach niedoli» za siłę wyrazu artystycznego, płynącą z odzwierciadlenia własnej niedoli studenckiej autora.

Pierwsze te drobne sukcesy literackie, poza dużą satysfakcją osobistą, nie dały Żeromskiemu, rzecz oczywista, żadnego efektu materialnego. Zima roku 1889/90 niczem się i tym razem nie odróżniała od zim poprzednich, spędzonych na bruku warszawskim. Oszczędności z kondycji letniej wyczerpały się aż nadto szybko. O pracę, przy znanej niezapobiegliwości Żeromskiego, było coraz trudniej. Nie pomagała też i podziwiana dawniej przez pisarza ruchliwość Radka-Machajskiego. Bieda wciskała się do pokoiku ich wszelkimi szczelinami. Wyprzedano, co tylko handlarz chciał kupić... został im tylko jeden jedyny garnitur ubrania, w którym wychodzili na miasto po kolei. Jeszcze na parę miesięcy przed śmiercią Stefan Żeromski, przechodząc ulicą Chmielną, wskazywał ze smętnym uśmiechem okna swojej ostatniej studenckiej siedziby, mówiąc, że w tym pokoju właśnie obaj z Machajskim przeżyli trzytygodniowy okres czasu, solidarnie nic nie jedząc.

Doświadczenie trzech lat nędzy studenckiej wpłynęło wreszcie na zmianę planów młodego literata. Przyszedł do przekonania, że pracą literacką nie zdobędzie sobie tak rychło zabezpieczonego bytu, że do momentu tego mogą upłynąć jeszcze całe lata. Pobyt w Warsza-

wie w dotychczasowych warunkach przy zdecydowanej już chorobie płucnej był dlań zabójczy. Pozatem celowość jego, wobec zarzuconych studjów weterynaryjnych, czy medycznych, stała się problematyczna. Głodowanie lub posępna vegetacja — dawały mu zbyt szczupłą skalę wrażeń, — przeżycia miały zabarwienie zdecydowanie jednostronne. Konieczność zarabiania na chleb była nagląca. Rozumiał, że musi się wziąć do pracy prozaicznej, powszedniej. Z ciężkiem sercem opuszczał Warszawę, którą, mimo wszystko, kochał ogromnie. Żał mu było porzucić na dłużej tyłu marzeń, jakie w głębi swego gorącego serca tu przeżył, żał było rozstawać się z pracą narodową, której był całą duszą oddany...

Jedyną drogą, jaka w ówczesnych warunkach polskich stała przed Żeromskim otworem, było nauczycielstwo prywatne, znana mu już guwernerka. Wiosną 1890 r. wyjeżdża tedy na Podlasie do Łysowej, maj. pp. Dobrzyńskich, u których przez całe lato przygotowywa do szkół ich wnuczka, Rzązewskiego. Po egzaminach sierpniowych, skończywszy już swą misję profesorską, jedzie do Rudy w odwiedzinie do Teofilostwa Saskich, skąd przeprowadza korespondencję w sprawie posady na zimę. Starania te, dzięki przyjaźni, jaka go łączyła z Janem Stróżeckim, bardzo szybko uwieńczone zostały rezultatem pomyślnym. Przyjaciel pisarza przez pewien czas był nauczycielem domowym u pp. Michałostwa Górskich, do których należał majątek Nałęczów. Z czasów tych pomiędzy młodym studentem prawa a domem pp. Górskich przetrwała bardzo serdeczna zażyłość. To też gdy po letnich kondycjach dwór nałęczowski miał niebawem opuścić student Lenartowicz, zawierono reko-

mendacji Stróżeckiego, który na stanowisko guwenera polecił pp. Górskim listownie Stefana Żeromskiego. W bardzo starannie przez p. E. L. Migasińskiego zebranych wspomnieniach o Żeromskim, w związku z jego pobytom w Nałęczowie, umieszczony jest list Jana Stróżeckiego, który poleca młodego literata w ten sposób:

«Jeżeli Państwo na to miejsce nie mają jakiego wybranego kandydata, to jabym zarekomendował swego gimnazjalnego kolegę, Stefana Żeromskiego. Jest to zdolny człowiek, który wystąpił z klasy ósmej, był jakiś czas w szkole weterynaryjnej, a obecnie specjalnie zajmuje się guwernerką. Mógłby być w Nałęczowie 1-go września, ale gdyby potrzeba tego wymagała, to i wcześniej. Niech więc Pan będzie łaskaw dać mu znać, kiedy ma przyjechać, pod adresem: Kielce, ul. Sukowska, dom p. Makowskiej dla S. Ż. On przedstawia tę dogodność, że mógłby pozostawać bez wyjazdu cały rok, a nawet dłużej».

Państwo Górscy skomunikowali się z zalecanym przez Stróżeckiego kandydatem i dnia 1-go września Stefan Żeromski po raz pierwszy przybył do Nałęczowa. Jechał tam bardzo chętnie, a składało się na to wiele względów. Przedewszystkiem, była to wyglądana z upragnieniem podstawa bytu, zabezpieczająca mu mniej więcej rok czasu, spędzonego bez niedostatku i w ciszy uroczego zakątka wsi polskiej, gdzie mógł pracować i przetrwać swe wizje twórcze, wśród których bardzo poważne miejsce zajęły ostatnio wrażenia podlaskie, — a pozatem... Pozatem wiedział, że w Nałęczowie odnajdzie swą młodą protektorkę, panią Oktawję, której imię

w myślach i sercu młodego pisarza trwałymi zapisało się zgłoskami. Nie była to jeszcze miłość, która w całej krasie gorącego uczucia rozkwitła dopiero w Nałęczowie, ale sympatja głęboka, przyjaźń i zrozumienie wzajemne dwu dusz, którym przeznaczenie wykreślić miało w przyszłości szmat wieloletniej pięknej i szczytnej drogi życia, we wspólnej pracy dla umiłowanych ideałów — dobra i sztuki.

Pupilkami i uczenicami pisarza u pp. Górskich były trzy ich córeczki, panienki bardzo jeszcze młode, gdyż najstarsza z nich miała wówczas dopiero lat 12. Kształcenie i wychowywanie tej trójki było zajęciem nie tyle może odpowiedzialnym, ile kłopotliwym. Trzeba przyznać, że młody pisarz był nauczycielem dobrym i bardzo sumiennym, ale pedagogiem nieszczególnym. Z młodocianami swymi uczenicami nie zawsze sobie umiał poradzić, swawoli i trzpiotowości nie rozumiał, był mentorem wymagającym i łatwo ulegającym rozdrażnieniu. Poważny i małowówny, zamknięty w świecie swych własnych dumań i prac, z trudem zstępował na poziom umysłów dziecięcych. W Nałęczowie czuł się bardzo dobrze. Otoczenie domowe ludzi dobrych i kulturalnych, cisza wiejska i przepiękna natura, w której rozkochał się, jak w lasach ojczystych gór, wpływały nań kojąco. Warunki do pracy literackiej były tu idealne. Zajęć obowiązkowych miał niewiele, mógł więc dużo czasu poświęcić na ulubione samotne spacerowanie, na wędrowniki po wsiach okolicznych i gawędy z ludem, na ciche zadumy wśród drzew parku lub na szczytach malowniczych pagórków, «gór» Armatniej i Poniatowskiego, skąd miłującym wzrokiem obejmował jedyny

w swoim rodzaju krajobraz, który wydawał mu się, jak sam określił, «najpiękniejszy pod słońcem».

We dworze nałęczowskim rozkłada też Żeromski na dobre swój warsztat pracy literackiej i tworzy piękniejsze swe opowiadania. Tu poleruje ostatecznie swą «Siłaczkę» i stąd posyła do «Głosu» wraz z nią szereg nowel, a w pierwszym rzędzie «Zapomnienie» i «Zmierzch».

Wiosną roku 1891-go przybywa z Warszawy i osiada w Nałęczowie na stałe, obejmując posiadłość w administracji uzdrowiska — pani Oktawja Rodkiewiczowa. Młodemu pisarzowi Nałęczów wydał się wówczas stokroć piękniejszym. Szarzyznę dnia powszedniego rozjaśniła obecność duszy bratniej, z którą mógł śmiało dzielić swe myśli najskrytsze, marzyć wspólnie o ucieleśnianiu płomiennych wizyj twórczych, o nieceniu światła wśród mroków życia polskiego, o triumfie najszlachetniejszych ideałów ludzkości... Ta wymiana myśli miała dlań wartość wysoce dobroczynną. Z posępnego, zdławionego niedolą i zatrutego goryczą przedwczesną młodością, Stefan Żeromski pod wpływem pogodnej swej Beatrice przeistaczał się z wolna w człowieka, któremu dostępną stawała się radość życia.

Przybywając do Nałęczowa w charakterze guwenera córeczek pp. Górskich, nie przypuszczał zapewne młody pisarz, że los w przyszłości złączy go tak ściśle z tym pięknym zakątkiem ziemi polskiej. Nie wiedział, że Nałęczów przez długie lata będzie terenem jego pożytecznej i w imię najwznioślejszych haseł podjętej pracy kulturalnej i dobroczynnej, że rozbiwszy namiot pracy artystycznej w stylowej chacie na zboczu góry

Armatniej, stworzy tu najpiękniejsze dzieła swych lat dojrzałych, że ciężko zapracowanym groszem wzniesie tu gmach ochrony dla dziatwy, przez swą działalność oświatową zyska powszechną miłość ludu i wreszcie... treść życia swego — zwłoki umiłowanego jedynaka Adasia, złoży na wieczny sen w swym grobie. Czynnikiem, który o tej ścisłej łączności Żeromskiego z Nałęczowem zdecydował, było głębokie uczucie, jakie w ciągu wiosny i lata 1891 r. zrodziło się w dwu bratnich sercach, — uczucie niezmiernie silne i żywotne, które złączyło drogi dwojga ludzi na parę dziesiątków lat w świadomym zrozumieniu celu życia i jedności dusz, wzajemnie się wspierających. Miłość młodego twórcy do pani Oktawii Rodkiewiczowej, oglądana przez pryzmat jego zwierzeń pisanych, jest jednym z najpiękniejszych poematów, owianych szczególnym idealizmem młodości.

Czem była dla Żeromskiego ta miłość i ta kobieta — mówi on sam. Powtarza po wielekroć, że była tym aniołem opiekuńczym, który go dobył z otchłani pesymizmu i powrócił do grona ludzi żywych. Była mu później opiekunką i doradczynią, towarzyszką i współpracowniczką, najwrażliwszym kamertonem jego pieśni twórczej, pierwszym cenzorem artystycznym jego dzieł, lekarzem duszy i ciała...

.....

Zajęcia nauczycielskie Żeromskiego przeciągnęły się rok i cztery miesiące, t. j. do stycznia 1892 roku. Zkolei wypadnie nam przejść do relacji z krótkotrwałego, ale w rozwoju talentu pisarza dużą odgrywającego rolę wyjazdu zagranicę.

Podczas pobytu w Nałęczowie, Żeromski kilka-

krotnie odwiedzał Warszawę. Czuł się w niej już nie tak swojo, jak dawniej, — zabrakło przyjaciela Wacka. Machajski, wioząc z Krakowa wydrukowany tam nakład odezw patriotycznych, przez swą nieostrożność i roztargnienie, zdradził się z tem na granicy i został aresztowany. Przeprowadzany jednak do tymczasowego aresztu, przez jednego tylko konwojenta tegoż dnia zdołał umknąć. Po tym wypadku nie mógł już długo popasać w Królestwie, gdzie każdej chwili narażony był na pochwycenie przez żandarmerję rosyjską. Wyjechał tedy corychlej za fałszywym paszportem do Szwajcarii i osiadł w Zurychu. Tu, w kraju obcym, w mieście nad miarę nasyconem przez żywioł inteligentny, wpadł w ostateczną nędzę. O zdobyciu podstaw bytu drogą pracy umysłowej nie mógł nawet marzyć. W tych warunkach projekt dokończenia studjów medycznych na uniwersytecie zuryskim musiał rychło zbankrutować, głód bowiem skłonił Machajskiego do szukania zarobku za wszelką cenę. W ten sposób marzyciel Jan Waclaw, który niedawno jeszcze roił o koturnach artysty-bohatera, znalazł się w szeregach robotniczych. Pracę znalazł w warsztacie przedsiębiorcy malarza pokojowego. W nowem tem środowisku zetknął się z liczną rzeszą rosyjskich wykołajników życiowych, wyrzuconych przez ferment rewolucyjny z ojczyzny. Ludzie ci, na zmianę studenci i robotnicy, zyskali z czasem zaufanie tak ostrożnego dotąd Andrzeja Radka. Zniechęcony do świata, rozczarowany niepowodzeniami, wchłonął łatwo zasady skrajnego, zrodzonego w duszy rosyjskiej nihilizmu i wszedł na drogę, z której już nigdy nie zawrócił.

Przywiązany do Radka całym sercem Żeromski, tęsknił za nim i odczuwał brak przyjaciela ogromnie. O przykrej i nieoczekiwanej metamorfozie, jaka nastąpiła w Szwajcarii — nie wiedział. Listy Machajskiego z natury rzeczy nie mogły zawierać żadnych aluzji politycznych. Zachęcał w nich jednak wciąż Stefana, by przeniósł się do Szwajcarii i tam przystąpił do studiów nad socjologią. Czy przemawiała przezeń zupełnie naturalna tęsknota za przyjacielem, z którym łączyły go lata wspólnie przeżytej doli i niedoli, czy też gorliwość neofity, pragnącego pozyskać jeszcze jednego wyznawcę nowej wiary, — niewiadomo. Bądź co bądź, zarówno pod wpływem zachęty przyjaciela, jak i z właściwego każdemu inteligentowi pragnienia zetknięcia się z ogniskami kultury oświeconego Zachodu, Żeromski od szeregu miesięcy piastował w duszy projekt wyjazdu zagranicę. Czy będzie się tam mógł osiedlić i podjąć normalne metodyczne studia, czy też rozejrzy się jeno po szerokim świecie, — myśli tej nie skonkretyzował sobie jeszcze dokładnie. Rzecz szczególna, że nawet tak dotkliwie dające mu się we znaki ciągi materialne nie wykształciły w nim nigdy zmysłu wartości pieniądza i elementarnej choćby praktyczności. Zaoszczędzona roczna pensja gubernera olśniewała go do tego stopnia, iż zdawało mu się, że będzie mógł żyć z niej, Bóg wie, jak długo. W podróży dopiero przekonał się, jak dalece topnieją jego «olbrzymie» kapitały. Ten rys niepraktyczności i słabej orientacji w rzeczach życia powszedniego przegląda często przez karty dzieł Żeromskiego.

Zapał do projektu podróży szwajcarskiej osłabł

w młodym pisarzu wybitnie po zaręczynach z panią Oktawją. Najprzeciętniejszy człowiek zakochany z trudem opuszcza przedmiot swej miłości. O ileż trudniej uczynić to poecie, któremu świat uczuć przesłania cały horyzont życia? Im przeto bliższym stawał się termin wyjazdu, tem więcej słabł w pisarzu nerw podróżniczy. Wreszcie ogarnęła go taka żałość i lęk przed rozstaniem, taka obawa, iż może utracić ów cenny dar, jakim go los od niedawna obdarzył, że na samą myśl o wyjeździe buntuje się i wzdryga. I byłby zapewne nie wyjechał, gdyby nie Prus, który kładł silny nacisk na konieczność kontynuowania studiów czy to w Szwajcarii, czy w Krakowie, gdyby nie życzliwe rady uczonego Jana Karłowicza, a przede wszystkim stanowcza perswazja narzeczonej. Wyjeżdża tedy Stefan Żeromski, ale w rozżaleniu i zgnębieniu ostatecznym. Czuje się, jak małe i bezradne dziecko, które najbliżsi opuścili i samo musi się błąkać po świecie. W listach swych, pełnych bezgranicznej miłosnej egzaltacji, skarży się wciąż i użala, czuje się obco i źle, ma nawet najokrutniejsze, nieuzasadnione przecucia. Nastroje autora tych listów, nastroje zakochanego — są nieraz prawie dziecinne; wszak zakochani tak bardzo do dzieci są podobni...

Poniżej podajemy czytelnikowi cały szereg dostępnych nam urywków z tej ciekawej korespondencji, dającej o wrażeniach, przeżyciach i nastrojach pisarza dość dokładne pojęcie. Są to jedynie urywki, poszczególne zdania i uwagi, wyjęte z powodzi tęsknych uniesień miłości, ten ostatni bowiem pierwiastek uczuć całkowicie niemal tu pomijamy, jako wyłączną własność adresatki.

W listach Żeromskiego z tego okresu uderza przede wszystkim charakterystyczny rys, że za granicą wszystko mu się nie podobało... Sam tłumaczy to odrazą, jaką czuje do wszelkiej cudzoziemszczyzny. Jest to o tyle słuszne i prawdopodobne, że ten nawskróś polski pisarz istotnie tylko w ojczyźnie umiał czuć się dobrze; pozatem, zwiedzając Wiedeń, Innsbruck, Zurych, Monachjum czy Pragę, stykał się wyłącznie z środowiskami, powleczonego werniksem niesympatycznej mu kultury niemieckiej. Jest więc w tem jego samotłumaczeniu się duża część prawdy. Najistotniejszą atoli przyczyną awersji, jaką budziło w nim życie wśród obcych, był niewątpliwie rozdział z ukochaną i tęsknota, zaprawiająca goryczą najsympatyczniejsze nawet wrażenia zewnętrzne i zmuszająca do spoglądania na pogodny choćby horyzont przez nieodwołalnie posepne szkła. Potwierdzeniem tej supozycji jest fakt, że nawet Kraków, do którego w innych, pomyślniejszych warunkach Żeromski tak szczerze się później przywiązał, rodzi w nim refleksje wprost odstręczające. Nie bez znaczenia musiała tu być i fatalna pora roku (styczeń), która nawet Szwajcarię odziera z lwiej części uroków natury i działa deprymująco na stan psychiczny każdego człowieka.

.....

Rozstawszy się z narzeczoną w Warszawie, podążył Stefan Żeromski najpierw do Kielc dla załatwienia koniecznych formalności paszportowych. Przyjeżdża wieczorem, uskarża się na samotność, na ciemności i błoto, jest nawet do ukochanych z dzieciństwa kątów zrażony (vide: przyjazd Joasi z «Ludzi bezdomnych»

w nocy podczas deszczu do Kielc, gdzie nie ma już nikogo bliskiego). Tu przystąpimy do ilustracji wrażeń pisarza jego własnymi słowami przy pomocy wspomnianych wyżej urywków z jego korespondencji z narzeczoną:

Kielce, 11. I. 1892 r.

Nie zdołasz, moja najdroższa, wyrazić słowami smutku, jakiego doświadczam. Usiadłem, aby pisać, bo to jedyna ucieczka przed ściskaniem serca, które wzmaga się chwilami aż do stanu bólu fizycznego. Po co i dokąd jadę? Chwilami zdawało mi się w wagonie i teraz się zdaje, że zwarzowałem i lecę dokądś, porzuciwszy Ciebie... Teraz widzę, jak słabą i chwiejną jestem istotą: istnieję tylko przez Ciebie. Nigdy nie doświadczałem takiego zamętu w uczuciach i takiego ucisku tęsknoty. Próbowałem w wagonie czytać Copperfielda, ale ile razy otworzyłem książkę, drgał mi w uszach dźwięk dziwnego głosu, pociągający mię z siłą jakiejś muzyki, której niepodobna się pozbyć. Jestem znużony uczuciem smutku, jakbym przeszedł kilkanaście mil. Czego się dotknę, na co spojrzę, wszystko łka za mną i przede mną... Jutro o ósmej rano wyjadę stąd i wieczorem będę w Krakowie. Gdym przyjechał, nastraszone mię, że termin wyjazdu minął; musiałem biegać do rozmaitych urzędników, którzy, szczęściem, wyjaśnili rzecz na moją korzyść. Były chwile, że chciałem rzucić myśl jakiegokolwiek jechania i wrócić do Warszawy. Teraz jestem sam na jakie dwie godziny i uciekam przed tęsknotą, jaka zdaje się iść za mną, jak cień... Obsiadają mię złe przecucia — i to jedno najgorsze, że Cię już nie zobaczę. Głowa boli, szum w uszach i to

dziwaczne uczucie rozłamania moralnego — tak mię męczą. Lichy ze mnie podróżnik, słyszę tylko dźwięk dzwonek, mało co widzę, a raczej widzę tylko smutek własny na przesuwałającej się ziemi, na twarzach obcych, do oglądania których nie pociąga mię ani isierka ciekawości. Ach, niema nic naprawdę gorszego, nad jazdę koleją z takim sercem...

Kraków, 12. I. 1892 r.

...Nie dam chyba rady smutkowi... Piszę przez łyzy, dusi mię żal... Po co tu jechałem, ażeby sobie tak dokuczyć?... W wagonie otworzyłem Dickensa i zacząłem czytać: «Spuściła się na mnie noc ciemna, pełna mar, zawiedzionych nadziei, wspomnień, omyłek, boleści, żalów»... Och, ta noc ciemna... we mnie się coś rwie i nęka mię, świat znika i wsuwam się do niczego nieudolny w kął numeru, aby być sam na sam z bólem osamotnionego serca!... Stanąłem w hotelu Pollera na ulicy Szpitalnej, bo tu lepiej i niema gwaru — a tanio. Jakiś obywatel z pod Radomia jechał ze mną i zakochał się we mnie, bo mi nosił rzeczy, kupował bilety, dawał wszelkie rady i obiecał codzień odwiedzać, dokąd nie wyjedzie. I to dobre, bo dałbym nie wiem co za jedną z kimś rozmowę. Wasil(ewski) nie pisał i nie był jeszcze. Po co ja jadę, dokąd? Dobrowolnie oddalam się od Ciebie. Dobry Dickens, jakże dobrze zna pustkę wszystkich miejsc na ziemi, gdy nam dokucza «cierń w głębi serca». Przed godziną próbowałem czytać gazety, rozerwać się, ale literalnie nie mogę. I wiem to dobrze, że mi będzie z dniem każdym gorzej... W Kielcach nie byłem u nikogo

nie spałem wcale w nocy, wstałem bardzo rano... Bóg miłosierny nade mną... Nierozsądne są prawdopodobnie moje listy, ale mi darujesz... Siedzę, zwinięty w kłębek... Terazby mi trzeba kilku dni zupełnego spokoju, to też właśnie muszę chodzić z listami rekomendacyjnymi... Zaledwie przyjechałem przed dwiema godzinami, już liczę pracowicie, ile dni brakuje do Wielkiej Nocy. Jakie to znowu jutro myśli wesołe opanują mię, gdy się obudzę... Zegary jakieś wściekłym dźwiękiem biją i przesywają mię nawskroś. Ciemna noc, pełna omyłek, boleści i żalu... W Kielcach, było jeszcze jako tako, bo mię zapytywano, mówiono do mnie, a tu poprostu coś dusi. Dobranoc, — niech Bóg czuwa nad Tobą...

Kraków, 13. I. 1892 r.

...Odebrałem dzieś list od Zygmunta W(asilewskiego), zawiadamiający, że on nie jedzie jeszcze, aż dopiero może w marcu i to na Berlin. Pojadę tedy sam prawdopodobnie pojutrze. Ani jednej twarzy znajomej w tym Krakowie, nie mówię z nikim literalnie — tylko w restauracji: — Co się należy?, na poczie: — Czy niema listu? Ach, co za smutek! Byłem dzieś u pana M. P. (pięknej i niebezpiecznej pani P. niema w Krakowie — bawi obecnie w Warszawie), poznałem się więc z mężem jej, podobnym nieco do Zygmunta Augusta, jeżeli notabene tamten król mówił tak rozwlekle. Siedziałem u niego z godziną i mówiłem o polityce, — mam nawet pisać artykuł, Boże odpuść, polityczny. Niepolitycznie ja go, widzi mi się, napiszę, ten artykuł. Byłem na wystawie, ale nie podziwiałem im-

presjonizmu, stałem przed Grottgerem i myślałem o czemś dawnym, przecudnym, co się dziś zmieniło dla mnie na smutek, rozproszony dokoła, leżący w powietrzu, wyrastający z pod nóg. Obce tu życie i, powiedzieć trzeba, trochę błazeńskie: złości, na każdym kroku spotykane, jakaś przesadna a fałszywa usłużność, gadulstwo w gazecie, wykręcanie się sianem w kwestjach zawitych, a szerokie i długie deklamacje w najprostszych. Mój towarzysz podróży odwiedził mnie dzisiaj i przydał się, bo zna Wiedeń, więc wskazał mi tanie tamtejsze hotele i rozmaite środki oszczędności. W Krakowie drogie życie — prawdopodobnie ukłony do ziemi kelnerskie tak drogo kosztują. Wczoraj z pół dnia szukałem pewnego młodego pana literata, który kiedyś poznał się ze mną w Warszawie, ale go nie znalazłem. Mieścina, jak naparstek, a znaleźć kogoś — niema sposobu, bo żadnych biur adresowych nie można nawet wynaleźć. Ze złości pisałem wieczór obrazek, ten, jaki lepiłem na Twoim stoliczku za złotych dni moich minionych... Niektóre zdania przepisywałem co tchu, aby nie rozmyślać o tem, co o nich mówiłaś... Niema nic smutniejszego, nad tłum obcy, gdy nam dolega miłosny żal, wszystko się powiększa wtedy, małe ukłucie szpilką boli, jak rana od sztyletu — i niema miejsca łaskawego na smutek...

...Wracając do pana P., muszę przyznać, że mi niewiele obiecał: szybciej przejrzy nowe, jakie mu złożę — oto wszystko. Dziwnie się robi przy zetknięciu z redaktorami: oni np. nazywają «spieniężeniem» naszych smutków, łez i myśli przyjęcie do druku. Wątpię też, czy będę miał wiele do «spieniężenia» na austriackie

w dodatku guldeny. A, co mi tam! Chcę już jechać, wszystko mi jedno dokąd, bo Kraków zaczyna mi się tak podobać, jak Kielce. Bóg wymyślił wieś, a djabeł miasto — to święta prawda. Może zresztą przesadzam, bo zdaje mi się teraz, że Nałęczów np. powstał ze smutnych łez i pięknych marzeń Chrystusa. Gdy idę po tutejszych plantach ze zwieszoną głową, jak kleryk, — nieraz jakiś konar drzewa, jakaś ich grupa, przypominają mi drzewa Nałęczowa i znowu spada na mnie noc ciemna... Ciekawym jednak, czy ja jeden jestem takim starem dzieckiem, czy tylko jestem jednym z wielu, którym mózg przerósł uczuciami chorobliwie. Chcę od czasu do czasu zapewnić się bajronistycznie, «że nikt po mnie nie płacze», że nikt nawet listu nie chce napisać, ale napróżno. «Czemu w sercu smutno, czemu pełno snów... oto cała muzyka. Takim smutny, że nie chce mi się nawet iść na żaden koncert, o jakich zawiadamiają afisze w postaci prześcieradeł... Może napiszesz do Wiednia pod moim adresem do Nordbahn-Hotel? Stąd do Wiednia droga kosztuje 4 reńskie 50 cnt. Adres trzeba pisać wyraźnie.

Wiedeń, 15. I. 1892 r.

...Otóż jednym susem jestem nad modrym Dunajem. Wyjechałem z Krakowa o dziewiętej, a tu stanąłem o 10-ej i 1/2 wieczorem, nie odpoczywając ani chwili... Z Lundenburga jechałem ekstracugiem, który na dwanaście stacyj zatrzymuje się raz na dwie minuty w Floridsdorfie, a że jechałem w ostatnim wagonie, więc kołysałem się, jak na łodzi w szalonym pędzie, od którego p. Głowacki (Prus p. a.) pewnoby zemdleł.

Jechałem przez Morawy wśród niezmiernych pól bez końca, okrytych zaspami śniegu i — z każdym obłokiem dymu jaki leciał koło mojego okna, szedłem na północ... Jechał ze mną student, wasser - Polak z Wiednia, ale mię tylko drażnił swą mową półniemiecką. Język polski w wagonie skończył mi się zaraz za Krakowem w Oświęcimiu, choć napisy «Dla panów» i «Zawiadowca stacji» prowadziły mię aż do Piotrowic. Stamtąd, gdzie ostatni raz słyszałem przez szybę posługacza, mówiącego po polsku, — zaczęło się «Pro pany» i «Sprawca stаницe» i trwało tak aż do Lundenburga. Tam wysiadłem, piłem już czysto niemieckie piwo i podlegałem jakimś oględzinom... Potem ten djabelski sznelcug, dzięki któremu jeszcze się chwieję na nogach. Kaszlę, ale w Krakowie kupiłem sobie za Twoją receptą (z wielkimi trudnościami) apomorfiny i piję po trosze... Stąd wyjadę jutro i chciałem jechać, nigdzie się nie zatrzymując, wprost, bo te odpoczynki ogromnie kosztują, a co dla mnie ważniejsze, jestem tak smutny niewypowiedzianie, że poprostu pragnę Wacka... Żaden widok, żadna zmiana nie rozbudza mojej ciekawości... Student, który ze mną jechał, kocha się także, bo co chwila wydobywał jakąś fotografię i patrzył w nią ze smutną miną... Wiednia mało co widziałem, choć łąziłem już ulicami, o jakich mi się nie śniło. Sama ulica, na której mieszkam — to piekło, nie ulica: szeroka, jak pół parku naęczowskiego, pomniki, domy djabelskie... Widziałem Dunaj — i tak samo mi jego widok ścisnął serce, jak widok Wisły pod Iwangrodem. Co mi z tego, że to inna rzeka? Od siebie i swego smutku nie ucieczesz... Tu śniegi olbrzymie i zimno —

szczęściem, że w numerze leży na łóżku pierzyna taka, że na cztery familje ciepłaby dać mogła. Dziwna rzecz, że wszyscy mię tu mają za Rosjanina, — wiadać mam minę srogą. To los — na starość... Wątpię, czy ja długo wysiedzę tu wogóle zagranicą. Nie dam sobie rady z samym sobą. Poprostu boję się, abym nie zapadł w jaką chorobę nerwową. Czasami napada na mnie taki smutek, że cierpię, — muszę dokądś iść, zmęczyć się, jakoś zmordować — dopiero mogę czytać lub pisać. W Krakowie złożył mi wizytę pewien żydek, redaktor nowego dziennika... Ten żyd, z najuprzejmiejzszymi zresztą propozycjami pisania, — tak mię rozdrażnił i rozżłościł dyskusją, że aż się zląkłem o siebie: czy ja już nie jestem nerwowiec... Prześladuje mię cyfra 38. W Krakowie w hotelu N. 38, tu 38, gdzie spojrzę — 38.

Wiedeń, 16. I. 1892 r.

Dziś rano, wychodząc z hotelu i gadając z komi-sjonerem o dalszej mojej drodze, zaczepiony zostałem przez młodego Polaka z Poznańskiego a studenta w Zurychu, który dziś tam jedzie. Bardzo miłe i użyteczne spotkanie, bo on zna się na rozmaitych przespiegach kolejowych, wie, gdzie się i jak obracać, zresztą zna Wacka. Wyjedziemy więc razem dziś o 9-tej wieczorem na Linz i Innsbruck przez Tyrol do Rapperswylu a stamtąd statkiem przez jezioro... Chodziliśmy ze sześć godzin chyba po Wiedniu. Śliczne to miasto, a tak łatwe w orjentowaniu się, że sam już trafiałem i na Graben i na śliczną Kärthnerstrasse. Widziałem Burgtheater, Stephanskirche, uniwersytet, Muzeum Han-

dlu, giełdę, pomniki, mosty, Dunaj i t. d. Mieszkam obecnie na Praterstrasse. Gdyby znać się na Wiedniu lepiej, to tutaj taniej jest, niż w Krakowie, ale Szwabiki poznają, rozumie się, we mnie «Rosjanina» i co trocha ktoś się zwraca: — Wy rosskij?... Piwo tu takie, że sam pan Wolski się nie umywał! Gdybyś Ty tu była, wtedy z wesołością zwiedzalibyśmy sobie razem miasto, ale tak w smutku i tej niechęci, jaka we mnie jest, patrzę, aby handel szedł... Kiedy otwieram dziennik i coś tam notuję, — mam przed oczami dawne moje czasy — i zaraz mię ściska w gardle żelazna obrączka...

Innsbruck, 17. I. 1892 r.

...Jestem na wysokości 2000 metrów, nieumyty, zaspany i trochę zdziczały. Z Wiednia wyjechałem o 9-tej wieczorem ekspresem, który wściekle kosztuje, bo aż 16 florenów. Tu muszę czekać na pociąg do trzeciej po południu. Jechałem przez Tyrol do Salzburga — najcudniejsza okolica, jaką można sobie wystawić. Księżyc oświecał te przepaściste, śpiczaste, porwane góry. Co chwila pociąg wlatywał w tunel, lub przedzierał się między skałami nad głębią rzeki, której nie opuszczał aż dotąd. Mój towarzysz podróży zły, jak mandryl, że trzeba tutaj czekać tak długo, ale za to zwiedzimy miasto. Smutno, posępnie jechać z żalem i tęsknotą w sercu. Zwiedzaliśmy wczoraj aż do 9-ej Wiedeń, jego «burgi i ringi» — i poznałem miasto jako tako — rozumie się, z wierzchu... Będę prosił o trochę pieniędzy, bo strasznie się wyszastałem. Już z powrotem nie pojedę na Wiedeń — niema głupich...

Zurych, 20. I. 1892 r.

...Przyjechałem w poniedziałek rano, spotkałem się ze znajomymi i... zdążyłem już zauważyć przedział, istniejący między mną a nimi — szczególnie zaś przedział między mną a Wackiem. On się zmienił bardzo, a przynajmniej o tyle, że nie można się zejść po bratersku, jak dawniej. Pojąłem też, że — «na tej ziemi, prócz Ciebie, nic niema»... Często tutaj chodzę nad jezioro patrzeć, jak gęsty mrok zapuszcza się w daleki horyzont wodny i tworzy tam przepaść bezdennego oddalenia, przerażającą swym smutkiem. Fale odbijają od brzegu, niosąc na grzbietach grzywy żółtej piany i idą tam właśnie, na wschód, do tego krańca horyzontu, który ukrywa w sobie coś, woła i pociąga i przepowiada jakąś złą, nieszczęsną przyszłość nieodgadnioną... Chory jestem i na nerwy — to darmo. Odycha mię cudzoziemszczyzna wtedy nawet, gdy ją ciekawie obserwuję, gdy zwiedzam i badam — i co za rozkosz myśleć, że to wszystko porzucę, opuszczę i polecę, co tchu, co siły w nerwach! Wracać i myśleć sobie, że nie oddalam się, ale zbliżam za każdym obrotem kół... ach, Boże!... Nawet taka przyjaźń, jak nasza (Żeromski mówi tu o Machajskim. P. a.) z nim, rozbija się — o co? — o nic, o to, że on inaczej myśli, a ja inaczej... O ileż mądrzejsze są Twoje myśli od steku tego wszystkiego wrzasku... Gdybym miał pieniądze, wyjechałbym dziś jeszcze...

Zurych, 23. I. 1892 r.

...Nudno i smutno — na czekaniu Twego listu czas spędzam. Chciałbym co tchu już stąd jechać...

Dziś powróciłem z wycieczki do Rapperswyłu. Rapperswył leży na drugim końcu jeziora Zürichsee. Wyjechaliśmy z All-de-Baranem rano koleją, biegnącą tuż nad brzegiem wody, pośród winnic i niezliczonych miasteczek. Jest to widok niewymownie piękny: dokoła góry z olbrzymimi szczytami, jak Kapfenstock, Hochetzel i inne, olbrzymia tafla wody mieni się różnobarwnie, gdy z niej mgła wstaje. W miasteczku Pfäffikon przesiada się na inny pociąg i jedzie pan Stefan po grobli, przecinającej jezioro wpoprzek, wprost do Rapperswyłu. Jest to cudowne miejsce: na cyplu górskim, oblane dokoła jeziorem wisi miasteczko tak starożytne, że stanowi jeden numizmat; nad miasteczkiem stoi stary zamek, gdzie mieści się nasze muzeum. Rozumie się, przedewszystkiem kiepski rosołek i... «Wienersnycel» za dwa franki oraz piwa monachijskiego bardzo wielka ilość, — potem dopiero stromymi schodkami średniowiecznymi «nach polnisches Museum». Wracaliśmy statkiem. Jest to dwie i pół godziny drogi. Było trochę zimno, ale staliśmy wytrwale na pokładzie. Takie widoki śliczne, takie impresjonistowskie kolory na wodzie, na pochyłościach i na szczytach gór... Lecz w sercu smutno... Wybierałem się do Bernu, ale dam pokój, — wolę za to zatrzymać się w Monachjum, wracając, a może zawadzę i o Drezno, nie licząc Pragi... Mnie się zdaje, że długo nie wytrzymam i, jeśli..., to rzucę wszystkie projekty uczenia się, wrócę do Warszawy i będę się starał o miejsce nauczyciela wiejskiego, — po to, aby panience mojej przypomnieć obietnicę. Ja chcę mieć żonę. Gdy będziemy podróżować razem, to rzecz inna: wtedy i jeziora i góry inakszą

mieć będą postaci... Muszę kończyć, bo złażą się rozmaici znajomi...

Zurych, 25. I. 1892 r.

...Pieniędzy jeszcze nie odebrałem, a czekam na nie nerwami, bo pragnę niezwłocznie wyjechać. Znudziło mi tu wszystko. Tu już prawie się żegnam ze znajomymi, tak mię coś pędzi... Chciałbym mieć od Ciebie kilka słów w Monachjum, gdzie się zatrzymam dla zwiedzenia galerji może jaką dobę... Z drogi, rozumie się, pisać Ci będę systematycznie i systematyczniej, niż dotąd, bo będę jechał sam bez nudnych i głupich towarzyszków, zanudzających baranio-postępowemi rozmowami. Twoja wzmianka o moich studjach ekonomji politycznej zadziwiła mię trochę. Po co mi to? To rzecz bogatych ludzi. Tu trzeba mieć miesięcznie najmniej 80 franków, a mnie z lekarstwami najmniej 100 — nie licząc wpisów. Zresztą ekonomji politycznej najlepiej uczyć się z książki. Jeżeli chciałoby Twoje dobre serce towarzystwa dla mnie Wacka, to muszę przyznać że to towarzystwo drażniłoby mię tylko. Dziś się rzadko widzujemy, a widząc się, mało sobie mamy do powiedzenia. Łudziłem się, że to umysł i serce, a to jeden z wielu postępowców, wyśmiewających dziś to, za co wczoraj gardło dawał. Śmiech bierze patrzeć na to wszystko, wyzute z wszelkiego indywidualizmu myśli i uczuć i idące owczym pędem za zdaniem, powybijanemi z książek i książeczek. ...Myśl o Gołębiu śni mi się tak cudnie! Gdyby było prawdopodobieństwo otrzymania tego miejsca, to jechałbym niezwłocznie, porzuciwszy wszelkie plany. (Zeromski entu-

zjazmował się wówczas planem objęcia posady nauczyciela ludowego. Pociągała go w tem nietylko możliwość rozniecenia ogniska domowego, lecz i realizacja marzeń o pracy wśród ludu. P. a.). W uniwersytetach człowiek uczy się akurat tego, co albo już wie, albo bardzo łatwo bez uniwersytetów wiedzieć może. A rangi? Ja teraz tak myślę, że spełnienie uczciwe Twych myśli i zamiarów da mi rangę zaszczytną, byleby tylko w Twojem mniemaniu, to i w mniemaniu najlepszych ludzi. Zetknięcie z wrzaskiem pokazuje mi, że wrzask jest tylko wrzaskiem i uczy, że praca i cisza wielką jest i jedyną mądrością. Ach, i Ty... wyrastasz coraz wyżej, gdy patrzę na szumne bzikologje...

Zurych, 28. I. 1892 r.

...Dziś wieczorem wyjadę stąd do Monachjum, a będę tam jutro rano o jakiejś siódmej; rano mi się jechać nie chciało, tem więcej, że, rozumie się, pożegnania pompatyczne w «Bierhalle-Kropf» nabawiły mię bólu głowy. Wczoraj otrzymałem pieniądze i jestem z tego ogromnie kontent, bo mi się tu już nudzi, jak Ci pisałem... W ciągu kilku ostatnich dni uczyłem się i zwiedzałem ciekawe rzeczy. Byłem w najrozmaitszych a bardzo bogatych gabinetach tutejszej politechniki — w muzeum geologii, mineralogji, archeologii, w laboratorjach chemicznych, w obserwatorjum astronomji i t. d., całe popołudnia siedziałem w uniwersyteckim «Lesevereinie», czytając dzienniki całej ziemi niemal, bo, począwszy od greckich, aż na polskich amerykańskich kończąc. W głowie mi się od tego wszystkiego za-

wraca. Swoją drogą, ilekroć wchodziłem na górne ulice Zürichbergu i spostrzegałem przed sobą szczyt Uetlibergu, zanurzony we mgle, poszarpany, okryty smugami świerków — przejmował mi serce ten sam gorzki żal i napełniała jedna uparta myśl: wrócić... Ja poprostu nie mógłbym żyć na obczyźnie, szczególnie teraz...

Zurych, 29. I. 1892 r.

Nie mogłem wyjechać wczoraj, gdyż jeden ze znajomych sprowadził całe pudło jakichś wędzonych ryb — musiałem więc uczestniczyć w ich zjadaniu, — nadto — między Lindau i Monachjum rozbił się jakiś pociąg, wskutek czego cztery gęsi (a jak utrzymują inni, cztery studentki) utraciły życie. Jutro pojedę, aby już raz wreszcie rozstać się z tutejszemi befsztykami z końskiego mięsa, z niemiecko-«hejbską» mową, wszelkiego rodzaju niepojętymi «goten Obik» (Abend), «guten Tog» (Tag), «ksi» (gewesen), «kse» (gesehen), «ustige» (umsteigen) oraz z nieustającym wolnomyślno-ośmiokufłowem pijaństwem. Z przyjemnością zaryję się w Krakowie w «Upusty», drzwi od Europy hałasów zamknę na spusty i będę liczył dni, godziny i minuty do chwili zobaczenia Ciebie... Kiedy patrzę na wysokie szczyty górskie, na Glarus, zębate szeregi Alp Berneńskich, na Uetliberg — doznaję jakby zapory przed sobą i dławią mię porowy wyrwania się, powrotu. Tylko małe dzieci marzą zapewne w ten sposób, jak ja... Wacek z wyżyn doktrynek, jakie obecnie trzyma w pachcie, zarzuca mi wstecznicstwo, konserwatyzm, filisterję. Ja z nim — obecnie — nic prawie nie mam wspólnego, jestem mniej blisko, niż np. z Zygmuntem. Cza-

sami razem pijemy piwo i palimy jedne cygara, uczestniczymy w jednej rozmowie koleżeńskej. Jest to szlachetny chłopiec, dobry doktryner, ale ani podobny do dawnego Wacka. Czy czytasz... nowelę Prusa w «Tyg. Ilustr.». Pisze tam, o ile sądzę, o Michałku. Czy piśuje do Ciebie? Strasznie mię tu uprzejmie podejmowano przez cały czas. Raz nawet pito zdrowie narzeczonej Głosowicza.

Na statku. Jezioro Bodeńskie. W nocy.

...Statek się trzęsie i drży niemożliwie. Ale że sam jestem w dusznej kajucie, więc chce mi się mówić z Tobą... Piję Rheinwein, a, rozumie się, każdy kieliśzek w Twoje rączki... Obok mnie starzy towarzysze podróży: pled, laska, Copperfield... Dokoła wre para, szumi głucho woda, oślepiąco świecą lampy elektryczne... Wsiadłem na statek w Romanshorn, a wysiądę na granicy Szwajcarji w Lindau. Będę jechał przez całą noc, ale mam nadzieję, że się prześpię w wagonie... Odprowadziła mię na dworzec gromada znajomych, — ale mnie raczej weselej, niż smutniej samemu. ...Ach, jak ten statek wrzeszczy!... Dwu Niemców, już, zdaje się, pruskich, pije z kolosalnych kubłów wino i patrzy na moją czapkę z miną pogardy: «Ein Russe»!... W Lindau będzie dużo kłopotu z przesiadaniem na pociąg, — muszę niedofęstwo chować do kieszeni i zamieniać się na sprytnego Reisendera... Czy tylko los nie zabierze mi życia, nim Cię zobaczę...

Monachjum, 30. I. 1892 r. Hotel Victoria.

...Usiłuję pisać piórem, choć nie wiem, czy za-

miar ten doprowadzę do skutku, bo atrament w tych Atenach niemieckich, widać od częstego używania, wysychł. Nie mogę wołać o inny, bo to noc późna. Wróciłem przed chwilą z najgłupszej na kuli ziemskiej przyjemności, z obcowania z malarzami. Nie wyobrażałem sobie nigdy w życiu głupoty, tak wołającej o pomstę do nieba... Było tak. Przyjechałem tutaj dziś rano o siódmej, wyspałem się odrobinkę, bo do 11-ej, poszedłem jeść obiad do t. zw. «Szwantalgarten» i, jedząc twardy «Ochsenfleisch», przypadkowo usłyszałem polską mowę. Zbliżyłem się do dwu rozmawiających po naszymu młodych ludzi i zabrałem z nimi znajomość; byli to — dr. M. F. i niejaki artysta Suchocki... Z tymi panami zwiedziłem Monachjum i zwiedziłem je, przyznać trzeba, pysznie, aż mię nogi bołą. Rzeczywiście, że to miasto artystów. Byłem z dr. F. w Cafe Wittelsbach, gdzie można zgłupieć w tłumie w kolosalnym ogromie tego przybytku, — następnie zaprowadzono mię do pracowni jednego z wsławiających się młodych malarzy na herbatę. Jest to miły, piękny i dobry chłopiec, niejaki K. Stamtąd wszyscy już trzej poszliśmy do uprzywilejowanej polsko-malarskiej knajpy naprzeciwko Akademji Sztuk Pięknych, gdzie poznałem calusienką kolonję malarską — i studentów i firmy. Obradowano właśnie nad jakimś balem — stąd zesłi się wszyscy. Od ósmej do dwunastej trwała dyskusja. Głupszych zdań nie słyzałem w życiu, wybitniejszych bezsensów i galicyjsko-wielkoludzkich manier nie imaginowałem sobie nigdy również. Byłem tak rozwściczony bezczelną głupotą tych ludzi, że wyszedłem przed końcem obrad. Szedłem sam, a że ani dorożek, ani postaćców tu pra-

wie niema, licho więc wie, jakim cudem z drugiego końca miasta trafiłem do hotelu. Z jaką radością piszę do Ciebie i zmywam tym sposobem i przebrzydłą obczyznę i zmęczenie, dzięki malarzom... Jutro, zwiedziwszy rano Pinakoteki, chciałbym wyjechać do Pragi na Regensburg, Pilzno i t. d. Droga ta potrwa około 30 godzin... Ta nieskończona jazda już mi nerwy podarła — przytem to wszystko strasznie kosztuje, szczególnie tu w Niemczech. Żeby jako dobić do Krakowa... Lecę przez te Limaty, jeziora, Reny, Izary (cudna to rzeka Izara!) — i wiecznie jedno wrażenie w głębi duszy...

31. I. 1892 r. Niedziela.

Wyjeżdżam za pół godziny. Z Pragi napiszę o Pinakotekach... Dziś tu ze dwadzieścia balów maskowych. Ciągnęli mię na te rozkosze mądrzy malarze... Później w Café przeróżnych odbywają się dzikie rozkosze z maskami. Podziękowałem uprzejmie...

Praga, 1. II. 1892 r. Hotel Plzenka.

...Z przyjemnością dążyłem do Pragi, myśląc, że pozbędę się obcowania z różnego pokroju i mowy Niemcami, tymczasem — Praga — to prawie niemieckie miasto. Wszędzie mówią po niemiecku i daleko łatwiej romówić się tutaj językiem Goethego, niż językiem Vrchlickiego (rozumie się, takim, jakim ja władam, t. j. czesko-polsko-kiepskim). Nie myślałem, żeby to było takie duże miasto. Szczególniej zastanawiają i budzą zazdrość ogromne gmachy publiczne: Muzeum Narodowe, wystawa obrazów «Obrazna», Narodne divadlo, szkoły wyższe z napisem górnołotnym «Bohu

wlasti naroda» i t. d. środkiem miasta płynie żółta Vltawa, przez którą przerzucają się mosty: Palacky'ego, żelazny Jana Nepomuka (zburzony rok temu i odnawiany obecnie) — na wzgórzu Muzeum, z przeciwnej strony Hradczyn. Stare miasto ma uliczki tak spletane i brudne, że niepodobna jednej odróżnić od drugiej. Zwiedzając dziś miasto — pierwszy raz — zabłądziłem, wyszedłem na przeciwległe przedmieście i musiałem do hotelu wracać dorożką. Dym z niezliczonych fabryk i mgła leżą formalnie na ulicach. Jest we dnie prawie ciemno. Miasta niemieckie nie mają tego specjalnie widać słowiańskiego brudu i niechlujstwa, jakie tu odrazu przypomina i Lublin i Warszawę i Kraków. Najbardziej oddalona ulica w Monachjum, Innsbrucku nawet — stokroć jest czystsza, niż tu pryncypalna. Dojechałem do Pragi daleko szybciej, niż przewidywałem w liście, pisanym z Monachjum: jechałem tylko 14 godzin — na Landshut, Regensburg, Schwandorf, Furth, Plzen. W Monachjum doznawałem aż męczącej opieki dra F. Byłem z nim na malarskim znowu obiedzie, odprowadził mię na banhof i t. d. Rano zwiedzałem z nim Pinakoteki — Starą, Nową, galerję grafa Schacha i Maksymiljaneum. Co za moc obrazów! Przed «dziećmi» Murilla staliśmy w zgłupieniu, a przed krajobrazami Ruysdaela — ja — w zachwycie niewysłowionym. Obrazy Rubensa, Tycjana, szkoły holenderskiej... któżby to wyliczył i opisał najrozmaitsze uczucia i myśli, jakich się doznaje. W Pinakotece Nowej jest kilka ślicznych rzeczy: «Chora» Maksa, «Pożegnanie», dwa obrazy Brandta, jeden Al. Gierymskiego i impresjonistyczne krajobrazy Francuzów, robota których zachęca

mię do malarstwa: bierze się pędzel, farby — i gwałda. Jeżeli się stoi o pół mili — to jest coś; z bliska jest mnóstwo bezmyślnych plam. Gdybyśmy zwiedzali te cuda razem!... W Pradze nie będę długo siedział, zapewne do jutra. Zobaczę jeszcze to i owo, ale nawet Polaków tu mieszkających odszukiwać nie będę... Co dalej będę robił — nie mam pojęcia. Pieniądze wszystkie prawie wydałem, ledwie mi wystarczy na dojechanie do Krakowa — więc chcę Cię prosić o wysłanie 30 rubli do hotelu Pollera na moje imię... w hotelu stać niepodobna i trzeba niezwłocznie nająć jakieś mieszkanie. Pierwszy raz będąc zagranicą, niepodobna się ustrzedz od tysiącznych głupstw, nieogłędności i niepraktyczności. Zresztą, drogi niemieckie kosztują ogromnie — z Monachjum do Pragi np. 16 marek, t. j. przy obecnym kursie prawie 10 rubli. Hotele, restauracje, napiwki i t. d. Czy długo wytrzymam w Krakowie — nie wiem. Miałem dziś zabawną przygodę; na Karlova trida (ulica) wszedłem do jakiejś restauracji na kolację. Napis był na drzwiach Restauration, „Katolickie besedy. Wszedłem tedy i, rozebrawszy się w sali restauracyjnej, podszedłem do kelnera, żądając mięsa. Naraz i kelner i zebrani goście, przeważnie mężczyźni, zaczęli wywijać rękami, bełkotać, coś pokazywać, śmiać się... Troszkę, a może nawet dobrze, że tak powiem, zgłupiałem. Ponieważ nie przestawali coś mi pokazywać, zabrałem się i poszedłem. Dopiero w następnej restauracji dowiedziałem się, że trafił na jakieś zebrania, czy odczyty, czy bale — głuchoniemych. Także potrzeba zgrabności, żeby akurat tam wleźć! Ale tu wszystko oryginalne. Żałuję, że nie jadę np. z panem

Rafałem: piwo pilzeńskie, ten rzeczywiście szlachetny napitek, smakowałby mi inaczej.

2-go lutego.

Zwiedzam sobie dziś Wyszehrad i inne ciekawości, a pojedę o szóstej wieczorem. Jutro już będę w Krakowie... W górach, pomimo mgieł i deszczów, anim zakasłał, tutaj już dychawica dusi.

Przekonawszy się, że Szwajcarja jest gruntem zbyt i obcym i dalekim, by mogła nieznanemu przybyszowi zapewnić egzystencję, osiedla się młody pisarz na pewien czas w Krakowie. Tu wynajmuje pokój przy pl. Dominikańskim 4 i rozkłada swój warsztat literacki. Pomimo wrodzonej nieśmiałości, wykazuje dość znaczną ruchliwość w krakowskim świecie dziennikarskim, stara się o dostęp do bibliotek, uczy się i czyta. Zalecanych mu przez przyjaciół studjów prawniczych nie wdraża jednak. Wierzy wciąż, że literatura prędzej czy później da mu chleb. Krytyczny okres czasu, zanim to nastąpi, chce przetrwać już to dopomagając sobie dziennikarstwem (krytyką literacką), już wreszcie poświęciwszy się pracy nauczycielskiej. Wogóle plany rozwiązania zagadnień bytu ma jeszcze dość mgławicowe. Życie raz po raz je zmienia, rozwiewając dziś wczorajsze złudzenia i niosąc nowe. Ma tylko jeden pogląd zasadniczy i ustalony. Nie chce żadnej innej, jak się wyraża, «rangi», prócz doli pisarza. Nie dąży do uzyskania żadnych godności, czy patentów, lęka się uwikłania w jakikolwiek ściśle określony zawód, któryby go mógł z czasem po-

chłonąć i serce dla sztuki ostudzić. Uczyć się chce i uczy się wciąż, uczyć się będzie przez całe swe życie, ale... tylko dla siebie. Rozszerza tedy zakres swej wiedzy, rozwidnia horyzonty ducha i myśli, odsuwając od siebie wszelkie ambicje i inspiracje powszedniej filisterskiej kariery. Była w tem niewątpliwie z jednej strony duża lekkomyślność, z drugiej jednak bardzo silna wiara w siebie, wiara, jak się okazało w przyszłości, całkowicie usprawiedliwiona.

W Krakowie przekonał się Żeromski bardzo szybko, że z pracy literacko-dziennikarskiej nie wyżyje. Bajońskie sumy nałęczowskie znikły bez śladu, a zamieszczane tu i owdzie recenzje z nowości literackich tudzież korespondencje do «Głosu», drukowane tam pod nazwą «Odgłosów krakowskich», dawały zyski tak znikome, że łatwowierny nowelista znalazł się znów w nielada opałach. W chwilach takich na porządek dzienny wypływały ponownie projekty objęcia posady nauczycielskiej. Przez pewien czas łudził się nadzieją objęcia stanowiska państwowego nauczyciela ludowego w okolicach Zakopanego. Plan ten rysował mu się w barwach bardzo ponętnych, umożliwiał bowiem zawarcie małżeństwa, ustalenie się i pozwalając na stały pobyt w miejscowości o wymarzonych dlań warunkach klimatycznych. Niestety, rojenia te, śladem wielu innych, okazały się nieziszczalne wobec faktu, że był obcym poddanym.

Ponad temi zabiegami, planami i pracami w sercu młodego pisarza dominował wciąż jeden przemożny i niezmienny nastrój tęsknoty za ukochaną. Miała przy końcu marca przyjechać z córeczką do Krakowa, liczy przeto dnię, godziny, sekundy nawet, które go od

spotkania tego dzielą. Tęsknota ta, jak to już zaznaczyliśmy, wpływa wybitnie na zabarwienie wrażeń zewnętrznych Żeromskiego. Jest w stosunku do Krakowa usposobiony krytycznie, gorzko, wyraża się o stosunkach tamtejszych z tak daleko posuniętym sarkazmem, że «Głos» zmuszony jest skreślać niektóre ustępy w jego korespondencjach. Razi go słusznie austriacki serwilizm i trupia atmosfera wpływów galicyjskich stańczyków, ale w uprzedzeniach swych posuwa się naogół za daleko. Przyznaje to sam, pisząc w jednym z listów:

«Tu w Krakowie straciłem w pisaniu dawny mój nastrój łagodnej tremy — teraz jestem rozwścieczony na stańczykierję i — przesadzam. Widzę to później dopiero...»

W samotni swej przy placu Dominikańskim żyje, jak przywykł, skromnie i ubogo, choć ustawicznie ubolewa nad swą rozrzutnością. Drobne kwoty pieniężne, jakimi rozporządza, wydają mu się wciąż poważnemi sumami; stąd pochodzi niekiedy rozbrajający żal do samego siebie, że te «olbrzymie» sumy tak szybko przeciekają mu przez palce. A przecież był to młodzieniec, który nie pił, nie hulał, jadał przeważnie w najtańszych studenckich jadłodajniach, zapomniał o wszelkim zbytku i swawoli, a jedynem luksusem, na jaki sobie pozwalał, był pokój za 12 reńskich miesięcznie, w którym chciał panować niepodzielnie bez niewygodnych i hałaśliwych towarzyszy. Mimo to, skarży się na swą niepraktyczność i «rozrzutność» w ten sposób: «Wyobraź sobie, że żebym miał 2000

rubli na miesiąc, to je także wydam — na co? Żeby mię porznęli na kawałki — nie wiem.»

Chcąc, o ile możności, dać pełny obraz wrażeń i myśli pisarza z pobytu w Krakowie, przytoczymy tu niektóre ciekawsze urywki z jego listów, raz jeszcze podkreślając własne Żeromskiego świadectwo, że wrażenia te nie były wolne od wpływu stanu nerwów i specyficznej drażliwości uczuciowej.

Kraków, 4. II. 1892 r.

...Przyjechałem tutaj wczoraj o 5-ej po południu, a jechałem bez przerwy 22 godziny. Czekałem na pociąg w Ceska Trebowa dwie godziny, w Ołomuńcu 3 godziny, w Prerau 1 godzinę, ałem dojechał wreszcie, choć rozbity i rozdenerwowany, bo była to już trzecia noc w wagonie w ciągu ostatnich pięciu dni. Przyjechawszy, jeszcze z rękami czarnymi i zasmoloną twarzą, poleciałem na pocztę i do Narodowego: łącznie z odebranymi z Wiednia mam ośm Twoich lisów. Co za bał, co za czytanie!... Wczoraj, gdym dojeżdżał do Krakowa, w jakimś już Oderbergu, zacząłem czytać mojego przyjaciela od serca, Dawida Copperfielda. Czytałem go wszędzie — i w Wiedniu, i w Innsbrucku, i w Feldkirchen, i w Monachjum, Pradze, Ołomuńcu — raz, że pisany jest po polsku, a powtóre, że to Twój także przyjaciel. Nieraz mi się już zdarzało, szczególnie w chwilach smutku, lub podniesienia duszy, znajdować w książce czytanej jakby dalszy ciąg własnych myśli, nieraz nawet jakby wyjaśnienie nieświadomych ucisków, niejasnych przeczuć. Otóż wtedy, otwarłszy książkę, znalazłem te słowa:

«Niepodobna mi teraz wyliczyć wszystkich faz rozpacz, zniechęcenia, nudy, które przebywałem. Są niedające się dokładnie powtórzyć sny, chociaż dokładnie tkwią w pamięci, i gdy wspomnieniem wracam się do tej epoki mego życia, wydają mi się ona takim snem ciężkim a niejasnym. Mijałem obce, nieznanne mi miasta, zamki, kościoły, pałace, groby, dzieła sztuki, przedziwne jakieś ulice i place, stare siedliska historii i legendy, mijałem, jak we śnie, wlokąc za sobą gniozący mię ciężar, niejasne unosząc wrażenie i wspomnienie wszystkiego, com widział. Mroki, które zalegały mi duszę, dostępne były samej tylko boleści, — o! byle choć raz doczekać rozświtu!...»

Cała moja historja. Gdym kończył czytać to — i wyjrzałem przez okno, zacząłem trząść się całym ciałem: chałupy, nasza wieś! Dym z kominów wali... Jak tylko się osiedlę, siądę do roboty, aby zarabiać na żywot — tyle natraciwszy pieniędzy. Czy co zarobię — to się pokaże. Do «Głosu» zacznę pisać niedługo recenzję o pewnej książce pewnego wielkiego stańczyka («Z doświadczeń i rozmyślań St. Tarnowskiego. P. a.)... W Pradze zwiedzałem jeszcze przez cały dzień miasto i drugą jego część nad Wełtawą, zwaną «Mała strana», gdzie jest były zamek królewski z katedrą i grobem, srebrną trumną Jana Nepomuka. Wspaniały to kościół. Idzie się tam po strasznie dalekich, mających z wiorstę schodach («Schody zameckie») na górę, skąd rozciąga się przepyszny widok na całą Pragę i wzgórzyste okolice. Byłem w Muzeum i w «Divadlu» na jakiejsz sztuczce, której jednak nie wysłuchałem do końca. Teatr ładny, ale nic znowu osobliwego... Jadąc przez

Czechy, słuchałem, co mówili chłopci czescy, szczególnie morawscy. Głupstwa mówi, kto mówi, że oświata to mały czynnik, to mniejszy czynnik, niż reformy społeczne. Nieśmiertelnym przykładem są Czechy. Tam każdy kelner, każdy parobek zna się na rzeczy...

Kraków, 5. II. 1892 r.

...wczoraj i dziś latałem po całym, ale literalnie całym Krakowie, szukając mieszkania. Wreszcie dziś nad wieczorem znalazłem mieszkanie względnie niezłe, choć trochę drogie, bo będzie kosztowało 12 reńskich miesięcznie, ale już z opałem, lampą i naftą, usługą i umeblowaniem. Składa się z dużego, może nawet za obszernego, jak dla mnie, pokoju z weneckiem oknem od placu Dominikańskiego — i z przedpokoju, stanowiącego prawie drugi pókój. W tym przedpokoju jest piecyk angielski, gdzie możnaby gotować Bóg wie co, gdybym miał co gotować. W dużym pokoju jest w jednym rożku troszeczką wilgoci, ale bardzo niewielka, właściwie tylko dla odświeżenia powietrza, — łóżko, przerażające mię swemi emaljami, stolik, szafka na rzeczy i zapasy (?), kanapka, lustro, piec, trzy obrazy i moc krzesłek. Jutro rozmówię się z okazałą panią gospodynią w kwestji obiadów. Jeżeli nie będą więcej kosztować, niż dziesięć reńskich, to tu będę jadał. Jeżeli będą droższe, to gdzieindziej będę szukał tańszych. Jak długo będzie trwać ta cała parada — nie imaginuję sobie. Prawdopodobnie niedługo. Obecnie mam w kieszeni jakieś 40 centów. Czekam z wielką niecierpliwością na pieniądze od Ciebie, aby mieszkanie i obiady zapłacić. Kupiłem sobie tranu i nim praw-

dopodobnie będę odżywił grzeszne cielsko aż do wtorku... Jak tylko będę miał obiady na miesiąc zapewnione, zamówię sobie jeszcze po kwarcie mleka dziennie i zabiorę się do... architektury moich wymarzonych «Upustów». I teraz robię w rozmaitych drobnostronkach, ale to jeszcze po zajęczemu jest robione, bo boję się, żeby czasami nie trzeba było sprawdzać psychologicznych doświadczeń Knuta Hamsuna... Z pewnego rodzaju przyjemnością zanurzę się teraz w samotność — jest to bowiem najlepsza i najsubtelniejsza i rozumiejąca... towarzyska. W gwarze znajomych, nawet niegdyś blisko znajomych, doświadczam bólu. Jest to przeszkadzanie mi w nieustannej pracy mego serca, w tem szukaniu poomacku właściwej drogi dla myśli, dla toku ich i kierunku, idącego wiecznie za Tobą... Czasami bije we mnie taki zimny i przejmujący wiatr jakiegoś cynizmu, jakim gorzkie doświadczenie zatruło cały mój piękny i jasny pogląd na życie. Ale to są przelotne chimery — i Ty wiesz, moja czysta, że nie stanowią ani setnej części moich myśli... Coraz bardziej lubię Copperfielda za to, że w Agnieszce zobrazował istotę, tak do Ciebie podobną. Tylko czy ja jestem choć trochę podobny do Copperfielda?... Chciałbym notować Ci moje dnie tutejsze, ale doprawdy niema co. Obrzydłe to miasto! Nędza, kłaniająca się do ziemi wszystkimu, co błyszczy — i zbytek, ten galicyjski ton, zakała naszego życia... W artykule, jaki mam zamiar napisać o książce p. hr. Tarnowskiego p. t. «Z doświadczeń i rozmyślań», przedstawię wiele z tych myśli, smutnych i aż doprowadzających do złości, jakie wywołuje Galicja i jej wielcy ludzie. Pyskować na Ro-

sję — znaczy tu: zdobywać wielkość i patent na obywatela. Żaden obóz, nawet postępowy, nie wejrzy w nędzę galicyjską, w ten zastój, brud, nizotę, i szych, jakie tu zastępują wszystko. Biedni my ludzie... Zobaczć Czechy — te wsie i miasteczka, ten lud taki rozumny, — te miasta, nie europejskie jeszcze, ale już ucywilizowane i znaleźć się później w sferze głupich szczekań, żarcia się o głupstwa i nic nie robienia — znaczy upadać na duchu. Dzięki Tobie, nie stracę z oczu swej dobrej drogi... Do sławetnego autora «Pojednanych» muszę napisać przez samą grzeczność. Czy widziałas się z nim w Warszawie?...

Kraków, 12. II. 1892 r.

...Pieniądze otrzymałem dzisiaj dopiero... Posyłki pieniężne idą i do Krakowa, jak widać ze stempla pocztowego, na Toruń... Panują tutaj niby europejskie zwyczaje, polegające na tem, że listonosze doręczają pieniądze adresatom w domu, ale za to otrzymanie tych pieniędzy zależy od tego, czy dany listonosz da się odnaleźć gdzieś w handelku, czy nie... Miałem całą dobę wczorajszą urozmaiconą, zwiedziłem zarząd pocztowy, zaznajomiłem się z całym urzędem, od samego pana naczelnika aż do ostatniego pisarka. Byłem tam ze dwanaście razy i wreszcie listonosza owego nie znalazłem. Wypadło dziś od siódmej rano do dziesiątej wartować przed pocztą i każdego po kolei pytać, czy nie on wypadkiem ma moje pieniądze. Nareszcie odnalazłem pożądanego. Pomagał mi w tych okolicznościach żydek w cylinderku i z zachwycającemi pejsami, od którego pożyczyłem wczoraj dwa reńskie,

dawszy mu w zastaw, śmiech wyznać, paszport. Onegdaj — żywiłem się tranem. Wypiłem sobie pół butelki na obiad i odrobinę na kolację... ale też miałem brzydkie sny. Nie posyłam listów, jakie zaczynałem pisać w ciągu tego tygodnia, bo mnie samemu, gdy się objadłem dziś połędwicy, przypominają refleksje i dziwactwa bohatera powieści Knuta Hamsuna... Był tutaj Zygmunt W. przez poniedziałek i wtorek, odjechał w środę... jechał... na Poznań i Berlin... Składaliśmy rozmaite wizyty... Poznałem kilku młodych ludzi, między innymi dra Hyżyckiego, u którego znowu zapoznałem się z powieściopisarzem Sewerem. Ten ostatni jest już starowinką, ale krzepkim jeszcze i trzymającym z młodymi. Ponieważ on należy do «Przeglądu Tygodniowego», mieliśmy więc zawziętą dysputę między «Głosem» a «Przełędem». W Akademji Umiejętności byłem przedstawiony JW. Panu hr. prof. drowi St. Tarnowskiemu, głównemu stańczykowi, ale że w Pradze w hotelu zostawiłem twoje szczoteczki, jednym więc rzutem oka na mój kożuch i paznokcie — ten wielki hrabia zaliczył mię do obozu, jeśli nie «skrajnie pozytywnego, to przynajmniej brudnego moralnie». Dużo mam roboty, a za parę dni będzie jeszcze więcej, bo zażądano ode mnie spolszczenia tego dziełka, które Ty przywiozłaś sobie teraz z Warszawy. Żmudna robota, ale mi da kilkanaście reńskich. Rysunki leśne już idą — może jutro je zobaczę, lub najdalej w niedzielę. Gdy przyjedziesz, pokażę Ci, jak to teraz maluję, co za przepych barw, ile słonecznego światła, co za tła i jaka ekspresyjka! Nie przypuszczałem nawet, aby przede mną szła jakakolwiek zorza wziętości, tymczasem co

za ukłony! Oczywiście, krakowskie... Będę musiał wkrótce pisać do pana Bolesława P.(rusa) z prośbą o list do prof. Ulanowskiego, bo ten właśnie wykłada prawo zwyczajowe i rozmaite potrzebne mi Ortyle magdeburskie. Boję się, że go znudzę swoją osobą, ale trudna rada — tak nie mogę iść do niego (prof.) o wskazówki do uczenia się. Napiszę również do dra Rafała, tylko jestem jeszcze trochę rozbity i znużony, później trochę. Nieraz ogarnia mię smutek niezmierny, niepokieszony, ścigający, jak zły pies, — dokuczający, jak wielki pan... Gdyby przyjechał doktor — przejechać się z nim w góry, w Tatry! Na górach dobrze żyć... Kiedyś, w tych dniach, w cukierni jakiś młody człowiek opowiadał swym znajomym wycieczkę, jaką odbył do Zakopanego teraz. Podobno góry w zimie piękniejsze, według niego, niż w lecie — te tatrzańskie... Nie wiem, czy Ci pisałem, że mieszkam u malarza Benedyktowicza, malarza bez rąk. Ucięto mu obiedwie swojego czasu. Zakłada sobie na kość, idącą od łokcia, rodzaj obrączki metalowej, wsuwa w nią zębami pędzel — i maluje krajobrazy przeważnie... Dzieci pięcioro, żona, ciotka, czy matka i ta jego sztuka... Ma śliczny głos, a że pracownia jego mieści się tuż obok — słyszę go codzień, jak śpiewa przy pracy — rozumiem go aż nadto dobrze... Czy Owidzki nie mówił, kiedy wyjdzie ta jednodniówka z rysunkami mojemi? Interesuję się tem, bo mi to przypomina lepsze moje czasy, najlepsze w życiu... Czy też jeszcze kiedy powrócą? Kto wie, co się czai za dniem dzisiejszym, za mrokiem, który otacza?... Ukochani przez bogów umierają młodo. Nic więc nie marzę, bo się boję...

Kraków, 16. II. 1892 r.

...Nie będę tu siedział — najdalej do Wielkiejnocy, bo niema po co, a nie utrzymam się. W Warszawie wolę, prędzej tam można coś zarobić. Tu płacę tak, że chcąc z tego żyć, trzeba by własnymi rękami zające w polu łapać, bo inaczej o pieczeniu ani myśleć. Zresztą ani ludzi, ani stosunków nie mogę pojąć. Wszyscy ujadają na stańczyków, a wszyscy są stańczykami. Pisałem do Prusa, prosząc o list do profesora Ulanowskiego. Zacznę się uczyć. Nieraz mię tęsknota poprostu ssie. Ani pisać nic, ani czytać, ani myśleć o czemkolwiek — źle wszędzie i basta. Stołuję się od niedzieli prywatnie. Płacę 12 reńskich, obiady bardzo dobre. Przeraza mię post, ale boję się nawet pisać, bo gotowi wziąć za łeb i zaprowadzić do księcia kardynała. Strach mię ogarnia na samą myśl, że... wydaję mnóstwo pieniędzy. Kurs jest okropny. Za 40 rubli dostaje się 42 reńskie. Myślałem, że ja jestem takim niezgrabą, tymczasem Zygmunt W.(asilewski), który nie płacił hotelu, jadał u znajomych, w ciągu kilku dni pobytu w Krakowie wydał dwa razy więcej, niż ja przez taki sam czas. Poprostu nie można się zorientować, co to jest reński: wart rubla, a znaczy tyle, co cztery złote. Jeszcze gorzej, gdy się jedzie przez Niemcy i Szwajcarję. Zbiera się w głowie jakaś gromada pojęć, zbijających jedno drugie: marka, reński, rubel, frank. Coś kosztuje 60 centimów — trwożę się, czy to nie 60 kopiejek, — potem 60 fenigów — zdaje się, tak mało, jak 60 centimów, wreszcie przychodzą centy, kopiejki, a człowiek przecie zawsze

liczy na grosze. Najlepszy matematyk, jeżeli nie będzie chodził nieustannie z ołówkiem, będzie zawsze wydawał masę pieniędzy... Piszę teraz na gwalt do «Głosu» obszerniejszą nowelę i chcę ją koniecznie skończyć w tym tygodniu. Ale czy skończę? To pisanie przez mus — robi takiego ze mnie rzemieślnika, że nieraz rozpacz ogarnia. Napiszę dziś ogromny kawał, a jutro drę, bo niemożliwe... Mam tutaj kilku znajomych w «N. R.» (Nowej Reformie, p. a.), ale ci patrzą na nas, królewia-ków, jak na zacofańców niebywałych, bo my absolutnie nie znamy się na polityce, a tutaj tylko jedynie politykowanie ma znaczenie i cenę w gazecie. W be-letrystyce panuje chwilowa, przeważnie głupio-naiwnie-żakowsko-naciągnięta tendencja. Ruch artystyczny, literacki skupia się w «Świecie», ale tam znowu są tacy mężowie redakcyjni, że trzeba stać z czapką w rękę, a na druk czekać dwa lata. Słusznie powiedziało o tutejszych stosunkach jeden z moich znajomych, że tu trzeba już nie krzyżeć, ale wyc o sobie, wtedy dopiero jest się wielkim. Warszawa! Tam najlichsza gazeta ma lepszych pisarzy, niż tu największe «blaty». Kochana Warszawa... W teatrze byłem raz na «Wilhelmie Tellu» Szylera. Ładnie gra Żelazowski. Jest to taki artysta w każdym calu, że podobałaby Ci się jego gra nawet w najbliższej tragedji. Ja tragedji nie znoszę, ale na Żelazowskiego iść zawsze można. Ani jednego aktorskiego ruchu — spokój tam, gdzie trzeba i prawdziwe chwytnie za serce... W «Wilhelmie Tellu» — on, jak wiesz, strzela z łuku do jabłka, położonego na głowie własnego dziecka. Rzecz oklepana i zupełnie nieefektowna w dzisiejszej

sztuce, w dzisiejszym teatrze. Otóż Żelazowski nie mówi ani jednego słowa, nie ciska się, tylko, widząc, że dziecko ocalone, śmieje się i bierze je w ramiona. I cała sala płacze. Jest to taka śliczna scena, taki wielki moment sztuki, że nie wiem, czy Szyler miał kiedy lepszego wykonawcę. Jedyną prawdziwą moją przyjemnością jest chodzenie na wystawę sztuk pięknych. Czasami siedzę po kilka godzin przed krajobrazami. Zajmuje mnie technika malarstwa. Cobym dał za to, żeby umieć malować! Ta dziwna rozkosz, jaką daje stworzenie smutnego krajobrazu, zimowego nieba, pustych pól, błot, zapadłych kątów, — wiecznie pięknych... Jest jeden obrazek Weysenhofa (znajomy pana Rafała) «Cmentarz». Nie trzeba nic umieć do namalowania tej głuszy, niczego się uczyć: widzieć taki cmentarz, przypatrzeć się spróchniałym krzyżom, opuszczonym grobom, okrytym pleśnią kamieniom, — i znać się na farbach. A cóż to za poezja, ile tam nieujętego dla mowy uroku! Uczę się, że barwy takie tak się wydają zdaleka, a takimi są w rzeczywistości, że zimowe niebo maluje się tak, las tak... ale cóż z tego? Nigdy nie będę mógł być malarzem... Z wielką przyjemnością czytam «Pojednanych» Prusa. Ty jesteś «panną Marją Ciechońską», która ofiarowuje malcowi — parę skarpetek. Jaki złośliwy! Jest on pewno jedynym w literaturze europejskiej pisarzem, posiadającym dziwny dar charakteryzowania powieściowych postaci zapo-mocą szczytnego i subtelnego dowcipu. Tu leży jego nieśmiertelność. Kiedy Leśkiewicz wychodzi z domu z głową zadartą «na proszony obiad» i ofiarowuje malcowi 40 groszy — to jest brylant beletrystyki ca-

łego świata, to jest to właśnie, co Grecy nazywali «solą attycką», to jest artyzm, jakiego nie znał ani Dickens, ani Heine, ani Szczedryn. Takiej sceny nie spotkałem u Dickensa. Dowcip Szczedryna jest inny, dowcip mędrca, który znienawidził z głębi duszy otaczające go warunki i wyszydza je z całym jadem zemsty; Lam poszukuje dowcipu, a Prus włada nim, jak rzeźbiarz gliną, jak malarz farbami. On nie pisze zdaniami i słowami, jak my, wyrobnicy, parjasy, ale asocjacjami rażących sprzeczności — jednej doda więcej o źdźbło i tworzy wesoły, dobry śmiech Dickensowski, jednej ujmie i zanurza całą naszą duszę w świat przedziwnej melancholji. Gdyby Prus żył przed stu laty, to dziś znaczylibyśmy w literaturze od niego jej epokę. Nie mogę pojąć, jak on wogóle jest niedoceniony w Europie... A co tam słyhać z p. Górskim?... czy zdobył nowego nauczyciela? Nieraz żałuję tej ciszy, jaką tam miałem, ale z drugiej strony widzę, że ta cisza właśnie rozstroiła mię i odebrała mi dużo młodości. Takem się tam zestarzał! Nabrałem nałogów emeryta-ascety, który po nagłym wyjściu na szerszy świat ma masę nawyknień, upodobań, a nawet moralnych «wizymisję» — czysto starczych. Ach, gdy pomyślę o wiosnie, która przez dalekie pola wędruje, o tym kolorze krzewów w zaroślach nad wodą, o starej wierzbie w głębi parku i jej zwieszonych aż do samej wody gałązkach — tak mi źle! Czy też jeszcze będę tam i czy powróci ten sen czarodziejski...

17. II. (środa rano).

Na północ idzie piosnka ta,
W daleką, długą drogę...
W sakwie wędrowniej smutki ma,
Tęskny mój żal i trwogę.

Przez ciemne puszcze, głębie rzek
Bez tchu dniem idzie, — nocą,
Nocą, co długo trwa, jak wiek...
Złe wichry nią szamocą...

Gdy wreszcie znajdzie drogi dom
O wschodzie rannej zorzy,
Gdy da świadectwo smutkom, łzom —
Na progu głowę złoży...

...Oto do czego doszło: poezje zaczynam pisać! Ładna historyjka — niedługo i do Tworek widać pojedą...

Kraków, 21, II. 1892 r.

...Gdybym teraz nie miał Ciebie w sercu, to byłbym tak samo błędny, jak byłem w Warszawie za «Hamsunowskich» czasów, byłbym tak samo bez steru, gotów zawsze i wszędzie zginąć bez żalu... Ja jestem naturą fantastyczną aż do obmierzłości... Nieraz np. myślę nad jakimiś tematami, tak dalekimi od tła życia, od rzeczywistości, że, aby je określić — trzeba by wiele reporterskiego sprytu... Ba, gdyby pisać wszystkie myśli, które chciałoby się podzielić z Tobą, te słodkie półartystyczne myśli... Kiedyś Ci je opowiem w nasze długie wieczory, gdy zamkniemy wszystkie drzwi od świata, gdy będziemy mieć ciszę w naszej izbie i w naszych sercach, stosy książek — i gdy na-

sze myśli tak się blisko zejdą... Na świecie jest filozofja wiecznie badawcza, wiecznie szukająca i niespokojna — są działania o szerokim rozmachu, wypychające ludzi nad głowy tłumy i na piedestały pomników, ale szczęście jest tylko tam, gdzie jest tajemnicze słowo kobiety, które umie końć cierpienie. A bez tego słowa jabym już nic nie zrobił... W ciągu kilku ostatnich dni próżnowaniem się zajmowałem. Przyjechał z Warszawy pewien doktor i zetknął się ze mną. Byliśmy więc nieustannie razem. Sewer wprowadził nas na koncert «Lutni» krakowskiej, zaznajomił z Bałuckim i innymi wielkoludami krakowskimi. «Lutnia» śpiewała owego «Górala» Münheimera, który mi tyle rzeczy przypomniał... Rozumie się, śpiewano gorzej, niż w Warszawie. Koncerty takie odbywają się w sali sztuk pięknych w Sukiennicach, damy przy świetle elektrycznym mówią po francusku, oglądają «Mildę» Alchimowicza i na «Lutnię» tyle zwracają uwagi, ile na mnie... Dziś się jeździłem na wieś do wsi Tonie. Zwiedzałem tam szkołę i czytelnię ludową, później zaś byłem na kolacji u przewodniczącego szkoły, rozumie się, chłopca, kandydata na posła do sejmu. Ładny to dzień mojego życia. Mam w duszy pewien jakby blask i łyżę w oczach, gdy myślę o dzisiejszej wycieczce. Zaczynają mię tu ludzie lubić — oczywiście mężczyźni. Damy nie poznałem ani kawalka z wyjątkiem matki jednego ze znajomych, gdzie objadam się samymi pączkami. Tam bywa codziennie Sewer. Spotykamy się i gadu, gadu. Jest to taki gaduła, że trzeba na ulicy zmiatać przed nim, gdy się nie ma czasu, bo gotów godzinkę przetrzymać i poobrywać guziki u palta, tak je kręci. Złoty

pierniczek! Przez zimę mieszka tutaj, latem w swojej dzierzawie, gdzie, rozumie się, pszenica ogromnie się rodzi — po literacku. ...Prus w «Pojednanych» chwiał! Gniewałaś się na mnie o brzydkie wyrazy, a on co powiada? Co za słowa ładne mówi? Gdyby tak młody autor napisał do eleganckiego tygodnika nowelę z wyrazami «portki», «cholera» i t. d. — jakżeby go zwy-myślano w odpowiedzi od redakcji!... Specjalnie dla Ciebie piszę nowelę do «Głosu». Będzie dosyć wesoła, choć, rozumie się, w treści smutna (Żeromski mówi tu o noweli «Oko za oko». P. a.). Będą to awantury z mężatkami, z życia, niestety, wyciągane. Jest dłuższa, dlatego nie mogę z niej tak długo wyleźć. Przytem nie mam korektora, doradcy, poprawiacza błędów, krytyka... Takim biedny!... Pierwszy rozdział nowelki jest całkiem dobry, nowy i żywy. Gdy po kilku dniach go przeczytałem, wcale dobre zrobił na mnie wrażenie, ale potem w samokrytykowaniu się gubię, porzucam, znowu wracam, boję się, męczę. Gdyby kto wiedział, co za męka jest z utrwaleniem pomysłu, który jest subtelny i czasami się zjawia jasno — gdzieś na spacerze, w rozmowie, we śnie, a ująć się nie da! Idzie się jakby za czemś, co nieustannie znika, usuwa się z pamięci, a trwa w umyśle, niby bezcielesny jakiś znak, nie dający myśleć o czem innym. Ze Szwajcarji napiszę także do «Głosu» obrazek p. t. «Nad wodą wielką i czystą», ale to będzie poezja prozą — muszę to tak wymuskać, wycalaować, aby było ładne, — a teraz nie mogę, bo co innego mię trapi. Tyłomaczenia znowu wszystko przerywają. Aż tu mię ścigały listy o małą rozprawkę estetyczną do jakiegoś niebywałego kalen-

darza, jaki wyjdzie w tym roku w Europie, mianowicie w Radomiu. Gdzie ja znowu do rozprawek? To Witkiewicz Stanisław od rozprawek. Nudzę Cię może mojem zarozumiałstwem, ale ja mam we łbie takie dziury artystyczne, że gdy przez nie zaczniesz artystyczny wiatr wiać — nic innego nie słyszysz. I już nie wyrosną z tego. Taka żyła skądś się weźmie — gwałdać i gwałdać!... Jak to my będziemy nowe razem pisać, układać, przeinaczać — hej, hej! Stary Sewer zawsze z żoną pisze i przerabia. Trzeba naśladować stare firmy.

Kraków, 25. II. 1892 r.

...Jak smutno, jak tęskno, jak pusto na świecie! Bazgrzę od rana do nocy — aż wreszcie opanuje znużenie moralne. Idę wtedy przejść się, zgubić w tłumie, gdzie każdy coś ściga: kobietę, pieniądze, jakieś szczęście lub jakąś chimere... Co to za niedola, nie mieć do kogo mówić!

26. II. 1892 r.

...«Lasy, doliny, łąki i strumienie!» — żenię się... Mam nawet zapewnioną posadę w górach Karpackich za 250 złotych reńskich... Umierają coprawda na tych posadach, ale znowu nie wszyscy: w tym roku umarło dopiero czterech... Taki jestem, jeśli wolno tak powiedzieć, — zmachany! Cały dzień bazgrałem. Teraz noc późna. Na wieżach, sąsiadujących z mojem piętrem, biją ponuro jakieś zegary, — z Marjackiej rozlega się w ciszy rzewny hejnał. Na moim stoliku... pełno papierów, dokoła, na ziemi kartki, świstki, bibułki pa-

pierosowe, porozlewane resztki cacao — pełno dymu i strasznie wielkich myśli... Prus nie odpisał, widać nie miał czasu. Czekam na jego list niecierpliwie — może jeszcze nadejdzie. Pojadę niedługo do Lwowa, bo mam tam interesa i chciałbym poznać miasto. Gdybyś... zechciała przysłać mi niewielką jaką karteczkę do p. Witkiewicza, bo widać sam pojadę sobie do Zakopanego, tobym sobie tam może upatrzył miejscowość jaką przy jego wskazówkach... Nie znam w Zakopanem nikogo, więc muszę się do niego zgłosić... Myślę i myślę, co dalej robić ze swoją osobą. Gdyby była pewność dostania tego miejsca w Królestwie, tobym tam wolał... nie mogę i nie mogę tu się wżyć w to wszystko... Ech, znowu zaczyna być smutno. Miasto to doprawdy djabeł wymyślił. Zupełnie, jak las, ludzie i ludzie — obcy...

Kraków, 4. III. 1892 r.

...Wszystko jeszcze jest — jeżeli... Jeżeli zarobię tyle pieniędzy, że będę mógł posiedzieć jakiś czas w Zakopanem, to piekielniebym tego chciał na kwiecień, choć na jakie dwa, trzy tygodnie. A potem chyba pojadę do Warszawy. Tu nieustannie jestem zajęty czytaniem, pisaniami Bóg wie czego i literalnie nie mogę wziąć się do «Upustu». Zaledwie zacznę, muszę porzucać, nie mogę się zebrać w kupę — i ani marzyć o tej robocie. To etnografja, to foljały Bóg wie jakie — jednym słowem: na nic. To można robić tylko w Naęczowie. Najmę sobie tam pokój w «Odrobince» za ośm rubli, będę pani Żółtowskiej płacił z dziesięć, herbatkę przecie mi zafundują dobrzy lu-

dzie, a tyle przecie zarobię... W sejmie teraz obradują nad płacą nauczycielską: najmniejsza pensja będzie stanowić 300 reńskich, a można mieć i 400. Gdy będę w Zakopanem, wybiorę miejsce... To tak wychodzić zamąż za obieżyświata! Masz teraz! Leć za taką bestją w góry Bóg wie gdzie... Teraz i ja już jakoś mam apetyt na góry. Byłoby to piękne i niejednostajne. Ludzie szukają takiego Zakopanego, a mybyśmy sobie mieli swoje własne zakopane... Tamtej myśli mi żal, bo tamto Boża służba (Żeromski ma tu na myśli odległą jeszcze wówczas perspektywę otrzymania jesienią stanowiska w bibliotece rapperswylskiej. Widoki na tę posadę były narazie bardzo nikłe), ale przecie i to coś warte. Zygmunt W. mię zrażał do tamtejszego projektu: dowodził, że wylecę po upływie miesiąca i ma może słuszość. Tutaj mam znajomych, którzy na cały kierunek mogą mieć wpływ i wiele mi pomogą. A więc — w góry chyba, mój koleżko kochany! Tylko, jak mi ten Witkiewicz znowu częste wizyty myśli składać — u! Straszneby było widowisko, jakby się dwa suchotniki zaczęły czubić — dwa krańce: synteza z analizą. Stronę krytyków wszyscy trzymają, a strony składaczy do kupy — nikt, może i własna żona!...

8. III., wtorek.

Wstrzymałem się z wysłaniem tego listu, bo zaszyły rozmaite wyjaśnienia. Nie tak to łatwo otrzymać Karpaty, jak się zdawało. Trzeba przyjąć poddaństwo — inaczej, ani rusz! Tylko w prywatnych miejscach można znaleźć możność pracy, a w rządowych niepodobna. Co za szkoda! Gdy będę w Zakopanem,

może się tam co odkryje. Takbym tego chciał teraz. Choćby z rok, ze dwa tam pomieszkać. Dla Heni chować się w górach byłoby ślicznie i dla nas dobrze. Może jeszcze co wyjdzie z tego, choć ile trudności — strach!...

Kraków, 9. III. 1892 r.

...Dla mnie każdy szczegół wiosny w Nałęczowie znany jest na pamięć. Mógłbym dokładnie powiedzieć, kiedy które drzewo się rozpuści, gdzie najpierw zazieleni się trawa, pamiętam kolor rzeki i tysiące refleksów, jakie badałem na jej powierzchni, gdy zbliżały się dni ciepłe. W roku zeszłym wyczekiwałem na wiosnę, jak nigdy jeszcze, śledziłem ją z chytrąścią żandarma, czekałem z niecierpliwem drzeniem. Pamiętam ósmy marca — pierwszy rozlew wody i pierwszego skowronka... Byłem wtedy taki samotny, — bardziej, niż tutaj. Jedyną moją przyjaciółką była wówczas ta wiosna, zbliżająca się z oddali. Któż wie? — może w wyczekiwaniu tem było przecucie tego, co przyniosła i zamknęła w sercu na zawsze... Dziś byłem na pogrzebie Jaśnie Oświeconego Ekscelencji Pawła Popiela. Czy wiesz, kto to taki? Ja dotąd mało wiedziałem, a dowiedziałem się dopiero z mów pogrzebowych. A mowę mówił — marszałek w czapie z kitą na łokieć, w delji z kołnierzem, wyśmiewanym jeszcze przez Jana z Czarnolasu. Popiel — to więcej, niż Mickiewicz, wielki obywatel, którego życiorys mogłoby pisać tylko pióro Tacyta, to — wielki dąb, który upadkiem swym pogrążył w żalu nieutulonym całą polską ziemię, to — patriarcha, w którego domu wykształciła

się cała inteligencja nasza, to — myśliciel, filozof, ojciec ludu. Tak mówił ks. Sanguszko. Za trumną szedł ksiądz kardynał, pan Bobrzyński, hrabia Staś Tarnowski, marszałek kraju, namiestnik, generał Windischgrätz, stado hrabiów niezliczone i uczonych galicyjskich wielkie stado. I niedziw: Paweł Popiel zrobił wielki wynalazek: odkrył źródło «szlachetnej denuncjacji»... Gdybyś tu była i gdybyś widziała tę nagą głupotę, tę beczelną podłość, to nadużycie słowa, tę pompę idjotów — śmiałybyś się do rozpuku, jak ja. Galicja — Kraków, to niewyczerpane źródło humoru, to poprostu sam humor, potrzebujący opisu. Dokoła nędza, głód, ciemnota — i ci w... swoich kontuszach i... kitach. Gdyby tu żył Dickens, to stałby się nieśmiertelny przez same tylko opisy. Bo to nie jest reakcyjna arystokracja, ale ohydni kłamcy... klika lokajów... Cały ten mizerny światek świadomie lub bezwiednie małpuje panów w myślach, w uczynkach, w ubraniu, w tępości myślenia. Szlachetniejsi milczą i chowają się w cień, aby ich nie wysłiedzono i nie pozbawiono kawała chleba... dość się spłaszczyc, polizać buty — i zostaje się dygnitarzem. Czy uwierzysz, że jeden z największych dzienników ma za redaktora — złodzieja kieszonkowego, najwyklejszego złodzieja, któremu tego złodziejstwa dowiedziono, opublikowano? Otóż ten krzyczał dziś najgłośniej w nekrologu Popiela... Ach, gdybym ja miał jaki wpływ na pana Gł. (Prusa. P. a.), gdybym go mógł poprostu przywieźć tutaj! Onby tu zajaśniał dopiero prawdziwą wielkością swego talentu, tuby go zużytkował, tuby napisał najwspanialsze swe dzieła, unieśmiertelniłby się — i od-

dał nieobliczone usługi nietylko uczciwej myśli, ale interesowi ludzkości. I nikt inny, żaden polityk, żaden zaciekły postępowiec, żaden filozof skrajny, — tylko on swoim zimnym spokojnym uśmiechem, swoją drwiną niezrównaną. Gdyby tu pomieszkał dwa lata! Życie w Galicji poucza, że Polacy są narodem zepsutym, niepoprawnym... Gdyby nie lud — to doprawdy nie wiem, czy nie miał racji Moulard Lama, gdy chciał opuścić tę ziemię «głupich arystokratów i marnych demokratów». Ten wielki człowiek, którego dzisiaj chowano, ten wielki nad wyraz obywatel — był np. takim wrogiem oświaty, że sprzeciwił się założeniu szkoły w jego wsi. I w całym kraju rzeczywiście po nim płaczą. Ton żałoby jest tak ogólny, że nawet ludzie uczciwi nie mogą się połapać. A może on co zrobił tak wielkiego? Dał kilkaset reńskich na restaurację kościoła Panny Marji, znał się osobiście z De Maistrem i wynalazł «szlachetną denuncjację». Cóż za wysmienita komedja! Złodziej kieszonkowy nawoływał naród, aby Popielowi dzwonił «Zygmunt». Autor tak się rozpałił, że na określenie wielkości Popiela użył tych samych wyrazów, jakie wypluwał, gdy sprowadzano Mickiewicza, więc teraz pisma humorystyczne zestawiają te ody i wychodzi przepyszna historia...

Kraków, 11. III. 1892 r.

...Ja kilka dni temu zaziębiłem się, wyszedłszy wcześniej po kąpieli, ale teraz już jestem zupełnie zdrow i kaszlu nawet nie mam... Marzec już — wichry, zimno, — ale też i wiosna za pasem. Ach, — cóżby to była za wiosna zobaczyć tu Ciebie... Czy doktor

przysłał mój list? Bestyjka nie pisze już do mnie, choć mu odpisałem, a i p. Gł. (Prus) taki sam. W pogardzie mają wstępującego na niwę poprawnego pisania po polsku nowelistę. Dobrze! Jeszcze on wywali na świat takie dzieło, jakiego ten świat nie widział. Wówczas dopiero nietylko publicyści i doktorowie, ale i narzeczona pisywać do mnie będzie. A ja wówczas? Ja wszystkim przebaczę, — nawet narzeczonej... Ach, czy przyjedziesz... Jeszcze $25 \times 24 = 600$ godzin. $600 \times 60 = 36000$ minut. $36000 \times 60 = 216000$ sekund. Stoję w Szczakowej na dworcu i czekam. Dzień będzie jasny, śliczny, piąty kwietnia. Zdaleka wysunie się pociąg, będzie się wolno zbliżał, zbliżał...

Kraków, 15. III. 1892 r.

...W Zakopanem będę daleko mniej wydawał, niż tu, bo, jak mi obiecał jeden ze znajomych, da mi list do jakiegoś kogoś, gdzie nie będę płacił za mieszkanie, chyba za opał, a tylko obiady będą kosztować — naturalnie taniej, niż w Krakowie. Podobno Zakopane poza sezonem jest bardzo tanie. Ci, co tam byli wiosną, utrzymują, że na początku maja — to cudo! Możeby tam wymyślił jaki obrazek większy etnograficzny i, łącznie z poprawionymi dawniejszemi, puścił tomik u Paprockiego w czerwcu. Kilkadziesiąt rubli by wpadło do kieszeni, choć nasłuchałbym się wymyślań ze wszystkich stron krytycznych, jakie istnieją. Paprocki mię drugi raz nagabywał. Winieta, panie, na okładce ze «Zmierzchu» Owidzkiego (bo to niby ogólny symbol nastroju — mglistość, mroczność, melancholijka słodkawa) — tytuł-by Tusia obmyśliła, Bem-by przy-

chylną ocenę napisał, Chmielowski tam to i owo, a to do «Upustu» — niby do popytu na «Upust» droga. Tu w Krakowie straciłem w pisaniu dawny mój nastrój łagodnej tremy — teraz jestem rozwścieczony na stańczykierzę i przesadzam. Widzę to później dopiero. W pierwszym z «Odgłosów krakowskich» w «Głosie» — oberwano cały kawał z dużym moim żalem, bo był nawet dowcipny. Tak wyszło ni w pięć, ni w dziewięć...

Kraków, 26. III. 1892 r.

...Mnie teraz trapi potroszeczek febra, ale niewielka. Kupiłem całą uncję chininy i objadam się, a febrze nie daję. Mój młodzieuleńki nadworny doktor twierdzi, że taka febra — to istne kpiny i że pierwszy podmuch wiatru tatrzańskiego wywieje ją ze mnie, jak dym z fajki. I ja tak myślę — ile że od pewnego czasu jestem optymistą wielce jednostronnym, — myślę tak, bo mam przykład na Sienkiewiczu. On także chory jest na febrę i... także się żeni. Nie wiem, czy on tam jest optymistą na punkcie swej febry, ale musi nim być na punkcie panny J., bo czegożby siedział w Krakowie i nie leciał a nadstawiał się wiatrowi tatrzańskiemu do wywiania? Z samemi hrabiami żyje, z samemi stańczykami... ale niech mu rajskie świece świecą, bo: $31 - 26 = 5$; $5 + 5 = 10$ dni. $24 \times 10 = 240$ godzin. Gdyby tak można 239 godzin przespać, a teraz jest szósta popołudniu, to akurat za godzinę szedłbym na dworzec... Wspomniałem o słońcu wiosennem i zaraz przypomniał mi się Nałęczów i ta stara wierzba, zwieszająca zielone gałązki aż do samej wody. To

miejsce piękne jest nawet w jesieni. A dlaczego? Odgadnij — a jeśli nie odgadniesz, przestaję Cię kochać, biorę kij w garść i idę piechotą precz, do krain Szopenhauera, piwa bawarskiego i nieustannego mycia okien. Tam pojmem za żonę jaką tłustą Seforę i będę się trudnił pasterstwem, wyrabianiem sera szwajcarskiego, a pisanie nowel zarzucę, jako zajęcie, niepełne zupełnie w honorarja... Teraz znowu taka jest historjka: w «Głosie» powieść «Tuzy» wychodzić będzie aż do października. Mężowie redakcyjni napadają na mnie, abym pisał «w tekście», to znaczy — nad sutezynami. Ale to głupio wygląda takie pisanie, osobliwie, jeśli powieściowa rzecz jest dłuższa. Otóż: w nocy pewnego razu objawił mi się Wł. Olendzki i rzekł: drukuj w «Kurjerze Codziennym». Nie wiem, czy i jako senna mara ten redaktor osobliwy nie blaguje, ale jeśli nie blaguje, to śmiałybym Cię prosić, naturalnie troszkę później o wręczenie, za późniejszą bytnością w Warszawie, arcydzieła, jakiembym Ci przysłał, temu wielkiemu maszyniście «Kurjera Codziennego». Jeśliby się mną brzydził, jako zarażonym trądem głosowiczowskim, to byłabyś łaskawą posłać do «Gazety Warszawskiej». Tam mię już raz pochwalono; jest to uczciwe, szczerze i prawdomówne, a nawet dosyć liberalne pismo...

Kraków, 10. IV. 1892 r.

...Nocuję dziś u dra H. mam zamiar jutro wyjechać do Lwowa, jeśli się złożą okoliczności tak, że będę mógł się ułatwić. Bilet wolnej jazdy mam już, ale trzeba załatwić pewne jeszcze formalności. Co za

szkoda, że wyjechałaś wieczorem, właśnie bylibyśmy czytali moje pisaniny w «N. R.» (początek). Dziękuję stokrotnie za list... jak mi ulżył, nie umiem opisać. Jutro wyjadę pewno o 11-ej rano, chociaż to jeszcze nie napewno, bo jest i wieczorny pociąg. Kończę, bo mój doktor woła, aby iść spać... Przyjechawszy do Lwowa, zaraz napiszę i podam adres... Postaram się jechać, nie zwłócząc, do Zakopanego. Będę zdrow, będę się pilnował i jeszcze ze sto lat pożyję, bo warto żyć na ziemi, mając w sercu takie uczucia, jak ja mam...

Lwów, 12. IV. 1892 r.

...Nie było wypadku, abym nie zrobił jakiegos głupstwa. Przyjechałem dzisiaj do Lwowa i, naturalna rzecz, Kazimierza T. nie zastałem: wyjechał do Królestwa. Z tego wynika, że świąt tutaj przepędzać nie mogę, bo byłoby to już zanadto oryginalnie. Mieszkam w hotelu Szwajcarskim dosyć tanim, ale nie do tego przecie stopnia, żeby w nim tydzień siedzieć. Gdybyś była ze mną, wiedziałbym co robić, a tak biję się z myślami, czy jechać stąd odrazu do Zakopanego, czy wrócić jeszcze na same święta do Krakowa i dopiero, zjadłszy, co tradycja i kościół nakazują, drapać się w góry. Droga do Krakowa niczy mię... nie kosztowała, bo mam bilet wolnej jazdy drugą klasą, ale mi już Kraków obrzydł i... smutno mi w szczególny sposób, od chwili, gdym sam wrócił z dworca. Chyba więc na święta będę u państwa Stanisławów W. (itkiewiczów). Dziwne sądy Boże! Jutro będę z rozmaitymi literackimi wizytami u rozmaitych literackich znakomitości i jakoś sprawę mojej wielkanocności zdecyduje...

...Jechałem przez cały dzień: wierzby przydrożne pękają, pławią się w ciepłym słońcu złotawo-brunatne motyle, migocą murawą zbóż dalekie, niezmierne, nieobjęte okiem równiny, cuchną wiosennym zaduchem żydowskie Dębice, Przemyśle, Sądowe Wisznie — a duszę moją coś żenie na północ, na naszą północ... Przeróżne geograficzne hipotezy obsiadają mózg: czy też pod tym samym południkiem jest Jarosław, co i Nałęczów, czy też, gdyby pójść przez bory i lasy prosto przed siebie, czy też by się zaszło do tego drogiego domu, do tego ukochanego pałacu?... Mógłbym napisać kodeks moralności dla rodzaju ludzkiego i byłby nieomylny. Człowiek powinien szukać szczęścia w miłości i jeżeli je odnajdzie, jeśli odnajdzie choć okruszynę, w imię tego szczęścia będzie uczciwym. Poczóż mi bogactwo, poco mi zaszczyty, kiedy one oddaliłyby mnie od tej treści życia? Nie będę nigdy myślał i postępował źle, bo to oddaliłoby mnie od Ciebie... A może dostanę odkosza?... może pogardzisz ubogim włóczykijem. ...Pamiętaj, Ty wietrzna istoto, że ja wówczas z wierzchołka najwyższej góry skoczyłbym w sam środek Morskiego Oka i wówczas literatura nadobna oskarżyłaby Cię przed sądem potomności. Od dziś za dwa miesiące zbieram manatki i lecę... Co to będzie? Zdaje mi się, że zastygam, że mi serce bić przestaje na myśl, jak to ja dojeżdżam do stacji Nałęczów, potem włożę na brek, mijam Antopol, wieś, kościół, aleję, widzę pałac przez łąki, zajeżdżam — i idę na palcach, idę cichutko... A drzewa szemrzą, a kwiaty pachną, a Heniuta wychodzi na moje spotkanie... Ach, Boże! ...Jeszcze nie zwiedziłem Lwowa, ale z wierzchu nawet

miasta i z wnętrza hotelu sądząc — to porządny gród. Teraz żałuję, że tu nie posiedziałem połowy zimy... Kamienice, jak się patrzy, ulice «kichy wylizoł», ludzie uprzejmi, ale nie «całujący rączek» i nie «padający do nóg pana bdzieja». Tak z wierzchu Lwów robi wrażenie, żeby nie zełgać, Monachjum.

Lwów, 13. IV. 1892 r.

...Wieczór teraz wróciłem po całodziennej włóczędze do hotelu z torbą materiału do pisania, a że dziennik zarzucony, czy zdegradowany do rzędu notesu, gdzie się zapisuje «winien», albo «wydał» — i rolę jego w funkcjonowaniu artystyczno-podróżniczo-recenzyjnym zastępują listy, — więc musisz wysłuchać relacji o Lwowie. Lwów — to śliczne miasto. Nie przypuszczałem, aby taki Lwów, który bylejakimi Niemczyzna nazywa sobie od niechcienia Lembergim, — mógł istnieć u nas. Bez żadnego wątpienia ładniejszy jest, niż Kraków, a prawie tak ładny, jak Praga. Jest to w całym znaczeniu tego wyrazu miasto europejskie, piękne, czyste (o tyle, o ile nie patrzy się na żydów) urozmaicone, ciekawe dla zwiedzających i żywotne, jako stolica kraju (w znaczeniu austrjackim tego wyrazu), — tylko nie fabryczne. W porównaniu z miastami wytwórczemi jest to nawet ciekawe zjawisko: miasto pełne sklepów, cukierni, hoteli, wykwintnych kamienic, placów i skwerów i nie zadymione żadnym kominem fabrycznym. Jako takie, ma znaczenie składu towarów, miejsca pobytu 200 tysięcy ludzi — i żadnej przyszłości. Co za kamienice! W Warszawie niema takich wcale, niema wcale takich ulic kolosalnych, są

chyba w Wiedniu dopiero. Ulica Hetmańska przypomina praską «Na prykope», a inne, jak: Smolki, Mickiewiczza, Kościuszki, Kraszewskiego, Długosza, Trzeciego Maja, Kochanowskiego, Kopernika, Batorego, — to ulice przepyszne, zabudowane gmachami wspaniałymi. Niektóre gmachy, jak Sejm, Muzeum Przemysłu, Kasa Pożyczkowa, szkoły ludowe imienia Mickiewiczza i Staszica — napawają mię dumą. Te Polaki — to jednakże... Jaki park, jakie chodniki, jakie oświetlenie! A muzea — Ossolińskich i Dzieduszyckich — to punkty naukowe europejskiej doniosłości. Rzeczywiście, pańskie ofiary! A teraz, ciekawe rzeczy, jakich niema nigdzie: cerkwie unickie i ormiańskie, ich nabożeństwa ostentacyjne, na jakie właśnie trafiłem, te dziwaczne obrzędy i pomieszanie ludności, które przecież żyją, — nie tak zapewne, jak żyć powinny, ale które mogą żyć i pracować obok siebie bez sporu i waśni. Dla mnie to wszystko jest niesłychanie zajmujące. Widziałem w muzeum Ossolińskich mnóstwo rzeczy ciekawych i cennych, ale najbardziej utkwiło mi w pamięci jedno: «Pojednanie» Grottgera. Na wystawie dzieł sztuki jest kilka cennych rzeczy — portret prześliczny Mickiewiczza, wykonany kredką przez Horowitza — precudna rzecz, obraz Piechowskiego «Oni» i wiele innych. Moi nowi znajomi niewiele mi pomódz mogą, choć chcą bardzo życzliwie. Najlepiej sam to załatwię, gdy wynajdę odpowiednie miejsce w górach. Wówczas stanę na głowie i muszę zrobić, co zechcę. Jutro stąd wyjadę, bo Lwów jest drogi nawet pod względem rozbratlowym i kawowo-bułkowym, ale nie pojedę wprost do Zakopanego, lecz wrócę jeszcze na dwa dni świą-

teczne do Krakowa... Chodzi o bilety bezpłatne i o to, że w dniu przedświąteczne, jak w wielki piątek i sobotę, mógłbym nie dostać koni z Chabówki do Zakopanego i mieszkania po przyjeździe na miejsce, a będę mieszkał u jakichś ultramontańskich górali, Sobczaków. W przyszły wtorek rano będę już w drodze do pana Stanisława... Myślę, jeśli Bóg da zdrowie, chodzić dużo w Zakopanem, zobaczyć i opisać sporną obecnie okolicę nad Morskiem Okiem i wydać w «Wiśle» warszawskiej. Byłaby to rzecz na czasie, a dla mnie miłą etnograficzna robota. Może pan W. pomoże mi rysunkami (tak sobie układam) i wskazówkami, jako biegly w rzeczach tatrzańskich...

Lwów, 14. IV. 1892 r.

...Dziś, równie, jak wczoraj, pracowałem nogami i pamięcią zapamiętałem. Byłem drugi raz w etnograficzno-ornitologicznym muzeum hr. Dzieduszyckich i zwiedziłem je dokumentnie, bo oprowadzał mię p. Zontag, właściwie mówiąc twórca i od lat pięćdziesięciu kierownik tego wspaniałego skarbu. Ceramika ludowa i przemysł, przeważnie huculski, zebrane tu są skrętnie i ułożone naukowo, ptactwo i ichtjologia krajowa stanowią bogaty i naukowy komplet. Gdy tak zwiedzałem, przyszedł właśnie hr. Dzieduszycki; zostałem mu przedstawiony i musiałem mu wykładać rozmaite rzeczy etnograficzne z Królestwa. Jest to starowinka, spasjonowany na punkcie swego muzeum, — ale niechby się tacy hrabiowie na kamieniu w Galicji rodzili! Nawiasem mówiąc, przykro mi było z nim rozmawiać i doznawać uprzejmości, bo niedawno użar-

łem go w «Głosie». Po zwiedzeniu p. Zontag prosił mnie do siebie i przedstawił jakiejś pannie ładnej. Ananas! — myśli może, że nie mam narzeczonej. Z panną zajadłem mówiłem o etnografii, a gdy ją to przestało bawić, ukloniłem się z wielką gracją i poszedłem zwiedzać Muzeum Przemysłowe. Tuby dopiero p. Lasocki używał. Kilkanaście sal samych porcelan, a cóż mówić o przemyśle ludowym, drobnomieszczkańskim, fabrycznym, artystycznym, historycznym, o okazach, układanych według epok i prądów... Wspaniałe rzeczy! Lwowianie czystej krwi nie używają słowa posiłkowego w liczbie pojedynczej, lecz w mnogiej. Moi ciceronowie po muzeach stale deklamowali: — Tu są (som) — pas słucki, lity, — tu som krzesło po Zygmuncie III-cim, tu som spencer huculski i t. d. Zezłościło mnie to tak dalece, że poszedłem do W-chów. Otrzymałem tam potrzebne mi materiały do potrzebnych mi artykułów w «Głosie», potem kiepską herbatę, potem zaś zwiedziłem kościół św. Jura, gmach sejmowy, oddalone ulice i trafiłem wreszcie na nabożeństwo ormiańskie. Biskup Isaakowicz mył i całował nogi starym jego mościom, «pokazującym» 12-tu apostołów. Takie nabożeństwo — to dopiero... Śpiewają i modlą się po ormiańsku, czy po persku, ale tak ładnie, że nikt z Ormian katolików nic nie rozumie, bo wszyscy modlą się po polsku z książek do nabożeństwa. Co za dziki język! Pismo podobne do żydowskiego, wyrazy cudackie — i ciekawa rzecz, jakie to ma zastosowanie we Lwowie, takie niby nabożeństwo dziwne? Byłem jeszcze w teatrze Skarbka i włożyłem na górę, panującą nad miastem, która nie wiem już, jak się nazywa.

Ładny stamtąd rozciąga się widok na Lwów i okolice. Żydzi tutejsi chodzą jeszcze w czapkach futrzanych, które robią wrażenie skręconego ogona lisiego. Narzecze lwowskie lubię; przeciągają, jak Litwini, ale też i kaleczą język porządnie. Rusińskiego prawie zupełnie nie słyhać, mało zresztą spotyka się nawet napisów na sklepach w tym języku. Jedna dzielnica miasta dokoła «Narodnego doma» ma jakąś kawiarnię i kilka restauracyj z napisami ruskimi — pozatem nie ma znaku życia rusińskiego... Ciekawa to historia, jak ja będę spędzał święta... Ze mnie jest ogromnie śmieszny człowiek. W roku zeszłym w takim ognisku oświaty i ogłady, jak Kielce, omało nie uświerkłem z czczości, podczas kiedy świat cały katolicki objadał się dokoła mnie samymi kiełbasami. Teraz znowu tasma historia. Gdy się ożenię, musi mi żona raz narzeczcie wyprawić takie święta, abym sam zjadł ze trzy wieprze... Deszcz dziś pada. Smutno, gdy siedzę sam i rozmyślam o dalszych losach moich, o tych losach, co przekraczają granice Zakopanego... Czy jestem Ciebie godny, ja lekkoduch i zero finansowe... Może, gdy się raz przyczępię do stałej pracy, zacznę być systematycznym człowiekiem... Taki deszcz leje, że jeśli to potrwa do jutra, nie odważę się chyba jechać w góry, bo mógłbym się porządnie zaziębić, — i wrócę do Krakowa. Wszystko zależy od jutrzejszej pogody. Sambym rad dorwać się już tych gór, ale w deszcz nie bardzo pragnę...

Kraków, 17. IV. 1892 r.

...Znowu w Krakowie!... Zdecydowałem się jechać na Kraków i w grodzie Jezuitów przepędzić święta.

Chciałbym je jak najprędzej «przepędzić» do licha, bo nudny mi już Kraków; — pojutrze rano pojedę do Chabówki. Taka kombinacja taniej mię kosztuje, bo ze Lwowa koleją Karola Ludwika jechałem za darmo, a stąd do Chabówki kamieniem dorzuci. Mieszkam u znajomych, jem te tam wieprzowiny i teraz, złapawszy wolną chwilę... siadam do najmilszej roboty, jaka być może... do pisania i rozmowy... W piątek mię ogromnie bolała głowa, ale tak, że z trudnością mogłem utrzymać świadomość. W dodatku w kasie na banhofie lwowskim zapomniałem biletu, a raczej kuponu od biletu i musiałem z drogi telegrafować, a że jechałem takim sznelcugiem, który przebywa całą tę drogę w niespełna siedm godzin i zatrzymuje się na najgłówniejszych stacjach nie dłużej nad minutę, z wielką tedy trudnością wykonałem owo telegrafowanie. Jechał ze mną kilka stacyj W-ch, pomagał mi bardzo. Jest to taki sympatyczny człowiek, jak rzadko — odrazu poprzyjaźniliśmy się ogromnie, — a że w tych czasach zrobił drugi przedruk noweli «Zapomnienie», więc zrobiłem niespodziewanie kilka reńskich. Odtąd stanęła między nami umowa, że każdy obrazek mój z «Głosu» będzie przedrukowywał z płacą 2 reń. od feljetonu. Dobrze to na ten «ciężki dla ziemianstwa rok nieurodzaju»... Wyszedł w sześciu numerach B-w, zapłacono zaś dwadzieścia kilka reńskich, mam więc jeszcze kapitały na drogę i Zakopane.... Kraków po Lwowie robi wrażenie starych bezużytecznych ruin, stojących obok zabudowań pożytecznych i pałacu. Ale on ma swój urok, stary urok... Była chwila we Lwowie, że miałem zamiar wyrwać się i pojechać, het — do Czer-

niowiec na Bukowinę, zobaczyć prawdziwą równinę, ale kiedy ten deszcz... Taka wycieczka kosztowałaby mię bardzo mało, około pięciu reńskich... Za rok będziemy już razem, da Bóg, zbierzemy cały tłum gości, ja się podowiaduję i ponauczam wszystkich przymiotów przyzwoitego gospodarza domu i będziemy udawać bogate mieszczaństwo, albo nawet arystokrację. A teraz, — jak rozbitki...

Kraków, 20. IV. 1892 r.

...Takie zimno, deszcz obrzydliwy i błoto, że ani mowy być nie mogło wczoraj i dziś o wyjeździe. Czekam już tylko na to, aby przynajmniej deszcz kapuśniaczek ustał, — nie będę zwracał uwagi na zimno, bo mię już znudziło wyglądanie oknem i oczekiwanie... Może się do jutra rana jakoś wypogodzi. Święta przepędziłem uroczyście, po części w Krakowie, a po części na wsi u pewnego gutsbesitzera, o kilka mil stąd dzierżącego włości. Moi znajomi zabrali nas całą gromadę, zawieźli na wieś i dopiero pokazali, co znaczy święcone w winno-wódczано-piwnem jego znaczeniu. Wróciliśmy późno w nocy, objedzeni na jakieś dwa tygodnie. Powróciwszy, zastałem list od p. Aleksandra G. (Prusa). Ktoś ten list przywiózł podczas mego pobytu we Lwowie, odesłał drugi list do prof. U(lanowskiego) a ten znowu wystosował zaproszenie do mnie. Nie mam już możliwości korzystać z tego wszystkiego i nie mam teraz sposobu podziękowania panu G., chcę więc prosić Cię... o doniesienie kronikarzowi, że list jego odebrałem już w Zakopanem, że zaś dziękuję i skorzystam ze znajomości z p. U., gdy powrócę do Krakowa.

Tak będzie najlepiej, bo nie zrobi mu przykrości okoliczność, że na prośbę moją trochę zapóźno odpowiedział, a nie będę go jednocześnie drażnił pocztową odpowiedzią... Będę z Zakopanego ciągle pisywał z każdego miejsca, dokąd się zawlokę, — a chcę się dużo włóczyć po górach, bo mam obstalunki etnograficzne, — zresztą zgłodniały jestem wsi, a cóż dopiero gór... Myślę chodzić sam, bo to najmilej, najlepiej, najprzyjemniej i najtaniej. Puszczę się na Węgry, a przynajmniej chcę dotrzeć do etnograficznej granicy węgierskiej, odwiedzić Słowaków i wyróżnić okolice polskie na Spiszu. Obiecuję sobie kolosalne przyjemności z obcowania z naturą dziką i ludźmi nieznanymi... Wiem z naocznego przykładu, jak dalece człowieka rozwijają, kształcą, pogłębiają i uszlachetniają podróże, — mieszkam właśnie teraz z jednym podróżnikiem po Ameryce i podziwiam jego łatwość sądzenia zjawisk życiowych, łatwość nie poczerpniętą z schematów książkowych, ale indukcyjnie zaczerpniętą z życia, nasuwającą się umysłowi sposobem naturalnym, dzięki właśnie szeregowi zjawisk, które trzeba tylko porównać, aby sąd wyrobić sobie jasny, zdrowy, często oryginalny i niedostępny dla nas, patrzących przez jedną szczelinę na życie. Powiedzieć można, że społecznicy, pragnący pisać, powinni podróżować, gdyż w przeciwnym razie muszą błędzić, a przynajmniej czepiać się, czy sami wytwarzać jednostronne i ciasne doktryny, siedząc i patrząc na nadzwyczajnie leniwy rozwój danych zjawisk życia. Aby tylko ten obrzydliwy deszcz nie stawał na przeszkodzie mojemu «pogłębianiu się, rozwijaniu, kształceniu, uszlachetnieniu i t. d.», to już najdalej

w piątek będę patrzył na sprawy życia, jak Arystoteles... Czy wiesz, co zrobiłem? Ostrzygłem się przy samej skórze... Jestem obrzydliwy, jak młody dzięcioł..

Kraków, 21. IV. 1892 r.

...Śnieg pada od dwu dni i wszystkim obywatelom Galicji nosy się czerwienią od zimna! Jestem niesłychanie zły na władze autonomiczne królestwa niebieskiego za naśladowanie władz autonomicznych królestwa Galicji i Lodomerji, pod względem urządzania niespodzianek tego rodzaju... Te dni, jakie tu przepędzam, podczas śniegu i deszczu, dni szare, obrzydliwe, mokre, gdy z dachu się leje a świat cały wygląda, jakby nań wylano wszystkie pomyje z mydlinami, w jakich się myli święci Pańscy przed Wielkanocą — przypominały mi jesień... naszego dziwaka Carlyla, Bellamy'ego, Hamsuna, Bret. Harte'a i kochanego «szlachcica starego» (Prusa. P. a.) z jego szczerolotym humorem... Czytałem właśnie kilka ostatnich utworów francuskich, gdzie «wieczny temat» ukazuje się pod rozmaitemi postaciami, przyniesionemi przez czas obecny. Na taką miłość, jak ją maluje Maupassant, patrzyłem z uśmiechem politowania, jakby z dalekiego punktu na śmieszne skoki ludzi zgłupiałych. Nie widzę ludzi w tych stosunkach, jakie tam opisują. Dziwiw się, że wykształcenie, sztuka, subtelność myślenia, wszystko, co człowieka czyni wyrafinowaniem ucywilizowanym, nie zasłania od cierpień, jakimi szafuje swawola miłości. Mówią nawet wyraźnie ci autorowie, że miłość — to cierpienie... Co za głupota! Miłość — to szczęście, to nie tylko chwile głębokich, nieuchwytnych

dreszczów szczęścia, ale wielka i trwała podpora, ów dla serca klęcznik, gdzie się modli i ufa w życie. Cierpienie zjawia się wtedy tylko, gdy się rozstajemy z istotą drogą, gdy ją tracimy z oczu, gdy czujemy jej nieobecność, ale nigdy nie może być treścią uczucia, bo byłoby jego przeczeniem. Czy wiesz, co znaczy to rozumowanie i ten pogląd na ludzi Bourgeta i Maupassanta? Oto — moje moralne wyzdrowienie, absolutną reakcję... Ja kilka lat temu byłem człowiekiem z powieści Maupassanta... Jest to ciekawy przewrót moralny, jakiegobym z głębi serca życzył ludziom współczesnym. Gdybym go tylko potrafił plastycznie przedstawić... Chcę oddawna podarować Ci odrodzonego siebie w szkicu, któryby możność powrotu do moralnego zdrowia wszelkim Płozowskim naszego czasu przedstawiał. Nowożytna kobieta... może zbliżyć do przyrody i prawdy, do treści życia i jego dyrektywy — do altruizmu, jeżeli tylko będzie tak dobrą i prawą, jak Ty... Słońce dziś z uśmiechem wygląda zza chmur, choć jeszcze zimno. Może nareszcie jutro rano pojedą. Kupiłem taką mapę gór, jakiej jeszcze żaden tatarnik nie miał. Dopiero będzie łażenie! Myślę, że z p. Witkiewiczem zejdziemy się, choć ja, jak Ci wiadomo, na pierwsze wejście wydaję się rzeczą mrukliwą, mało urobioną przez książki, mało rozwiniętą krytycznie, — dopiero gdy mię się dobrze naciśnie, okazuje się cała historia mej wyższości, kolosalnej przenikliwości, moc talentów...

Nowy Targ, 25. 4. 1892 r.

...Dziś dopiero, doczekawszy się jakiej takiej pogody, wyruszyłem z Krakowa i dojechałem aż do sto-

łecznego miasta doliny nowotarskiej. Dalej jechać przezorność i oszczędność zakazują, jest bowiem godzina szósta po południu, deszcz pada i poczta, najtańszy środek komunikacji, odchodzi dopiero jutro rano... Dojechałem koleją do Chabówki, tam wziąłem pocztę (90 centów), — pocztę, t. j. pudełko szczelnie zamknięte w kształcie karety, no i jechałem aż do chwili obecnej, poprzedzonej tylko chwilą jedzenia twardej, jak kość słoniowa pieczeni. Z góry przed Nowym Targiem widać wreszcie one góry, gdzie to jeszcze niedawno błąkały się stada nauczycieli wiejskich. Zębata, kanciasta, nieskończona piła wysuwa się i cofa w chmury, urzeka, pociąga... Osobliwe góry: takich niema ani w Tyrolu, ani w Szwajcarii, — takich lodowatych, zimnych, przerażających dzikością. Jakiś żywioł, sama natura w jej rdzeniu i treści, stojąc tam nieubłagana i bezczelnie groźna, urąga wszystkim wytworom rozumu i rąk ludzkich... Dla mnie miłą jest bardzo okolica podkarpcka — rozpadliny i wzgórza dokoła Kalwarji, Suchej, Rabki i t. d., bo przypomina mi moje góry rodzinne, Świętokrzyskie. Te same nagie łysiny, podrapane szczyty, przerosłe tu i ówdzie kępami lasu świerkowego, pstre pola, uprawne po pierwotnemu, odsłaniające grunt rdzawo popielaty, nieurodzajny, pochłaniający niezmierną sumę pracy — i całość dzika, sprawiająca wrażenie czegoś obdartego ze skóry z pozostawieniem tu i ówdzie kępy szczeciny, szmata kudłów. Lubię taki kraj. I kto wie, czy właśnie taki kraj nie wywarł tajemnego wpływu na mój charakter — tak samo, jak taki krajobraz — nie dający się ująć, pochwycić, określić, powyginany i półdziki, ponury i cze-

gość niezmiernie smutny. Śliczna jest okolica Kałwarji kościoły i kapliczki, strzelające wieżyczkami ku niebu z głębi świerkowych lasów — wyrażają poezję religijną pierwotną, pierwszą myśl, pierwsze uczucie prostego człowieka. Prawie niezamieszkała przestrzeń między Chabówką i Nowym Targiem, sprawia wrażenie przygnębiające z tego choćby względu, że pozbawiona jest absolutnie płotów. Łatwo też sobie wyobrazić na jaką niedolę wystawiony jest człowiek, który się w tej okolicy upije: czego się właściwie człowiek pijany trzyma w tym kraju? Mimo takich fatalnych dla zasady propinacji horoskopów, nie można się skarżyć na brak «Wyszynków wina i rosolisów hr. Potockiego», trzeba nadto przyznać tym przybytkom pewną misję cywilizacyjną: przedewszystkiem na pustkowiu zjawia się szynk z rosolisami, a następnie gromadzą się dookoła niego ogromne dachy, wsparte na niskich ścianach, zjawia się pijany góral w wąskich spodniach i kapelusiku, zakłada ognisko domowe (naturalnie bez komina), płodzi małych góralczyków, jacy na bosaka i półnago biegną po gościńcu, wyprasząc od przejeżdżających w budach pocztowych nowelistów po kilka centów, — sam zaś (ten niby góral) marzy o zjawieniu się znowu na tym padole wichrów, nieurodzajnej ziemi, kóz, żydów i urzędników w obcisłych mundurach, — jakiegoś dra Chałubińskiego, któryby ten lud ubogi ukochał znowu i ku czemuś lepszemu popychał. Chciałbym być dla tego ubogiego ludu maleńką, drobnitką odrobiną dra Chałubińskiego — chciałbym... duże słowo, bo ileż to uczciwych pragnień naszych, myśli z głębi serca wysnutych, zamiarów prawych — musi się roz-

tłuc o twarde guziki austriackich... urzędników... Śnieg znowu zaczyna padać, zimno, smutno. Te zimne skaliste szczyty i czuby odtrącają serce i odrzucają je na dalekie, niezmiernie dalekie niziny... Dziwna tu jest poezja w spienionych potokach, ciskających się w tajemnicze szczeliny, w tej mgłę ponurej, wiszącej nad igłami dalekich zrębów górskich, w tych zimnych podmuchach. Leci Biały Dunajec, pluszcze... Tam na nizinach kwitną po lasach podlaszeczki, na łąkach iskrzą się jaskry, bujne oziminy kołyszą się w ciepłym wietrze. Tu śnieg sypie i pobiela brudne dachy sąsiedniej stajni i chlewów, tli szare światło mroku i czepia się duszy niepokój i żal...

Zakopane, 25. 4. 1892 r.

...Po długim łażeniu po błocie i zwiedzaniu różnych will, mieszkam wreszcie: ulica Kościeliska N. 36 u górali Sobczaków (Cekusów) i Gąsieniców... Jeżeli przypominasz sobie Zakopane, to wyobrazisz sobie sznur domów, idący na prawo ku kościołowi; ja mieszkam za kościołem, właśnie naprzeciwko Giewontu. Mam dużą izbę z wyheblowaną podłogą i ścianami, czystą, o dwu oknach, dobre łóżko, kwiaty, mnóstwo świętych na ścianach, — zresztą wcale paradnie: szafa na rzeczy, stół na książki... dobra lampa, no i Giewont. Będę się tu stołował (obiady 15 reńskich na miesiąc, pokój z opałem 8. — pozatem mleko, bułki i t. d. osobno muszę płacić). Wyniesie to zapewne 30 reńskich miesięcznie... Byłem z listem Twoim u państwa W(itkiewiczów) i poznałem oboje oraz «Kalunia». Pani W. chciała mi pomódz w wyszukaniu mieszkania, chodziła

ze mną do jakichś państwa J....., gdzie pokazywano mi mały pokoik za... 75 reńskich. Patrzyłem ciekawie na minę pani J., gdy jej oświadczyłem, że szukam takiego modus vivendi, gdziebym płacił najwyżej 30. Jakże pogardliwie ta dama wejrzała wówczas na moje zabłocone buty i niemniej zabłocone spodnie! Biedny demokratyzmie, w jakiejże jesteś pogardzie u dam tego świata! Pan W. jest bardzo miłym człowiekiem. Mówił mi dużo o stylu zakopiańskim i innych ornamentach... Drogę z Nowego Targu miałem ohydną: sypał śnieg z deszczem, gwizdały straszliwym gwizdaniem niesłychane jakieś wichry, biły w płócienną budę wozu pocztowego, ciągnionego przez tak chudą szkapę, jakiej nie mogłem się dość nazałować, szczypały mi te wichry nos i uszy, włożyły aż w cholewy butów; — takie niegościnnie wichry! Śnieg tu leży nawet na nizinach i o chodzeniu w góry niema mowy. Później nieco wezmę, rzecz prosta, kij w rękę i pójdę do tego Morskiego Oka. Teraz zacznę w cwał pisać i robić majątek. Gdy słońce wyjrzy, — ciepło się robi, jak w uchu i rzeczywiście dobrze się oddycha. Może mnie Bóg da podleczyć się tutaj... Jestem dzisiaj zaproszony na herbatę do państwa Witkiewiczów i pójdę, choć mi się nie chce, bo jestem, nie gniewaj się, dziwak trochę i nie znoszę żadnych wysokich progów, a tembardziej sławnych. Jest tutaj mój doktor Matlakowski, gdyby więc mię febra trząść chciała, tylko skoczę do mojego doktora, wnet musi febra wraz z gorączką ustąpić...

Zakopane, 26. 4. 1892 r.

...Życie moje tutaj pójdzie, mam nadzieję, dosyć ładnie. Rozumie się, będę stroniąc od ludzi, «chodził koło płotów», jak w Nałęczowie, ale też tu na chodzeniu, patrzeniu i przysłuchiwaniu się można poprzestać. W szkołach tutejszych, t. j. w Zakopanem, Poroninie, Szaflarach, Olczy i t. d. miejsca szczelnie poobsadzone, ale nie tracę nadziei utwierdzenia tu dla nas jakiejś «koleby». Poznałem wczoraj pana Dębowskiego i bardzo mi się podobał ten zbieracz słowników gwary tatrzańskiej. Gdy mię pozna lepiej, może i pomoże, gdy go otwarcie zainterpeluję. Poznam zresztą zapewne i hr. Władysława Zamoyskiego, który często bywa u państwa Witkiewiczów. Teraz jeszcze nie mówiłem o moich planach, bo ludzie nie wiedzą, com za jeden i mogą traktować chęci takie, jako jakiś romantyczny wyskok..... nigdy goręcej nie pragnąłem osiedlenia się w górach, jak obecnie... Jak się oddycha! Pierwszy raz od dawnych lat dzieciństwa oddycham powietrzem gór, czuję w oddechu to powietrze, wiem w każdej chwili, że je mam w płucach... ..Tu dopiero człowiek chory poznaje ze straszną rozpaczą, co to jest wielkie miasto, co to jest cywilizowane życie, co to jest samo życie. Oj, miasto, miasto!... Czy pamiętasz Cichą Wodę, Młyński Potok, Bystry Potok i mnóstwo innych? Teraz wszystkie te strumienie wzbierają od topniejących śniegów i lecą na łeb na szyję. Co za cudowna rzecz te potoki! Woda tak czysta, tak kryształowa, kryniczna, że widać każdą chropowatość, każdy odcień barwy na tych okrągłych «żabicach», jakie wysięcają dno strumienia, taka szalona, mieniąca się, dzika,

żywa, jak nieszczęsna miłość. ...Można godzinami stać, wpatrując się w grzywy piany, w wybuchy fal, w to dziwne życie wody. Tak też robiłem dziś, co musiało sprawiać wrażenie barana, patrzącego na wodę... Giewont się po południu rozżłościł i schował we mgłę na amen, dopiero nad wieczorem zdjął kaptur. Wtedy słońce zachodnie oświetliło go i Sarni Skok cudownie: dwa stoki zachodnie tych gór pokryły się blaskiem różowo-ponsowym przedziwnie pięknym. Wszystkie żleby i szczeliny, kanty i piargi na tych wyniosłych czubach wyszły na jaw i ukazały się plastycznie, wypukło namacalnie... Jestem prawie zazdrosny o moje góry najdroższe, Świętokrzyskie, bo tu niektóre miejsca, niektóre posępnie groźne rozpadliny i strumienie przypominają mi moją Łysicę, Radostową, Strawczaną, Duży Kamień, Klonową, Mały Kamień i t. d. — przypominają mi raczej mnie samego, dziecko dziwne, dziwaczne, błakające się samopas po lasach, siadujące po pół dnia nad jakimiś wodospadami... Tu muszę przyznać ze wstydem, stokroć piękniej, potoki tu cudowniejsze — ale świerki te same, głębie jarów, ponure olsze, zapach mokrej ziemi ten sam. No i tam niema Giewontu, Kończystej i innych kolosów. Wczoraj byłem na herbacie u p. Witkiewiczów. Wymyślaliśmy obadwaj na Galicję aż do godziny dziewiątej. On, rozmawiając nawet potocznie, wyklada rozmaite rzeczy, takie nawet, które słuchacz doskonale umie. Jest to natura, jakby zaokrąglona, zamknięta w kole: można tylko być jego uczniem. Niepodobna być przeciwnikiem choćby z tego względu, że ma sposób dowodzenia pierwotnych chrześcijan: choćby coś miało nie wiem jaką rację bytu, za-

sady i pewniki — jeśli nie zgadza się z mojem widzeniem rzeczy, jest głupie. Swoją drogą, widzenie rzeczy pana W. jest bardzo rozległe, oryginalne, idące z głębi rozumu, wyważone z serca... Ponieważ ze skromnością, godną lepszej sprawy, zataiłem mój głosowiczowski katechizm, lecz w rozmowie zdradzałem się, rzecz prosta, z rozmaitemi sympatjami, nie wiedział więc, co ze mnie za jegomość, ale bystry jest bardzo, bo zwąchał coś i zaczął ni z tego ni z owego pytać o rozmaite rzeczy...

Zakopane, 28. IV. 1892 r.

...Giewont siedzi w chmurze. Wczoraj od rana do południa śnieg sypał płatami, trzymając mię w domu na uwięzi. Błoto teraz w Zakopanem ohydne... Nadmiar złego moje buty podziurawiły się tak dalece, że z bólem serca będę zmuszony dać je do szewca, a sam siedzieć w domu i patrzeć na giewontową czapę przez okno. Dzisiaj byłem w pracowni pana Witkiewicza i oglądałem obraz, o którym musiałś już czytać w dziennikach. Jest to widok któregoś jeziora z wiszącymi nad wodą skałami i smugą mgły, przecinającej je i osłaniającej ponuro. Ta mgła jest bardzo ładna, chociaż znowu woda przypomina nieco zagony rędziny pod Proszowicami. Ja sobie to tak tylko od śliny piszę, bo może ta woda stanowi właśnie arcydzieło: nie znam się na sztuce. ...Lubię bardzo pana W. za jego rzeczywistą ludowość, za faktyczne ocenianie chłopca i wydobywanie z tego świata wszystkiego, co ma cenę i wartość dla naszej samorodnej kultury. Jest tutaj i drugi znakomity ludowiec... dr. W. Matlakowski. Podczas

wczorajszej «lejby i dujawicy» czytałem znakomitą jego książkę p. t. «Budownictwo ludowe na Podhalu». Książkę tę pożyczył mi p. Witkiewicz i prawdziwą wyświadczył mi przysługę, bo siedząc w chacie góralskiej i mając przepyszny, niezrównany, wysoce artystyczny opis tej właśnie chaty, jej ozdób artystycznych i procesu budowy, uczyłem się góralszczyzny, nauki... rzeczywistej, jednej z najciekawszych kart etnologji. Mój kochany dr. Matlakowski, który dwa czy trzy lata temu prawdziwie powrócił mi z tamtego świata, jest jednocześnie jednym z najznakomitszych u nas badaczów-antropologów i po Karłowiczu i Witkiewiczzu jedynym bodaj znawcą kierunków naszego ludowego arcyzmu... Zabawna rzecz, że u nas, wobec gron profesorskich, znakomitości pod względem architektury — książkę o budownictwie ludowym musi pisać chirurg... W Nałęczowie teraz już pewno słowiki śpiewają, bzy przed pałacem kwitnąć zaczną za kilka dni i nastaną dziwne echa, łaskoty pieśni, rozlegające się między murami pałacu i willi pałacowej. W Nałęczowie mają cudny. Fatalna rzecz, że tu słowików niema. Cokolwiekby mówili realiści i rozmaici pozytywiści — słowik jest rozkoszą w życiu...

Zakopane, 29. IV. 1892 r.

...Czytałem «Filozofję Szopenhauera» w opracowaniu Ribot'a (oto do jakiego stanu rzeczy doszły!). gdy wtem przyszedł pan Witkiewicz. Poszliśmy do Wojtka Roja, później do pracowni młodego rzeźbiarza, potem precz ku Kościelisku. Było ciepło, więc biedak zmachał się i ustawał. Ja wobec niego jestem jeleniem...

Gdyśmy wracali, ksiądz Stolarczyk siedział przed chatą starego górala Staszeczka, popijając wodę. Poznałem więc sławnego kanonika i zgrzybiałego gazdę, mrugającego już tylko powiekami. — Kej święty Jakób na Giewont wlezie, dopiero te śniegi poozgarta... — mówił Staszeczek. Ten święty Jakób dopiero w niedzielę będzie na Giewont wlaził... Napoznawałem u państwa W. rozmaitych panów i pań, których ani nazwisk, ani pozycji społecznej nie pamiętam. No, gdy tylko buty sobie wynaprawiam i gdy «święty Jakób i t. d.» — żadnych panów i pań! Bambusowa laska w garść, ołówek i mapę za pazuchę — i «idem»! Nie obawiaj się tylko... nie zginę w żlebach, — ja gór jestem zwyczajny...

30. IV. 1892 r.

...ciepło i parno; mgły leniwie odsuwają się od wsi i odsłaniają najbliższe stoki wzgórza. Śnieg, jaki tam jeszcze wczoraj leżał, znikł nareszcie i na zgniłozółtej murawie puszcza się mdła zieleń pierwszych piórek trawy. W rowie za drogą błyska nawet coś żywym światłem, czego wczoraj jeszcze nie było: to jaskry... dziwne uczucie tęsknoty przejmuję mi serce: gdy mgła zasłania Sarni Skok — ta cała pochyłość podobna jest zupełnie do Radostowej, góry, pod którą uczyłem się łązić, później składać litery, a później tyle razy, leżąc gdzieś w dolinie, czytałem Mickiewicza... Zupełnie tak samo, te same jałowce i żółtawy skłon i ponura, ciężarem leżąca mgła. Ojciec, matka i bezgraniczna ich dla mnie, jedynaka, miłość — przesuwały się gdzieś w głębi duszy, jak mgła przemijająca...

Zakopane, 1. V. 1892 r.

...Poszedłem wczoraj... na Nosal. Krupówkami do-
lałem aż na drogę do Jaszczurówki, potem zawróci-
łem pod Nosal i zacząłem się drapać od strony pół-
nocnej. Drapałem się pewno z półtorej godziny, aż
wreszcie wyskrobałem się na sam szczyt, wlałem na
sam nos skały i dopiero patrzyłem se po okolicy. Świ-
nicę widać tak, zdaje się, blisko, że kamieniemby się
dorzuciło, Hawrań, Czerwony Wierch — wszystko to
tuż. Szczególniej pobobał mi się jeden zleb, czy roz-
dół między dwiema skalistymi turniami, — rozdół za-
walony śniegiem, który w oczach pod gorącym słoń-
cem taje. Będzie to na wysokości Giewontu. Taki roz-
dół musi być w piekle, jeśli nie w piekle Dantego, to
w rzeczywistości. Nie wiem nawet jak się te dwa wir-
chy nazywają, bo ich na mojej mapie nie było. Pusta
głębina, otoczona murami skał, podobna do pochylonej
niezmiernej miski. Chodzi tam opar z topniejącego
śniegu, drży, jak szczyt płonącej świecy płomienia cały
ten djabelski dół, — z boków leją się szare strugi, jak
pot — i wilgotna skała krzy drobny piarg na białą po-
wierzchnię tej kotliny djabłów. Jest to miejsce, którego
niepodobna porównać do niczego innego, tylko do śpią-
cego tygrysa — to łeb jakiegoś potwora, to czeluść stra-
szliwa. Jeżeli przenieść oczy z tej dolinki na widniejące
gdzieś nieskończenie nisko Kuźnice, to śmiech bierze,
a jednocześnie ciągnie jakiś wściekły popęd iść tam,
wleźć w środek tej kotliny i stratować ją przynajmniej
nogami. Bo tam nikt nie był, tego śniegu nie dotknęła
stopa człowieka, tam może tylko orzeł rozdzierał na
strzępy jagnię. Ten rozdół — to wizerunek rozpaczy.

Ja raz tylko takiej doświadczyłem, kiedy przyjechałem
z Kielc do rodzinnego domu i zobaczył ojca w trum-
nie, kiedy zbliżywszy się, zobaczyłem krzepnącą strugę
krwi, jaka sączyła się z ust i nosa na dywan, kiedym
spozstrzegł sine spuchnięte ręce, które tak kochałem,
kiedym poczuł zaduch trupa i przez straszliwe jasno-
widzenie zrozumiał, co to jest śmierć. W tej kotlinie
gdyby się człowiek zabłąkał, stracił pojęcie kierunku,
dobiegł do jej brzegu, spojrzął na dół, zobaczył te łup-
piny orzecha, które tam w dolinie zowią domami i gdyby
widział dokoła siebie te skały, tę pustkę i czuł lodo-
waty uścisk rzadkiego powietrza, pojąłby także, czym
jest śmierć i rozpacz... Nosal za to, jak pewno sobie
przypominasz, jest piękny; szare, wapienne, łupiące się
skały wiszą nad świerkowym lasem, niby ruiny roman-
tyczne starego zamku, wybiegają strzeliste z głębi
drzewnej i dumają nad doliną, powleczone ciemnozie-
lonym płatem świerczyny. Na samym szczycie koło
skał rosną maleńkie ciemnofiołkowe kwiatuszki, po-
dobne do fiołków. Zerwałem ich kilkanaście, aby Ci
choć listeczki w liście posłać, ale zaraz pozwijały się
w małe ruloniki i zwiędły... Schodziłem na dół ory-
ginalnie, bo od południowej strony: zsunąłem się cze-
luścią między dwiema piramidami skał i leciałem póź-
niej zygzakowato od drzewa do drzewa. Tamto zbo-
cze góry jest prawie pionowe, duże świerki rosną dzi-
wacznie, jakby były przyklepione do góry. W kilka
minut byłem na dole. Zahuczał potok. Co za cudowny
widok! W pewnym miejscu nad tym spienionym prą-
dem wisi pochylona szara skała. Woda tam leci, wbija
się pod grzywę piany, zlatując z każdego kamienia,

i tworzy, jeśli spojrzeć pod wodę, jakiś biały, drgający konwulsyjnie pas. Co za muzyka tych fal, tej walki wody z kamieniami!...

Zakopane 4. V. 1892 r.

...Pan Witkiewicz zaczął malować nowy obraz na tem płótnie, o którym Ci już donosiłem, mój redaktorze. Jest to znowu krajobraz górski, zimowy: jadą pędem sanie góralskie, wysuwając się zza wzgórza. Jest ich cały szereg i tworzą rzeczywiście na obrazie ruch. Konie malowane pysznie, a moment kolorytowy ten sam, co na obrazie, gdzie góral zagląda w oczy góralce. Wczoraj zaprosił mię p. W. do pracowni, ażeby się pochwalić drugim z rzędu koniem i malowaniem chomąt, które to malowanie rzeczywiście jest majsterskie. Ja trochę nie rozumiem, po co się maluje takie obrazy, bo niema w całym takim utworze celu, oprócz pragnienia dobrego odtworzenia koni, chomąt, wywołania wrażenia ruchu i t. d. Nie wiem, jak wypadną góry i cały koloryt — może to zastąpi wszystko. Odtworzenie przyrody zastępuje wszystko, zdobycie w obrazie prawdy jest celem artysty, ale jeżeli na tle przyrody artysta umieszcza człowieka i zsuwa tym sposobem przyrodę niemą i samą w sobie na plan dalszy, to powinien wyrazić jakąś łączność między człowiekiem i przyrodą, jeżeli to ma być obraz nie etnograficzny tylko. Czegoś w tem brak i jeżeli nie jest mistrzem ten malarz, który odtwarza taką «martwą naturę», to robi rzecz szablonową. Jeżeli udoskonaloną zostanie fotografia, odtwarzająca barwy, ciekawa rzecz, co będą wtedy malować tacy właśnie fotografowie bezwzględnej przyrody? Sztuka nie umrze nigdy, ale ta,

która szuka, bada, męczy się, skarży, cierpi, która chce wykraść przyrodzie tajemnicze wpływy piękności i brzydoty na ludzką duszę, sztuka, gdzie tkwi zagadka, którą widz tak chwyta i tak na jej tle rozsuwa myśli swoje, jak na pięknie samej natury. Takie recenzje przychodziły mi dziś na myśl w dolinie Strążyskiej. Znasz tę bajeczkę? — Więc posłuchaj... Co tam są za cuda, co za cuda! Ten potok, który nie płynie, ale się szamoce, jak więzień, bije w głązy pięściami i, jeśli tylko może je urwać, ugryźć, to wyrzuca ich odłamy aż na dalekie pola. Przystaje on być wodą płynącą, potokiem, ale się staje poezją, czemś oderwanem, nie dającym się ująć w słowa, obrazem dzikości. Ach, gdybym mógł odmalować, albo opisać, albo opowiedzieć, jak ta woda leci w jednym miejscu, w granitowym gardle, rozbita na drgającą, białą, jak mleko, skłębioną pianę! A gdzieindziej w górze, jak cieknie po zielonych głązach czysta i cicha, jak samo w sobie nieodparte marzenie miłosne, a gdzieindziej, jak wymija warstwami leżące pokłady i olbrzymie «skale», niby ujarzmiony niewolnik, pokorny i uległy a duszący w sobie wściekłość, bo to pokazuje bujna i dzika grzywa piany. Tam się kłębi pod głazem w głębokim wyboju, ukazując dno, usiane drobnociuchnym, białozielonym czysto wypłukanym, jak cenne zboże, źwirem; tam oplata czerwony głąz rozstrzępionymi nitkami, białymi jak śnieg... Dopieroż siklawka pod Giewontem! Tam poprostu chce się «słuchać tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia»... Te mokre, śliskie, ociekłe wilgocią, powleczone tu i ówdzie skórą brudnożółtego mchu ołtarze kamienne zdają się słuchać wiecznej melodji białego pasa zlatu-

jącej wody, melodji głuchej i posepnej, nieskończenie pociągającej. Skropione rosą świerki patrzą w ten dziw, otaczają go zbitą gromadą i kiwają zwieszonymi gałęzmi, których końce nurzają się w pianie. Dokoła pustynia: mokry piarg, nasiąkłe wodą mchy porastają korzenie wykrotów, tych świerków, wyrwanych przez wodę z korzeniami i bryłą ziemi; strumyczki, sączące się po prostopadłych pokładach granitu, brudne płyty topniejącego śniegu — a wysoko Giewont z jego skałami, zlebami wyziębłemi, ze szczytem, nad którym i dokoła którego błakają się wieczyste bałwany chmur... Gdy zostaną okropnie sławnym, wdzięczna potomność nazwać powinna dwa potoki, zlewające się w dolinie Strążysk, a nie mające dotychczas nazwy.... A ten maleńki przeduczny potoczek, co leci po prostopadłej skale z Sarniej Skały, jak biała smuga, podarta na strzępki, będzie się nazywał.... Ze Strążysk poszedłem do doliny Białego w głęboką rozpadlinę, gdzie znowu Biały Potok wre między skałami. Wróciłem do domu nad wieczorem już samym (z butami podartymi, jak skały na Łysan-kach) i z duszą uniesioną w kraj dzieciństwa. To jest dopiero moja dziedzina: świerki, dzika pustka, potoki. Zdaje mi się, że nie żyłem przez osiem lat, że jestem w szóstej klasie i jestem na wakacjach. Uciekam od ludzi i siedzę gdzieś nad szumiącą wodą, między skałami, jak dziki cap. O czem myślę? Wie woda dzika, spieniona — niesie myśli daleko...

5 maja w nocy,

...Po południu poszedłem do p. p. Witkiewiczów — sam nie wiem z jakiej racji — poprostu wziąłem i po-

szedłem — no i siedziałem aż do godziny dziesiątej. Był tam Wojtek Roj i p. Dębowski. Jadłem befsztyk, piłem wódkę i piwo, pani W. grała na góralskich gęślikach, a pan Stanisław opowiadał mi różne rzeczy. Wziął mię za serce jedną rzeczą: patrzeniem na nędzę, jak na nędzę patrzyć umieją nieszczęśliwi, rozbici przez nią, ale nie pokonani. Opowiadał mi swoje czasy petersburskie, monachijskie, warszawskie, choroby, miski fasoli, knedelzupy, barszcze petersburskie, to zatracenie nadziei, rozpacz codzienne, obserwowane ze spokojem, cierpienia piekielne, rozpatrywane artystycznie, — słowem to, co ja znam, co przeżyłem. Rzeczywiście, ja podobny jestem do niego moralnie... Dużo gadaliśmy z panem W. o jego ideałach. On mię nie poznał z dobrej strony, z tej nawet, jakaby była dla niego sympatyczną, bo ja do ludzi, wyżej ode mnie stojących, nie umiem się dostosowywać, nie lubię nawet otwierać się wobec nich i mówię ogólnikami. Miałem wypadki, że zaczynano mię lubić dopiero po upływie długiego czasu, gdy zauważono, że za parawanem mojej fałszywej przyzwoitości jest jakaś dziura, gdzie przecie leżą jakie takie graty, wystrugane samoistnie. Bezwątpienia jesteśmy z panem W. najpodobniejszymi ludźmi na świecie i to, przyznasz, musi mię drażnić, gdyż ja jestem miljon razy przekreślonym zerem, a on tem właśnie, co jest i we mnie (nie mówię o sztuce malowania), zdobył sobie rozgłos i sławę. On nawet pisze tak samo, jak ja. Jego «Przełęcz» poprostu mię gniewa, bo ja piszę tak samo, a że piszę później i mniej mam do pisania tematów, więc mogę uchodzić za naśladowcę, kiedy nim absolutnie nie jestem. No, ale cóż robić?

Zaczynam lubić pana W., bo to człowiek z tego samego świata co ja, z tego samego oddechu niecierpliwości, — zresztą chory, dobry i był biedny, żył, jak pies, chodził zastawiać kamizelki po czterodniowym głodzie, więc się znamy... Ja poprostu nie wierzę w ludzi, którzy młodości nie spędzali w nędzy, — nie znają «tamtego świata», nie wiedzą całkiem, co to sumienie, co altruizm, co głębokie poniżenie, które się okupuje dumą zaprawdę wielką, honorem rzeczywistym, pogardą prawdziwego filozofa. Tak samo rozumie życie pan W. Mimochodem wspominałem, że jadałem kiedyś obiady u żołdatów na Podwalu «po tri kopiejki» waza kapuśniaku — i wtedy inaczej zaczął na mnie patrzeć. Bo tylko my możemy ocenić, co jest kamień filozoficzny człowieka, my, niegdysь głodomory. Podobają mi się i to, że jest szczery i mówi o sobie z łatwością, czego ja nie umiem, więc podziwiam... Muszę... iść do dra Chramca, bo ktoś z Krakowa — a kto, nie mam pojęcia — napisał do niego z prośbą, aby się mną zajął, aby się mną opiekował, leczył. Doktor Chramiec był u p. p. W., szukając mię, chodził po Zakopanem, no i nie znalazł. Czy jaka wielbicielka, czy Sewer?... Pan W. występuje z «Kurjera»... Ja czatuję na taką chwilę, kiedy mógłbym go namówić do «Głosu»... Dopieroby «Głos» wyszedł w górę! Mój kochany «Głos». Sygietyński pisze w «Głosie», Gruszecki — stara gwardja, więc pana W. to trochę podnosi. Gdybym ja go mógł przekonać! Boję się go znudzić, — a niczem się nie różni, jest nasz całkiem.

Zakopane 9. V. 1892 r.

...Siedzę teraz w domu kamieniem, bo zwały się na Zakopane «siapawice», chmury, «lejby», «dujawice» i takie mgły, że ani gór, ani krzaków, ani domów — nic niema. Jest to nader zajmujące zjawisko, bo człowiekowi wydaje się, że jest późną jesienią gdzieś w Płockiem, albo na Podlasiu, na tych równinach smutnych i jednostajnych. Z okien widać pole równe bardzo jasno i wyraźnie z oziminami i zoraną rolą, za polem kawałek lasu świerkowego, a dalej szara pustka — ani jednego wzniesienia ziemi, ani podnóża najniższej góry, szara dalekość... Wskutek usunięcia z widowni przedmiotów, mgła jakby się spłaszczyła, jakby tworzyła przestrzeń bez końca. Wiatr ucichł, jest ciepło i mgły kopułą nakryły wszystko w promieniu jakiegoś kilometra od wsi. Czasami w jakimś punkcie chmury dźwigać się zaczynają i pełzną po Łysankach, po Sarniej Skale zabawnie, wielkimi strzępami, jakby je ktoś na linie wciągał na szczyt góry. Za chwilę znowu idzie rzadki tuman, zgęszcza się, grubieje, nabiera szaroczarnego koloru i zakrywa wszystko do cna. Będzie to sobie pewno trwało najmniej z tydzień, bo zbliża się połowa maja z jego Pankracym, Serwacym i Bonifacym... Myślę nieraz o chwili... powrotu... Pojadę na Kielce, bo tak będzie wygodniej, ale mogę przyjechać do Tworek przez Koluszki i tak też zrobię, bo pragnąłbym rzucić okiem na miasto jedyne, na Warszawę. Nie lubiłem jej dawniej, ale rzeczy i zjawiska sądzi się prawdziwie dopiero z oddalenia... Wiedeń, Monachjum — to były dla mnie tylko jakieś echa Warszawy, jej przeciwieństwa, albo podobizny. Jedyne

miasto, serce świata, jak mówił Słowacki... Piję teraz taką masę mleka, że prawdopodobnie z bruneta na blondyna się przekształcę. Co mię wiatr halny otrząska i poczerni na gębie, gdy mogę łązić w pogodę, to znowu siedzenie w domu i zamleczenie się — wybluchuje. Ale gdy przyjadę do prawdziwego kraju, gdy minę Puławy i będę wysiadał na stacji Nałęczów, dopiero wszyscy wytrzeszczą oczy: co za węgierski cygan przyjechał?...

10. V. 1892 r.

...Cokolwiek się dziś wypogodziło po południu, zaraz też ciupaga w garść — i... jazda na Gubałówkę! Zaszedłem na nią z boku od strony Poronina i szedłem już w górę wolniuteńko... ze dwie godziny, aż się wy dostałem na szczyt. To rodzona siostra mojej Łysicy. Na szczycie widać wszystkie korzenie każdego świerka, bo wody górskie zlizwały cienki pokład gleby, odstawiając nagi grunt, skałę. Litościwa natura okrywa te biedne wyważone na wierzch korzenie delikatną łuską kory i gruzłami wysiękającej żywicy. Korzenie, jak palce i pazury ogromnych zwierząt, wpijają się w twardy grunt i tulą pod włókna zrudziałego mchu. Szemrzą tam ciche potoki, czasami rozchodzą się w «młaki», drobne skupienia torfu. Co za powietrze! Pierwszy raz w życiu człowiek czuje, że oddycha powietrzem, czuje je w płucach, w nerwach, w żyłach, we własnych ruchach rzeźwych i śmiałych, nawet w myślach swobodnych i wesołych. Mięśnie stają się podatnymi, serce przecież raz bije właściwym mu ruchem, płuca oddychają, jak miechy kowalskie. Odpocząłem pod kolebą pastuszą i poszedłem dalej. Pod samym

szczytem stoją dwie chaty, a raczej dwie oboro-chaty, bo dwa te przybytki mieszczą się pod jednym budynkiem dachu. Za kupą gnoju siedzi dwoje dzieci — jedno ma może ze trzy, a drugie z pięć lat. Wiatr im podrywa brudne koszuliny — nie zwracają uwagi... W progu izby siedzi kudłaty dziad z twarzą brunatną i pomarszczoną, jak zgniła gruszka, dziad zestarzały już na nic, powieki mu spadają na oczy zamglone mechanicznie, niby jakieś stare klapy na zluzonych zawiasach, brudna koszula słabo go okrywa, bose nogi, unurzane w mokrym gnoju, drgają kurczowo, — ma pewno starowina ze sto lat... Dziad głuchy, jak pień. Pokazuję mu, że mi się chce pić, dźwiga się więc, idzie do izby i wynosi wodę, stękając... Wypiłem trochę, zapłaciłem i, żegnany śmiesznymi ukłonami staroego, podobnymi do kopania kartofli, poszedłem dalej. Tam mieszka znów sam jeden nędzarz góralina. Nic niema u niego oprócz pustej izby, wystygłego pieca i trochę słomy na łóżku. Ma na szczycie tej góry szmatek gruntu czerwonego, gdzie więcej kamieni..., niż tej niby ziemi. Myśli właśnie, czy już sadzić «grule» (kartofle), czy jeszcze poczekać. Owsa nie sieje całkiem, bo jak wyjdą w czerwcu piórka, to będą stały do grudnia i zmarzną, nie zżółknie. Ale to bywalec. Był na Litwie, pod Płockiem, na Węgrzech — i co on ma wiadomości! Takie rzeczy wie, że aż coś w gardle ściska... Górale mają dziwną delikatność obejścia. On nie poluje na «szóstkę» — naturalnie wzięłby ją, gdyby mu dać, ale nie dlatego mówi, aby tego «gościa» czemś podejść; on lubi »ugwarzyć«, siedząc w swej pustce, lubi o czemś posłyszeć, rad poprostu, jak gospodarz

gościnnie. Jest wśród nich jeden tylko «lizus», pogardzany przez szanujących się, Kuba Gąsienica-Poćciorz. Nosi pocztę drowi Matlakowskiemu, zbadał, że doktor lubi p. Witkiewicza, przychodził więc przez pewien czas do pracowni i przynosił «pikne ukłony», chociaż Matlakowski żadnych ukłonów nie przysyłał. I mnie już zwąchał. Gdy przychodzi na pocztę, bierze mię w obroty i opowiada rozmaite rzeczy, zakończone zawsze: — O, ja was bardzo lubiem, okropnie was lubiem — nie macie ta jakik staryk por-k?... Ja go także «lubiem», ale, niestety, posiadam te stare... jedyne. Kończymy więc rozmowę platonicznem «lubiem»... Teraz właśnie nacichła burza z błyskawicami, piorunami i grzmotami, jakich nie słyszałem za życia. Nie słyszałem właściwie tego łoskotu, jakim ciskają góry. Zdaje się, że te granitowe czuby, drżą, kołyszają się, zlatują nadół i tłuką o siebie. Co za szalone drganie ostatniej jakby nuty grzmotu: idzie jakby z głębi gór, z ich wnętrza i długo jeszcze gdzieś daleko mruczy. Teraz dopiero siedząc tutaj można zrozumieć poezje Tetmajera, górala z krwi i ducha...

Zakopane 13, V. 1892 r.

...Pan Witkiewicz zaproponował mi dziś, abym na stałe osiadł w Zakopanem, a gdy mu pokazałem kieszonki, pełne okruszyn zapałek i strzępów jakiegos starego «Głosu», wyraził taką propozycję: w Zakopanem, mówił, jest zawsze zimą ze sześciu, z ośmiu chłopców z Królestwa, możnaby więc po prostu wynająć mieszkanie i dawać lekcje — on posyłałby swego Stasia, państwo Lilpop, ktoś tam jeszcze... Mieszkają tutaj

państwo Konarscy z moich okolic, ludzie bogaci, których syna w Warszawie przygotowywałem swego czasu do egzaminu dojrzałości. Podobno wyrażali się o mnie pochlebnie i t. d. Ślicznie, ale co z tego? Kiedyż ja zacznę żyć, kiedy spełnią się nasze marzenia i nasz ślub? Wiecznie kształcić te pańskie dzieci?... Jeśli masz... możliwość wyrobienia posady tam, to i owszem. Gdyby można w kieleckiej gubernji, to tam powietrze jest takie samo, a gór tam wszędzie pełno. Trzeba tam zacząć, a nie uda się, wówczas się przeniosę, zdam tutaj egzamin i może przecie coś się dostanie... Kronikę (Prusa) dziś odebrałem i dziękuję ci ślicznie. Jest ładna. Moje buty są również ładne, o ile ich nie uciaram w błocie za Jadwinówką — nadto są całe i nie przemakają. Chodzę zazwyczaj w tabaczkowym żakietku, niegdyś bardzo pięknym... ponieważ spodnie są nieco obstrzępione u dołu, więc je chowam w cholewy. Może mi z «Głosu» przyślą parę złotych, wówczas kupię serdak za ośm reńskich... Ach, ale już jechać! Jechać co tchu, całym pędem pary...

Zakopane, 16. V. 1892 r.

...Dobry człowiek zawsze jest taki. Mój ojciec był takusieńki, dzięki czemu ja teraz jestem obywatelem całej kuli ziemskiej — a kocham jego pamięć i jest dla mnie cudnem wspomnieniem i jego nieradność i rozrzutność i długi i wieczni żydzi i wieczne procenty... Żeby już wrócić i zacząć zarabiać, choćby torf kopać u Górskiego, bo to moje życie tutaj po prostu mię dręczy... Jeszcze miesiąc, od dziś za miesiąc będę jechał — o, radości... Wczoraj byłem na Ko-

pie Królowej, na Kopie Magóry, u Gąsienicowych Stawów, na Kasprowej. Poszedłem sam po południu, wlałem w wąwóz pod Kopą Magóry w dolinie Jaworzyny. Była droga, później ścieżka, a wszędzie napisy «Do grot w Magórze». Szedłem tedy ścieżką po zboczu długiego upłazu. Ścieżka szła na znacznej wysokości i nagle — urwała się, bo ją zasypał łupek rozmięklej skały, wytworzywszy osypisko na kilkadziesiąt łokci w dół. Trzeba było albo wracać i okrążyć całą górę, albo przeskakiwać przez tuleję piargu. Chciałem przesunąć się po tym żwirze i wydłubałem się na jego środek. Gdym spojrział na dół, doznałem »strachu przestrzeni«. Ścierpłem tak, że nie mogłem się ruszyć z miejsca. Siedziałem, siedziałem, a potem uczułem, że ani dalej nie pójdę, ani się nie wrócę, bo zlecę natychmiast. Zacząłem tedy zsuwać się na dół w pozie arcyśmiesznej z kolosalną szkodą pewnej części stroju królów stworzenia. Zęby mi szczękały, przestrzeń wdół tak się wydłużała, że gdy po jakiej półgodzinie zsunąłem się wreszcie na dół, musiałem się trzymać kamieni, bo mi się zdawało, że pode mną ciągle przepaść. Szedłem później w górę samem dnem wąwozu i gdy wyszedłem na szczycie na szeroką i wygodną ścieżkę, z kwadrans się namyślałem, czy iść, czy nie zlecę. Dopiero gdym stanął po tamtej stronie Magóry na olbrzymiem pochyłym zboczu, położyłem się na ziemi i czułem, wyraźnie czułem, jak ze mnie ta obawa wychodzi. Gdym się uspokoił zupełnie, umyślnie wyszedłem na szczyt Magóry i zajrzałem w przepaść. Już się wówczas nie bałem zupełnie. Wracałem potem przez Kopę Królowej, ścieżką nad przepaścią całkiem spo-

kojnie. Czarny Staw jeszcze zamarznięty, na Kasprowej śnieg jeszcze leży gruby. Z powrotem szedłem żywo i ładnie. Co za kolosalny widok na kotlinę pod Świnicą. Chmura idzie, wpływa w ten granitowy cyrk i roztrąca się o Świnicę, kłębi w miejscu i dopiero pnie się w górę. Pusto — ani żywej duszy. Tego wąwozu Jaworzyny pod Magórá do śmierci nie zapomnę! Śnieg żółty, jak ropa, leży tam na urwiskach pod północ zwróconych, głucho, ani jednego szmeru — i tylko dotąd dudnią mi w uszach kamienie, zlatujące wdół, strącane mojemu nogami, gdym zjeżdżał z paradą i majestatem. Ale za to, co za widok na Giewont i na te jasnozielone dolinki odbijające jaskrawo od brudnożółtych pochyłości wirchów — na dolinę Nowotarską, na Świnicę, Zawrat, Granat, Koszystą, Krzyżne, Piargi! Piszę Ci... o tem, bo chcę Cię uspokoić — już nie będę łaził, gdzie djabli nie łążą, bo mię nauczyło po uszy! Daję Ci już słowo honoru, że nigdy nie pójdę inaczej, tylko drogą. Już dwa razy miałem takiego piekielnego stracha. Byłem też już pod samym szczytem Giewontu z tej strony — z doliny Białego... Tam wczoraj był strach, bo ani zdźbła trawy, którejby się można uchwycić. Bądź więc zupełnie... o mnie spokojną. Pójdę jeszcze tylko w dolinę Kościeliską i może do Jaszczurówki sam, a potem poczekam na A. H. i z nim i z dwoma jeszcze przewodnikami dopiero puszcę się do Morskiego. To dopiero na początku czerwca...

Zakopane, 21. V. 1892 r.

...We środę spadł tutaj śnieg. Na dolinach stają zaraz, ale szczyty gór i na północ zwrócone zbroczą

pokryte nim dotąd jeszcze. Było to przepyszne widowisko, bo nazajutrz była pogoda przedziwna, powietrze zimne, ostre, ale tak czyste, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. W takiej przestrzeni wyodrębniały się góry ubielone, plastyczne, pokazujące w cudownych odcieniach każdy złom, brzeg i szczelinę granitu. Co chwila pogoda się zmienia: przelatuje deszcz, odmładza wszystko, nastaje cudowna pogoda, a za chwilę znowu się ściemnia, góry w mgnieniu oka giną i mży. Drzewa zaczynają puszczać maleńkie listeczki. Na mojej ulicy rośnie aleja modrzewi, one też zazieleniają się dziwnie ładnym, jak młoda trawa, odcieniem. Tak zabawnie się to wydaje, że w końcu maja zaczynają pękać wierzby (o olszynie niema jeszcze mowy), jak w dolinach w końcu marca. Ale zato łąki — cóż za łąki! Takich nigdzie niema, może dlatego, że odbijają jaskrawo od żółtych pastwisk i szarych turni po górach. Wszędzie na wszystkie strony budują w Zakopanem domy, chaty, hotele, wille, rośnie to, jak grzyby po deszczu... Myślałem kiedyś, siedząc obok budującego się domu, jakieby to było dobro wznosić dla siebie i swych drogich drewniany dom! Urządzać te ściany, tę powałę, te okna i drzwi, do których się już przyrosnie na zawsze, przywrze, jak składowa ich część, gdzie się będzie żyć zawsze, gdzie będą się gnieździć dobre i złe myśli, koleje, wypadki, smutki, radości. Dom jest dla człowieka jakby częścią jego istoty, to też najbardziej brak tej części odczuwają tacy, jak ja, co «nie mieli prawie rodzinnego domu»... Jest we mnie kawałek konserwatywnego szlachcica, jakiegoś Syrokomli, coby za gniazdo na pustkowiu oddał nawet możliwość podrózo-

wania na wzór Sienkiewicza. Pamiętam, gdy raz, po śmierci ojca w dwa czy trzy lata przyjechałem do Kielc i poszedłem piechotą dwie mile, aby odwiedzić swoje strony. Siedziałem na górze Radostowej, skąd widać było całe zapadłe kącisko niegdyś nasze. Nie mogłem pojąć, nie mogłem zrozumieć tego faktu, że w tym starym, opuszczonym, ze szczyrniałym dachem dworze mieszka kto inny, że te drogi żółtawe, kręte, kamieniste — to nie moje drogi. Tamta wieś — to mojej duszy częśćka do tej chwili... Pierwsze lata dzieciństwa, spędzone na wsi, wciskają w człowieka na zawsze szczególne, niezmazane znamię: będzie kupcem, marynarzem, subjektem w aptece, redaktorem, czy czemkolwiek, a jednak będzie zawsze członkiem, faktyczną integralną duchową częścią swej gminy i parafji, tych swoich — Ciaciaków, Ciekot, Odpadków, Gawronek, Pod Górą, Za Drogą — tych części łąk, pól, poręb i pastwisk swojego folwarku. Kiedyś pojedziemy tam, Tuchno, pokażę Ci te moje stracone skarby. Jak we śnie pamiętam — byłem w pierwszej klasie i jechałem na święta «Zielone» do domu na dwa dni — z matką. Była już wtedy chora bardzo, ale przyjechała po mnie. Jechaliśmy w nocy, w ciepłą i widną noc w czerwcu. Droga tam idzie między olbrzymiemi dwiema górami nad rzeką. Na obydwu górach śpiewało ze sześćdziesięciu słowików — i szło echo... Ten plusk wody po głazach, po kamieniach i ten łoskot przedziwny, aż straszny, te przewlekłe, namiętne dźwięki, które spajały się w jakieś chóry anielskie — pamiętam, jak dziś. Niema tam żadnych mostów, przejeżdża się wszystkie rzeki wbród. Przejeżdżamy tedy rzekę i zmęczone konie piją. Ja

nachylałam się z bryczki i słucham tego chciwego złopania. Trochę jestem senny, jakiś rozmarzony dziecinnym szczęściem, że za chwilę będę w domu, że dusi mnie aż to swoje powietrze, cudne i czyste... Czuję na karku rękę matki, tę zawsze pieśczośliwą i aż nadmiernie czujną — i głos: — Czapka ci spadnie, studencie... Głos nieco dumy, że jestem już rzeczywiście uczniem w mundurze — i taki słodki, taki słodki... Pewno tam kiedyś w dolinie pod Łysicą stanie zakład hydropatyczny, będą gazety opiewać o nadzwyczajnej czystości powietrza, wzniesieniu poziomu blisko na tysiąc stóp nad powierzchnią morza i t. d. Dzięki temu, że rodzice moi tam mieszkali, matka moja dożyła 42 lat, chociaż oddychała jednym płucem i miała suchoty od 20 roku życia. (Matka pisarza, umierając, miała lat 46. P. a.). Ach, gdyby tam stała szkoła, gdybym ja tam mógł osiąść... Ale tam żadnych szkół niema. Ludzie żyją kartoflami przez $\frac{3}{4}$ roku, a przez kwiecień, maj i czerwiec do nowych kartofli i żyta — siekanką z pokrzyw, lebiody, kory olszowej, mąką i mlekiem. Niektórzy zbierają ziarna manny, rosnącej po łąkach, wyłupują rdzeń soczysty wodnych tataraków i zasuszywszy go, mielą na mąkę, gniotą kluski i jedzą z mlekiem. Jest tam biedny żyd, rolny posiadacz, — ma dwie morgi piasku, — który nie umie już handlować, nie umie nawet liczyć, który orze krową, a włóczy brony sam. Widzę go do dziś dnia, bosego, w jarmułce i kaftaniku z «cycełesami», jak biega po kamienistej roli, wlokąc bronę... Koni tam nikt nie ma, drzewo z lasu (kradzione, bo tam kradzież drzewa nie należy do szeregu grzechów — «las je Boski, nikt go ta nie zasia-

wał, ino Pan Jezus miłośnierny») — drzewo to ciągną sami na wózkach o dwu kołach — ci ludzie ubodzy, bracia moi... Zresztą niedaleko stamtąd jest opuszczony cmentarz i dwie mogiły, trawami i zielskami zarosłe. Nic dziwnego, że mnie czasami, szczególnie tutaj, chce się iść tam choćby raz, choćby zajrzeć...

Zakopane, 22. 5. 1892 r.

...Poszedłem o drugiej na spacer bez zamiaru nawet dostania się aż do tej doliny (Kościeliskiej, P. a.), — ale droga jest taka ładna, że szedłem i szedłem bez odpoczynku, nie czując żadnego znużenia. Dzień był bardzo ładny, a nie gorący... cóż za droga! Wije się, jak wąz, u podnóża Hrubego i Miętusiej, zanurza się w rozdoły i pnie na garby odnóg górskich, a zawsze między świerkami i modrzewiami. Tych ostatnich pod Hrubym nasadzono teraz całe aleje, — puszczają swoje świetlisto-zielone igły i wyglądają, jak wykwinłni, modni i ugrzecznieni kawalerowie, strzegący w zwartym łańcuchu porządku wobec nacisku gawieździ świerków, cisnących się ku drodze. Wydeptaną w glinie, ubitą, jak najlepszy asfaltowy trotuar, ścieżkę obrębła już młoda, zajadła, kędzierzawa trawka i ściele się ten obrąbek, wołając i zachęcając do marszu, na dalekiej przestrzeni. Na pastwiskach strzelają w oczy swemi promienistemi listeczkami fijołkowe genjany, czasami skupiając się w plamy i płaty na brudnym jeszcze tle wzgórz. Wszedłem w dolinę Kościeliską i zaraz — rekomendacja: — Jestem Czarny Dunajec... Bełkoce ten przecudny pan z szumem i zarozumiałością, jak wielka sławna, podziwiana dawno i przez

wszystkich osobistość. Mnie tylko «było bardzo przyjemnie, niewymownie przyjemnie...» Potem Wrota Kantaka. Pierwsze dwie skały, zsuwające się nad korytem Dunajca ku sobie — ozdobione są żelazną tablicą na cześć Kazimierza Kantaka. Najpiękniejszy to bezwątpienia pomnik. Ta czarno-zielona woda, przezysta jak łyż nasze, zimna, jak nasz los, wartka, wrząca, pienista i gwałtowna, jak nasz gniew shańbiony — uderza o wysoką ociekającą wilgocią skałę i, liżąc jej stopy, klekoce głucho, jakby się uczyła napamięć tego imienia, aby je zanieść Wiśle i gdzieś daleko z jej głębiny jeszcze raz powtórzyć Niemcom. Na lewo, gdym wszedł w dolinę, ciągnęła mię wysmukła piramida Miętusiej, ale oczy leciały przed siebie do tych wapiennych zamków, na których szczycie czernieją płaszcze z smreków i «gdzie się limby, okryte ciszą, — w pustce kołyszą»... W dolinie pasą się już owce i dzwonią swemi zabawnymi dzwoneczkami ze starych półkwarci do czerpania wody. Juhasi siedzą nad wodą i rzępolą na gęślikach. Z szałasów wybucha przez podziurawiony dach dym, pachnący smołą, wychodzi na próg stary, jak świat, baba z czerwonymi oczami, zgrzybiały, kudłaty, patrzy na mnie, kłania się i pyta: — A kez ta idom? Pu źródłu? A no, niech ta idom. Pikne ta źródło je na lewo... Idę pu źródłu, ale stoję co chwila nad wodą, stojącą prawie nieruchomo w długim korycie. Wiszą nad niem gałęzie świerków, na dnie widać mialki żwir, pokryty zielonym mchem wodnym, — gałązki odarte z kory, niebieskie kamyki i mchy — co za mchy! Lecę po kładce na drugi brzeg: źródło! Nie wiem, czy je pamiętasz. Nic piękniejszego w życiu nie widziałem, nad te dwie fale,

jakie wylatują ze spokojnego środka, dwie fale nagłe, niespodziewane, zjawiające się z niczego, bo źródła prawie nie widać. A tam dopiero mchy. Podpórki drewnianej kładki, jak dwie nogi w safjanowych cholewach, kamienie na dnie, jak bochny spieczonego chleba i te fale przezyste! Idę dalej: na lewo Pisana i Uwozisko — na prawo Kominy i Stoły. Ściany turni rozsuwają się, wypada z nich wściekły Dunajec. To Brama Kraszewskiego. Znowu wmurowana tablica. Powiadają mi, że Ruysdael był romantykiem, bo nie umieją widzieć spienionych potoków i malować ich tak, jak Ruysdael. On dlatego jest nieśmiertelny, że umiał w przyrodzie pochwyć nie tylko formę, ale i duszę zjawiska. Ten Dunajec tam żyje, oddycha i wre gniewem. Co tam za widoki, co za kaskady, co za szum!.. Kto potrafi powtórzyć urok szarych, samotnych turniczek, dumających nad tym potokiem, nad tą całą szczeliną gdzieś nieskończenie wysoko między świerkami? Szedłem i szedłem aż precz za skały, bo całe to otoczenie wywiera urok muzyki: nie czuje się zupełnie, że się idzie, nogi idą same. Ładniejsze miejsce jeśli jest na kuli ziemskiej, — no, to niech sobie będzie. Dla mnie Dolina Kościeliska jest majstersztykiem przyrody. Żaden Ojców, żadne Interlakeny... Niesłusznie posądzisz mię... o próżniactwo: gdy leją siapawice — piszę... prawie powieść — taką długą nowelę. Ale ja nie mam ani odrobiny żadnych zdolności, piszę głupstwa i mam przynajmniej tyle taktu, że drę i palę w piecu to dzieło. Czytam Tołstoja — i to czytanie naucza mię mądrości i darcia własnych utworów. Chciałem w tej noweli przedstawić ten moralny pseudo-

nabytek, jaki osiąga społeczeństwo słowiańskie ze złączenia się z żydami. Ale temat jest ohydnie trudny, bo nie da się takiej kwestyjki wymacać czytelnikowi palcami, tylko się ukaże jakąś antysemitką tendencję — a to licha warte. Nie mam żadnego talentu okazywania tego, co chcę napisać, gubię się w czczych słowach, w retorycznych zwrotach. Umyślnie studjowałem takich żydków inteligentnych, żyłem z nimi w przyjaźni i wiem, że to jest racjonalne, co napisać powinienem, a gdy napiszę — wychodzi całkiem co innego. Nowela taka, jaką ja chcę uprawiać, jest rodzajem literackiego artykułu, którego nie można napisać inaczej, tylko w formie przykładu, opowiadania, powieści. Stąd wynika masa trudności, bo utwór taki ma dwa jakby kierunki, a nie powinien mieć tendencji. Stąd — każde słowo trzeba oglądać z czterech stron, skracać t. zw. psychologję, wymyślać dowcipy, wpadać to w realizmy, to w symbolizmy... Z tego wszystkiego wynika darcie się za łeb i — niemoc. Ma się w głowie kartkę białego papieru i ten dokuczliwy temat, który, przy ogólnem objęciu go rzutem oka, jest, zda się, pyszny, ciekawy, zupełnie nowy, a gdy przyjdzie go wykazać gdzieś się szelma zapodziewa. Jabym z gustem Prusowi np. dostarczał tematów do powieści, tak nie umiem powieści — «robić». Ale co tam powieść! Zaprzęta mi teraz głowę założenie w Nałęczowie, ni mniej ni więcej, tylko «Muzeum Nałęczowskiego». Na pierwszy rzut oka wydaje się, że cóż w tem muzeum umieścić?skiego wypchanego? Ale tak nie jest. Gdy przyjadę, wydamy teatr amatorski, za zebrane pieniądze wynajmiemy pokój w pałacu, (ten, gdzie Prus pi-

sał «Placówkę») i zaczniemy gromadzić zbiory. A mianowicie: padnie się do nóg drowi Sacewiczowi, aby zechciał zająć się urządzeniem kilku preparatów tworzenia się torfu — od jego początku aż do zastosowania, jako środka leczniczego, — urządzimy rysunkowy dział higieniczny i zaczniemy zbierać a gromadzić dział rolniczy: będziemy znosić i umieszczać gatunki gleby w okolicach Nałęczowa, znajdzie się przecie ktoś, co się zna trochę na geologii i urządzi naukową klasyfikację tej gleby. W takim muzeum można przedstawić rozmaite podglebia na łąkach i w parku i dowieść..., że w Nałęczowie niema malarji. Dalej — z działu rolniczego wywiąże się sam przez się dział etnograficzny, z etnograficznego — dział przemysłu chłopskiego i wreszcie dział rzeczywiście przemysłowy. Obok tego w przyszłości pójdą zbiory ptaków, ryb, robaków i t. d., gnieźdzących się w powiecie aleksandryjskim (puławskim p. a.). Będzie to bowiem muzeum powiatowe. Takich muzeów we Francji jest już 144 (les Musées cantonaux), założonych przeważnie przez p. Groult'a. Powstają one już na Syberji (w Minusińku) i w Galicji (Muzeum Pokuckie), a mają kolosalną doniosłość pod względem oświaty ludu. W Nałęczowie muzeum takie byłoby nietylko dla tego Nałęczowa reklamą, ale i źródłem dochodu, bo oprócz chłopów zwiedzałoby je jakieś 500—600 osób rocznie, co stanowczo koszta (prawie żadne) utrzymania muzeum pokryje. Ktoby chciał tę sprawę poznać lepiej, zechce sprowadzić sobie rocznik wydawnictwa Groult'a p. n. «Annuaire des Musées cantonaux et des autres institutions cantonales d'initiative privée»... Bywa w Nałęczowie tylu ludzi wy-

kształconych pod rozmaitemi względami, że muzeum takie stanowczo może stanąć z czasem świetnie. Jest stacja meteorologiczna, może sobie być muzeum. Trzeba tylko zacząć. Takie kolosalne, wspaniałe muzeum jak Dzieduszyckich we Lwowie, wyrosło, jak mi mówił hr. Dzieduszycki, z jego zamiłowania do wypchanych ptaków, z maleńkiej kolekcynki szczygłów. Tylko zacząć — to samo to pójdzie i może okryć Nałęczów sławą naukową, a chłopci poprostu mieliby uniwersytet, jeśli taką rzecz umiejętnie zrobić... Przedstawiając (władzom) myśl założenia zbiorów, można się powołać na p. Martianowa, założyciela w Minusińsku...

23. 5. (poniedziałek).

...Ponieważ dawno już nie widziałem się z p. Witkiewiczem, poszedłem tedy dzisiaj rano do niego... do mieszkania: p. W. jest już zdrowy, chociaż nie wychodzi jeszcze i nie maluje. Był sam ze swym częstym gościem, Sabałą. Siedzą na ganku, popijają koniak i zagryzają szynką. Sabała jest już teraz podobny do takiego ptaka, któremu głowa i dziób włożą ze starości między ramiona. Oczy ma rzeczywiście podobne do oczu jastrzębia, kiedy siedzi na jakimś szczycie i błyska piwnymi źrenicami. Katarakta nie zasłania mu wzroku zupełnie, ale przeszkadza widzieć dokładnie. Jest to rzeczywiście twarz niezwykła, — takiej nie da się widzieć w żadnej sferze, tej ostrości starczych rysów, takiego bystrego ruchu głowy, takiego zmiennego wyrazu zmarszczek. Teraz go «krzypota» rznąła we «piersiak», więc długo siedział u syna w dziurze, ale mu się cliwo zrobiło za Witkiewiczem i za panią Lipow-

ską (Lilpopową), więc przylazł... Sabała ogromnie religijnie nastrojony, sypał przysłowiami teologicznymi: «W Pana Jezusa Krystusa wierz, ale mu nie wierz», — «Strzeżonego Pan Bóg strzeże, a leniwego kijem pierze», — «Jak Pan Bóg mocny zakce — to i na Cerwonem Wirchu grule urosnom», ho, ho, ho!... Opowiadał jakąś myśliwską przygodę, ale końca jej już się nie doczekałem, bo mi spieszo było na pocztę... Chodziłem do szkoły ludowej i patrzyłem na procesję, w jakiej udział biorą dzieci (Krzyżowe dni). Jest to ładny widok, bo bardzo ładnie wszystkie śpiewają chórem... Czytam... Tolstoja «Wojna i mir» — i uczę się prawdziwej psychologii. W zeszłym liście wspomniałem o tem muzeum... Rzecz ta może mieć poważne rezultaty, chodzi bowiem o zdemokratyzowanie tego pojęcia — muzeum. Dziś z takich zbiorów korzystać mogą tylko ludzie ukształceni i bogaci i korzystać o tyle, o ile muzea do zakresu ich twórczej pracy są potrzebne, — pozatem niewielką one mają wartość. Tymczasem muzeum nowego typu może zastępować dla chłopca i człowieka mało ukształconego pewien zakres wykształcenia uniwersyteckiego. Pierwsze muzeum Groulta w Lisieux zaczęło się od działu rolniczego... Gdyby w Nałęczowie zacząć od działu higienicznego i gdyby panowie doktorowie urządzeniem tego działu zająć się chcieli, wzorując się na warszawskiej wystawie higienicznej, zmodyfikowanej do zakresu pojęć bochatnickich, — dział rolniczy szedłby już ostro, bo badanie gleby możnaby załatwiać jeśli nie na miejscu, to w Warszawie szybko, rysunki robiliby rozmaici próźniacy, modele również. Później stworzyłoby ono

samo przez się instytucję naukową, bo ludzie sprzyjający mu zajęliby się najrozmaitszymi rzeczami: poznaniem ludu, pomiarami antropometrycznymi, badaniami fizjograficznymi i t. d. Niedawno Groult obchodził jubileusz swej skromnej działalności, dano mu złoty medal zasługi, wpisano jego imię Bóg wie gdzie. On, odpowiadając na to wszystko, zaznaczył, że do tych zasług nie dorósł wcale, że to samo może zrobić każdy, wcale nie wykształcony nawet osobnik, byleby chciał tylko zrozumieć tę rzecz. Grecki był minister Delyanis zakładał takie muzea nagwałt, mnóstwo ich powstaje w Ameryce, w Algierze, — no i w gub. jeni-siejskiej. W tym Minusińsku, w pustkowiu, zaludnionem zrzadka przez lud tuziemczy, wcale nawet nie rolniczy, napół barbarzyński, przy absolutnym braku inteligencji i środków materialnych — powstaje ze zbiorów jednego człowieka w ciągu 10 lat muzeum, liczące obecnie kilkadziesiąt tysięcy okazów. Muzeum to posiada obecnie własny gmach, mieszczący bibliotekę, liczącą kilkanaście tysięcy tomów, czytelnię, laboratorja, salę wykładów. Nietylko kształci ono masy, ale wydaje dzieła naukowe, oparte na materiałach miejscowych, w muzeum zebranych. Muzea Groulta nie wzmagają wcale kierunku badaczy naukowych, bo celem ich jest praktyczne, namacalne popularyzowanie wiedzy... Jest to... jeden ze środków do zdecentralizowania nauki, skupionej po wielkich miastach. Życie po wsiach rozwija się pod względem ekonomicznym i społecznym nadzwyczajnie słabo... Trzeba tedy rozniecać takie ogniska cywilizacji prawdziwej, dążące do zdecentralizowania życia w miastach, gdzie chłop przy-

szedłszy, jak mówi Prus, może zostać tylko stróżem. Gotów jestem wygłosić w Nałęczowie na ten temat (o Jezu!) odczyt...

Zakopane, 25. 5. 1892 r.

...Jeszcze 20 dni — oto najważniejsza nowina, jaką mam Ci zakomunikować... Już mię chwyta taka «cliwość», że na miejscu usiedzieć nie mogę, — chodzę też codziennie na niezmierne spacerki. W poniedziałek poszedłem do Jaszczurówki. Śliczne to miejsce, — aj, jakie śliczne! Ciepło tam, jak w piecu. Olczykko z szumem i parsaniem leci po kamieniach, w łazienkach woda do kąpeli gotowa — czysta woda, że chce się co tchu zrzucić chitony i babrać w tej krynicy. Nie wiem, czy znasz grootę, z której wnętrza wybucha woda pod górą, pod Boczaniem. Dudni głucho i klekoce w tej pieczarze niecierpliwego źródła, wybija się wreszcie w głębi potężnym prądem i ścieka strugami pomiędzy głazy, mchy, bujne włochate trawy i szczawie. Po tej bujnej zieleni nauczyłem się rozpoznawać tatrzańskie zdrojowiska. Nad źródłem wznosi się szara prostopadła ściana wapiennej skały, na której szczyt urządzono altanę... Chojaki pachną w gorącym słońcu, ścielą się trawy wysokie, mnóstwo płatów gencjany, na tle przedziwnie delikatnej zieleni migają białe chryzantemy i parnasje, żółte oczy okrążków, fioletowe kółka łąkowych habrów, dzwoneczki jakichś bladoniebieskich kwiatuśków, nikłych, jak pajęczyna, jakby były tylko subtelni powłokami, kruchemi i przejrzystymi, jak szkło, naczynkami wypełniającej je wody. Nad Olczykkiem u podnóża Nosala budują

teraz drogę do Olczysk, a więc i na Królowe Hale. Droga jeszcze nieukończona, więc cofnąłem się w strachu, że znowu dostanę burę za chodzenie po bezdrożach. Za to wczoraj poszedłem... na ulubioną moją Kopę Magóry.

...Pogoda była przepyszna, wspaniała jasność wyważyła wszystkie brzegi gór na słońce. Minąłem Kopę Królowej o 1-ej godz. i zaraz zacząłem się piąć na Magórę. Z północnej strony zbrocza leżą jeszcze płaty śniegu grube na łokieć i zlodowaciałe od dołu. Ta lodowata dolna skorupa śniegu topnieje i sączy krople wody, a o pół cala od niej siadają komunikiem stokrotki i gencjany. Robi to dziwne wrażenie: te ciemne, obrzydłe strupy zczerniałego, kisałego śniegu i — ta o cal od nich wiosna — zdają się tu walczyć ze sobą o każdy milimetr mchu i zaledwie pierwszy odtaje, — te już się pakują. Wszedłem na szczyt Magóry i leżałem tam chyba do szóstej godziny. Szczyt jest suchy zupełnie bo skały kryją tam tylko porowate mchy i wyrastające na nich kępy przepysznych badylów borówek. Między dwoma brzegami wirchu utworzył się rodzaj przepysznego łóżka, miękkiego, wygodnego, z wzniesieniem pod głowę. No — tak dobrze, jak tam — nie może być nigdzie!... Żrenice widzą z nadzwyczajną wyrazistością, myśli są subtelne i radosne — a co za krajobraz! W promieniu jakich pięciu mil niema lepszego i zdrowszego punktu obserwacyjnego. Wykrzywiony Giewont, Czerwony Wierch, Kasprowa, Świnica, Zawrat, Kozi Wierch, Granat, Żółta, Koszysta Mała i Wielka — daleko w mdłych chmurach Babia Góra... Kopa Magóry ma 1840 metrów. Zabawne jest uczucie, gdy się leży

na tym szczycie i doznaje wrażenia bezwiednego prawie, że za kamieniem, na którym opiera się głowa, jest przepaść, bo dolina Jaworzyny niżej jest od szczytu najmniej o 800 metrów. Wydaje się ona płateczkiem zieleni, po którym wije się biała niteczka ścieżki. Cisza jest taka, że słyhać szmer krwi, krążącej w uszach, ani jednego powiewu wiatru, na niebie fioletowym leży biała wełna chmurek lekkich i jasnych. Na Kościelcu śnieg taje i wydaje się, że całe te olbrzymie wanty drżą i chwieją się w posadach, — widać w dole Gąsienicowe Stawy, zamrożone jeszcze i zavalone śniegiem. Tylko Czarny Staw pod Zawratem odtajał z jednego brzegu i słońce tam teraz pracuje, jak tysiąc robotników. Kurzy się tam, błyszczy, paruje. Dwie kolosalne bule Zawratu zavalone śniegiem, zwisającym z nich, jak wielka alba, aż do drugiego brzegu jeziora. Te wierchy kolosalne, poprute żlebami, poplamione śniegiem, zieją jeszcze zimnem i mrozem. Cały rozdół Sucheje Wody jeszcze niedostępny, bo ścieżki zasypane... ale jest już w Zakopanem pan Walery Eljasz, taternik nad taternikami, on to wszystko poodgrzebuje. Gdym tam leżał na szczycie, zachciało mi się spać. Słońce świeci, a nie gorąco, chodzi nad człowiekiem nie wiatr, lecz ciepłe nieobjęte powietrze. Bałem się usnąć, aby nie wypadło nocować na Magórze i obserwowałem kłopotliwą pracę jakiegoś robaczka stalowo-niebieskiego, a podobnego do skorka. Chodzi z gałązki borówki na gałązkę, biega, wstrzymuje się, wacha, maca wąsami, ogląda zawraca, coś je, coś kopie, podważa, dźwiga. Sam jeden na tej wyżynie. Jaki musi być zdrowy ten dziedziec Magóry!... Dzisiaj spotkałem się z Matlakowskim.

Czytałem sobie gazetę na ławce przed pocztą, gdy wtem nie przyszedł, ale przyleciał do tej ławki spalony i obtargany jegomość, zniszczony, wychudły, z zapadniętymi oczami i policzkami. Zasłonił się od kurzu i ode mnie parasolem i dopiero zza tego parasola zaczął mówić: — Zdaje mi się, że to pan... i t. d. Jakże się pan ma, jak pańska ręka, pańskie płuca, pańska malarja? Mówił mi o panu Witkiewicz... Pluj pan na wszystko: chodzić, chodzić, chodzić, — po górach, po wirchach, chodzić, ciągle chodzić! Pluj pan na doktorów, na lekarstwa, na wszelkie przepisy i rady. Chodzić po górach! Czego pan tu siedzi na kurzu? Idź mi pan stąd zaraz, — obiad zjeść, wódki kieliszek i do lasu!... A, no, jeśli chodzić, to chodzić. Gadał jeszcze dużo, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, a najwięcej... o źródłosłowie mojego nazwiska. Gdzieś jakieś dane do tej kwestji wynalazł i tyle ich nagadał, że aż ochrypli...

Zakopane, 26. 5. 1892 r.

...Ja wogóle wyglądam tutaj na jakieś dziwne stworzenie. Pamiętam, że raz byłem u państwa W. i była tam pani... z Wołynia, jakaś wielka pani. Wraciałem wtedy ze spaceru, byłem w grubych butach, zabłocony, z podrapanymi rękami, spocony i zły, że mię spotkano i na herbatę wciągnięto. Owa pani patrzyła na mnie, jak na szewca i tolerowała mię w swem towarzystwie, pewna, że jest wybrykiem demokratycznych zapędów pana W. moja w ich domu obecność. Gdym ją spotkał na ulicy, kłaniała się ze zmrużonymi oczami, nawet, powiem, gorzej, niż szewcowi, właści-

wie tak, jak człowiekowi kondycji bardzo mizernej. Kilka dni temu miałem nieszczęście spotkać się z tą panią znowu przy herbacie u państwa Witkiewiczów. Wtedy byłem również zły, ale dużo mówiłem, spierałem się z panem W. o znaczenie szkół, które to znaczenie on absolutnie neguje. Gadałem aż za dużo i umotywowałem swoje zdanie takimi zgrabnymi argumentami, że pan W. zaczął ustępować z pewnych założeń. Owa pani była zdziwiona, że nie jestem człowiekiem niskiej kondycji, a na ulicy kłaniać mi się zaczęła, zakreślając głową takie owale i desenie, jakbym był co najmniej siódmą częścią «genjalnego pana Stanisława», W Zakopanem mieszkają i stykają się ludzie bardzo bogaci i bardzo znani, wielkie firmy, wobec których ja zawsze jestem zawstydzony i mam minę pragnącego wynieść się coperdziej z takich wysokich progów...

...Na cmentarzu byłem. Widziałem pomnik i sarkofag Chałubińskiego oraz grób Biesiadeckiego... Co do spódniczek góralskich: «wsiówki» noszą typowe niebieskie spodnice z dwiema czerwonymi pliskami u dołu, a miejscowe donny ubierają się po krakowsku we wspaniałe gorsety jedwabne, w najrozmaitszego koloru spódniczki krótkie, w trzewiki na wysokich obcasach, puszczają w tył warkocze ze wstążkami — zupełnie, jak aktorki na «Czartowskiej ławie». Niektóre z pomiędzy uczenic szkoły koronkarstwa są bardzo ładne i kokietują uczniów szkoły wyrobów drzewnych tak dalece, że ci ostatni biją się na świderki i ołsniki... Ja już obszedłem wskrós Zakopane, byłem we wszystkich «piechotnych» kątach, a teraz czatuję na czas dobry i okoliczności sprzyjające, aby się wybrać do Mor-

skiego Oka, a potem już jechać, już jechać, już jechać!... Jak Ty... dobrze wymyśliłaś, że ja mogę mieszkać w tym pokoju obserwacyjno-astronomicznym! Nie będę zabierał nikomu miejsca, będę pracowicie i uczciwie... mierzył rozmaite temperatury — chociaż ani temperatur mierzyć nie umiem jeszcze (ale się w sekundę nauczę), ani nie wiem, gdzie się znajduje ten pokój. Czy to na górze, w tej baszcie? Co więcej, ja tam będę zbiory muzealnie gromadził, choćby pod łóżkiem. Ach, te zbiory, to muzeum — co to będzie za pycha! Obecnie zawiązuje się w Galicji jakieś uczciwe towarzystwo, które zamierza sporządzić rysunki i preparaty, demonstrujące skutki używania spirytusu i rozwieszać te preparaty w szkołach ludowych. Rysunki samych skutków są pewno w każdej patologji, padnę więc do nóg p. Żół. i jakiemu tam jeszcze malarzowi... i zrobią mi w wielkim formacie cały proces patologji pijaństwa, całą demonstrację zmian w mózgu, w żołądku, w nerwach. Dopiero u dołu ja sam umieszczam detaliczny opis każdej rzeczy. To jest sto razy skuteczniejsze, niż kazanie, niż książeczka ludowa, niż perswazja. Poproszę dyrektora i dobry papa podaruje mi do muzeum mapę Wójcickiej; Wiercieński zrobił pyszną mapę powiatu, to się przerobi na wielki rozmiar, a potem będzie się robić mapy etnograficzne, hydrograficzne, geologiczne i t. d. powiatu. Dział higieniczny będzie pierwszy — to doktorzy muszą robić. Ja Chełchowskiego Rembielińskiego i Nussbauma zapiluję — a muszą i tak będziemy robić, że w sierpniu już będzie ze dwieście numerów. Potem pójdzie dział rolniczo-geograficzy-dydaktyczny, Bóg wie jaki... Heniutce, gdy przyjadę,

będę opowiadał codziennie inną bajkę Sabały (wyszły w ostatnim zeszytce «Wisły», spisane przez pana Dębowskiego)... Święty Piotr w bajkach Sabały jest zawsze jakimś szachrajem, oszustem, zawsze coś zwędzi, zje pokryjomu, nakłamię i w końcu dopiero z wielkim wstydem nikiemność jego jest ukarana. Niektóre z tych bajek są precudne, jest w nich tchnienie jakiegoś samotnego dumania, mądrej poezji; sam styl ich w ustach Sabały zmienia się, uplastycznia... W Zakopanem sam Sabała będzie jej opowiadał bajki, choć on nie może usiedzieć na miejscu. Gdy pan Witkiewicz wyjeżdżał do Berlina, osadził Sabałę na gospodarstwie i prosił, aby mu żony i dziecka pilnował. Stary siedział, jak mur i tak pilnował, że pani Witkiewiczowa nie mogła wyjść na pocztę, do sklepu — bez niego. Ale, gdy tylko pan Witkiewicz wjechał z powrotem do Zakopanego, — Sabała już cuchę naciągał, ciupagę w garść i «Prosem piknie — juz idem!» A jak on chorość wygania! Ślepy starowina idzie na wirchy chorość wyganiać i chodzi póty, aż «chorość ś niego wyńdzie». Gdybyż to było skuteczne lekarstwo!... Nie niszczy moich listów, bo teraz, gdy nie prowadzę dziennika, będę miał w nich dziennik...

Zakopane, 28. 5. 1892 r.

...Gorąco bucha zewsząd, jakby się domy, drogi, płoty i stopy suchego drzewa tliły, niebo fijołkowe, bezchmurne, fijołkowe tak, że blask błękitu zdaje się zatapiać całą powierzchnię i wszystkie widome przedmioty. Nad Gubałówką i wogóle na północnej stronie przestwór jest czysty, gruby, namacalny, błękit twardy

i jednostajny, — na południu, nad górami wszystko drga w niebieskiej parze topniejącego śniegu, góry stoją, jak w przejrzystym, lekkim i znikomym dymie. Giewont jest czarno-niebieski, jego bryłowatość zakreśla się linjami tak miękkimi, tak prześwieconymi, jakby się nagle oddalił o dwadzieścia mil. Błękitowi w górze odpowiada zieloność na ziemi. Taki kolor zieloności, takie miękkie, połyskliwe, zmienne, jasne jego odcienie — widywałem tylko na obrazach Siemiradzkiego. Jak kłębki dymu tleją po skłonach gór modrzewie, świeżo okryte igłami, czarno-zielony las świerków podmywają płaty łąk... Co to za łąki! Jaka jaskrawość płomienna jaskrów, jaka bogata puszystość traw. Moja ulica zatoneła w modrzewiach, w olchach, jaworach, jesionach. W tym warze potoki nawet zmieniły popielatą iskrzącą się od piany barwę; są brunatno-fioletowe, lecą teraz jakby wolniej w łożyskach, wysłanych najcudniejszemi trawami. U mnie okna od trzech dni aż do późnego wieczora otwarte, — siedzę w domu, bo chodzić niepodobna, chyba po zachodzie słońca, t. j. po zachodzie za północno-zachodni kąt Gubałówki, kiedy wszędzie jest jeszcze dzień, a tu zaczyna się błękitny zmrok i góry stoją w ogniach przedziwnych... Czytam teraz rozmaite rzeczy: «Vie de Jésus» Renana, Szekspira, «U wrót obłądu» Cullere'a i t. d. Mój stary Szekspir! Pięć lat temu czytałem go, a raczej czytałem ludzkość przez niego,.. Teraz czytam po raz, nie wiem który, starych znajomych: «Leara» i ulubionego mego «Troilusa i Kressydę», «Hamleta», «Cymbelina», «Tymona Ateńczyka»... Kiedykolwiek przeczytamy razem «Troilusa i Kressydę», to dzieło nieśmiertelne,

gdzie są błyskawice poezji w brutalnej formie. Trzeba było odwagi Szekspira, aby «Iljadę» Homera, aby posągowych, namaszczonych bohaterów, skuzynowanych z bogami Olimpu, pościągać z piedestałów i wyrzeźbić z tych samych imion rylcem szalonym — ludzi namiętnych, prawdziwych, — powyrywać z nich dusze i oświetlić zorzą wiecznej a całkiem nowej jasności. Śliczną homerowską, prawie romantyczną «Briseida kaliparcon» przerobił na kobietę tak rzeczywistą, jakby była wyjętą z jakiejś powieści Balzac'a lub Flaubert'a. Jemu nie idzie o żadne formy naukowe: bohaterowie z pod Troi rozmawiają o Arystotelesie, który się urodził zapewne o tysiąc lat później, — jego realizm prześcignął wszystkie paskudztwa Zoli i Alexisa, Achilles, — kłóci się z Tersytem, jak dwaj łapacze psów, ale jakąż tam piekielna prawda i jaka szalona poezja we wszystkim! Jest to jeden z utworów przyrody, napozór bezmyślny, bezkształtny, stanowiący stek strasznych obrazów, słów dzikich, nielogicznych zestawień — zupełnie, jak łańcuch wirchów tatrzańskich. Ale kto nań patrzy — znajduje nieskończoną piękność, straszliwą prawdę i wieczną poezję — tylko trzeba patrzeć zbliska, żyć takim życiem, pozbyć się filisterji, wejść w te góry, złomy, tytaniczne formy i potworne kształty... Zacząłem wczoraj czytać dziełko Cullera «U wrót obłądu» naprzekór radom pani W., aby tego nie brać do rąk, bo będzie mi się wydawać przy czytaniu, tak jak jej, że jestem warjatem. Nie jestem na tyle imaginacyjny, chociaż obawa przestrzeni troszkę mię zaniepokoiła. Dopiero, gdy umyślnie wszedłem na wysokość kilkudziesięciu metrów nad prostopadłe sto-

jącą skałą, uspokoiłem się zupełnie, wyprowadziwszy syntezę z takich przesłanek: doznałem raz strachu przestrzeni, ponieważ znalazłem się w niebezpieczeństwie i owa obawa wynikała z przestraszenia chwilowego — i po drugie — obawa przestrzeni nie znaczy jeszcze, że się ma psychozę, jak utrzymuje Cullere — a więc nie jestem «u wrót obłądki». Obawę przepaści mają wszyscy, wychodzący na góry po raz pierwszy. Witkiewicz opisuje, że masa osób, zszedłszy z jakiejś niebezpiecznej ścieżki, zaczyna się bać na równinie, a nawet w łóżku. Chorobę rzeczywistej agorafobji leczy podobno w zupełności hydropatja... szkoda, że Prus się co roku nie leczy hydropatją...

29. 5. (niedziela).

I dziś takie piekło gorąca... wróble siadają na sztachetach płotu z otwartymi dziobami i zieją, jak emerycy w Saskim ogrodzie. Psy nawet są w rozpacz, nie wiedząc, czy to już trzeba zacząć kanikule, czy się wstrzymać jeszcze do lipca. Obudził mię rano jakiś monotony śpiew pod oknem i bicie w bębenek. Myślałem z początku, że to serenada, wyprawiana mi przez damy zakopiańskie, ale kiedy wyjrzałem, nie zmieniając nawet stroju, w jakim widują mię tylko duchy nocy — zobaczyłem przed sobą otwarty pysk, ślepią i kudłaty łeb niedźwiedzia. Prowadza go na łańcuchu węgierski Cygan. Biedny «un» Sabały tańczy jakiegoś walca, a potem chodzi dokoła, trzymając w łapach talerz na pieniądzu. Smutne to robi wrażenie... Góry oblażą ze skóry i wychylają czarne grzbiety z białych swych koszul — Czerwony Wierch, Kasprowa nawet poczerniały, na Koszystej w żłebach znać już tylko śnieg

cienkimi smugami, — wody w potokach wzbierają i pienia się wściekle...

Chciałem list ten wysłać dzisiaj, ale go nie mogłem dokończyć, tak mię piekielnie bolała głowa — widać z upału. Raz mię tak bolała na wycieczce do Kaźmierza i Janowca w zeszłym roku, drugi raz we Lwowie, a dziś trzeci. Taki straszny był ból, że mało nie mdlałem, nie mogłem ani chodzić, ani leżeć, tży mi strumieniem leciały z oczu i piekielnie bolało nad lewem okiem, jak zwykle. Szczęściem, przeszło to, gdy się upał skończył i teraz doznaję całej rozkoszy, jaką tylko można określić: rozkosz, kiedy ustał silny ból głowy... Co za noc jest teraz! Jakaś mała gwiazduchna mruga tuż tuż nad szczytem Giewontu i oświeca małym promykiem kłaczek śniegu, leżący na jego szczycie. Turnie mającą na tle nocy, jak mroczne widma — taka cisza, takie zapachy precudne wracają od podnóża gór... Po drodze co chwila szeleszczą kierpce górali podpitych i śpiewających we dwu, we trzech te rozległe, przeciągłe śpiewki, w których odbija się jakby echo gór... Inny idzie z gęślikami i gra a gra jakąś smutną monotonna, nerwową melodję... Nastaje cisza i nagle przerywa ją daleki śpiew, zbliżający się coraz bardziej. To Słowaki, uczniowie szkoły, idą gromadką i śpiewają cudny śpiew czeski... Cudny, rzewny, lejący się przez serce śpiew powtarza się, oddala, aż się zmieni w melodję daleką, jak powiew wiatru...

Zakopane, r. 6. 1892 r.

...Nie spałem dziś rano aż do świtu, a potem już mi się i spać odechciało: zaczęły się wirchy czerwienić, jaskółki, trznadłe i ślinogorze szczebiotać, — wstałem więc i, otwórzysz okno, czytałem «Burzę», «Wieczór Trzech Króli», «Powieść zimową» i t. d. Szeks-pira. Cudne rano — chłód zdrowy, cisza, przerywana szczebiotem ptasim i te płonące pomarańczowo szczyty gdzieś myśli wznoszą, czynią człowieka większym, myślącym... Wypiwszy mleko, zasnąłem i obudziłem się na czas, kiedy poczta przychodzi... Pytasz się w liście czy stary Wala żyje. Żyje — biedny stary Wala, ale dziś poszedł z torbami: spalił się dziś ze szczętem. Właśnie kończyłem czytać Twój list, kiedy ktoś przebiegł drogą, wołając: — Oj, raty, raty! Gore! Oj, raty, raty! Wybiegłszy na drogę, zobaczyłem na Krupówkach smugę dymu, idącą w górę i prawie wyższy słup ognia. Na tle lasu Kazieńca ten olbrzymi, jakby nieruchomy czerwony język wydawał się czemś strasznym. Nim doszedłem do kościoła, zaczęły jęczeć dzwony, ludzie biegli, jak kto stał, na drodze wzbili się kurz, leciały, płacząc kobiety, wozy, wyprężone konie, przeskakując, śmigali młodzi górale. Upał był ogromny, to też, nim doszedłem do miejsca nieszczęścia, już duże domy stały w płomieniach. Zapaliło się w chałupie starego Wali... Ogień wionął na sąsiednie dachy i w mgnieniu oka prawie zaczęło gorzeć... Z mieszkań sąsiednich zaczęto wnosić rzeczy, ze sklepów towary. Ja wpadłem w szal ratowania i urwałem na poczekaniu drzwi od szafy w mieszkaniu jakiejś pani, to też po-

rzuciłem niewdzięczne zajęcie wnoszenia rzeczy i ja-łem nosić wodę, pompować przy sikawkach, wrzeszczać, latać z miejsca na miejsce, komenderować... wysmukli, kaszlący młodzianowie lecą z konewkami po wodę i brodzą w niej po kolana, wążą w czarne dy-miące, ociężłe zmieszaną z sadzą wodą zgliszcza, pot się z nich leje, gardła wyschły, głów czepia się płomień. Utworzyliśmy łańcuch do potoku, obok mnie znalazł się Sabała, dalej p. Dębowski, Gnatowski, Zaborowski i t. d... Zaczynało się dymić to na tym, to na innym dachu, więc łańcuch się rozerwał, ja miałem w rękę jakąś siekierę, rąbałem dach na jakimś strychu, potem nosiłem we dwu z Sabałą wanienkę z wodą, aż nam obydwu ręce omdlały. Wala był wrogiem Sabały, oczerniał go, nazywał zbójnikiem i t. d. Sabała poszedł nad zgliszcza, zdjął kapelusz, przeżegnał i stał tam, coś mruczając. Pięknie wtedy wyglądał, cały biały, jak śnieg, zgarbiony, z dziwnym, twardym, prawdziwie ptasim wyrazem twarzy. Nawet dziewice nosiły konewki. Była i p. Dębowska i p. Witkiewiczowa i hr. Zamoyska... Aj, górale! Widziałem młodego górala w spalonej koszuli, czarnego, zlanego wodą od stóp do głów, jak stał w środku prawie płomieni, kierując sikawką; baba jakaś zaczęła się palić, tak się zaciekła w zalewaniu ognia. Ostatecznie spaliły się cztery domy, stodoły, przybudówki i t. d... Wracałem do domu z Sabałą, który szedł przez ulicę Kościeliską. Gdyśmy mijali kościół, zatrzymał się i rzekł: — Prosem ik piknie — trza ta z Panem Bogiem się porachować, ze miłosierny, ze ta ogień ugasił... Wszedł starowinka we drzwi cmentarza, klęknął, złożył ręce zupełnie, jak dziecko, skulił się

i modlił. Jest w nim naprawdę coś cudnego w każdym jego słowie, w porwach jego duszy, w jego spokoju, rozwadze lub smutku... Sabałę otacza ta prawdziwa ludowa sława, jaką u nas w wysokich sferach musiał posiadać Mickiewicz. Gdy się modlił przed kościołem, górale, wracający od pożaru, patrzyli na niego i pokazywali go sobie, — gdy idzie zamyślony przez wieś, dziewczyny, chłopaki, starzy — przerywają robotę i patrzą za nim, szepcząc pocichu: — O, Sabała!... Onegdaj byłem z wielką wizytą u państwa W. na ich nowem mieszkaniu. Jest doskonałe, tuż pod lasem zdale od wsi. Był dr. Matlakowski. Ogromnie kocham Matlakowskiego, bo jest to doskonały ja. Ma te same myśli, taki sam pogląd na świat, na rzeczy kochane, tak samo jest zabobonny, umierający ciągle, wszystko go to zachwyca, co mnie, a że jest prawdziwie głęboko mądry i wykształcony, więc mi z nim było ogromnie dobrze. On kocha się w przyrodzie właśnie po mojemu, — nie po malarsku, jak pan Witkiewicz. Gadałszy na ganku o srokach, ślinogorzach, o narzeczcu ludowem — i widziałem, że mię polubił. Ach, jaki to człowiek! Gdybym ja był takim! Jak on określa rzecz, zjawisko w przyrodzie przymioty i kształty ptaka — w tem jest właśnie ów pierwiastek, który może jest estetycznie błędny, ale za którym ja przepadam... Projekt mojego muzeum bardzo zainteresował p. Witkiewicza. Ma wnieść projekt, aby w muzeum Chałubińskiego, gdzie jest już wspaniały gmach (a w środku będzie sześć pudełek mchu tatrzańskiego i model chaty góralskiej) urządzić takie muzeum nowe. Dałby Bóg!... Pieniądze otrzymałem w poniedziałek. Zaraz kupiłem

serdak za 6 reńskich i biały kapeluszek za 1 reń. 50 centów; musiałem również kupić sobie popielate i t. d., bo moje zimowe zeszyły na haniebne dziady i jęły być w rozmaitych okolicach ażurowemi... Jestem niezdarą, nie umiem znaleźć posady, robić pieniędzy, jestem... oderwany od rzeczywistości, wiem dobrze, jakim jestem, ale już się siebie nie boję... Nie zginiemy... Jeżeli zgodzimy się na Galicję, to pojedę do Lwowa, złożę papiery, zdam egzamin i dostanę miejsce, — a tu ci panowie mogą mi w ó w c z a s pomódz. Teraz każdy odpowiada: — Nie wiem... Wydam nowelkę, może przecie dostanę ze sto rubli; teraz wykańczam dużą — prawie powieść p. t. «Oko za oko» i umieszczę ją w którymś z pism warszawskich... Ja przy Tobie tylko jestem mądry i odważny, sam boję się coś postanowić, nawet pisać mi trudno... Już nie chłopiec kochliwy wypowiada szumne przysięgi, ale człowiek, w którego duszy coś się zagięło i zastygło. Jestem inny, inny, inny. Trochę mi nawet żal dawnego łotra, który jeszcze dwa lata temu jednego wieczora szedł na schadzke z panią Anielą, drugiego z panią Natalją, w południe całował w lesie pannę Stasię. Dziśby mi się już tego wszystkiego nie chciało... Wyszumiałem się zupełnie tak, jak mój ojciec...

Zakopane, 4. VI. 1892 r.

...Duże, jak dzikie bawoły, osy wlatują przez szczeliny okna zaraz o świcie i buczą, warczą, wyprawiają takie turnieje, że niepodobna spać. To też wstaję rano. Gwar ptaków, miękkie cienie drzewin i łagodne blaski słońca na rosie i zmoczonych dachach, turnie jeszcze różowawe od porannego słońca — nastrojają duszę na

ton wesoly. Gdyby to już był Nałęczów... Wczoraj po otrzymaniu Twojego listu poszedłem w dolinę Małej Łąki, która, jak stwierdza geografia, znajduje się między doliną Za Bramką i Kościeliską. Lazłem po kamieniach tatrzańskie drogi, przechodziłem przez tatrzańskie mostki, wciąż w górę, w górę. «Przewyrtnąłem się» nareszcie przez szczyt upłazu i zeszedłem na Małą Łąkę. Z pod nóg zerwał mi się młody srokosz, duży, jak pół kuropatwy, i, machając ledwie opierzonymi skrzydłami, uleciał kilkadziesiąt kroków i padł w krzaku. Dogoniłem go i złapałem. Wrzeszczał jak warjat i na krzyk jego przylecieli z piskiem — ojciec i matka. Rzucili się do mnie obydwójce z piskiem przeraźliwym, latali mi koło uszu, dotykając prawie kapelusza skrzydłami, siadali na gałęziach i szarpali dziobami gałązki, wciąż trzepocąc opuszczonymi skrzydłami, Mój jeniec gryzł mi palec i wydzierał się, — zaczęło przylatywać ze wszystkich stron po kilku tych srokoszów i rozpoczął się taki krzyk, taki najazd na mnie, taka obława, jakiej nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się być przedmiotem. Biedny dziki ptak rzuca się na człowieka, zapamiętawszy się w ojcowskim bólu! Co za rozpacz była w tym krzyku, w tym nacieraniu na mnie... Puściłem małego na wolność i wsłuchiwałem się w pisk matki, pisk, jakiego nic na ziemi nie zdołałoby odtworzyć, — jeden przeciągły krzyk miał zupełnie znaczenie słów, jakiejś mowy, urywanej przez płacz radosny. «Miłość trzyma w posadach świat, życie i wieczność», — jak mówił Turgeniew... Mała Łąka jest śliczna, pokryta już całuteńka jaskrami i szczawiem o długich lancetowatych liściach. W każdym liściu leży, jak w żłobie,

ogromna kropla rosy, jak przejrzysty kamyk, chociaż upał aż się sypie z góry. Cudowna to gra w tych kropkach, gdy słońce tak pali. Przeszedłem łąkę wzdłuż — pusta jeszcze, szalasy porozwalane, żywej duszy na całym ogromie. Za łąką sterczy ponura, stroma, popruta szczelinami, granitowa turnia Małołączniaka, a nad nią dźwiga swój zgięty grzbiet okryty płątami czarnego śniegu — Czerwony wierch. Na lewo Giewont, dziewczynny Giewont, ani podobny do siebie, bo podobny do jakiejś monstrualnej jednolitej piki, — na lewo — precudna, romantyczna, pełna uroku Miętusia. Małołączniak, Czerwony Wierch i szczyt Strążysk — tworzą monstrualny cypel, rodzaj dzioba, zamkniętego ze wszech stron. Wlaziłem w ten dziób (ścieżką!) i wyszedłem na pochyłość Czerwonego Wierchu — dalej nie można było iść, bo grunt jest mokry po odtajałym śniegu i zresztą... strach czepia się łydek nad straszliwą otchłanią, jaka zieje pod nogami. Czerwony Wierch jest słupem granicznym naszej ziemi. Tu nasza etnograficzna granica wykręca się od niego na wschód poza Giewontem ku Piargom i Świnicy, a na południe ku Polskiej Tomanowej. W żlebie tym rodzi się potok z kilku kropel, sączących się z płata zczerniałego, twardego, jak marmur śniegu. Orałem w tym śniegu butami «stupaje» i szedłem jeszcze wyżej. Potem wróciłem po pochyłości i zeszedłem na Małą Łąkę, wykręciłem na lewo i wszedłem na szczyt Strążysk tuż pod Giewontem. Dolina Strążysk leżała gdzieś nieskończenie nisko pod nogami; dokoła las ponury, zawałony wykrotami, gdzie puszczają się natychmiast jasnozielonemi kępami borówki. Szemrzą tam w głębi mchów małe potoczki

rozciągają się młaki, wiszą nad przepaścią fantastyczne, samotne skały. Nad głową sterczą nieskończenie wysoko śmigłe wyżyny małego Giewontu, jak jakieś piekielne pióra. Zeszedłem do siklawy i popatrzyłem jeszcze raz, jak to ona trzepie się i ciska po skale czerwonawej. Wróciłem doliną Strążysk — naprzelaj przez pola i pastwiska do domu... Jeśliby zarząd prześwietny udzielił mi głosu, sali i poparcia — możebym i wypowiedział niedługi a dowcipny odczyt o muzeach prowincjonalnych. Niktby naturalnie się nie zjawił, aby słuchać takiej awantury, ale możeby choć bilety kupowali. Ant. H. miał odczyty bardzo ciekawe — i miał na jednym 28 słuchaczy, a na drugim 10. Zwiedziłem tutejsze muzeum Chałubińskiego i jeszcze bardziej utwierdziłem się w myśli o nowych typach. W tutejszym muzeum są okazy fauny karpackiej, zebrane nadzwyczaj pracowicie i naukowo, są mchy Chałubińskiego, zielniki, nawet odrobinka etnografji — i po co to tam leży, kto i jaki będzie miał z tego pożytek. Zakres zbiorów jest ograniczony, boć wyczerpie się wkrótce; może rozwijać się zbiór minerałów, ale nie będzie miał żadnego dla ogółu znaczenia. Czy panowie tutejsi zechcą wziąć pod uwagę mój program — nie wiem. Całe muzeum przeniesiono teraz do nowego wspaniałego gmachu. Zbiory zgromadziły się i zmieściły w jednym pokoju... Reszta będzie stała chyba pustkami, ale nowej myśli się nie czepią...

Zakopane, 6. VI. 1892 r.

...Trzy dni już leje bez przerwy deszcz — obrzydliwe, wstrętne Zielone Świątki... Przepisuję nowelę i na-

przepisywałem już ze 12 bitych makiem arkuszy, a jeszcze tego będzie najmniej ośm. Gdy mię przepisywanie zmęczy, a nie tak nie męczy, jak przepisywanie własnych bzdurstw,— czytam Szekspira. Przeczytałem ostatnimi czasy wszystkie jego dzieła od deski do deski, między innymi kilka utworów lekkich, młodzieńczych, jakich jeszcze nie znałem. Gdy będziemy razem... przeczytamy jeszcze raz takie cudne komedje, jak «Wiele hałasu o nic», «Wieczór Trzech Króli», «Zimową powieść», «Cymbelina», «Troilus i Kressyde» i t. d. Lubisz dowcip i skrytą plastykę Dickensa, to też podobać Ci się będzie dowcip Szekspira, — siarczysty, szalony, podobny do skoków dzikiego konia... Jako humorysta, Prus ma poprzednika tylko w Szekspirze. Ja mówię o tym realizmie w śmiechu, za pomocą którego i Prus i Szekspir malują charaktery... Lubię wczytać się w Szekspira i zginąć w nim zupełnie, jak się ginie w górach, — lubię zapomnieć o codziennej filisterji i tam się błąkać, żyć życiem szczytów, mchów, rozpadlin, szczelin, przepaści i tego słodkiego powietrza, jakim utwory swe otacza ten słodki, straszliwy, naziemski genjusz. Takem się znowu wżył w Szekspira, że mi się wydaje, jakobym i ja potrafił napisać komedję. Komedja nosić będzie groźne miano: «Zaraza». Wyobrażony w niej zostanie wpływ pieniędzy i arystokracji, arystokracji dzisiejszej... na rozmaite warstwy, ściekanie tego jadu aż do chat chłopskich i pożeranie a niszczenie przezeń najlepszych sił społecznych. Będzie to krwawy dramat, satyra, jakkolwiek skończy się bez rozlewu krwi, owszem — ku zadowoleniu wszelkiego mieszcuchostwa, skończy się triumfem miesz-

czuchostwa. Bajka jest takiego sensu: Akt I: (Tu rozwija Żeromski kolejno schemat akcji czterech aktów, projektowanego dramatu). Jeśli pochwalisz cały plan i rozkład, gdy Ci wszystko ustnie opowiem, to napisałbym to arcydzieło szybko i oddał do Rozmaitości. Teraz reżyserem jest Kotarbiński, możeby przeforsował, a jeśli nie, to może jaki ogródek grać będzie. Łatwo to powiedzieć, ale czy się uda, czy potrafię utrzymać tę sceniczność, od której wartości zależy wartość całej sztuki... Pięć dni już nie widziałem nikogo, oprócz moich górali, ubolewających, że taka «mrowa lejawica nasła»...

Zakopane, 7. VI. 1892 r.

Ładny siódmy czerwca! Śnieg spadł i na pół łąkcia przywalił kwiaty, trawy, słodkie gencjany, łąki, zarośla i tym podobne przyjemności. Oprócz tego śniegu, bez przerwy, bez chwili wytchnienia leje deszcz, na podwórzu stoją jeziora z zatokami i półwypami, na drodze bajora i bagna nieprzebyte, a góry i wszystko wogóle, co je reprezentuje — schowane i zatopione w pewnego rodzaju maślanec. Wybierałem się dziś do Morskiego Oka, no i kłapa! Jeśli tak ładnie się będzie prowadził bieżący tydzień, to u tego Oka nie będę. Od jutra za tydzień będę w Krakowie, a w przyszły piątek pragnę być już w Kielcach... Jestem obecnie młodzieńcem tak uspodnionym, utrzewiczonym i ukapeluszonym, że każdemu towarzystwu przyjemność mogę sprawić. Fatalna to jest nieco sprawa z tą moją elegancją: dymisjonowane w danej chwili szczegóły mojej garderoby obrażały poprostu naturę ludzką mon-

strualnymi dziurami, jakie napróżno, aczkolwiek umiejętnie, cerowałem i ześciubywałem przy pomocy specjalnie w tym celu zakupionych zapasów igieł i szpulek czarnych nici. To też zmuszony byłem udać się do podłego drobnomieszczanina, wręczyć mu ośm złotych reńskich i wówczas dopiero przestałem obrażać naturę rozmaitych pań i panów. Wyglądam teraz w popielatych i t. d., jak signor Malvolio — i, naprawdę spodnie te zasługują w zupełności na powłóczyście wejrzenia, jakie czasami otrzymuję w drodze między Krupówkami a ulicą Kościeliską... Korepetycyj, jeśli by były jakie w Nałęczowie, pragnę ogromnie, umiejętnie będę je prowadził. ...Ciekawym, czy prawdziwą jest wersyjka, jaka tutaj krąży o prototypie Anielki w powieści Sienkiewicza «Bez dogmatu». Utrzymują, że jest to pani D., w której podobno Sienkiewicz kochał się szalenie, mieszkając tutaj zimą, podczas pisania «Bez dogmatu». Wiem, że nigdy, pisząc i tworząc jakiś typ, nie umieszcza się w książce kogoś całkiem rzeczywistego, ale przypuszczam, że niema pisarza, t. zw. psychologa, któryby tworzył daną postać zupełnie z głowy. Są takie szczegóły, których niepodobna wymyślić, jeśli to ma być postać rzeczywista. Otóż, — pani D. wydaje mi się być... Anielką. Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że ją to opisywał, tę twarz szczególną, która «ma w sobie coś z muzyki i poezji, przełożonego na ludzkie rysy». No — ale nie zajmujmy się plotkami... Ciekawa natomiast wywiązuje się kwestja, co to za kuracjusz bada objętość moich listów. Pragnąłbym posłyszeć jego imię, nazwisko i określenie pozycji społecznej, — któż bowiem wie, czy nie trzeba

będzie nabyć pary pistoletów i zapytać go z bronią w rękę o powody tak natarczywej ciekawości. Kura-cjusze, według mnie, powinni siedzieć w wannach, pełnych zimnej wody, a mającej te właściwości, że zbytęzną ciekawość wyciąga...

8. VI. środa.

No! już pięć dni trwa ta «lejawica». Już chyba nie skończy się ta nieustająca ulewa. Nie mogę dostać się do poczty, aby list wysłać, a nie ufam nikomu, że mi 10 centów, przeznaczonych na markę, nie przeznaczy na swe papierosy... Już mi zbrzydło Zakopane, bo siedzenie w izbie i złoszczenie się na ulewę nie należy do rozkoszy. Od dziś za tydzień już będę w drodze... Smutno... «Coś zatapia w serce szpony»... Ach, już się kończy ta moja wędrówka, czas próby, naznaczony mi, jak w jakiejś «Nowelli» Bokacjusza. Jestem szczęśliwy, że czas ten się kończy, bo czytałem niedawno Tołstoja «Wojna i mir» i zadrżałem do głębi duszy, poznawszy nieszczęście, jakie spotkało Nataszę...
...Uczyć się u p. Witkiewicza malować — nie będę, Tusiu, bo przecież nie mogę myśleć o tem, by zostać malarzem, a na moje dyletanckie zachcianki nie można wydawać pieniędzy, zresztą, onby nie wziął ode mnie żadnych pieniędzy. więcbym mu tylko za darmo psuł farby, pędzle i płótna i czas zabierał. Ja i tak się uczę, gdy patrzę, jak on maluje. Gdy sobie kupię farby, to będzie dla mnie właśnie największą przyjemnością samemu znajdować jakieś kombinacje barw i środki od-twarzania przyrody. Kiedy siedzę sam w dolinie Białego nad potokiem, pędzącym z szumem i gwałtem w granitowej rynnicy, to to właśnie wmyślanie się w spo-

sób odtworzenia kolorów wody, tych kolorów nieskoń-czenie rozmaitych, stanowi prawdziwą przyjemność. Gdyby mi nauczyciel powiedział: — Weź pan dobro-dziej białą, zieloną i troszkę niebieskiej farby, pomieszaj i papraj sobie, — to byłoby «po uroku, po czarach, po dziwie». A jaka to rozkosz łamać sobie głowę nad odmalowaniem np. szarej wapiennej skały, wiszącej nad żlebem, skały, w której szczelinach, gdzie przy-tuliła się zaledwie odrobinka mchu, wychylają się kie-liszki fioletowe gencjany, — albo gapić się na strzeliste pióra giewontowej turni, wyłaniającej się z łachmanów mgły. Teraz jest już od kilku dni pogoda i te turnie wyrabiają najdziwniejsze dziwy: są czasami różowe o zachodzie, rozświetlone, dalekie, — czasami, gdy na nie pada cień chmury, granatowe, nieraz niebieskie i zlewające się z nieujętym przestworem powietrza. Zazwyczaj chodzę do doliny Białego wygodną percią, potem wchodzę na rozmaite turnie, leżę sobie tam na podścielisku z pysznych mchów i całych zarośli liści borówek. Kilka dni temu miałem tam na jednej zaro-śniętej lasem turni przyjemne bardzo spotkanie. Leża-łem na ziemi. Wdół spuszczała się kamienista ścieżka od Białej Polany. Nagle usłyszałem wśród przejmującej ciszy — głucho i dalekie stąpanie. Wychyliłem się zza skały i co za ładny widok: szła pod górę ścieżką, skubiąc na prawo i na lewo kępki trawy, kozica. Sie-działem bez ruchu, a że nie było mię widać za skałą, przyszła więc do mnie może na sześć kroków. Wtedy mię poczuła: stanęła i zaczęła przesłicznymi niebie-skimi mądremi oczami patrzeć w moją stronę i — nagle, jak błyskawica, w mgnieniu oka rzuciła się przed

siebie. Jednym susem przesadziła całe szerokie łóżysko potoku na polanie i poszła na Sarnią Skałę, jak ptak. Tam przystanęła na chwilkę i w kilku skokach znikła między węglami poszczerbionych skał. Niewolno ich teraz zabijać, więc się mnożą te śliczne stworzenia. Gdyby kobiety miały takie oczy, to mężczyźni zupełnieby żyć nie mogli. Do tej pory widzę to sprytne, badawcze, zdziwione wejrzenie oczu, jak głębia jeziora... Tutaj przedrukowano wszędzie kronikę Prusa o żydach. Rzeczywiście jest mądra, ładna i sprytnie napisana. Cieszy mię to, że «głosowiczowskie» teorie znajdują tak doskonałe poparcie w znakomitym, niezrównanym talencie Prusa. Ma on tylko nieco mylny pogląd na kolonizację naszych chłopów w Brazylii. Gdy wyjdzie książka Hempla i Łazniewskiego, w naszej beletryście i wogóle w naszej prasie i myśleniu powstanie larum. Ci dwaj dowodzą, jak na dłoni, że kolonizacja w Brazylii naszych chłopów jest objawem wysoce dodatnim, że chłopci mają wszelką szansę stworzenia w okolicach Couritiby silnej kolonji. Dziś tam jest już około 50 tys. chłopów, osiadłych, żyjących w kupie i posuwających się krok za krokiem w głąb kraju w kierunku Kordyljerów. Jest już 7 polskich kościołów, kilkanaście polskich szkół, są już polscy lekarze, — a że niema żydów, więc sklepikarzami i kupcami zostają chłopci i prowadzą interesa znakomicie. Klimat pyszny, naokoło są tylko «Karbukle», resztki mieszkańców tuziemczo-portugalskich, którzy pod naciskiem kultury rolniczej chłopsko-polskiej, podobno jedynej dziś na świecie kultury kolonizacyjnej rolniczej, zdolnej trzebić lasy oraz pustkowia i pysznie się zagospo-

darowywać, — ustępują. Niemiec tam nie wejdzie, Portugalczyk z miasta nosa nie wysuwa, kolonje te tedy nie mają żadnej szansy wynarodowienia się. Za dwadzieścia lat z tych chłopów, nad którymi my łyżymy, wyrośnie nasza gałąź, tak zdrowa, tak silna, tak samoistna, że będziemy łyżymy wylewać z radości... Podróżnicy mówili, że ani jeden chłop nie zmienił dotąd nawet akcentu — buduje polską chatę, polski kościół, chodzi w sukmanie... Prus się myli, twierdząc, że polski chłop «ma w Brazylii wszelkie szanse do wynarodowienia się». Jakie szanse? Przychodzi na pustynię ze swą kulturą, której tam niema, której na gwałt potrzeba; z tą namiętnością do posiadania ziemi, jaką w żydzie dopiero trza wyrobić, — nasz chłop zginie!? Bajki! — będzie żył w kupie z sąsiadami Polakami, będzie polszczył, a nie wynaradawiał się. Gdzie który Anglik się wynarodowił na szerokim świecie? Ma wyższą kulturę — oto wszystko, to jest kulturę taką, jakiej w danym razie potrzeba. Taką właśnie koło Couritiby ma chłop polski... Tam miljon ludzi może iść i znajdzie miejsce. Ci podróżnicy, oddadzą społeczeństwu kolosalnej doniosłości usługę, wydając swą książkę. Ale — co ja tu będę Ci za odczyty wygłaszał: wyjdzie książka, to dopiero Prusy i nie-Prusy osłupieją...

Nad Morskiem Okiem w schronisku, 13. VI. 1892 r.

...Przed godziną przyszedłem tutaj z przewodnikiem Jakóbem Gąsienicą. Stare schronisko reparują, a i nowe puste jeszcze, bo dopiero jutro ma zjechać p. Bury. Oprócz mnie, mojego przewodnika i «Bartoska», mojego znajomego z wycieczek, strzelca i na-

prawiacza perci, jest jeszcze i żandarm, pilnujący całości schroniska od napaści Węgrów... Co za cuda! Woda granatowa, ciche wietrzyki, odrywając się od Mięguszowskiej turni, studzą jej powierzchnię łagodnymi podmuchami — i «cichymi gra piersiami rozigrana woda, jak marząca o szczęściu narzeczona młoda»... Wyszedłem z Zakopanego o piątej rano. Była cudowna, nieopisana pogoda. Kuba mię namówił na zabranie butelki «romu» kilometra kiełbasy, funta szynki, trzech bochnów chleba, «herby», cukru, piwa, tytoniu, suchych, że się tak wyrażę, skarpetek, — sam wziął «kotliczek», mój pled i serdak — i poszliśmy. W Hamrach byliśmy o szóstej, na Kopie Królowej może o ósmej, a u Gąsienicowych Stawów, naturalna rzecz, o 9-ej. Wesołe, śmiejące się z całego serca słońce poranne migotało i lśniło w potoczkach, sączących się wzdłuż lub w poprzek perci pod Czarnym Stawem; jeszcze mokre kosówki wysuwały swe pachnące gałęzie, — zewsząd lał się blask i radość. Na Kościelcu dostrzegliśmy kozicę, ale i ona nas dostrzegła i «hibnęła ku Świnicy». Słońce sypnęło pierwszym żarem, gdyśmy wylecieli na przykopę i przycupnęli nad Czarnym Stawem. Zielona tafla leżała nieruchomo w cieniu Granatów, Kościelca i Kozich Wierchów. Wtedy dopiero oceniłem obraz Witkiewicza: to, co uważałem za impresjonizm, jest prawdą. Ta ciemnozielona, jak przewyborna angielska stal, woda taka jest właśnie pod stromą turnią cudnego Kościelca. Ja patrzyłem na wodę i na wirchy, a Kuba założył «watre», drąg nad nią umocował, na drąg nasunął kotliczek i warzył «herbę». Wkrótce piliśmy obadwaj po kilka kubków

z arakiem, zajadali smacznie kiełbasę i «pozierali» ku Zawratowi. Widziałem, że Kuba «ozmyśluje», bo śnieg leżał precz ku Granatom. Wypiwszy, jęliśmy wspinać się po piargu ku Zmarzłemu stawkowi. Szło się dobrze aż do koleby nad Zmarzłym. Tam wypoczywaliśmy z kwadrans. Zmarzły stawek był zupełnie podobny do wielkiego liścia, lód na nim potrzaskany, przemokły, od brzegów szparą oddzielony — tworzy zupełny kształt liścia. Szemrzą siklawki w tej pustyni, zlatując w zlodowaciałe kłęby śniegu, wydzwaniają jakąś melodję smutną i bezmyślną, niby pieśń cygańską. Gdy mi Kuba pokazywał naszą drogę przez Zawrat, czułem zimno w plecach... Od samego szczytu aż do koleby i Zmarzłego leży gruby śnieg jednolitym pasem. Słońce pali i stapia powierzchnię, co sprawia takie wrażenie, jakby jakaś ręka zdierała skórę z tego stromego dachu... — Abo wylecimy, proszę panocka, abo trza rąbać stopaje, — gadał Kuba ciągle. Miałem ciągle na końcu języka: — Nie pójde, za żadne skarby nie pójde!... — ale i wstydzilem się i żal mi było nie wejść. Kuba, widziałem, bał się i zagadywał mię ciągle. Zaczęliśmy iść. Dygotałem wewnątrz, gardło mi zaschło, gdym szedł za śladem Kuby. On leciał naprzód i wrzeszczał bez przerwy, aby się nie oglądać. Wyszliśmy na kilkanaście łokci zaledwie, gdy zaczął rąbać ciupagą. Wtedy cokolwiek nabrałem ducha. Śnieg młody z Zielonych Świątek tajał na wierzchu, ale pod nim był lodowaty, na trzy łokcie gruby, wygięty ku skałom, jak rynna. Szliśmy, stopaja za stopają, samym środkiem ciągle. Jeszcze do tej chwili drzę na wspomnienie mojego położenia w tem miejscu. Każdą dziurę

rąbał z pięć minut, stawał w niej obiema nogami i rąbał następną, podczas gdy ja wchodziłem jedną nogą w opuszczoną przezeń. Nos miałem przy jego piętach, ręce na lasce, białej obok jego pięt. Wszystek śnieg wyrąbany leciał na moją twarz. A Kuba bez przerwy wołał: — Nie obzierać się, ani się wozyć!... Do pół drogi łydki jego sprawiały wrażenie stalowych sprężyn, — Potem zaczęły drżeć. Gdy rąbał i odchyłał się nieco wtył, tobół, jaki niósł na plecach opierał się gdzieś na moim karku. Gdyby się był poślizgnął — adieu, nowelisto! Co za straszna siła w tym chłopie! Tobół na plecach ważył najmniej z pud, cucha i serdaki również sporo i — rąbać, idąc prostopadle, bo teraz jest po śniegu zupełnie prawie prostopadle, 3000 stóp, a więc 3000 dziur — to straszna siła! łydki jego drżały coraz bardziej. Wtedy śpiewał:

Hej, wysokie wy góry, hej, wysokie scyty!
A kto was wszystkie przeńdzie — Polok rodowity!

Głos mu zamierał i wiązał w gardle, ale śpiewał:

Hej, od morawskiej strony poduwają wiatry,
Hej, śniezek polatuje: osedziały Tatry...

Śpiewał, aby mi dodać odwagi — i była to znakomita suggestja psychiczna. Każde z moich uczuć podczas tej straszliwej drogi mógłbym opisać — tak je mam wryte w mózgu... Nie byłem w stanie oprzeć się pragnieniu obejrzenia się wtył, poprostu jakaś moc wykręcała głowę. Szczęściem Kuba ochryplym szeptem wciąż wołał: — Nie obzierać się, ani się wozyć!... Ten głos miał taki wpływ na mnie, że gdyby kazał skoczyć nadół, skoczyłbym bez wahania. Już na Zawracie

zaczęło mnie nudzić, do gardła szła i szynka i «herba», w czaszce mię paliło i huczało w uszach. Do szczytu było ze sto łokci. Nie oglądałem się wtył, ale widział, literalnie widziałem całą przepaść — głębią mózgu. Powiedziałem Kubie, że mi niedobrze — zatrzymał się tedy i kazał mi przyłgnąć piersiami do śniegu. Zrobiłem tak i wdychałem wilgoć śniegu, bo nos miałem w stopai. Po chwili uspokoiłem się, a nawet zaszła we mnie jakaś zmiana: nadmiar odwagi. W uczuciach, jak w logice, istnieje zasada prawdopodobieństwa — ona to skierowała moje uczucia na dobrą drogę. Posuwaliśmy się teraz nadzwyczajnie wolno, bo i on mdlał «w łokciak», stawał i tak samo przylegał do śniegu piersiami. Ja już byłem zupełnie spokojny i formułowałem owo określenie prawa prawdopodobieństwa uczuć, a nawet stosowałem je do sytuacji w świeżo napisanej noweli. O drodze — jakbym zapomniał. Pod samym szczytem, niedaleko progu — poprostu groziła nam śmierć: śnieg był miękki, jak u nas w odwilż, usuwał się pod nogą i trzeba było dziurę naprzód ubijać obcasami, nim się w nią stanęło naprawdę. Może pamiętasz skałę, stojącą na środku żlebu o kilkanaście łokci od szczytu? Tam śnieg dokoła niej odtajał i utworzył szparę. Gdyśmy do tej skały doszli, Kuba położył się na niej piersiami, a nogi wpuścił w szparę. Gdy to robił, pochylił się wtył i wydało mi się, że leci... Targnął mnie taki strach, jakiego, jak żyję, nie znałem. Znowu mi się zakręciło w głowie. On posuwał się w szparze bokiem dookoła kamienia i wołał, abym ja wykonał to samo co do joty. A więc — wykonałem, ale jak — nie wiem. Miałem oczy zamknięte;

latały mi w nich jakieś płomyki, ale gdym się znalazł w szparze, uczułem się strasznie szczęśliwym. Co prawda, nie było czego, bo nogami nie dostawałem żadnego dna i, leżąc jednym ramieniem na śniegu, a drugim na skale, posuwałem się jakimiś małpiemi ruchami, jak głupi. Za skałą był już śnieg odtajają i noga macała piarg, ale piarg na pół łokcia rozmiękł i lecący wtył. Boża ręka wyniosła nas stamtąd, z tego piargu! On wbijał nogi po kolana w to rzadkie kamienne błoto, rozrabiał dziurę i, opierając się bokiem na ciupagę, podawał się naprzód, a ja robiłem te same ewolucje z moją pocziwą laską. Gdyby nie ona, jużby Stefusiów mózg orłowie na Zawracie dziobali. Co krok — to było twardziej, ale co krok — stromiej. Pod samym progiem zdecydowałem się, że umrę. Kuba stanął, przeżegnał się i macał ciupagą... Wyobrazić sobie ścianę, która się rozłazi i kazać sobie samemu iść po tej ścianie, mając w mózgu obraz przepaści, która się zaczyna u własnych twoich pięt. Kuba podał się jakoś naukos, ciupagę wetchnął za pas i zgrzebywał rękami piarg i miękkie błoto. Dopiero, gdy odgrzebał, czepiał się pazurami za spodnie kamienie i zgięty w kabłąk, laźł na bałyku. Jak tam ja to samo wykonałem, nie pamiętam, bom to robił, jak we śnie. Słyszę tylko aż do tej chwili dźwięk siuu! — gdy kamienie wpadały na śnieg i leciały nadół. Nareszcie uczułem w prawej dłoni toporzysko ciupagi i zostałem pociągnięty wgórę... Co za straszne szczęście! Jestem na progu, za progiem, siedzę na suchej, zielonej, twardej murawie! Przede mną jakieś morze złomów, brył, bulw i łańcuchów szarych, niezmiernych turni. Przepaści już

niema! Kuba zdejmuję tobół, kierzce, onucze, zawija spodnie i lata po upłazie. Z każdego jego włosa kapie pot, koszula cała czarna od potu, a twarz biała, jak papier. — Panocku! Wiecie wy, teraz wam powiem, jak ja dwadzieścia lat przewodnikiem, tom takiej jafery nie miał. Sprawiedliwie!... Siada wreszcie pod turnią Chałubińskiego i mówi głośno pacierz. Uspokajamy się wreszcie obadwaj i jesteśmy tacy szczęśliwi, jakbyśmy wygrali na loterji. Ja się modliłem do Boga i do Ciebie, szczęście moje... Piliśmy tam piwo, arak, wódkę, jedli i śpiewali, jak warjaci. Ciskaliśmy wdół, w żleb kamienie i patrzyli, jak lecą po sinym znaczkunasznych stopai, — zupełnie, jak dzicy ludzie, mszczący się nad bezrozumną siłą. Pogoda była cudowna, powietrze tak czyste, że najdalsze szczyty, doliny węgierskie, aż gdzieś w nieskończoność widać było, jak na dłoni. — Widzicie hań, panocku — Krzywań, a to Hruba, Miedziane, Gierlach, Ganek, Polski Grzebień, Wysoka, Cubryka, Sławkoskie, Mięgusiewskie... — pokazywał mi Kuba. Wdole lśnił lód na Podkołnym Stawie i ćmiła się granatowa woda Wielkiego w dolinie Pięciostawów. Cudne Granaty połyskiwały w słońcu, tuż stała szczerbata Świnica, dalej widać było percie na Zaworach, jak ślad zająca. Co za powietrze! To już nie powietrze, ale jakaś boska, tytaniczna siła, tętniąca w wewnątrz... Słońce paliło, a jednak nie czuć było gorąca, bo przez wyłom Zawratu pociągał słodki i łagodny dech wiatru. Poszliśmy percią «dołu» po głazach i po śniegach, jakie tam leżą jeszcze aż do Wielkiego Stawu. Dopiero u siklawy w roztoce założyliśmy wiatrę, uwarzyli herbaty, pojedli i poszli oglądać siklawę. Co

za cud! Jakąż to mowę ma ten szum wody, jakie uczucia ta zgubiona w powietrzu, oszalała, wytracona piana! Jak oczarowany stałem tam i nie mogłem odejść. Wleźliśmy na bułę, minęli schronisko przy Małym Stawku, obeszli Pośredni, gdzie pływają, jak łabędzie, kępki śniegu i zaczęli się drapać po zboczu Świstowej na Czubę. Tam znowu była awantura: perć przecina pas śniegu, idący od szczytu aż do dołu góry. Śnieg jest z wierzchu miękki, wodnisty, a lód ma pod spodem. Kuba próbował iść wpoprzek, ale się cofnął, — musieliśmy iść na bałyku na szczyt Świstowej po trawach mokrych, trzymając się prawie zębami mokrego gruntu, a potem obszedłszy śnieg, złączyć na łeb nadół ku perci. Brr! Nareszcie weszliśmy za szczyt Czuby. Przewodnik wziął mię w pół, sprowadził na brzeg przepaści i pokazał cudowną, nieopisaną Roztokę, percie na Krzyżnem i Łomnicy, którą tylko z Czuby widać. Gdyśmy tam siedzieli, od Lodowego wzniósł się orzeł. Szedł kręgami, jak strzała, wybił się nad nas, zatoczył koło i jak piorun spadł gdzieś w Miedziane. Między Czubą i wschodniem zboczem Świstowej — znowu straszna awantura, bo znowu cały bok był zavalony śniegiem. Dzwoniąc zębami, wylazłem na kolanach na szczyt i z zamrużonemi oczami spadałem nadół w Świstówkę. Cóż za okropna przepaść! Nareszcie jesteśmy na Opaleńcu i lecimy co tchu, aby zobaczyć Morskie Oko. Oto jest — modre, jak kwiat genjany, ciche, gładkie, cudowne. Na Rysy, na Mięguszoską Turnię schodzi mrok... Jezioro coraz bardziej ciemnieje. Śpiwając w niebogłoso, schodziliśmy po stromem zboczu Opalonego. W dolinie byli już juhasi, zebrali się w kupkę

i witali nas okrzykami. U źródła założyliśmy wiatrę i pili herbatę... Teraz — świeca mi gaśnie, ale zza szczyby Mięguszoskiej wychodzi księżyc. Na cichych falach mkną białe smużki...

Kraków, 17. VI. 1892 r.

...Moja epopeja przerwała się na Morskiem Oku, na wieczorze. Wyszedłem ze schroniska nazajutrz rano o czwartej. Była mgła gęsta, nieprzejrzana. Zabrała w siebie i góry i jezioro. Wyszedłszy, zwiedziłem pod Dziadami kamień Mickiewicza (dolina Morskiego Oka do Roztoki nazywa się doliną Mickiewicza), a potem szedłem «dołu» aż do schroniska Pola w Roztoce. Mgła była gęsta, ale sucha i wznosiła się zwolna ku górze. W schronisku odpocząłem, a potem mój przewodnik rzekł: — No, panocku, idem teraz do wodogrzmiotu Adama Miśkiewica!... Idem naturalnie! Podaliśmy się ścieżką ku górze i zaraz otworzyła się Roztoka pod Czubą i Wołoszynem. Roślinność tam bujna, jak nigdzie, nasycona obfitością wody pyszna i pachnąca. Stoją na perci i obok niej wielkie słupy szerokolistnej goryczki, genjany, jak wielkie dzwony, kity traw i brzozy, których niema nigdzie prawie w Tatrach. Zdaleka już grzmia wodospady: górny, średni i pośledni. W granitowym gardle wściekła woda leci na łeb na szyję, jakby była wystrzałem wysadzona z gruntu, trzaska czołem o zastępujący jej drogę głaz kolosalny i bezsilnie wije się na miejscu, jak żywa istota z roztrzaskanemi piersiami. Nagle wybiega — niewiedzieć czemu, smutne robiącym wrażenie kłębem, jak nadzieja święta a ostatnia — i ciska się wdół na

kilkadziesiąt łokci, jęcząc jakąś prawie zrozumiała pieśń. Tam znowu wdole rwie się i wije, jakby ją szarpały tortury, maca, szuka, cierpi, aż się znów porwie i skoczy białym łukiem, rozbita na pianę, na płaty jej, nici, strzępy. Nad tym łukiem polatuje biały pył piany, jak rozmięciona mąka i macza wiecznie te piętra granitów Wołoszyna, jakie nad potokiem ścianą stoją. Tam wreszcie idzie zielona, zmordowana, śmiertelnie biedna w wąskim na dwa łokcie rowie, w rowie z granitu, głębokim na jakie sto łokci. Najcudowniejszy to pomnik jego — starego niedźwiedzia litewskiego. Męka tej wody — to historia jego duszy, tak doskonała i prawdziwa, jakiej żaden krytyk nie odzwierciadli. Jakie tam bujne liście, jakie przepyszne badyle, jakie kwiaty wyciągają się ku tej wodzie, ku tej istocie żywej i zmęczonej! Na skałach stoją nieruchome, nurzając się w mgłę, limby, wyżej smreki. Czerwonawe, miejscami poplamione granity trzymają tę wodę w pętlach — a ona napróżno się szarpie, napróżno walczy, napróżno bije w nie czołem i piersiami, napróżno jest piękna i napróżno płacze. Postawił tam Bóg symbol pewnego kraju, pewnych dusz tej ziemi... Nie można tam siedzieć bez płaczu w głębi duszy. To imię i ta wieczna przyroda zeszyły się tam i nauczają raz jeszcze... Wspaniała pomnik! Założyliśmy tam watrę i leżeli obadwaj na trawie. Gdym odchodził, szum się oddalał i cichł, jak echo, nietylko trwające w uchu, ale i w sercu. Z Roztoki poszliśmy po zboczu Wołoszyna, wspinając się ciągle w górę. Mokre gałęzie świerków pachną na ścieżce, mgła kłębamися wspina się w górę po skałach i rozwiewa w jaśniejącym coraz bardziej

powietrzu. Z polany za Wołoszynem ukazały się znowu góry, wybijając się ze mgły: wyszedł Gierlach, Polski Grzebień, Rysy, Młynarz, Sławkowskie, Lodowiec, Łomnica, Jaworowe Sady, Hawrań i Murań. Wdole śmiała się swą zielenią dolina Białej Wody. Kuba był wesoły, śpiewał, aż las drżał:

Hej, jedną dolinecką śniezek polatuje,
A drugą dolinecką dziewczyna wandruje...

To znowu:

Hej, u Morskiego Oka tam se Węgry stoją,
A chłopcy zakopiańscy Węgrów sie nie boją...

Albo:

Hej, wirchami grad bije, hałami wiatr wieje —
Hej, dziewczyno, dziewczyno, kez ja sie podzieje?

Co chwila u dołu, lub u góry odpowiada śpiewką juhaska lub juhas, dzwonią dzwonki kierdelów, śpiewają drozdy i kosy. Za Placem Chałubińskiego spotkaliśmy bacę Klaja z Waksmundzkiej Polany. Zaprosił nas do swego szałas na waksmundzkiej. Chłop bogaty i mądry, ma syna w piątej klasie, duże stado. Zaszliśmy tedy do jego szałas, przyniósł kocioł żętycy. W szałasie paliła się watra, przyszli juhasi i juhaski i gwarzyliśmy tam z godzinę. Potem już szybko przeszliśmy do Psiej Trawki i znowu pod schroniskiem odpoczywali, pijąc herbę. Kuba dziwił się, że mam takie «tęgie nogi», bo o drugiej minęliśmy już paleniska na Kopieńcu, Toporowy Staw, Jaszczurówkę i zjawili się w Zakopanem. Powróciwszy, zacząłem zaraz zbierać rzeczy, pakować się, drząc do wyjazdu... Wyjechałem z Zakopanego dopiero we środę o czwartej popołudniu pocztą.

Właśnie zaczął wiać straszny halny wiatr. Nie umiem opisać tej szalonej radości, jaka mię unosiła, gdy sobie zdawał sprawę, że już jadę... Z Poronina widać było całe Tatry — i moją kochaną Kopę Magóry... W Nowym Targu nie było na pocztę miejsca, — musiałem nająć górala i pojechałem zaraz. Na Obidowej złapała mię szalona burza z wichrami, piorunami i błyskawicami. Jeszcze raz przed burzą ukazały się ponuro oświetlone Tatry w całym majestacie ich długości, potem zawlokła je mgła i chmury, noc i niepamięć, bo w duszy było, jak i teraz, namiętne i radosne: prędzej jechać, jechać, jechać! W Chabówce czekałem na pociąg cztery godziny. Zaraz za Suchą począł się robić dzień, ale lał ulewny i dokuczliwy deszcz. Przecudna droga, cóż za droga! Kalwarja wydała mi się teraz stokroć ładniejsza, niż dawniej. W Krakowie stanąłem o siódmej rano. Wkrótce była procesja, paradne kontusze, bił Zygmunt i strzelały salwy... Jadę — oto wszystko! Jestem myślą, duszą, nerwami w drodze, coś mię podnosi, niesie i dygoce we mnie...

.....
.....

Przytoczone tutaj dłuższe urywki z korespondencji Żeromskiego są nietylko pełnymi swoistego wdzięku utworami literackimi. Traktujemy je przede wszystkim, jako dużej wagi dokumenty, odzwierciedlające najlepiej treść duszy młodego pisarza. Z tych kart pozółkłych już, jak z poza surowych oczu milczącego samotnika, spogląda na nas płomienny duch entuzjasty, wrażliwego na najszczytniejsze porywy ide-

alisty, — człowieka, dla którego służba ojczyźnie, umiłowanie maluczkich, piękno i dobro — były jedynym prawem. Niekiedy wierzyć się nie chce, aby ten posepny człowiek umiał mówić tak prosto z serca, duszę otwierać tak do dna, spowiadać się z swych najtajniejszych myśli z taką dziecinną nieledwie szczerością. Owym zaczarowanym kluczem, który duszę tę otworzył, okazując cały jej młody wdzięk i wartość drogiego kruszcu, było gorące uczucie. Nietylko uczucie, ale i zrozumienie innej duszy bratniej, głębokiej i oddanej. Zwierzał swe myśli istocie, która go nietylko kochała, ale szerokim horyzontem umysłu i siłą szlachetnego charakteru rzuciła światło na jego smutną drogę...

.....

Niewymownym powabem i wartością listów pisarza jest bezpośredniość uczuć i wrażeń, które się w nich odbiły. Pisane były nie prerafinowaną refleksją mózgowca, ale wymową serca, wrażliwością nerwów, porywem świeżo przeżytych odczuć, uniesień i smutków. Przekonywają nas one raz jeszcze, jak głęboko kochał i rozumiał Stefan Żeromski przyrodę. Przepiękne jego listy z Tatr świadczą o tej rzadkiej umiejętności zespalania się w jedno z naturą, odczuwania jej najtajniejszych drgnień, skrytych mocy i niewypowiedzianych uroków. Pozostawanie sam na sam z przyrodą, czy to w ojczyściej puszczy jodłowej, czy wśród dzikości i grozy górskich szczytów — zastępowało mu dom i świat. Na jej łonie przeżywał stokroć silniejsze rozkosze, niż w gronie najlepszych i najrozumniejszych

ludzi, tu umiał najwierniej wnikać we własną duszę i oceniać sprawę świata. Samotność, na jaką skazany był od dziecka, odgradziła go wprawdzie od ludzi, lecz dała wzamian tę silną więź wspólnoty, tę przyjaźń nierozzerwalną, która go z ziemią ojczystą złączyła nazawsze.

DROGA DO SŁAWY

W tym czasie, jak z Słowa Słownik, opisał
my lato w Karpaczu, wzięła pani Oktawja z Ra-
dziejewiczki Radziejewicza i powróciła do
do Szwajcaryi, gdzie objęła stanowisko nauczycielki
Młodszej w mieście polskim w Karpaczu.

W tym czasie, jak z Słowa Słownik, opisał
my lato w Karpaczu, wzięła pani Oktawja z Ra-
dziejewiczki Radziejewicza i powróciła do
do Szwajcaryi, gdzie objęła stanowisko nauczycielki
Młodszej w mieście polskim w Karpaczu.

Podczas w Karpaczu, jak z Słowa Słownik, opisał
my lato w Karpaczu, wzięła pani Oktawja z Ra-
dziejewiczki Radziejewicza i powróciła do
do Szwajcaryi, gdzie objęła stanowisko nauczycielki
Młodszej w mieście polskim w Karpaczu.

We wrześniu 1892 r. Stefan Żeromski, spędziwszy lato w Nałęczowie, zaślubia panią Oktawję z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową i przenosi się z żoną do Szwajcarii, gdzie obejmuje stanowisko młodszego bibliotekarza w muzeum polskiem w Rapperswylu.

W rozwoju talentu, w procesie pracy umysłowej i poprawie fizycznego zdrowia pisarza czteroletni okres rapperswylski był etapem bardzo ważnym. Cisza zamkowej pustelni i maleńkiego miasteczka przy tkliwej opiece małżonki stworzyła mu idealne warunki do pracy nad sobą. Bogata biblioteka, złożona z dzieł naukowych i historycznych dokumentów polskich, pozwoliła mu na wnikanie w szereg gałęzi wiedzy, a przede wszystkim na studjowanie niedostępnych w kraju aktów, dotyczących polskiej podziemnej pracy wyzwoleniczej XIX stulecia.

Pobyt w Raperswylu był dla Żeromskiego niejako uniwersytetem, w którym rozwinął on i pogłębił horyzont bogatego swego umysłu i skryształizował swój światopogląd ideowy. Tu z młodzieńca staje się człowiekiem dojrzałym, świadomym dostatecznie swych możliwości twórczych i powołania artystyczno-narodowego. Stąd, z serca Europy, odbywa podróże do Francji, Włoch i Niemiec, patrząc z bliska na zachodnią cywi-

lizację z jej splotem nowoczesnych społecznych zagadnień, rozmachem zdobyczy kulturalnych, pracowitością, głodem wiedzy i, niestety, krańcowem zmaterjalizowaniem,

Dla talentu tej skali, co talent Żeromskiego, znalezienie się w obrębie owej areny kulturalnej, w warunkach, umożliwiających pracę, było nader pomyślnym zbiegiem okoliczności. Biblioteki rapperswylskiej, bibliotek zuryskich i samej Szwajcarii — niepodobna porównać z zapadłym kątem wiejskim i warunkami akulturalnymi, w jakich żyć i obracać się musi nauczyciel ludowy w Polsce. To też za bardzo szczęśliwy obrót wypadków uważać musimy fakt, że nie spełniło się to marzenie Żeromskiego, że nauczycielem tym nie został, że odczuwanemu powołaniu, czy posłannictwu ujścia dać nie mógł, że się w «kapłaństwie» tem nie zmarnował.

Marząc o zawodzie nauczycielskim, przyszedł autor «Popiołów» nie zdawał sobie dostatecznie sprawy, jak dalece zajęcie to przekraczało zasób jego sił fizycznych, nie odpowiadało organizacji nerwowej, a zwłaszcza nie godziło się z rozwiniętą już groźnie chorobą płuc. W wymianie listów pomiędzy Żeromskim a jego narzeczoną dostrzegamy charakterystyczną różnicę poglądów na tę sprawę. Przyszła małżonka pisarza w poważnej trosce o jego zdrowie drogą rozumnej rozwagi i intuicji kobiecej oceniała te plany w sposób właściwy. Nie zraża wprawdzie młodego entuzjasty do ulubionego projektu, ale też myśli tej nie podtrzymuje.

Jak bardzo pesymistyczne były opinie lekarzy, wiedziała może lepiej, niż sam Żeromski. Pojmowała

więc doskonale, że utrzymać go przy życiu może jedynie systematyczna kuracja, odpowiedni klimat i higieniczne warunki życia. Tego zaś żadną miarą nie mógł mu dać wiejski zaścianek w połączeniu z prymitywnością otoczenia, brakami materjalnymi i denerwującą, niezdrową pracą żywota nauczycielskiego.

Gdy więc młody pisarz planuje w Zakopanem złożenie egzaminu nauczycielskiego we Lwowie, pani Oktawja nie ustaje w zabiegach nad pozyskaniem dlań stanowiska w bibliotece rapperswylskiej.

Starania te, dzięki życzliwości i przyjaźni wicedyrektora muzeum, Henryka Bukowskiego, tudzież dzięki poparciu Jana Karłowicza i Bolesława Prusa, uwieńczone zostały powodzeniem. Zbiory biblioteki polskiej w Rapperswylu, dotąd nieuporządkowane, wymagały olbrzymiego nakładu pracy przy katalogowaniu i fachowej klasyfikacji. Zygmunt Wasilewski, który przed kilku zaledwo miesiącami objął stanowisko bibliotekarza, domagał się nagląco pomocy. Tą siłą pomocniczą z płacą nieprawdopodobnie niską, bo wynoszącą zaledwo 50 franków miesięcznie, został Stefan Żeromski.

Skromne to nad wyraz stanowisko uważali sobie jednak Żeromscy za wielką na loterji życiowej wygraną. Młodemu pisarzowi pozwalało ono zasiąść przy odpowiednim warsztacie, otoczyło go ukochaniami od lat dziecinnych księgami, dało możliwość badania, kształcenia się i tworzenia, — a trawiony chorobą organizm przerzuciło w krzepiący klimat górskiej Szwajcarii, w bezpośrednie sąsiedztwo Zurychu, gdzie najświetniejsi lekarze byli niejako pod ręką.

.....

Powróćmy jednak do naszej relacji i kolejności wydarzeń.

Z listów pisarza, umieszczonych w poprzednim rozdziale, wiemy, że w połowie czerwca 1892 r., opuściwszy Zakopane, drogą na Kraków i Kielce, pospieszył do Nałęczowa. Czekąca go tu miła nowina o posadzie rapperswylskiej, rozwiązująca tak bardzo dręczący go problemat zdobycia podstaw bytu i otwierająca zarazem pożądane perspektywy literackie. Kierownictwo biblioteki wymagało, aby nowozaangażowany pracownik zgłosił się 1-go października. W związku z tem narzeczeni ustalili datę ślubu na dzień imienin pisarza, przypadających 2-go września.

Ślub Stefanowstwa Żeromskich odbył się nie w Bochońcu, kościele parafjalnym Nałęczowa, lecz w starym modrzewiowym kościółku w Policznej pod Jednią, pamiętającym czasy Jana Kochanowskiego, który tu, jako w parafjalnej świątyni Czarnolasu, modlił się przez długie lata. Na wybór tego historycznego kościółka wpłynęła przyjaźń koleżeńska z lat kieleckich, jaka łączyła Żeromskiego z tamtejszym proboszczem, księdzem Stanisławem Grudzińskim, towarzyszem z ławy szkolnej. Nowożeńcy wraz z gronem najbliższych przyjaciół i krewnych (towarzyszyli im: Aleksander Głowacki-Prus, prof. Florjan Łagowski i czterej bracia pani Oktawji — Rafał i Stanisław Radziwiłłowiczowie oraz Konrad i Zygmunt Chmielewscy) wyruszyli z Nałęczowa zrana i na południe stanęli w Policznej. Przyjęci ze staropolską serdeczną gościnnością przez ks. Grudzińskiego udali się po spożytym na probostwie obiedzie spacerem do Czarno-

lasu, a po powrocie w czasie nieszpórów stanęli przed ołtarzem. Tegoż dnia wieczornym pociągiem wyjechali Stefanostwo Żeromscy do Kielc, gdzie należało wyrobić wspólny paszport na wyjazd zagranicę. W Kielcach zabawili dni kilkanaście, Żeromski bowiem nie chciał pominąć sposobności odwiedzenia rodzinnych miejsc i okazania żonie swych ukochanych gór, które stopami dziecka i młodzieńca po tylekroć przemierzył. Przy sposobności państwo młodzi odwiedzili w Górnie dom Ignacostwa Schmidtów, skąd Żeromski, mimo perswazji krewnych, udał się do Ciekot. Jak bardzo bolesnych doznał tam wrażeń, wiemy najlepiej z cytowanych poprzednio urywków z dziennika Joasi. Wszędzie znalazł spustoszenie, ruinę, zaniedbanie, ludzi obcych, którzy samą swą obecnością zdawali mu się profanować najdroższe wspomnienia i pamiętki...

Stanąwszy w Rapperswylu w pierwszych dniach października 1892 r., zamieszkali Żeromscy w małym dwupokojowym mieszkanku przy Bahnhofstrasse u madame Schwartz. Mieszkanko to, niezbyt dogodne, zajmowali tylko w ciągu pierwszego roku pobytu w Rapperswylu. Jesienią 1893 r. przenieśli się do znacznie wygodniejszej siedziby w domu państwa Fäh i tu mieszkali aż do powrotu do kraju.

Dopiero po osiedleniu się w Szwajcarji okazało się, jak groźnym był podówczas stan zdrowia młodego pisarza. Gruźlica podbiła jego młody organizm niemal całkowicie. Jeśli się jeszcze trzymał na nogach, zawdzięczał to jedynie wrodzonemu zasobowi sił fizycznych i młodzieńczej energii. Lekarze zuryscy ze słynnym specjalistą chorób piersiowych, d-rem Eichornem

na czele stawiali prognozy wręcz fatalne. Życie Stefana Żeromskiego oceniano za ledwo na miesiące, jeśli nie na tygodnie. Mniej pesymistycznie patrzył na rzeczy prowincjonalny rapperswylski lekarz, dr. Gwalter, który przez cały ten czteroletni okres stale miał Żeromskiego pod opieką. Był w zgodzie z d-r'em Chełchowskim, aby kurację prowadzić po linii możliwie najspieszniejszego wprowadzenia organizmu pacjenta w stadium sklerozy, unieszkodliwiającej drogą zwapnienia dalszy proces rozwojowy gruźlicy. W myśl tych wskazań żywiono chorego wyłącznie mięsem. Dla zaostrożenia apetytu sprowadzano z Monachjum baryłkami porter, a z Litwy od krewnych pani Oktawii wędliny. Cały system życia podporządkowany był surowo przepisom lekarzy. Młody pisarz szedł spać już o g. 8-ej wieczorem, przestał palić, nie brał do ust alkoholu. Pracował tylko w dzień. Ten pogram dnia przetrwał później w życiu autora «Popiołów» długie lata. Regulaminu tego pilnie przestrzegała małżonka, a Żeromski poddawał mu się chętnie, bo nosił w sercu aż do śmierci wielkie, gorące pragnienie życia.

Gdy zdrowie i zajęcia biblioteczne pisarza pozwalały na wyjazd, Żeromscy podróżowali. Zapoznawali się przede wszystkim ze Szwajcarią. Święta Bożego Narodzenia 1892 r. spędzili w Zurychu. Wogóle w Zurychu w ciągu czteroletniego pobytu w Szwajcarii bywał Żeromski gościem dość częstym. Znały jego sylwetkę sale wykładowe uniwersytetu, muzea i biblioteki. Zbliżył się tu i poznał z całym szeregiem przyszłych sław i działaczy politycznych polskich zarówno lewicowego, jak i narodowego kierunku. Stolica

Szwajcarii w latach tych dawała często przytułek i była terenem narad programowych przywódców polskiej myśli niepodległej. Dłużej lub krócej mieszkali tu: Stanisław Wojciechowski, Roman Dmowski, bracia Piłsudscy, Gabrjel Narutowicz, Stanisław Grabski i inni.

Wiosną 1893 r. wyjechali Stefanostwo Żeromscy do Włoch i w Medjolanie spędzili dwutygodniowe ferje wielkanocne. Latem odbyli przepiękną parotygodniową wycieczkę pieszą w Alpy przez Furkapass do jezior Grimselskich. Wrażenia, doznane w ciągu tych niezapomnianych dla pisarza dni, spędzonych na łonie natury, niesłychanie rozplómiły jego fantazję twórczą. Napisał wówczas swe opowiadanie «O żołnierzu tułaczem». Do pracy tej przystąpił ze zwykłą mu sumiennością; oparł ją na gruntownej znajomości terenu alpejskiego, przemierzonego własnymi stopami, badał źródła historyczne, wykreślał sam szczegółowo mapy. W opowiadaniu tem, które weszło w skład zbioru «Utworów powieściowych», znajdzie czytelnik odbicie całego szeregu silniejszych wrażeń, przeżytych przez pisarza, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat. Przejście oddziały francuskiego przez szczyty i lodowce alpejskie ku jeziorom Grimselskim przypomina niezmiernie żywo znaną nam przeprawę Żeromskiego przez przełęcz tatrzańską ku Morskiemu Oku, opisaną tak obrazowo w listach do narzeczonej. Górska terminologia opowiadania — to terminologia Podhala. Nawet ponure i tragiczne przypiecztowanie tułactwa starego wiarusa jest niejako odbiciem galicyjskich spostrzeżeń autora, które, dzięki stańczykom, przejęły go tak głęboką odrazą do magnaterji.

Wycieczka w Alpy obiegła też cały szlak Słowackiego, rzeźbiony cudnym słowem poematu »W Szwajcarji«. Był w tem i pewien wyraz hołdu dla najukochańszego, najbardziej bliskiego sercu młodego pisarza poety.

Opowiadanie «O żołnierzu tułaczem» dało Żeromskiemu poczucie pewnego sukcesu artystycznego w twórczości historycznej. Zamiłowanie do tradycji rycerskiej, wpojone przez środowisko rodzinne, kult dla przeszłości polskiej, wyssany niejako z piersi matczynej — podsunął mu myśl wypróbowania swych sił w ramach większej powieści. Nęciła go najbardziej epoka napoleońska. Tak powstawały pierwsze impulsy i na tej drodze rodził się świadomy plan «Popiołów». Do tego najbogatszego pod względem artystycznym dzieła przystąpił Żeromski jeszcze w Rapperswyłu. Tu nakreślił sobie zasadniczy plan powieści, nad którą pracował później całe lata, przeprowadzając mozolne, najdrobiazgowsze studia, zarówno w Rapperswyłu jak w bibliotece Zamoyskich i we wszystkich dostępnych w Polsce zbiorach i archiwach.

Czteroletni pobyt w Szwajcarji w twórczości literackiej Żeromskiego nazwaćby można raczej okresem przygotowań, niż epoką realizacji pomysłów. Młody pisarz, walcząc ze zmagającą go chorobą, kształcił się, uzupełniał zakres swej wiedzy, zapładniał swą fantazję twórczą, by później w sposobniejszej chwili czerpać z nagromadzonego kapitału. Z prac, które w Szwajcarji zostały wykończone, wymienić można kilka nowel, które zaokrągliły i uzupełniły jego pierwszą książkę p. t. «Opowiadania», cykl «nielegalny» wydany pod

pseudonimem Maurycego Zycha p. t. «Rozdziobią nas kruki, wrony...» parę nowel, wcielonych później do zbioru «Utwory powieściowe» i pierwszą powieść «Syzyfowe prace», wypolerowaną i opracowaną w postaci dzisiejszej według dawnego kilkakrotnie już korygowanego rękopisu.

We wrześniu 1894 r. wyjeżdżali Żeromscy do Drezna, gdzie zabawili dwa tygodnie. Maj roku 1896-go spędzili w Paryżu. Pierwszy to raz styka się wówczas autor «Ludzi bezdomnych» bezpośrednio i na dłużej z kulturą francuską, której odtąd szczerym jest i przywiązanym wyznawcą i wielbicielem. Wrażenia paryskie znajdują później echo swe w «Ludziach bezdomnych».

Stefan Żeromski, gdy miał przy swoim boku tych, których kochał, podróżował chętnie. Zmiana otoczenia i nawet wrażeń — nie nużyły go. Owszem, w podróży czuł się zdrowszy, rzeświejszy, mniej przygnębiony. Rzecz szczególna, człowiek ten, trawiony często w ciszy domowej dokuczliwą bezsensownością, doskonale sypiał w pociągu, unikając przez to poważnej części związanego z dłuższą podróżą wyczerpania.

Ognisko domowe Żeromskich było, jak powiedzieliśmy, bardzo ciche i skromne. Wynagrodzenie miesięczne, pobierane w bibliotece raperswylskiej, było tak idealnie niskie, a zarobki literackie młodego pisarza tak znikome, że nie starczały nawet na opędzenie najskromniejszych potrzeb. Kwestja całego obuwia, powiedzmy tu z całą szczerością, była nieraz zagadnieniem trudnym do rozwiązania.

Do korespondencji dziennikarskich Stefan Żeromski, mimo próśb krakowskich, nie umiał się nagiąć

na stałe. Z listów Bolesława Prusa wiadomo, że autor «Faraona», który się losem młodej pary szczerze interesował, podsuwał tę myśl Żeromskiemu, pisząc jeszcze w listopadzie 1892 r.:

«Niech Pan Stefan napisze śliczną korespondencję. Jesteście w kraju bardzo ucywilizowanym, widzicie nadzwyczajną pracę rzemieślników, kupców, kelnerów, rolników... Wszystko to trzeba przedstawić plastycznie, wciąż mając na uwadze: Jaki jest duch szwajcarski w porównaniu z naszym, o ile dojrzalszą jest organizacja społeczna...» «Jeżeli korespondencja spodoba się, będzie miał robotę, nie w «Tygodniku Ilustrowanym» i «Kurjerze Codziennym», to w innych»...

Czy Żeromski kiedykolwiek korespondencję taką napisał i czy była gdziekolwiek drukowana — nie wiemy. Najprawdopodobniej nie pisał jej wcale, Prus bowiem w listach swych zapytuje jeszcze dwukrotnie: «A co się dzieje z korespondencją?». Niechybnie wpłynęła na to szczególna, choć do pewnego stopnia uzasadniona awersja do pracy dziennikarskiej, jaka tkwiła w Żeromskim.

Z tem większem za to upragnieniem marzył o wydaniu pierwszej książki. Dotychczasowy dorobek, acz skromny, pozwalał jednak w zupełności na skompletowanie dostatniego już tomu. Główną przeszkodą w ziszczeniu planów wydawniczych była trudność skomunikowania się z firmami nakładowymi w kraju, brak znajomości stosunków i brak doświadczenia. Pokonanie tych trudności bierze na siebie zawsze uczynny i życzliwy Prus. Za jego to staraniem nawiązuje Żeromski



STEFAN ŻEROMSKI W OKRESIE TWORZENIA «LUDZI BEZDOMNYCH»
I «POPIOŁÓW»

stosunki z firmą wydawniczą Paprockiego w Warszawie i z początkiem roku 1895-go przesyła rękopisy swych «Opowiadań» do druku. Jednocześnie wchodzi w porozumienie z p. Zygmuntem Kostkiewiczem, administratorem «Nowej Reformy» w Krakowie, który decyduje się wydać cykl «Rozdziobią nas kruki, wrony...». Był to dla młodego pisarza rok bardzo radosny, rok jego chlubnych chrzcin literackich, pełne nowicjuszowskiej tremy miesiące oczekiwania na pierwsze własne książki.

Tego lata odwiedza Żeromskich w Rapperswyłu Prus, który pracował właśnie nad swym pomnikowym «Faraonem» i przeprowadzał w Berlinie, Dreźnie i Paryżu żmudne studia egiptologiczne. Przed udaniem się do Paryża wypoczywa przez 6 tygodni w gościnnym ich domu, wnosząc w jego ciszę swój niepowszedni humor i niefrasobliwość. Wielką przykrością było dla Prusa niepodobieństwo zwiedzenia muzeum polskiego. W ciągu całego pobytu codziennie sobie to postanawiał, ale za każdym razem okazywało się to dlań fizyczną, a raczej psychiczną niemożliwością. Prus, jak powszechnie wiadomo, cierpiał na agorafobję. Żadne przesłanki logiczne nie mogły w nim pokonać tej choroby nerwów. Lękał się otwartej przestrzeni, wysokich schodów, mostów i t. d. A na wzgórzu zamkowe w Rapperswyłu wiodły właśnie takie fatalne dlań schody. Chory sam podrwiwał nieraz ze swych śmiesznych obaw, ale zapanować nad nimi nie umiał.

Z korespondencji Prusa z Żeromskimi z tego okresu przytoczymy tutaj dwa urywki, które z jego wizytą rapperswyłską są związane i ciekawą sylwetkę duchową Prusa w pewnej mierze odzwierciedlają:

...Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację: Siedzę ja sobie przy herbacie w najpiękniejszej części Berlina, bo w Charlottenburgu — i myślę. Berlina mam już wyżej uszu. Byłem w nim miesiąc, zrobiłem kilkaset notatek i teraz trzeba to zużytkować. Jednocześnie należałoby zrobić coś z połową lipca i nabrać sił przed Paryżem. Jednocześnie żona pisze mi, ażeby, (zamiast wracać do kraju i na jesień jechać do Paryża), przesiedziać kanikularny czas w Szwajcarii. Myślę tedy o tem wszystkim i w rezultacie jestem bardzo bliski następującej kombinacji: 17-go wyjadę do Drezna i posiedzę parę dni. Potem do Karlsbadu... potem 2—3 dni powłóczę się po Saskiej Szwajcarii. No, a potem... chyba zjadę do państwa na jakieś dwa tygodnie przed Paryżem. Bodaj, że sama Pani nakreśliła mi taką marszrutę, ale dziś poniekąd pcha mnie do niej siła faktów, bo gdybym wprost na lipiec pojechał do Paryża, zatarłyby mi się wspomnienia berlińskie, trafiłbym na upały i, kto wie, czy nie zmarnowałbym całej podróży. Niechże więc nie zdziwi się Pani, ani pan Stefan, ani Heniusia, jeżeli, a raczej gdybym w ostatnich dniach czerwca wpadł do Was... Czy kraj ten nie jest poprzecinany przepaściami, najeżony skałami i t. d., gdyż do tych rzeczy muszę się zwolna przyzwyczajać, chociaż, zdaje mi się, że najgorsze już minęło i moja agorafobia nieco zmniejsza się... A czy w ojczyźnie szwajcarskich krów można znaleźć niefałszowane mleko? Tyle na dziś, jeżeli nie za dużo.

Przepraszam Panią za mój kwestjonarjusz, całuję rączki i polecam się pamięci. Heniusię ścisłkam, pana Stefana serdecznie pozdrawiam. Wierny sługa. — Al. Głow.

.

...I oto jestem w Sztutgarcie, mieście tak spokojnem, że w hotelu długo trzeba czekać na pióro i atrament. Jadę — niby to — do Rapperswyłu, ale czy zajadę?!.. Jestem znów chory na «wysokości» i ciągle morduje mię idea wysoko położonych dróg, długich mostów i t. d. Sądzę, że po kilkodniowym odpoczynku w Sztutgarcie strachy te osłabną. Ale byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdybym nie znalazł w Rapperswyłu warunków, dających mi geometryczny, czy topograficzny spokój. Dlatego jedzie do Państwa naprzód mój brat cioteczny, Waclaw Trembiński, który chce poznać Szwajcarję, mając główną kwaterę w Rapperswyłu. On to obejrzy miejscowość i doniesie mi, czy dobra dla mnie, gdyż będąc ze mną w Karlsbadzie, Norymberdze i Sztutgarcie, poznał już moje interesujące gusta. Powtóre, proszę Panią — czy nie możnaby się dostać do Was, omijając Zurich, do którego nie mam przekonania? Czy nie mógłbym np. jechać z Wintertur na Derlikon, Uster, Wetzikon, Rüti? Bo czuję, że jadąc przez Zurich na Thailweil, Horgen, Richtersweil i Pfäffikon — musiałbym z 1½ godziny jechać z zamkniętymi oczyma z powodu malowniczego jeziora i wysokiej drogi. Wychwala Pani «etykę

szwajcarską». Biada mi! bo już chyba tamtejszy konduktor nie przyjmie marki, czy franka, aby mi dał oddzielny przedział w wagonie. Jeżeli wreszcie ich etyka jest podobna do nazwisk ich miejscowości (Derlikon, Pfäffikon), to ona nie bardzo godzi się ze zwyczajami dobrych katolików. Oto i wszystko. Serdecznie dziękuję Panu Stefanowi za obszerny list z informacjami, a Złotej Pani polecam mego brata, który ma w sobie nie szwajcarski, ale prusko-angielski charakter, co mu nie przeszkadza być bardzo uczciwym i rozumnym człowiekiem. Cały Kochany Dom Państwa serdecznie pozdrawiam. Byłbym bardzo szczęśliwy, mogąc tam spędzić kilka tygodni, ale czy to nastąpi?... Przyjaciel i sługa — Al. Głowacki. 26. VI. 1895 r.

.....

W Rapperswyłu, jak wspomnieliśmy, spędził Prus 6 tygodni. Mieszkał u Żeromskich, którzy oddali mu do rozporządzenia oddzielny pokój. Dopiero po tym wypoczynku udał się na dalsze studia egiptologiczne do Paryża. Stolicę Francji odwiedzał wówczas pierwszy raz w życiu. Jest to szczególnie dość charakterystyczny, jeśli zważymy, że akcja wydanej w r. 1891-ym «Lalki» częściowo rozgrywa się w Paryżu.

Pobyt Prusa w domu Żeromskich zacieśnił jeszcze bardziej przyjazny stosunek obu pisarzy. Niezapomniane były dla Żeromskiego zwłaszcza siesty wieczorne, kiedy u stołu zasiadał wraz z nimi sędziwy Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski), odwiedza-

jący ich każdego wtorku z Genewy. Do późnej nocy toczyły się ciekawe dyskusje i opowieści, w które młody pisarz wsłuchiwał się ze skupieniem i skrå w oku. W małym kręgu światła spoglądały na siebie niejako trzy generacje. Jeż kreślił barwne obrazy kampanji węgierskiej, w której brał udział pod Bemem, Prus opowiadał o bolesnych przeżyciach z r. 1863-go, gdy, jako 16-letni chłopiec walczył u boku Kurowskiego, a Żeromski w płomiennych słowach mówił o drogach polskiego jutra.

Środowisko szwajcarskie, na które Prus spoglądał zrazu z uprzedzeniem, zdołało rychło przełamać jego nieufność. Opuszczał je, już jako zapalony wielbiciel ducha wolnego kraju.

.....

Dwie pierwsze książki Żeromskiego «Rozdziobią nas kruki, wrony...» i «Opowiadania» ukazały się na półkach księgarskich w Krakowie i Warszawie w roku 1895-ym. Książkę krakowską ukończono wcześniej. Pierwsze jej egzemplarze otrzymał pisarz w lipcu podczas pobytu Prusa, któremu wręczył książkę ze słowami: «To nasze pierwsze dziecko...» Była w tym zwrocie i radość i bolesna aluzja do straty, jaką ponieśli Żeromscy w Rapperswyłu, gdzie na cmentarzu złożone są zwłoki starszego ich synka, Stefanka, zmarłego niemowlęciem.

«Opowiadania» ukazały się w kilka miesięcy później już na schyłku roku 1895-go. Krytyka, mimo zwykle w takich wypadkach rozbieżności sądów, uznała zgodnie, że w szranki piśmiennictwa polskiego wstąpił

talent oryginalny, silny i znamionujący niecodzienną indywidualność artystyczną. Śmiało można powiedzieć, że obu pracami swemi młody pisarz zdobywa sobie odrazu poczesne miejsce w literaturze i zwraca na siebie powszechną uwagę. Poczytność «Opowiadań» i «nielegalnego» cyklu krakowskiego była bardzo duża. Coprawda, ani wśród ogółu czytelników, ani w krytyce nie orjentowano się dostatecznie, że obie książki wyszły z pod jednego pióra. Książkę «Rozdziobią nas kruki, wrony»... jak wiadomo, wydał Żeromski ze względu na bezpieczeństwo osobiste pod pseudonimem Maurycego Zycha. Pseudonimu tego użył jeszcze dwukrotnie, wydając później «Syzyfowe prace» i «Echa leśne». Ów Zych był nieraz przyczyną śmiesznych lapsusów krytyki. Sprawozdawca literacki «Przeglądu Powszechnego» sumienny i inteligentny naogół krytyk, ksiądz Badeni, zamieścił naprzykład w jednym numerze swego pisma obok siebie recenzje z obu pierwszych książek Żeromskiego, przyczem autorowi «Opowiadań» odmówił wielu kardynalnych danych na pisarza, wyposażając jednocześnie we wszystkie te walory Maurycego Zycha, którego książkę potraktował wprost entuzjastycznie. O wiele lepiej orjentowała się w tych sprawach Warszawa, gdzie w sferach krytyki literackiej Żeromski był już znany. Egzemplarze niecenzuralnej książki krakowskiej przedostały się tu dość szybko i w połączeniu z poczytnością «Opowiadań» ustaliły sławę nowego imienia literackiego. W połowie kwietnia 1896 r. Bolesław Prus mógł bez przesady w liście do pani Żeromskiej określić sukces ten w sposób następujący:

Szanowna Pani! Piszę ten list, mając pełne uszy frazesów: — Czytałeś pan Żeromskiego? Czytałeś Zycha? Czytałeś «Żołnierza tułacza»? Spieszę przeto donieść Pani Oktawji, że Jej nadzieje, które wypowiadała mi ongi w Łazienkowskim parku — spełniły się: Pan Stefan jest sławny, sławny na całą Warszawę i gdyby tu był, nie obeszkłoby się bez obiadów «z Żeromskim». Niech Wam Bóg da zdrowie i możność jak najlepszego realizowania tej sławy.

Otóż, co powiem à propos: jeżeli pan Stefan ma coś na warsztacie, niech wyśle na moje ręce, ażebym ja, nie On układał się z wydawcami o honorarium...

Ten ostatni passus powiedziany był naprawdę «à propos»: z materialną realizacją sławy szło opornie. Żeromski nie umiał sprzedawać swych utworów. Za «Opowiadania» otrzymał od Paprockiego 75 rubli, a za «Rozdziobią nas kruki, wrony...» — 75 koron. 75 rb. i 75 kor. za dwie książki, które wniosły do sztuki polskiej nowe pierwszorzędne wartości!

.....

O pracy Żeromskiego, jako bibliotekarza, wiele jest do powiedzenia. Można by o tem napisać oddzielną pracę. Być może, zajmą się tem z czasem bibliotekarze-fachowcy i bibliofile. Tu zaznaczymy tylko, że zajęcie swe pokochał Żeromski bardzo. Dla tak fanatycznego miłośnika książki była to praca zarobkowa

wymarzona, jedyna. Wkładał też w nią cały swój zapał i umiłowanie przedmiotu. Polubił też i pracę muzealną. Niesłychane zamiłowanie do czystości i porządku, drobiazgowość niemal pedantyczna, sumienność rzadka — sprzyjały jego usiłowaniom i pozostawiły zarówno w muzeum, jak w bibliotece chlubny ślad jego czteroletniego pobytu.

Dr. Władysław Kłyszewski w krótkim ale treściwym zarysie działalności Żeromskiego na tej placówce («Tyg. Ilustr.» z r. 1925. N. 49), mówi: «Prace, które wykonał w czasie czteroletniego swego urzędowania, stały się podstawą urzędzenia Muzeum i biblioteki. W dziale bibliotecznym skatalogował wszystkie znajdujące się w zbiorach druki stare, które w ilości 1200 tytułów opisał najbardziej szczegółowo na kartkach i ustawił w dziewięciu tekach 4^o i 8^o i czterech in folio w dolnych szafkach gablot bibliotecznych, gdzie dotąd winny się znajdować. Sporządził całkowity katalog kartkowy zbioru Mickiewicza, t. j. katalog pamiętek, druków, rękopisów, portretów. Katalog ten, poprzedzony przepiękną przedmową Żeromskiego, ukazał się w Krakowie w r. 1898-ym nakładem muzeum rapperswylskiego. Znajdujące się w zbiorach bibliotecznych exlibrysy polskie zostały przez Żeromskiego własnoręcznie naklejone na kartoniki i ułożone alfabetycznie. Uzupełnił, a ściślej mówiąc, w dwójnasób nieomal powiększył katalog kościuszkowski przez zgromadzenie z całego roku jubileuszowego — 1894 — wszelkich druków, ulotów i t. p.; zbiór portretów Naczelnika podkleił na kartony; zbiór rysunków polskich i obcych najdokładniej uporządkował, podając stosowne

objaśnienia na obwolutach, zawierających w układzie alfabetycznym prace każdego artysty. Dział sztychów, drzeworytów i litografij, tak bardzo zasobny w bibliotece rapperswylskiej, podzielił na dwie grupy zasadnicze — polskie i obce, w nich formując poddziały szczegółowe»... «Mapy Polski i obce, ułożone w specjalnych tekach, zostały również przez Żeromskiego pracowicie skatalogowane. W dziale muzealnym urządził był Żeromski własnoręcznie t. zw. pokój Mickiewicza oraz pokój «Przyjaciół Polski».

W bibliotece i w muzeum pracowali państwo Żeromscy oboje. Gdy Żeromski chorował, małżonka wyręczała go w pracy, aby tok zajęć nie doznawał żadnego uszczerbku. Praca to była nieraz bardzo męcząca. Fundusze muzeum polskiego na obczyźnie nie pozwalały nawet na dostateczną ilość służby. Trzeba było własnoręcznie przenosić meble, zawieszać obrazy, ustawiać eksponaty.

Stanowisko swe opuścił Żeromski w sierpniu 1896 roku. Złożyło się na to wiele różnorodnych przyczyn. Najważniejszą była niewąpliwie tęsknota za krajem i chęć realizowania licznych zamysłów artystycznych na gruncie ojczystym w bezpośrednim kontakcie ze społeczeństwem polskim. Był już pisarzem znanym, chciał znaleźć się z powrotem w Warszawie, w centrum ruchu umysłowo-artystycznego, nie zatracić nici wspólnoty z nurtem życia ojczyzny, o którym pisał dotąd i pisać miał do końca życia. Z drugiej strony, rolę swą w Rapperswylu uważał za skończoną. Akcja katalogowania i porządkowania zbiorów bibliotecznych była już zasadniczo przeprowadzona. Dla indywidual-

ności twórczej i czynnej dalsze pozostawanie w pu-
stelni rapperswylskiej miałoby rację bytu jedynie w wa-
runkach, umożliwiających działalność żywą, owocną,
zakreślającą szerokie horyzonty. O działalności takiej
pod ówczesnym kierownictwem muzeum mowy być nie
mogło. Gospodarka rapperswylska była niefachowa, cia-
sna, skostniała, niekiedy oburzająco głupia. Stefan Że-
romski nieraz dawał wyraz swym poglądom na nie-
właściwy kierunek muzeum, nieraz walczył z głupotą
i uporem ciasnych umysłów, rychło jednak przyszedł
do przekonania, że jest to trud daremny. Nie liczono
się z nim. Pomocnik bibliotekarza zbyt nikłą był po-
stacią, by jego głos brano pod uwagę. (Z. Wasilewski
opuścił stanowisko bibliotekarza naczelnego w r. 1893.
Na jego miejsce powołano nie Żeromskiego, lecz p. Ra-
tyńskiego).

Odgłosem tej goryczy i wewnętrznego oburzenia,
z jakim Stefan Żeromski wyjeżdżał ze Szwajcarii, jest
wydana w r. 1912-ym broszura «O przyszłość Rappers-
wylu», związana ze sprawą głośnego w owym czasie
t. zw. procesu rapperswylskiego.

W Rapperswylu łączył Żeromskich bardzo przy-
jazny stosunek z wicedyrektorem muzeum, p. Henry-
kiem Bukowskim. On to polecił następnie Żeromskiego
Tadeuszowi Korzonowi, który w roku 1896-ym po
śmierci Józefa Przyborowskiego objął stanowisko kie-
rownika biblioteki Zamojskich w Warszawie. Wracał
zatem młody pisarz do kraju nie lekkomyślnie czy nie-
opatrznie, lecz z perspektywą zabezpieczonej już po-
sady młodszego bibliotekarza przy Korzonie. Na miej-
sce to wypadło mu coprawda czekać przeszło rok, lecz

zwłoka ta nie zrażała go. Charakter pracy bibliotecznej
tak dalece przypadł mu do serca, że do projektów
«pedagogicznych» nigdy już nie powracał.

Ze Szwajcarii wyjechał autor «Syzyfowych prac»
w połowie sierpnia 1896 r. O dwa miesiące wcześniej
opuściła Rapperswyl jego małżonka, udając się do Na-
łęczowa w celu objęcia posady w zarządzie uzdrowiska
na okres kilku miesięcy letnich. Po jej odejździe Że-
romski odczuwa dojmująco pustkę, jaka go ogarnęła.
Listy jego pełne są smutku, graniczącego z melan-
cholią. Uczucia swe maluje takimi zwrotami, jak:
«Zdaje mi się, że cały świat umarł i że ja sam już
nigdy się nie rozweselę...» «Tak mię serce boli i taki
jestem smutny, jak chyba jeszcze nigdy w życiu... Ni-
gdzie miejsca znaleźć sobie nie mogę, ani się zabrać
do jakiegokolwiek pracy» «...z musu tylko dziś jadłem,
bo tak mi żal. Co chwila ktoś idzie po schodach, ale
to ani Heniusia, ani Ty...» «Może Bóg da, że się za
parę dni uspokoją nerwy przynajmniej i ustąpi bezmyślna
bojaźń, że mnie tu coś złego spotka, że Was już nie
zobaczę». «Boję się okropnie telegramów, ale żałuję
teraz, że Cię nie prosiłem o telegrafowanie z Wiednia
i później». «Nie przypuszczałem, że będzie mi tak
smutno, ani mi przez głowę przeszło, że mię ogarnie
takie zmartwienie. Nie mogę się uspokoić i znaleźć
sobie miejsca. Gdybyś wiedziała, jak to okropnie rano
oczy otworzyć i zobaczyć puste miejsca. Żadna cho-
roba nie może się równać z tym smutkiem». «Dziś
dzień pogodny, ale to mi nic nie pomogło, jak Ty
się spodziewasz w swym kochanym liście». «Mojego
życia pewno niedługo...»

Rozigranych swych nerwów nie może uspokoić aż do wyjazdu. W lipcu pisze: «Leją ciągłe deszcze, wyją wichry od tygodni. Zdaje mi się, że — jak niegdyś — jestem, jak liść, że mię przez nikogo nie odczuwane cierpienia niosą, jak ten wicher i że niema dla mnie ani jednego miejsca na ziemi...» W liście do dr. Rafała Radziwiłłowicza z d. 27 czerwca oblicza swoim dawnym zwyczajem czas, dzielący go od powrotu:... «z całą wściekłością, na jaką tylko stać moje skołatane nerwy — chcę wracać do ojczyzny skołatanej i do żony... Dzień mego wyjazdu — to 15 sierpnia, wieczór, godzina ósma, minut 3, do której to chwili pozostaje mi wytrwać tutaj tygodni siedm, godzinę jedną i minut 6, czyli 49 dni i wyżej wzmiankowaną liczbę godzin oraz minut».

Po powrocie do kraju spędza Stefan Żeromski miesiąc na kuracji w Nałęczowie, poczem wyjeżdża z żoną do Kielc. Zaprowadziła go tam nietylko tęsknota za rodzinnymi kątami. Przywiązanie do świętokrzyskich stron podsunęło mu trudną do zrealizowania ideę pracy na terenie kieleckim, szerzenia oświaty i kultury, tknięcia w małomiasteczkową zaśniedziałość nowego życia za pomocą wydawania dziennika. Sześcioletniowy pobyt w Kielcach (mieszkali Żeromscy w hotelu Polskim) upłynął mu na bezowocnych zabiegach i wykazał całą nierealność tej idei. Zorganizowanie konsorcjum wydawniczego okazało się trudne, porozumienie z redaktorem «Gazety Kieleckiej», p. Sienickim na temat proponowanych przez Żeromskiego reform w starym dzienniczku — niemożliwe. Zabiegi te zbogaciły pisarza o jedno więcej rozczarowanie

i natchnęły myślą stworzenia nowej powieści. Powieścią tą był «Promień». Doświadczenia Raduskiego w Łżawcu — to bezpośredni odgłos przeżyć samego autora. Nawet tragiczna postać doktora Poziemskiego wzięta jest z Kielc. Na Żeromskim nadzwyczaj silne wrażenie wywarła żywa jeszcze pamięć choroby i zgonu zmarłego na krótko przedtem (dnia 24 grudnia 1895 r.) lekarza kieleckiego, doktora Remigjusza Laskowskiego. Był to człowiek młody, powszechnie ceniony i szanowany za swą ofiarną, najczęściej bezinteresowną pracę, spieszący zawsze z pomocą cierpiącym, wspierający ubogich, człowiek rzadkiej szlachetności. To prawdziwie chrześcijańskie pojmowanie posłannictwa lekarza przyprawiło go o straszną chorobę. Wezwany do chorego kamieniarza, zaraził się nosacizną, na którą medycyna nie zna jeszcze lekarstwa. Pogrzeb jego był jedną wielką manifestacją współczucia i miłości wszystkich warstw i narodowości miasta. Wielotysięczny tłum Polaków, Żydów i Rosjan, inteligencji i biedoty — zaległ ulice Kielc, oddając hołd ofierze obowiązku. Losy doktorowej Poziemskiej w «Promieniu» są już wytworem fantazji autora. Tem niemniej musiała na Żeromskim niezatarte wywrzeć wrażenie rzadka, posągowa zaiste uroda prototypu, skoro ją tak wiernie umiał odmalować.

Korzystając z pięknej jesieni polskiej odbywają Żeromscy liczne wycieczki w malownicze okolice miasta. Jedyne do Ciekot nie wybiera się tym razem autor «Puszczy jodłowej». Przygnębiające wrażenie, jakie wywołał w nim obraz ruiny i zniszczenia ukochanych w dzieciństwie pamiątek, powstrzymuje go od tego kroku.

Listopad i grudzień spędza Żeromski w Tworcach w domu swego szwagra, dra Radziwiłłowicza, kierownika zakładu dla obłąkanych. Tu pisze nowelę «Tabu» z wrażeń szpitalnych czerpiąc motyw główny i rozpoczyna «Promień». Nad powieścią tą pracuje przez całą zimę i wiosnę 1897 r. zarówno w Warszawie, gdzie zamieszkał z żoną przy ul. Pięknej (róg Alei Ujazdowskich), jak w Nałęczowie, gdzie pani Oktawja ponownie obejmuje na sezon letni dość intratne stanowisko. Była to konieczność, której niepodobna było uniknąć. Dochody pisarza były wówczas bardzo niskie. Jedynym sukursem finansowym były dlań w tym czasie skromne, ale skrupulatnie i regularnie nadsyłane honorarja wierszowe za druk «Syzyfowych prac», przyjętych przez red. Michała Konopińskiego do odcinka «Nowej Reformy». Rzecz naturalna, nie mogły one zabezpieczyć bytu Żeromskich. Nadomiar złego w czerwcu 1897 r. przechodzi pisarz w Nałęczowie ciężki wypadek influenzy, która mu nadwątlone siły mocno wyniszcza. Starania doktora Chełchowskiego i tym razem uchylają niebezpieczeństwo, ale skłonność do zaziębienia zaostrza się i mści w roku następnym.

Jesienią 1897 r. dojrzewa ostatecznie kwestja objęcia posady w bibliotece Zamoyskich. Związany był z nią tak zwany deputat mieszkaniowy w oficynach pałacu Błękitnego od ul. Żabiej. Lokal ten otrzymali Żeromscy dopiero od Bożego Narodzenia. Po powrocie z Nałęczowa zajmują tedy prowizorycznie warszawskie mieszkanie dr. Radziwiłłowicza w Al. Jerozolimskich, skąd pisarz uczęszcza do biblioteki przed ostatecznym zainstalowaniem się na Żabiej. Lokal w pa-

łacu Zamoyskich otrzymano obszerny, widny i suchy. Żeromski cieszył się nim, jak małe dziecko, ustawiał meble, wieszał obrazy, zżywał się z tym swoim «domem» uczuciami rozbitka, który nareszcie po długiej tułaczce zawinął do bezpiecznej przystani. Tu, u Zamoyskich, jak zapewniał, przeżył swoje najlepsze młode lata. Tu — tworzył «Popioły», największą, najbardziej obok «Dumy o hetmanie» umiłowaną swą pracę. Tworzył ostatkiem sił, wśród tysiąca przeciwności i katastrof, tworzył ostatniem niemal tchnieniem uchodzącego życia, w chwili bowiem, kiedy ostatnie litery «Popiołów» padały na papier, Żeromski, według powszechnej opinji, zdawał się już dożywać dni swoich. Dlatego też tak kochał to swoje dzieło, bo miało to być już dzieło ostatnie... Dlatego tak chciał w niem wypowiedzieć całe swe serce i sztukę.

W bibliotece Zamoyskich pracował Żeromski z Korzonem przez 6 lat do roku 1904-go. Tu przyszedł na świat dnia 8 września 1899 roku jego ukochany nade wszystko syn Adam, którego czasy dzieciinne, w pałacu Błękitnym spędzone, w tak wzruszający sposób opisał zboląły ojciec we «Wspomnieniu o Adamie Żeromskim».

Oddawszy «Promień» do druku w odcinku «Głosu» zagłębia się Żeromski całkowicie w pracy nad «Popiołami». Szczególnie pobudza jego fantazję zdobyty niedawno nieduży, ale bardzo charakterystyczny i niezmiernie dlań użyteczny pamiętnik z czasów napoleońskich Piotra Radziszewskiego. W miarę postępu pracy plan powieści rozrasta się i komplikuje, powstaje

śmiała myśl stworzenia trylogji, zespalającej, niczem klamrą idei niepodległościowej, trzy epoki walk wyzwoleńczych: napoleońską, listopadową i styczniową. Mimo przerw, spowodowanych przez chorobę, pisarz gromadzi wytrwale, a nawet gorączkowo, materiały, pracuje nad «Popiołami» i nad ich dalszym ciągiem, powieścią «Iskry», osnutą na tle wojny z 1830/31 r. równocześnie.

Wogóle, lata, spędzone w bibliotece Zamoyskich, są okresem niezwykle intensywnej i owocnej pracy pisarskiej Żeromskiego. W zestawieniu z Rapperswyłem, czasy warszawskie możnaby nazwać erą zupełnej już dojrzałości jego talentu, zupełnej swobody operowania środkami artystycznymi.

Niestety, był to zarazem okres najfatalniejszego upadku sił fizycznych, okres groźnych przesileń choroby. W styczniu 1898 r., niemal bezpośrednio po zagospodarowaniu się na nowem osiedlu, zapada pisarz na ciężkie zapalenie płuc. W pracy bibliotecznej, która nie mogła leżeć odłogiem, wyręcza go żona. W maju wywozi chorego do Nałęczowa, a sama powraca do zajęć, opuszczonych mimowoli przez męża.

Po ukończeniu druku «Promienia» w «Głosie» zbiera Żeromski gotowe już nowele i opowiadania i wraz z «Promieniem» sprzedaje za 100 rubli u Gebethnera i Wolffa. Cykl ten p. n. «Utworów powieściowych», jako trzecia już książka, ukazuje się jesienią 1898 r... zyskując sobie jeszcze większy poklask i uznanie krytyki. Tegoż roku we Lwowie ukazało się w wydaniu książkowym czwarte z kolei dzieło Żeromskiego «Syzfowe prace», również pod pseudonimem Maurycego

Zycha. Książka wyszła nakładem Tow. Wydawniczego (Domagalskiego). Autor, wskutek trudności finansowych, w jakich znalazła się wymieniona firma księgarska, nie otrzymał za to dzieło żadnego honorarjum.

Jak więc widzimy, mimo ustalającej się sławy wielkiego pisarza, prace literackie na opłakany polskim rynku czytelnicy wciąż jeszcze nie są w stanie zapewnić mu skromnego bodaj bytu. Pozycje wpływów są tak drobne, że w budżecie człowieka kulturalnego uważane być mogą jedynie za jakies nieprzewidziane premium świąteczne na drobne wydatki.

Sytuacja ta ulega zasadniczej odmianie dopiero z chwilą wydania «Ludzi bezdomnych».

Mało mamy pisarzy, którzyby żywo odczuwali współczesność polską i tak głęboko, jak Żeromski, ujmowali wszystkie najbardziej istotne i niepokojące zagadnienia społeczno-narodowe. Pionier lepszego jutra Polski pragnął leczyć i odkrywać wszystkie rany, dobywać z głębi i zdobywać dla sprawy polskiej wszelkie ukryte lub nierozbudzone jej siły. Podkreśliliśmy już poprzednio, że jednym z głównych, a bodaj najpoważniejszym motywem, który wpłynął na powrót pisarza do kraju, był nakaz wewnętrzny nie odbiegania od fali życia polskiego. Chciał trzymać wciąż dłoń czującą na pulsie organizmu narodowego, lękał się o to, czy z czasem uderzenia krwi jego żywej nie staną mu się obce i mało zrozumiałe, tęsknił sercem do tej, jak sam się wyraża, «skołatanej ojczyzny».

Od pierwszej przeto chwili, gdy tylko stopy jego zeszyły znów na ukochane ścieżki ojczyste, nie prze-

staje najczujniej w życie to się wsłuchiwać, jego drgania chwycić i w myśli twórczej ujmować w pewne, sobie jedynie właściwe syntezę. Rzadko, zaiste, spotykany dar obserwacyjny pisarza, jego powaga umysłu, wykształcenie niepowierzchowne i ogromna sumienność badawcza — pozwoliły mu rychło zorientować się należycie w prawdziwej treści polskiej rzeczywistości. Wiemy z jak skromnego tworzywa powstał jego «Promień», w którym umiał zamknąć tyle myśli nowych, własnych, nurtujących, choć rzuconych niejako mimochodem. «Promień» był przecież w powieści współczesnej Żeromskiego jedynie przygrywką. Był pierwszą próbą rzucenia w świat polski tego wstrząsającego do głębi snopa światła, w których ukazać się miały rzeczy i sprawy dotąd niedostrzegane i w mroku ginące.

Polski świat robotniczy! Upośledzony, biedny, ciemny — i dlatego tak mało polski, tak luźno swą wspólnotę z krajem i narodem odczuwający. Mniej może ciemny, niż chłop, ale własnym zagonem z ojczyzną niezwiązany — i dlatego dla spraw jej obojętny, niekiedy całkiem obcy.

W te mroki nizin nie od dziś i nie od wczoraj spoglądał czujny wzrok Żeromskiego. Widzieliśmy go jeszcze przed laty, jako młodego chłopca, w salach fabrycznych przy pracy oświatowej i uświadamiającej, gdy się mozoli, jeden z nielicznych, nad wzmocnieniem tych więzi, które polskiego robotnika ze sprawą polską łączyć mają. Nie zadziwi nas przeto, gdy teraz pierwszym jest bodaj pisarzem w polskiej literaturze, który robotnika do niej wprowadzi.

Cały ten splot zagadnień, przez kwestję robotniczą wysuniętych, odnajdujemy w jego «Ludziach bezdomnych».

Pisze tę książkę nie doktryner, ale człowiek. Pisze współczujący bliźni. Pisze rozumny, przewidujący Polak.

I tutaj musimy rzec słów kilkoro na temat, który ludzi o inteligencji miłąkłej wciąż jeszcze wulgarnie a bezcelowo interesuje.

Tłum zna tylko przeciętność. Dla tłumy indywidualności — to wielkie niewiadome. Dlatego też, jeśli nie może przejść ponad niemi do porządku dziennego, zgarnia je zwykle pod jakiś strychulec, wdławia w ciasnotę pewnego szablonu, pragnie par force ozdobić wyraźną etykietą, zrozumiałą i dostrzegalną w wąskim polu widzenia. To dopiero daje mu złudzenie, że indywidualność daną pojmuje i zna.

Z tych źródeł wypływa nieraz owa pochopność do zaliczania jednostek tej miary, co Stefan Żeromski, do tego czy innego obozu i nadawania im tej lub innej barwy polityczno-społecznej.

Tkwi w tem wielkie nieporozumienie, które tu choćby w części wyjaśnić należy.

Za Żeromskiego mówi jego twórczość. Ona to przedewszystkiem i najdobitniej przekonywa nas o jednej prawdzie jasnej i niezbitej: był to wielki Polak, ofiarny, wszystkie troski i cierpienia ojczyzny najgłębiej odczuwający patryjota. Patryjota w najczystszej, najprostszym i najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Nigdy w ciągu całego życia nie należał do żad-

nego ze stronnictw politycznych. Jego niezwykle szeroki horyzont pojmowania obowiązków Polaka i artysty nie mieścił się w ciasnych ramach żadnej niewolniczo wyznawanej doktryny, — jego indywidualność nie nadawała się do skromnej roli szeregowca, postępującego karnie po szlakach partyjnej dyscypliny.

Był wielkim demokratą. Głosił zasady, które mu dyktował nakaz poczucia sprawiedliwości. Dobywał z serca wołanie gromkie i krwawą łzą nabrzmiałe o Polskę lepszą, zdrowszą, promienniejszą — i wszystko, co w tej myśli było poczęte, z jakiegokolwiek wyszło środowiska, z którejkolwiek grupy, znajdowało w jego piersi odzew mocny i grało na strunach pieśni twórczej, jak na najczulszym instrumencie. Człowiek taki, zwłaszcza artysta, nie mógł być nigdy partykularną grupy jakiejś własnością. Należał do całego narodu i tylko pod tym kątem widzenia oceniać go możemy.

Nazwisko Żeromskiego jest dziś synonimem wielkości. Nie dziw, że tu i ówdzie daje się zauważyć dążenie do przyozdobienia niem tych czy innych sztandarów.

Są to usiłowania płonne.

Był czas, kiedy Żeromski stał blisko grupy «Głosu», był okres (głównie podczas tworzenia «Ludzi bezdomnych»), gdy łączyły go związki przyjazne z wielu czołowymi osobistościami kierunku lewicowego, — padały później pod adresem pisarza z łamów «Robotnika» gorzkie a niezasłużone zarzuty zaprzaństwa i wsteczności, odmawiano tam nawet prawa do polemiki owemu «współpracownikowi «Rzeczypospolitej»; — był nie tak dawno smutnej pamięci zamęt o jego niedokończone

dzieło ostatnie, zamęt niepoczytalny, który mu był karmieniem do grobu.

Nie wynika stąd przecie, by Żeromski mógł być zarazem narodowym-demokratą i socjalistą, komunistą i pravicowcem, zwłaszcza, jeśli zważymy, że światopogląd twórcy «Dumy o hetmanie» nie ulegał w ciągu życia żadnym kataklicznym załamaniom i metamorfozom.

Adoptowanie Żeromskiego jest tedy zbyt trudne.

Szczerzy i poważni pisarze socjalistyczni, jak J. Grabiec i St. Posner, wspominając czasy największego zbliżenia z Żeromskim, zaliczają go w tym okresie życia conajwyżej do t. zw. «sympatyków». Mają słuszność. Żeromski był istotnie «sympatykiem» każdej idei, która sama w sobie jest czysta i wzniosła, — tak, jak był wrogiem wszelkiej demagogji, gnuśności i handlu zasadami. Może dlatego w żadnym ze stronnictw nie szukał kapliczki.

Był sobą i tylko sobą.

I dlatego na nazwisku Stefana Żeromskiego nikomu po wsze czasy nie uda się nakleić własnej etykiety.

Lato i jesień, zimę i wiosnę roku 1898/9-go poświęca Stefan Żeromski bez wytechnienia «Popiołom». Pracuje jednocześnie nad wielką powieścią z czasów powstania listopadowego, która miała nosić tytuł «Iskier». Przeprowadza do niej gruntowne studia po bibliotekach, rozkłada olbrzymi warsztat historyczny. Jednocześnie dźwiga w umyśle niepokojące brzemie polskiej powieści współczesnej. Wreszcie z wiosną 1899-go roku decyduje się na odsunięcie w przyszłość

ukończenia cyklu historycznego. Wie, jaki ogrom pracy jeszcze go czeka w tej dziedzinie, pojmuje, że od upragnionego finału dzieli go jeszcze szmat czasu. Pomysł powieści współczesnej staje się dlań na pewien czas sercu bliższy, zagadnienia, jakie w niej ma poruszyć — bardziej naglące. Może nie będzie niedyskrecją, gdy zdradzimy, że wpłynęły na tę zmianę kolejności prac w pewnej mierze i sprawy osobiste pisarza. Wspominaliśmy poprzednio, że we wrześniu tego roku przyszedł na świat Adaś Żeromski. Oczekiwane skomplikowanie się potrzeb i obowiązków domowych, wobec dalekiej jeszcze realizacji powieści historycznej, skłoniło Żeromskiego do niezwłocznego przystąpienia do pracy nad «Ludźmi bezdomnymi».

Historja tej powieści ma charakterystyczny epizod wstępny. Autor latem 1897 r. w drodze powrotnej z Nałęczowa spędził pewien czas w gościnie w Dąbrowie Górniczej u siostry ciotecznej Marji z Saskich Albrechtowej, małżonki inżyniera gór. Andrzeja Albrechta. Już wówczas niepokoiła go myśl stworzenia powieści, której zasadniczym motorem i dźwignią miał być świat pracy. Z wielką tedy uwagą i zajęciem zwiedzał kopalnie, Hutę Bankową, szereg fabryk całego Zagłębia i badał warunki życia klasy robotniczej. Bezpośrednio potem nakreśla sobie zasadniczy plan powieści z tytułem «Hutnik» i projekt swój roztrząsa nieraz w kołach literackich. Gdy jednak w rok później Artur Gruszecki pospiesza z wydaniem własnego «Hutnika», Żeromski zmuszony jest porzucić pierwotne tło powieści. Zmienia plan, sytuację, postacie i... postanawia nigdy się już nie zwierzać.

«Ludzi bezdomnych» pisał Żeromski z rzadkim zapałem i łatwością. Powieść splotła się na papier niejako wprost z duszy, bez trudności, przeróbek i zniechęcenia. Ukończył ją w ciągu paru miesięcy.

Pierwszy nakład nabył p. Bronisław Natanson, reprezentujący zawiązek organizującego się wówczas Towarzystwa Wydawniczego. Zapłacił za prawa druku jednego tysiąca egzemplarzy (na większy nakład odważano się wtedy z trudem) sumę w polskich stosunkach wydawniczych rzadko spotykaną, a dla Żeromskich poprostu nieprawdopodobną: 1000 rb. Cały tysiąc rubli! Żeromski nie posiadał się z radości, nie wierzył swemu szczęściu, wydawało mu się rzeczą niewiarygodną, aby on mógł tyle zarobić. Bronisława Natansona uważał za filantropa i miał poważne wątpliwości, czy wypada mu to «oszałamiające» honorarium przyjąć.

Rzeczywistość przekonała go rychło, że umowa z p. Natansonem nie była ze strony wydawcy filantropją, lecz zwykłą, rozumną transakcją handlową, z tą różnicą, że była to transakcja uczciwa, pozbawiona intencji wyzysku. Nie upłynęło i dwa miesiące, gdy odwiedziła Żeromskich p. Marja Reuttówna, współpracowniczka firmy nakładowej Fiszera (gdzie był skład główny «Ludzi bezdomnych»), z poufnym ostrzeżeniem, że rozgłosna powieść Żeromskiego jest rozchwytywana, egzemplarze dwutomowej książki są już na wyczerpaniu i autora lada dzień oczekują wizyty wydawców i propozycje, dotyczące drugiego wydania. Należy się więc «trzymać».

Istotnie, w kilka dni później złożył Żeromskim

na Żabiej wizytę p. Fiszer z ofertą drugiego wydania za 300 rb. Głośny pisarz polski, którego imię powtarzały już tysiące ust, był wtedy bardzo chory. Dzień przedtem miał krwotok. Z sypialni swej jedynie przysłuchiwał się z przerażeniem, jak pani Oktawja odrzuca propozycję, żądając tej samej sumy, co i za pierwsze wydanie. — Coś ty uczyniła? — szepnął do żony z wyrzutem. — Nam tak bardzo pieniędzy potrzeba, a on już nie wróci. — Nie lękaj się, wszystko będzie dobrze, — uspokajała chorego małżonka. W godzinę później w salonie Żeromskich siedział p. Józef Wolff i odliczał kwotę tysiąca rubli za drugie wydanie «Ludzi bezdomnych».

Nawet wtedy Stefan Żeromski nie wierzył i nie pojmował, że wrota sławy stały już przed nim naocześnie otwarte, że stworzył dzieło pomnikowe i należał do ludzi największych w narodzie...

W kilka dni później, w grudniu 1899-go roku, spotkała go jedna z najboleśniejszych życiowych katastrof. Drzwi mieszkania pisarza otworzyły się z łoskotem i do cichej przystani twórcy «Ludzi bezdomnych» wdarła się żandarmerja rosyjska. Rozpoczęto jedną z najokrutniejszych, najbardziej bezwzględnych rewizyj, podnoszono chorego z łoża, przetrząsano kołyskę Adasia.

Po odejściu żandarmów bezsilne łkanie wydarło się z piersi pisarza. Rękopisy «Popiołów» i w trzech czwartych opracowana powieść «Iskry» — owoc wieloletniej pracy, marzeń, rozkoszy twórczej — wszystko

to znikło w tekach siepaczy. Rozpacz Żeromskiego nad stratą «Popiołów» nie miała granic. Przyszły bezsenne noce, boleść nieukojoną, niechęć do pracy, okres beznadziejnego smutku.

Nie upadała na duchu jedynie pani Oktawja. Wydeptywała żandarmskie progi, błagała, tłumaczyła. staczała z nieugiętym, chociaż uprzejmym szefem żandarmerji, von Płoto i jego brutalnym adjutantem, Pietuchowem, walki słowne i w rezultacie prawie cały materiał «Popiołów» po kartce, po arkuszu — zdołała wyrwać z ich rąk. Niestety, rękopisu «Iskier» nie zwrócono. Rok 1830/1 był bardziej na indeksie, niż czasy napoleońskie, więc, stwierdziwszy jedynie tło akcji powieściowej, rękopisu nawet nie tłumaczono. Przepadł w archiwach ochrony.

Fatum jakieś zawisało nad nieszczęsnymi «Popiołami» i tak przywiązany do tej powieści ich autorem. W parę lat później zrekonstruowany po szczerebach żandarmskich rękopis dostał się znów do rąk żandarmów lubelskich po rewizji w Nałęczowie. Lublin obszedł się z «Popiołami» jeszcze gorzej, niż Warszawa. Kilkanaście wykończonych rozdziałów zakwestjonowano i zatrzymano. Dzieło swe musiał Żeromski znów po raz drugi otwarzać, uzupełniać i leczyć.


«Iskier» nie napisał już nigdy. Nosił się jeszcze z tą myślą aż do roku 1911. Po wyjeździe do Paryża przeprowadzał do tej powieści nowe, szeroko zakreślone studia, jeździł do Anglii, na wyspę Yersey, badał życie i działalność Stanisława Worcella, ale swego wielkiego pomysłu literackiego nie zdążył zrealizować. Nowe koleje życia w inną skierowały go stronę.

Data wydania «Ludzi bezdomnych» jest tą granicą, którą zakresliliśmy sobie, chcąc odtworzyć dzieje domu, dzieciństwa i młodości Stefana Żeromskiego. Dzieło to czyni go sławnym i wprowadza w progi lat dojrzałych. Odtąd Żeromskiego już znano, odtąd, jak zaznaczyliśmy na wstępie, żaden krok jego nie uszedł uwagi świata sztuki, świata nauki.

Nakreślona tutaj, w miarę sił i środków, sylwetka wielkiego pisarza, maluje go takim, jakim był naprawdę. Z jego życia, listów i dzieł wyrasta ku nam wyraźnie ta postać cicha, skupiona, oddana trudom niewytchnionym. Postać posępna może, ale, pod pozorami zewnętrznej surowości, kryjąca w piersi cały bezmiar uczuć i entuzjazmu.


Starości nie dożył. Padł na swym posterunku, Polsce służąc i z Polską w sercu.

Niechże mu szumią puszcze jodłowe, niwy zbożne, niech pieści jego mogiłę daleki wiatr od morza, niech ją spowiją miłośnym uściskiem kwiaty polskie—wszystko, co tak nadludzko ukochał..



DWÓR W NIEZDOŁACH

WĄTEK RZECZYWISTOŚCI W «WIERNEJ RZECIE»





JÓZEFATA Z ŻEROMSKICH JANOWA SASKA
W STARSZYM WIEKU, JAKO NARRATORKA
WĄTKU POWIEŚCIOWEGO «WIERNEJ RZEKI»



JAN I JÓZEFATA Z ŻEROMSKICH SASCY
Z RUDY ZAJĄCZKOWSKIEJ Z NAJSTARSZYM
SYNEM TEOFILEM (PAŃSTWO RUDECCY
Z «WIERNEJ RZEKI». DAGEROTYP Z 1857 R.)

Chciałbym przesłać Ci ostatnią swą powieść na tle Rudy osnutą, a z opowiadań ciotki Józefy Saskiej, Twojej Babki, poczerpniętą p. t. «Wierna rzeka». Ale tylko niecenzuralne jej wydanie jest coś warte, a tego nie ryzykuję, bo pewnieby nie doszło. Zresztą, znasz to może, bo to dziś głośne. Zamiast tedy książkę przesyłam Ci moją ostatnią fotografię z prośbą o przyjęcie jej, jako od krewniaka i starszego pismaka...

(Urywek z listu Stefana Żeromskiego do autora tej pracy).

Mało jest szczerze artystycznych utworów literackich, któreby nie posiadały swego prototypu w życiu. Każde z dzieł poważniejszego twórcy jest odbiciem, choćby częściowym, pewnej rzeczywistości, przesączonej przez pryzmat jego talentu. Rzeczywistość, pozornie tak jałowa i szara, ze swemi cichemi tragedjami, powikłaniem najróżnorodniejszych kolizyj i siłą prawdy życiowej — jest najwdzięczniejszą mistrzynią poety. Dostarcza mu ona, jeśli już nie samego wężła dramatycznego, to w każdym razie żywych ludzi i wiernych charakterów. Dzieło poety, wysnute wyłącznie z wyobraźni, na żadnym wypadku lub postaci rzeczy-

wistej nieoparte, rzadko zasługuje na tę zaszczytną nazwę. Jako emanacja ściśle mózgową, jest zwykle martwe, nie przemawia do dusz i, pomimo najbardziej choćby mistrzowskiej ekspresji artystycznej, pozbawione jest siły wyrazu.

Poznaniu genezy wybitnego dzieła literackiego historyk literatury poświęca zwykle wiele uwagi. Czyni słusznie. Wykrycie tych czynników, które się stały bodźcem do podjęcia danej pracy, pozwala nam najlepiej orjentować się w psychice artysty i w rodzaju jego wrażliwości twórczej, która reagowała na te właśnie, a nie inne przejawy życia. Odsłonięcie rzeczywistej kolizji dramatycznej, która nań oddziaływała, odszukanie i charakterystyka prawdziwych postaci, które były prototypami jego późniejszych bohaterów, zdradza najlepiej metody twórcze.

Co z minionego dramatu artysta wziął, w jaki sposób go przebudował, jak sytuacje rzeczywiste odwrócił? Odpowiedź na te pytania ilustruje dosadnie zarówno zgóry powzięty zamysł konstrukcyjny, jak samą intencję artystyczną, a nadto, co najważniejsze, filozoficzno-społeczną czy narodową ideologję poety, którą ten ramami swego dzieła tendencyjnie starał się objąć i pomieścić.

Jeśli chodzi o Żeromskiego, artystę o tak szerokiej skali twórczej, najgłębszego z ideologów współczesnej literatury polskiej, geneza jego dzieł ma wagę wyjątkowo doniosłą, zwłaszcza jeśli się zważy, że czynnik rzeczywistości w utworach jego grał rolę bardzo wybitną. Zawodowy historyk w niejednym dociekaniu znajdzie tą drogą cenną wskazówkę i wyjaśnienie w tak

trudnej i skomplikowanej pracy, jaką będzie gruntowna analiza dzieł tego Hetmana dusz polskich.

Osnowę do swych pomnikowej wartości utworów Stefan Żeromski czerpał bardzo często z bogatej tradycji dworów polskich i z opowieści rodzinnych, opartych na zdarzeniach prawdziwych lub podaniowych, czy zgoła na starą legendę zakrawających. Te opowieści rodzinne, zasłyszane wrażliwym uchem dziecka, znalazły później pośrednie lub bezpośrednie odbicie w jego wielu pracach i rozsiane są, niczem ziarenka różańca, po kartach: «Popiołów», «Ech leśnych», «Wiernej rzeki», «Syzyfowych prac», «Urody życia» i t. d.

Niewątpliwie wiele słuszności jest w spotykanem niekiedy zdaniu krytyków, że z bogatej twórczości Żeromskiego palmę pierwszeństwa należałoby przyznać «Wiernej rzeki». Jest to, istotnie, dzieło najbardziej może ze wszystkich zwarte, skończone, skonstruowane z należytem zachowaniem proporcji i równowagi i silnie a bezpośrednio przemawiające do czytelnika. Wyjątkowe zalety tego utworu tłumaczy się łatwo tem, że Żeromski wyrósł niejako na gruncie epoki 1863-go roku i nią się wykarmił. Urodzony w r. 1864, wzrastał od dziecka, jak to już w pracy tej podkreśliliśmy, w niezmiernie żywych tradycjach dopiero co stłumionego powstania, własnymi oczyma patrzył na niezabliźnione jeszcze rany i nieprzebolełe straty w najbliższej swej rodzinie i oddychał, rzecz można, tą atmosferą niewygasłej, wysoce szlachetnej egzaltacji, jaka przesyciała nawskróś umysły całego otoczenia. Zważyć przytem należy, że to napięcie uczuć w okolicach, gdzie się Żeromski urodził i wychowywał (Strawczyn pod Mało-

goszczą, Ciekoty w górach Świętokrzyskich), było niezwykle silne. Okolice Małogoszczy były w roku 1863-im jednym garnkiem wrzątku, jednym łańcuchem zgiełku bitw i potyczek, jednym wielkim pobojowiskiem, gdzie topniały doszczętnie w postojach wojsk całe fortuny osiadłych tam rodzin, ginęła młodzież, marnieli w więzieniach ojcowie.

Na terenie tego wielkiego pobojowiska był Strawczyn, dom ojca pisarza, Wincentego Żeromskiego, była tuż obok Ruda, dom jego rodzonej siostry, Józefaty z Żeromskich Janowej Saskiej, był cały szereg zaprzyjaźnionych i spokrewnionych dworów, które wojna doprowadziła do częściowej albo zupełnej ruiny.

Z ust swego ojca, Wincentego, a zwłaszcza z ust ciotki swej, pani Józefaty, która w roku 63-im w okolicach tych stała niejako na świeczniku pracy miłosierdzia, słuchał Żeromski, jako młody chłopiec, tej łzami nabrzmiałej martyrologji i we wrażliwym umyśle zapisywał płomiennymi głoskami krwawą kronikę nieszczęsnego powstania. Ona opowiadała mu tragedję swego matczynego serca (trzech synów w powstaniu), kiedy chowała szczątki rozsiekanego przez Kozaków 16-letniego syna, od niej dowiedział się przedziwnych dziejów miłości młodej Anieli Lubowieckiej i Jana Potubińskiego, które tak żywo zapisały się w pamięci rodzinnej, że je każdy z nas słucha od dziecka, opowiedane po wielekroć z upodobaniem i rzewnością.

Historja ta prawie w całości, z pewnemi jeno zmianami w rozwiązaniu i pewną różnicą w postawieniu figur — znalazła swe odbicie w «Wiernej rzece». Urok nierozwiązanej do dzisiaj tajemnicy, jaki otaczał



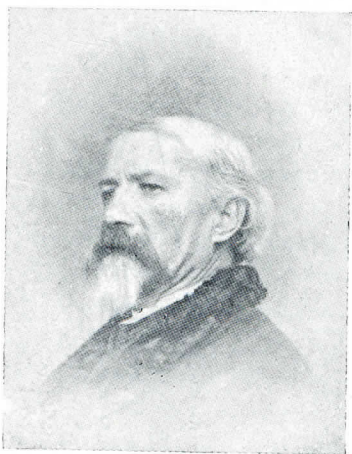
DOMINIK HR. SASKI, UCZESTNIK
POWSTANIA LISTOPADOWEGO,
EMIGRANT, ZMARŁY W DIJON
(RZEKOMY UPIÓR DOMINIK Z «WIERNEJ RZEKI»)



KAJETAN SASKI, UCZESTNIK
KAMPANJI WĘGERSKIEJ,
GENERAL I MARG. GRECKI,
ZMARŁY W ATENACH



WIKTORYN SASKI, KAW. ORD. «VIRTUTIMILITARI»
Z BITWY POD GROCHOWEM, ŻONATY KOLEJNO
Z LUDWIKĄ I MATYLDĄ ŻEROMSKIMI, Z BRATEM
STANISŁAWEM (DAGEROTYP Z 1852 R.)



KAROL SASKI, GARIBALDCZYK,
ART.-MALARZ, ZMAREY W LUGANO

tę starą tragedję, pociągał Żeromskiego oddawna. Temat ów począł opracowywać jeszcze w okresie tworzenia «Popiołów», a ostatecznie wykończył i wydał w postaci dzisiejszej dopiero w r. 1912.

W zasadniczym zarysie dwór w Niezdołach nad rzeką Łośną był dworem w Rudzie Zajączkowskiej, położonym nad drobną rzeczką, noszącą tę samą, co w powieści, nazwę; państwo Rudeccy — to Jan i Józefata z Żeromskich Sascy, wujostwo autora powieści; synowie Rudeckich (Juljan, Ksawery i Gustaw), biorący udział w powstaniu — to Zygmunt, Ksawery i Gustaw Sascy, bracia cioteczni Żeromskiego.

Jakąż była ta rzeczywistość?

Jan Saski (pan Rudecki) istotnie, za udowodniony mu udział w akcji konspiracyjnej, pozostawał od początków powstania w więzieniu w Kielcach. Po roku zgórą uwolniono go stamtąd (Czengiery wziął za to 10 tysięcy rubli) złamanego fizycznie i tak schorowanego, że w cztery lata później w r. 1868, jako niestary jeszcze mężczyzna (miał lat 59) życia dokonał. Rudecki, u Żeromskiego przeciętny poczciwy szlachcic, — w życiu, jako Jan Saski, był człowiekiem, równie, jak jego bracia, o uniwersyteckim wykształceniu i światłym obywatelem kraju. Posiadane przez piszącego te słowa niektóre jego rękopisy świadczą o polocie umysłu i szerszym horyzoncie pojęć. Młodzieńcem, wspólnie z dwu rodzonymi braćmi — Dominikiem (jeden z podchorążych z nocy listopadowej) i Wiktorynem — brał udział w powstaniu 1830/31 r. Młodszy ich brat, Kajetan, walczył pod Bemem w r. 1848-ym. Zarówno Dominik, jak i Kajetan, poszli na tułaczkę emigracyjną,

która wyniosła ich z czasem na czoło przybranych społeczeństw¹⁾. Jeden ze stryjecznych ich braci, Ryszard, zesłany po roku 1831-ym do kopalń na Kaukazie, zakończył życie przy taczce; drugi, Karol, znany Garibaldczyk i artysta-malarz, spoczywa w Lugano; synowiec, Sylwerjusz Saski, zginął w r. 1863-im pod Marjampolem.

Po uwięzieniu Jana Saskiego na straży domowego ogniska pozostała dzielna jego małżonka, pani Józefata. Poświęcimy jej nieco uwagi. Była to kobieta, licząca w owym czasie lat 48. Z rodzinnego domu, jak to już na innem miejscu podkreśliliśmy, wyniosła, nawyknięcia nieco rozrzutne i usposobienie beztroskie, humor isticie polski i niechęć do myśli o jutrze. Zachowując całkowicie godność kobiety, jako żony i matki, umiała się bawić i bawiła się prawie całe życie. Była,

¹⁾ Dominik Saski wyemigrował po upadku powstania listopadowego do Francji. Tam na dworze Ludwika Filipa dosłużył się wybitnego stanowiska i otrzymał tytuł hrabiego. Zagorzały bourbonista usunął się za Drugiej Rzeczypospolitej i za Napoleona III-go w zacisze domowe i zmarł w Dijon. Córka jego, Tekla-Matylda wicehr. de Poncharra-Saska, mieszka w Paryżu; syn, Kacper-Ludwik hr. Saski, generał armji francuskiej († 1913 r.), był wybitnym autorem dzieł strategicznych. Jego córka, Helena, wyszła za mąż za ks. d'Alençon.

O rękę pani Józefaty starał się wraz z Janem Saskim nie jego brat Dominik (jak w «Wiernej rzece»), lecz jej brat cioteczny, Karol Mecherzyński.

Kajetan Saski po kampanji węgierskiej osiadł w Grecji. Jako generał wojsk greckich, obdarzony był również za zasługi w walkach o zjednoczenie Grecji (stracił w nich obie nogi) przez Jerzego I-go tytułem rodowym. Zmarł w Atenach. Dzieci jego uległy zupełnej hellenizacji.

jak wiemy, niezmordowaną organizatorką hucznego wiejskiego karnawału, starościna kuligów, urządziła zabawy i przyjęcia, — dom jej wrzał, zawsze pełen gości. Nadszarpnęła tem nieco fortuny, ale nie usłyszała nigdy wyrzutu. Mąż nazywał ją słońcem swego życia, bo też byli naprawdę małżeństwem dobranem i szczęśliwem. Panią Józefatę uwielbiała cała okolica za jej dobroć, uczynność i niewyczerpaną pogodę. Pogoda ta i szlachecki humor były wadą, czy też zaletą, całego zresztą rodu Żeromskich i cechowały w stopniu wybitnym ojca pisarza, Wincentego. Skupione, a niekiedy posępne usposobienie swe Stefan Żeromski odziedziczył raczej po matce, osobie chorej i cierpiącej. Reszty dopeśniło życie.

Pani Józefata, oprócz tych cech, wyniosła z domu dużo poczucia taktu, nieco właściwej Żeromskim dumy i znaczny zasób odziedziczonego po przodkach patryjotycznego hartu, który w momencie próby umiał uczynić z niej prawdziwą Spartanę.

Widzimy stąd, że typ domu Saskich charakterem swym stało kilka stopni powyżej skromniejszej znacznie roli, jaką Stefan Żeromski wyznaczył w powieści swoim Niezdolskim. Zobaczymy niebawem, że vice versa i Połubińscy, acz istotnie zubożali kresowi kniaziowie, dalecy byli od tego szczebla pychy rodowej, w jaką wyposażeni są przez autora Odrowążowie z «Wiernej rzeki». Stworzenie tej różnicy potrzebne było Żeromskiemu dla łatwiejszego uwypuklenia koncepcji artystycznej i ideowej, tudzież dla uprawdopodobnienia konfliktu, który był główną jego powieści pointą.

Ruda Zajączkowska (Niezdoly), w której mieszkali

Sascy, nie była ich własnością. Były to duże dobra rządowe (Ruda i 9 folwarków), których wydzierżawienie przedstawiało taką intratę, że warto było sprzedać własne Mieronice ¹⁾ dla objęcia tej obszernej gospodarki. Lasy, gorzelnia, 7 propinacyj i ileś tam włók ziemi ornej — był to kompleks do prowadzenia trudny i kłopotliwy nawet dla męskiej ręki. Tymczasem po uwięzieniu męża kłopoty te spadły wyłącznie na barki pani Józefaty, kobiety, która dotąd życia nigdy nie brała poważnie, a swoim dziesięciorgu pociech poświęcała dotychczas tyle tylko czasu, ile go zabrać mogła przelotna pieszczoła. Bony i gubernierów stworzono wszak na to, by matki nie były piastunkami.

Jani Józefata została zupełnie sama. Najstarszy syn, Teofil, był na studjach rolniczych w Czechach i podróżował po Europie; trzej dalsi: Zygmunt ²⁾, Ksa-

¹⁾ Nabyli je Olszowscy ze Złotnik, rodzice obecnego posła polskiego w Berlinie.

²⁾ Zygmunt Saski walczył początkowo pod Kurowskim. Niebawem jednak przeniósł się do Warszawy, gdzie wraz z ciotecznym bratem swym (również ciotecznym bratem Stefana Żeromskiego), Antonim Schmidtem, należał do organizacji terorystycznej. W małym pokoiku przy aptece Karpińskiego przy ul. Elektoralnej mieli pracownię bomb Orsiniego, użytych pierwszy raz przy zamachu na namiestnika Berga. Aresztowany po nieudanym zamachu Antoni Schmidt (wraz z Landowskim i Krasuskim), skazany był na śmierć przez powieszenie i ułaskawiony z Landowskim na rusztowaniu. Krasuskiego powieszono. Ułaskawienie to (z dożywotnią katogą na Sybirze) uzyskała dla Schmidta i swego syna pani Landowska, która jeździła w tym celu z córką do Ems, gdzie obie w parku w obecności wielu koronowanych głów padły do nóg przebywającej tam na kuracji

wery i Gustaw znaleźli się w szeregach powstańczych. Młodszą dziewczynę odesłano ze szkół na czas zawieruchy do domu, a w kołysce była jeszcze roczna dziewczynka.

I, mimo wszystko, wytrwała i przetrwała. Nie mogła zapobiec ruinie gospodarstwa, wyczerpała wszelkie zasoby pieniężne, ale ocaliła dom, rodzinę i posterunek, pozostawiając po sobie imię naprawdę zaszczytne. Przywdziawszy żałobę, pełniła święte dzieło miłosierdzia w lasach, gdzie były obozy polskie i na pobożowskich przy rannych i u grzebania poległych. Siły jej dwoiły się i troiły. Zdało się, że gdy najukochańszy jej chłopiec, Guccio, dzieciak jeszcze, znikł z domu, uciekając do oddziału Kurowskiego (później był pod Chmielińskim), złamie to jej energję. A jednak i to jej nie zmogło. Przeboleła i nad miarę okrutną śmierć tego chłopca, pogrzebała go i... wróciła na stanowisko, bo miała przecie inne obowiązki.

Gdy śpichrze, gumna, owczarnie i obory były już próżne i wyniszczone do cna postojami obu walczą-

żony Aleksandra II-go. Zaambarasowana carowa Marja Aleksandrowna, przyrzekła uczynić wszystko, byle tylko przeciąć kłopotliwą sytuację. Ułaskawienie, według znanej praktyki rosyjskiej, miało przyjść na plac kaźni już po egzekucji. Wydobył je jednak z kancelarii hr. Berga podstępem oficer rosyjski ks. Zankis (Gruzin), wzięty w swoim czasie do niewoli przez Landowskiego i puszczony na słowo, że więcej przeciw Polsce walczyć nie będzie. Słowa dotrzymał i osobiście przywiózł ułaskawienie w chwili, gdy Schmidt i Landowski mieli już stryczki na szyjach i kaptury na twarz opuszczone, a Kurowski już nie żył. (17 sierpnia 1864 r.).

cych stron, musiała zabiegać o przywóz prowiantu z dalszych okolic, bo i tym i tamtym trzeba było przecie dać wszystko. Jedni mówili bowiem: — Daliście swoim, dajcie i nam! — a swoi: Dla Moskala starczyło, a dla nas nie będzie?!

Więc dawano, bo Moskal groził pożogą, a sztyrdstwo swoich zbyt gorzkie było do strawienia.

Ową posągowością, do jakiej postać ta urosła w obliczu groźnej chwili, nie obdarzył Żeromski swej pani Rudeckiej. W jego koncepcji artystycznej cecha ta byłaby pewno zawadą, a zresztą, dziwne to, a jednak prawdziwe, pióro jego nie odmalowało nam ani jednej kobiety o zakroju heroicznym.

Śmierć 16-letniego Gucia, który wraz z bratem Ksawerym po rozbiciu oddziału Chmielińskiego w bitwie pod Rudnikami uciekał przez Secemin, odmalował Żeromski jak najwierniej. Przez obszerny, pokryty kretowiskami wygon obaj bracia, pochyleni na kulbaskach, uciekali przed sotnią Kozaków. Tak samo owo nieszczęsne ciele wpadło pod nogi Guciówego rumaka, chłopiec stoczył się i w oczach oniemiałego z bólu brata posiekany został na sztuki. Szczątki poległego młodzieńca zebrali obywateli okoliczni, a matka kawały ciała ukochanego dziecka własnoręcznie zgarńawszy później w obrus ułożyła do trumny i pochowała na cmentarzu secemińskim.

We dworze rudzkim mieszkał jednak ktoś, kto wszystkie troski i bóle dzielił z nieszczęśliwą matką. Była to panna Aniela Lubowiecka (Salomea Brynicka), córka Wojciecha i Izabelli z Olszowskich, dziewczę młode, miernej podobno urody, obdarzone jednak nie-

zwykłym wdziękiem młodości i słodyczą charakteru, podnoszącą jej urok zewnętrzny. Bliska krewna Saskich (ojciec jej przez Wysockich był ciotecznym bratem Jana Saskiego), Anielka nie należała bynajmniej do kategorii tak zwanych «biednych kuzynek»-popychadeł, ani nie była Saskich wychowanką. Tak się już jednak złożyło, że przebywała w Rudzie miesiącami i lepiej się tu czuła, niż w domu ojca, ziemianina z Sandomierszczyzny, owdowiałego oddawna. Gdy w okolicach Małogoszczy wszystko poczęło wrzeć, odrzuciła namowy schronienia się do domu ojca w strony spokojniejsze i została u boku pani Józefaty, wyręczając ją we wszystkim, ile jej sił starczyło. Posażna i inteligentna, mogła być pożądaną partją marjażową dla wielu, a tembardziej dla Połubińskiego (różnica między koncepcją powieściową Żeromskiego a życiem).

Ojca jej, Wojciecha Lubowieckiego nie wziął Stefan Żeromski za wzór do postaci starego Brynickiego, lecz skopjował ją w znacznej mierze z Michała Bronickiego, szwagra Jana Saskiego i krewnego rodziny Katerłów. Był to uczestnik trzech wojen z 1812, 1830/1 i 1863 r. Urodzony w r. 1791-ym zmarł w r. 1897-ym, mając lat 106. Istotnie, jak w «Wiernej rzece», miał on wskutek wypadku z bronią, tylko sześć palców u obu rąk. Spoczywa w katakumbach weteranów w Krakowie.

Jan Połubiński (Józef Odrowąż), ciężko ranny w bitwie pod Małogoszczą, uznany za trupa przez żołdaków rosyjskich, którzy szukali w nim resztek

życia przy pomocy bagnatów, został na polu bitwy zemdlony.

Miał ciężką ranę postrzałową w biodro, cięcie szablą przez skroń i kilkanaście dziur (powierzchowych) w głowie od zadanych leżącemu ciosów bagnetem. Doznał olbrzymiego upływu krwi. Z omdlenia obudziło go uczucie chłodu. Była noc, a on był nagi. Hieny pobojowiska nie próżnowały. Z kilkunastu trupami poległych wioził go chłop-grabarz w gnojnicach do wspólnej mogiły. Miał rozkaz ukończenia tej pracy przed świtem.

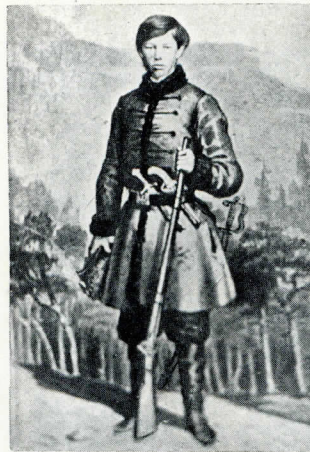
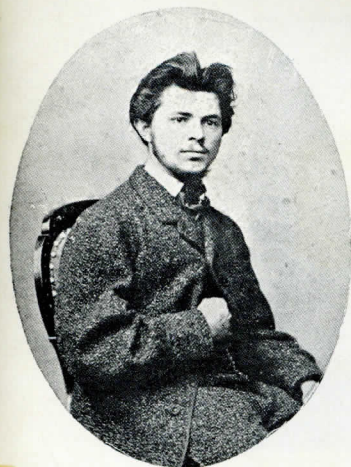
Grabarz dał się uprosić; ofiarował rannemu podarty jakiś spencer chłopski i pozwolił zniknąć w cieniach nocy.

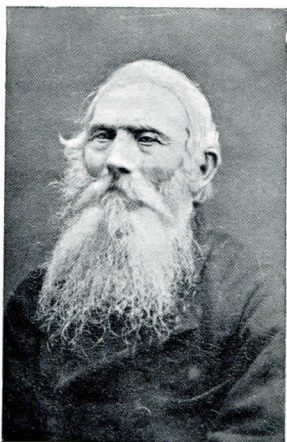
Następnego dnia Anielka Lubowiecka siedziała sama na ganku (pani Józefata była na pogrzebie syna), gdy w zapadającym mroku zamajaczyła jej przed oczyma odrażająca postać włóczęgi. To było ich poznanie.

Nakarmiony i wykąpany, omdlał z upływu krwi. Rany w kąpieli otworzyły się, chory wpadł w malinę; o jakiegokolwiek dalszej wędrówce nie mogło być mowy.

Długie tygodnie ukrywała Anielka nieznanego przy pomocy wiernego kucharza, Szczepana (postać autentyczna) w stodołach i lamusie, nie zdradzając się z tem przed zastygłą w bólu panią Józefatą. Był to z jej strony akt zupełnie altruistycznego miłosierdzia, nie znała bowiem nazwiska rannego i nie mogło w niej zbudzić innego, prócz litości, uczucia to zniekształcone podobieństwo człowieka.

Wiadomość o ukrytym przyjęła pani Józefata z zu-





MICHAŁ BRONICKI, WETERAN WOJEN NAPOLEOŃSKICH
I POWSTAŃ 1831 I 1863 R., UR. 1791 R. ZM. 1898 R.
(STARY BRYNICKI Z «WIERNEJ RZĘKI»)



ANIELA LUBOWIECKA
(SALOMEA BRYNICKA Z «WIERNEJ RZĘKI»)

pełną apatią i biernością. Groza kary i zemsty za ów karygodny czyn nie przerażała jej. Ze stanu prostracji, wywołanej stratą syna, nawet to nie mogło jej zbudzić.

Po pewnym czasie miłosierna Anielka usytuowała swego pupila znacznie wygodniej. Kosztowało ją to wiele trudu i niesłychanych zabiegów. Rozstawione naokół stráže dawały baczenie na okolicę dworu, a ona tymczasem przenosiła chorego do mieszkania dla dokonania opatrunku. Z biegiem tygodni rany na głowie zgoiły się, ale postrzał biodrowy jątrzył, a kula wraz z kawałkami odzieży długie jeszcze miesiące obsuwała się zwolna, by znaleźć ujście nazewnątrz. Stąd przewlekła gorączka. Zanim możliwą była operacja, której dokonał sownie opłacony felczer z Kielc, upłynęły miesiące. Wogóle choroba i pobyt rannego pod dachem Rudy przeciągnęły się do roku. W tym to czasie zrodziła się owa silna, do grobu zabrana miłość Anielki do pięknego młodzieńca.

Jan był jedynym synem Michała Połubińskiego, prezesa Izby Obrachunkowej w Warszawie. Matka jego (znacznie młodsza od męża) była jedną z najpiękniejszych i najbardziej wytwornych kobiet w stolicy.

Pani Józefata pokochała z czasem miłego chłopca, jak syna. I rozpieściła go poprostu. Zepsuty jednak kaprysił podobno, jak dziecko — po różne konfiturki, których brakło w śpizarni, posyłano dlań umyślnego cztery opętane mile aż do Kielc.

Czy Połubiński też pokochał Anielkę? Niewiadomo. Zdania w tej kwestji są dość sprzeczne; przeważa przekonanie, że jednak jej... nie kochał. Jeśli to

prawda, to w każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: Połubiński był święcie przekonany, że kocha ją istotnie. Jeśli tedy kogoś oszukiwał, to przede wszystkim sam siebie. Miłość jego była zapewne podobna do tej, którą się kocha anioła-pocieszyciela, anioła-wybawcę, anioła-uosobienie czystości i poświęcenia.

Pewnego dnia przed dwór w Rudzie zajechała pocztowa karetka, z której wysiadła starsza dama, niejaka pani Puschowa, przybyła tu z Warszawy w poszukiwaniu syna. Wyjaśnień nie otrzymała, bo nikt tu o nim nie słyszał. Nie wiadano, czy żyje, czy dawno już poległ. Upewniwszy się jednak, że jest to osoba, której można zaufać, powiedziano jej, że we dworze leczy się ranny Połubiński. Puschowa załamała dłonie ze zdumienia. Była dobrą znajomą jego rodziców, którzy już od szeregu miesięcy oplakiwali śmierć jedynaka.

W miesiąc później przybyła do Rudy pani Połubińska. Była to niewiasta jeszcze młoda, dobiegająca ledwo czterdziestki, postawy wyniosłej i imponującej, niepospolicie piękna i elegancka. (Może te cechy, w relacji rodzinnej wielokrotnie podkreślane, nasunęły Stefanowi Żeromskiemu pierwszą niejasną ideę uczynienia z niej księżny Odrowążowej, nieprzejednanej arystokratki). Stęskniona i niedowierzająca własnemu szczęściu matka mdlała raz po raz i długie jeszcze godziny po przyjeździe nie miała odwagi przekroczyć progu pokoju syna.

W Rudzie kniaziova Połubińska spędziła około trzech miesięcy. Syna nie pielęgnowała. Chory utrzymywał półzartem, że matka na tem się nie zna. Nie

mógł się obyć bez Anielki, a panią Józefatę przyzywał przez cały dwór wołaniem: — Mamusiu!

Musiało to być pewnym cierniem dla matczynego serca Połubińskiej, ale nie zmniejszało w niczem jej uczucia wdzięczności. I rzeczywiście — przyjaźń i zażyłość pomiędzy Rudą i Połubińskimi przetrwała długie lata.

Jeszcze przed przybyciem matki Jana młodzi ludzie byli już po słowie. Połubińska związkowi temu nie była bynajmniej przeciwna. Panna Lubowiecka nazwiskiem i majątkiem nie mogła nie zadowolić jej ambicji. Szczęścia młodych nie zakłócało wówczas nic zgoła, chyba tylko gra w hazard z niebezpieczeństwem i smutek spodziewanej rozłąki, kuracja bowiem w fazie rekonwalescencji rannego wymagała baczonej opieki lekarskiej, spokoju i zupełnej swobody, co było możliwem jedynie poza granicami państwa rosyjskiego (dekret, zezwalający na leczenie rannych, jeszcze nie był ogłoszony). Zaopatrzeni przez panią Józefatę odpowiednim listem polecającym do ciotecznego brata jej, Karola Mecherzyńskiego, profesora literatury na uniwersytecie Jagiellońskim, Połubińscy, z zachowaniem wszelkich ostrożności, przedostali się do Krakowa.

Od tej chwili narzeczeni widywali się już rzadko. Stały temu na przeszkodzie zrozumiałe trudności polityczne. W każdym razie, temperatura ich uczuć, prawdziwych, czy urojonych, musiała nie osłabnąć, skoro po upadku powstania wiosną 1865-go roku miał się odbyć ich ślub. Życzeniem było obojga święcić tę uroczystość w Rudzie, gdzie się po raz pierwszy spotkali i gdzie zrodziła się ich miłość.

W przeddzień zaślubin przed ganek dworu rudzkiego zajechał pojazd pocztowy, z którego wyskoczył rażno szczęśliwy narzeczonny. Na spotkanie pana młodego, rzecz dziwna, nie wyszedł nikt. Połubiński zdziwiony wszedł do wnętrza, dotarł do progu sali i tam wśród bieli kwiatów ubraną w ślubną suknię z welonem ujrzał swoją Anielkę... na katafalku w trumnie.

Zgasła dzień przedtem.

Nagły ten zgon był dla wszystkich zagadką, a tajemnicę jego zabrała z sobą cicha oblubienica do grobu. Może ją znały dwie trzy najbliższe osoby, ale i te nie zdradziły jej nikomu. Chorowała dwa dni. Mówiono, że przyplątała się tam jakaś złośliwa gorączka, ale mówiono też coś nie coś o akcie samobójstwa, truciznie, czy czemś podobnem. Tak, czy inaczej, stan równowagi wewnętrznej młodej dziewczyny był podobno w ostatnich tygodniach jej życia zmaćony. Straciła pogodę ducha, zamykała się w sobie. Wujence zwierzyła dziwną wątpliwość, czy wolno jej zaślubić Jana. Poczęła tracić wiarę w moc jego uczuć, podejrzewała nawet, że krok Połubińskiego podyktowany był nie głębią serca, ale wdzięcznością za ocalenie życia.

Czy te trujące myśli podszeptały jej czyjeś złe usta, czy też sama swą wrażliwością odgadła prawdę, — dociec trudno.

Dość, że odeszła, pozostawiając po sobie w rodzinie wspomnienie jasne i bolesne, które przerodziło się z czasem w smutną legendę...

Rozpacz Połubińskiego była podobno bardzo głęboka. Po śmierci jej wyjechał do Francji. Był inżynierem.



KNIAŻ MICHAŁ POŁUBIŃSKI



KNIAZIOWA MICHAŁOWA POŁUBIŃSKA
(KSIĘŻNA ODROWĄŻOWA Z «WIERNEJ RZĘKI»)

nierem w Bois de Colombes. Listy jego do Saskich stamtąd są datowane.

Z innych postaci wiele, a przede wszystkim Wiśniczyn, jest zmyślonych, ale i wiele prawdziwych. Analizować ich nie będę. Rozsadziliby to ramy i tak już za obszernego wspomnienia.

Na oddzielną uwagę zasługują jedynie «duchy», które straszyły w niezdolskim dworze. Dwór polski bez straszących w nim duchów—to karminowe usta bez uśmiechu, że użyję tu trafnego zwrotu Puszkina. Rozumiał to dobrze Stefan Żeromski i słusznie postąpił, nie pomijając dla pełni obrazu i tej osobliwości. Posłużył się niemi zresztą wcale dowcipnie, umożliwiając z pomocą straszącego Dominika zbliżenie dwojgu kochankom, którego w życiu, rzecz oczywista, nie było.

Kim był ów dowcipny Dominik? Nie mógł to być, jak chcą niektórzy, duch Dominika Saskiego, ten bowiem cieszył się jeszcze w Dijon wcale dobrem zdrowiem. Duch z «Wiernej rzeki» — to konglomerat całego bractwa przeróżnych straszylek, pokutujących po dworach polskich. Ktoś cierpliwy mógłby napisać o nich arcyciekawą «monografię», zwłaszcza o duchach okolic świętokrzyskich. W Dominiku swym Żeromski stopił coś z romantycznych «upiorów z Kurzelowa», coś z złośliwości pokutującego w brudzowskim dworze «masona» Ferdynanda Grabowskiego (pobijanie kadzi) i coś z właściwego Dominika, istoty przepoczcziwej i usłużnej w rodzaju prasłowiańskiego «domowego», z którym się jest za pan brat, a nawet traktuje go się zgóry, jak pacholka. Ten to Dominik,

według od paru pokoleń przekazywanej anegdoty, miał być duchem zacnego kamerdynera, w szczególny sposób przywiązanego do dzieci i stale z nimi obcu-
jącego.

Oto, mniej więcej, wszystkie zasadnicze szczegóły rzeczywiste, na których wsparła się ogólna konstrukcja powieściowa «Wiernej rzeki». Widzimy z nich, w jakim celu i dla jakich względów twórca odbiegł tu i tam od życiowego dramatu, na którego tle, jak na kanwie, odcinają się barwne kwiaty jego metody artystycznej i linje własnej ideologii.



Chciałbym prosić Ci ostatecznie, w
powieści na tle Rudy osnutej, a
z opowiadaniemi ciotki: Józefy Sashoj,
Twój Babka, powieści p: d. Wras
ni: i: k: Ale tylko wzmianka
jej wydanie jest ci warta, a le

go mi wyrykuje, bo powinnaś wiedzieć.
Eventuż masz to w sobie, bo to dość
głęboko tam wstąpić tej kieszki pracy
Taci Ci może ostatecznie fotografis
o prostu o przysięgi, i jako od ksa
wiska .. obawiając przynajmniej, ludzi
kierowania

SPIS RZECZY

	Str.
Wstęp	I
Dom Żeromskich	7
Dzieciństwo pisarza	67
Młodość pisarza	105
Droga do sławy	317
Dwór w Niezdołach	355

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



17159